

AUTORKA BESTSELLERA **love, rosie**

CECELIA AHERN

LIROGON

CECELIA AHERN

LIROGON

przełożyła  
Anna Dorota Kamińska



Tytuł oryginału: *Lyrebird*

Projekt okładki: *Katarzyna Konior/bluemango.pl*

Redakcja: *Wika Sas*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Monika Frączak, Barbara Milanowska (Lingventa)*

Copyright © Cecelia Ahern 2016

All rights reserved.

Zdjęcia na okładce © Aleshyn\_Andrei/shutterstock.com

Naticka/shutterstock.com

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2017

© for the Polish translation by Anna Dorota Kamińska

ISBN 978-83-287-0662-0

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2017

**FRAGMENT**

*Dla Pauli Pea*

*Nie przeżywa najsilniejszy gatunek ani najinteligentniejszy.  
Przeżywa ten, który najlepiej reaguje na zmiany.*

Przypisywane Karolowi Darwinowi

## **Spis treści**

PROLOG

Część 1

Część 2

Część 3

Część 4

PODSUMOWANIE

PODZIĘKOWANIA

## PROLOG

Oddała się od innych, a nieustanne gadanie pozostałej dwójki zlewa się w jego głowie w męczący jednostajny szum. Nie jest pewien, czy to z powodu zmiany czasu, czy po prostu dlatego, że mało go interesuje to, co się dzieje. Może jedno i drugie. Czuje się tak, jakby był gdzie indziej, w oddali. Ale jeżeli ziewnie jeszcze raz, ona na pewno bez wahania mu to wypomni.

Nie zauważają, że się od nich oddała – a jeżeli zauważają, to nie komentują. Niesie ze sobą swój sprzęt. Nigdy go nie zostawia – i to nie ze względu na jego wartość, ale dlatego, że sprzęt się z nim zrosł, jest niczym jeszcze jedna kończyna. Jest ciężki, ale on przywykł do jego wagi i, co dziwniejsze, daje mu to poczucie komfortu. Bez niego ma wrażenie, że brak mu jakiejś części jego samego, i nawet bez sprzętu chodzi ze stale opuszczonym prawym ramieniem, jakby na trwale obciążonym torbą dźwiękowca. Może to znaczy, że jako realizator dźwięku odnalazł swoje powołanie, ale ta podświadoma więź nie jest korzystna dla kręgosłupa.

Odchodzi od polany, od domu z nietoperzami – tematu rozmowy – idzie w stronę lasu. Gdy dociera do jego skraju, uderza go świeże chłodne powietrze. Jest gorący czerwcowy dzień, słońce pali w czubek głowy i przypieka odsłoniętą skórę na karku. Cień kusi, rój muszek w szybkim tempie krąży tanecznie w przebijających się przez liście promieniach słońca, przypominając mityczne owady. Ziemia pod jego stopami jest miękka i sprężysta, pokryta warstwami liści i kory. Nie widzi już grupki, od której się oddalił, wyłącza ich z myśli, wypełnia nozdrza zapachem świeżej sosny.

Kładzie torbę ze sprzętem koło siebie, a mikrofon na wysięgniku opiera o drzewo. Przeciąga się, rozkoszując się trzeszczeniem w kościach i prężeniem mięśni. Zdejmuje sweter, podciągając zarazem koszulkę i odsłaniając brzuch. Owija sweter wokół pasa. Wyciąga gumkę z długich włosów i związuje je mocniej w węzeł na czubku głowy, ciesząc się podmuchem powietrza na lepkim karku. Stojąc czterysta stóp nad poziomem morza, spogląda na Gougane Barra i widzi porośnięte drzewami góry ciągnące

się jak okiem sięgnąć, całe kilometry ani śladu sąsiadów. Sto czterdzieści dwa hektary parku narodowego. Jest tu tak spokojnie. Ma niezły słuch – z czasem go sobie wyrobił, nie miał wyjścia. Nauczył się wyławiać uchem odgłosy ukrytego życia. Teraz wychwytuje ćwierkanie ptaków, szelesty i trzaski dowodzące, że wszędzie wokół niego poruszają się stworzenia, cichy warkot traktora gdzieś daleko, głosy z budowy za drzewami. Jest tu spokojnie, ale życie się toczy. Wdycha świeże powietrze i wtem słyszy, jak za nim trzaska gałązka. Odwraca się szybko.

Postać kryje się pośpiesznie za drzewem.

– Halo? – woła, świadom agresji pobrzmiewającej we własnym głosie, zły, że przyłapano go w takiej chwili.

Postać się nie porusza.

– Ktoś tam jest? – pyta.

Postać wygląda zza pnia, po czym znowu znika, jakby bawiła się w chowanego. I staje się coś dziwnego. Wie, że jest bezpieczny, ale jego serce zaczyna mocniej bić. Chociaż powinno być odwrotnie.

Zostawia sprzęt i rusza powoli w stronę tej postaci, a trzaski i szelesty poszycia zdradzają każdy jego krok. Uważa, żeby zachowywać dystans między nimi, zataczając szeroki krąg wokół drzewa, za którym postać się schowała. W końcu wyłania się. Jest spięta, jakby szykowała się do obrony, ale on unosi ręce w górę z otwartymi dłońmi, jakby w geście poddania się.

Byłaby praktycznie niewidoczna, doskonale zamaskowana w lesie, gdyby nie jej jasne, niemal białe włosy i zielone oczy, najbardziej przenikliwe, jakie w życiu widział. Jest kompletnie zafascynowany.

– Cześć – mówi cicho. Nie chce jej spłoszyć. Wydaje się taka krucha, niepewna, stoi na palcach, gotowa do natychmiastowej ucieczki, gdyby zrobił jeden krok w złą stronę. Przestaje iść i staje jak wryty, wciąż trzymając uniesione ręce, jakby podtrzymywał nimi powietrze, albo może jakby powietrze podtrzymywało jego.

Uśmiecha się.

Zakłęcie zostało rzucone.

Jest niczym mityczne stworzenie, on ledwo może dostrzec, gdzie kończy się drzewo, a zaczyna ona. Sufit z liści poruszanych wiatrem przepuszcza



promienie słońca ślizgające się po jej twarzy. Widzą się po raz pierwszy, dwoje całkiem obcych ludzi, którzy nie mogą oderwać od siebie wzroku. W tym momencie w jego życiu następuje rozłam: na czas, kim był, zanim ją spotkał, i na czas, kim był potem.

## Część 1

*Jednym z najpiękniejszych, najbardziej niezwykłych i prawdopodobnie najbardziej inteligentnych spośród wszystkich stworzeń świata jest ten niezrównany artysta, lirogon... Jest to ptak bardzo płochliwy i niezwykle trudno go zobaczyć... – charakteryzuje go nadzwyczajna bystrość.*

*Stwierdzenie, że jest to stworzenie górskie, tylko częściowo wyjaśnia jego naturę. Z pewnością jest stworzeniem górskim, ale żadne z wysokich pasm, które wyznaczają i ograniczają jego królestwo, nie może go uznać za swego obywatela... Upodobania ma określone i tak wymagające, a jego natura jest tak wyrafinowana, że grymasi nawet w tych pięknych górach, szkoda więc czasu na szukanie go gdziekolwiek indziej niż w miejscach niezwyklej urody i wspaniałości.*

Ambrose Pratt, *Wspaniałość lirogona*  
(*The Lore of the Lyrebird*)

## TEGO RANKA

– Na pewno powinnaś prowadzić?

– Tak – odpowiada Bo.

– Na pewno powinna prowadzić? – powtarza Rachel, tym razem zwracając się do Solomona.

– Tak – odpowiada znowu Bo.

– A jest jakaś szansa, żebyś przestała wysyłać SMS-y, jak prowadzisz? Moja żona jest w ciąży, a ja mam zamiar poznać pierworodnego – mówi Rachel.

– To nie SMS, sprawdzam maile.

– A, to co innego. – Rachel unosi oczy do nieba i wygląda przez okno na szybko uciekający wiejski pejzaż. – Jedziesz za szybko. I słuchasz wiadomości. A do tego jesteś po zmianie czasu.

– Jeśli tak się martwisz, to zapnij pas.

– Od razu lepiej – mamrocze Rachel, wciskając się na siedzenie za Bo i z trzaskiem zapinając pas bezpieczeństwa. Wolałaby siedzieć za fotelem pasażera, skąd ma lepszy widok na Bo i kierownicę, ale Solomon odsunął go tak daleko do tyłu, że się nie mieści.

– Zmiana czasu wcale mi nie szkodzi – oznajmia Bo, odkładając wreszcie telefon ku uldze Rachel, która spodziewa się, że obie ręce Bo wrócą na kierownicę, ale ta natychmiast zajmuje się radiem i zaczyna skakać po kanałach. – Muzyka, muzyka, muzyka, dlaczego nikt już nie rozmawia? – mruczy.

– Bo czasami świat musi się zamknąć – odpowiada Rachel. – Może tobie zmiana czasu nie szkodzi, ale jemu tak. W ogóle nie wie, gdzie jest.

Znużony Solomon otwiera oczy, by dać znać, że wszystko słyszy.

– Nie śpię – mówi leniwie. – Tylko, no wiecie... – Czuje, jak powieki znowu mu się zamykają.

– Tak, wiem, wiem, nie chcesz widzieć, jak Bo prowadzi, rozumiem – stwierdza Rachel.

Solomon i Bo mają za sobą sześciogodzinny lot z Bostonu, samolot wylądował o piątej trzydzieści rano. Zjedli szybkie śniadanie na lotnisku, odebrali samochód, a potem zabrali Rachel, żeby przejechać trzysta kilometrów do hrabstwa Cork, na południowym zachodzie Irlandii. Solomon przespał prawie cały lot, ale okazało się, że to za mało – a przecież ile razy otworzył oczy, widział, że Bo nie śpi: chciała wykorzystać podróż na obejrzenie jak największej liczby filmów dokumentalnych.

Niektórzy żartują na temat życia samym powietrzem. Solomon jest przekonany, że Bo potrafi żyć samymi informacjami. Wchłania je z astronomiczną szybkością; wciąż jest ich głodna: czyta, słucha, pyta, wyszukuje... Na jedzenie nie zostaje już wiele czasu. Informacja ją napędza, ale nigdy nie napełnia, głodu wiedzy i informacji nigdy nie da się zaspokoić.

Solomon i Bo są z Dublina, polecili do Bostonu odebrać nagrodę za film dokumentalny Bo *Bliźniacy Toolin*, który został uhonorowany w kategorii Wybitny Wkład w Rozwój Filmu i Telewizji na corocznym rozdaniu nagród Boston Irish Reporter. Była to dwunasta nagroda, którą odebrali w tym roku.

Trzy lata wcześniej spędzili cały rok na obserwowaniu i filmowaniu pary bliźniaków, Joego i Toma Toolinów, którzy mieli wtedy po siedemdziesiąt siedem lat. Byli rolnikami, mieszkali w odległej części hrabstwa Cork, na zachód od Macroom. Bo poznała ich historię, zbierając materiał do innego projektu. Bliźniacy szybko zawładnęli jej sercem i umysłem, a w konsekwencji także życiem. Bracia żyli i pracowali razem od zawsze, żaden z nich nie związał się nigdy z kobietą ani w ogóle z nikim innym. Od urodzenia mieszkali na tej samej farmie, najpierw zajmowali się nią wspólnie z ojcem, przejęli gospodarstwo po jego śmierci. Pracowali bardzo ciężko; żyli skromnie w domu z kamienną podłogą, spali w dwóch jednakowych łóżkach; rozrywki dostarczało im tylko stare radio. Rzadko opuszczali swoją posiadłość; pewna znajoma kobieta zaopatrywała ich co tydzień w skromne produkty żywnościowe, które starczyły im na kilka dni, ogólnie też dbała o dom. Relacje braci Toolin i ich poglądy na życie urzekły

widzów tak samo jak wcześniej ekipę filmową, bo pod ich prostotą kryły się uczciwość i prostolinijność w podejściu do życia.

Bo wyprodukowała i wyreżyserowała film w swoim własnym studiu Mouth to Mouth; Solomon nagrywał dźwięk, a Rachel filmowała. Zespół tworzyli od pięciu lat, od czasu stworzenia dokumentu *Oddalający się świat*, w którym pokazali malejącą liczbę zakonnic w Irlandii. Bo i Solomon zostali parą po nieoficjalnym przyjęciu z okazji zakończenia produkcji filmu.

*Bliźniacy Toolin* to było ich piąte dzieło, ale pierwszy większy sukces: cały ten rok spędzili na podróżowaniu po świecie z jednego festiwalu czy rozdania nagród na drugie. Bo wszędzie odbierała nagrody, dzięki czemu wyszlifowała swoją mowę dziękczynną na błysk.

Teraz znowu byli w drodze na farmę Toolinów, którą tak dobrze znali. Ale jechali nie po to, żeby uczcić z nimi swój ostatni sukces, jechali, by uczestniczyć w pogrzebie Toma Toolina, brata młodszego o dwie minuty.

– Możemy się zatrzymać i coś zjeść? – pyta Rachel.

– Nie ma potrzeby. – Bo sięga na podłogę po stronie pasażera, robi się ryzykownie: jedna ręka zostaje na kierownicy, a samochodem na autostradzie lekko zarzuca.

– Jezu – jęczy Rachel, bojąc się nawet patrzeć.

Bo wyciąga trzy batony energetyczne i rzuca jej jeden z nich.

– Obiad. – Rozrywa zębami opakowanie swojego batona i odgryza kawałek. Żuje agresywnie, jakby to była pigułka, którą musi połknąć, traktując jedzenie jak paliwo, a nie przyjemność.

– Wiesz co, ty chyba nie jesteś człowiekiem – stwierdza Rachel, wyjmując batona i przyglądając mu się z rozczarowaniem. – Jesteś potworem.

– Jest moim małym nieludzkim potworkiem – oznajmia sennie Solomon, wyciągając rękę, by ścisnąć udo Bo. Ta się uśmiecha.

– Wolałam, kiedy ty i Bo się nie pieprzyliście – orzeka Rachel, odwracając wzrok. – Wtedy bywałeś po mojej stronie.

– Nadal jest po twojej stronie. – Bo mówi to żartobliwym tonem, ale naprawdę tak myśli.

Solomon ignoruje przytyk.

– Jeżeli mamy tylko pożegnać biednego Joego, dlaczego kazaliście mi zabrać cały sprzęt? – pyta Rachel z ustami pełnymi orzeszków i rodzynków. Doskonale wie dlaczego, ale jest w takim nastroju, że ma ochotę dalej ich prowokować. Bo i Solomon są pod tym względem zabawni, nigdy do końca przewidywalni, zawsze łatwo dają się podpuścić.

Solomon otwiera oczy i przygląda się swojej dziewczynie. Dwa lata jako para, pięć lat razem zawodowo, potrafi w niej czytać jak w książce.

– Chyba nie myślisz, że Bo jedzie na pogrzeb z dobroci serca, co? – drażni się z nią. – Światowej sławy reżyserzy nieustannie muszą szukać tematów.

– Tak, to mi bardziej pasuje – zgadza się Rachel.

– Nie mam serca z kamienia – broni się Bo. – Podczas lotu obejrzałam film jeszcze raz. Pamiętacie ostatnią kwestię Toma? „Każdy dzień, kiedy da się wstać z łóżka, jest dobry”. Na myśl o Joem pęka mi serce.

– No, może widać małe pęknięcia – docina jej lekko Rachel.

– Co Joe teraz robi? – ciągnie Bo, ignorując szpilę Rachel. – Z kim będzie rozmawiał? Czy będzie pamiętał o jedzeniu? To Tom organizował dostawy żywności, a do tego jeszcze gotował.

– Puszki zupy, fasolka z puszek z tostami i herbata z tostami... To nie kwalifikuje się jako gotowanie. Moim zdaniem Joe przejmie to bez problemu. – Rachel się uśmiecha na wspomnienie obu mężczyzn zasiadających razem do stołu, by zjadać twardy chleb z wodnistą zupą w zimowe popołudnia, gdy było już ciemno.

– Dla Bo to obiad z trzech dań – żartuje Solomon.

– Wyobraźcie sobie, jaki teraz będzie samotny na tej górze, zwłaszcza w środku zimy, tygodniami nie zobaczy ludzkiej twarzy – ciągnie Bo.

Milczą przez chwilę, rozmyślając nad losem Joego. Poznali go lepiej niż większość ludzi. On i Tom wpuścili ich do swojego życia, odpowiadali na każde pytanie.

Podczas kręcenia filmu Solomon często zastanawiał się, jak bracia mogliby w ogóle funkcjonować jeden bez drugiego. Rzadko opuszczali farmę, jedynie po to, by pojechać na rynek albo zająć się owcami. Gospodyni zajęła się oporządkowaniem domu, co dla nich było raczej stratą czasu niż koniecznością. Jadali szybko i w milczeniu, pośpiesznie ładując jedzenie do ust przed

powrotem do pracy. Byli jak dwa lustrzane odbicia, kończyli za siebie zdania, krążyli wokół siebie z taką zręcznością, że wyglądało to jak taniec, może niekoniecznie elegancki, raczej taki, który wyklarował się z biegiem lat, niechcący, bezwiednie. Mimo że brakowało mu wdzięku – a może właśnie dlatego – był piękny i intrygujący.

Zawsze byli Joe i Tom, nigdy Tom i Joe. Joe był starszy o dwie minuty. Wyglądali identycznie i pomimo różnicy charakterów pasowali do siebie. Nadawali jakiś szczególny sens temu pozbawionemu sensu miejscu.

Niewiele ze sobą rozmawiali, niepotrzebne im były wyjaśnienia czy opisy. Zamiast tego komunikowali się dźwiękami, które tylko oni rozumieli, ruchem głowy, wzruszeniem ramion, machnięciem ręki, kilkoma słowami rzuconymi od czasu do czasu. Dopiero po paru chwilach ekipa filmowa orientowała się, jaką wiadomość sobie przekazali. Byli tak zgrani, że wyczuwali swoje nastroje, zmartwienia, obawy. Każdy wiedział, co ten drugi myśli w dowolnej chwili, i w ogóle się nie zastanawiali nad niezwykłością tej więzi. Często oszałamiała ich dogłębność analizy Bo. Życie jest, jakie jest, rzeczy są, jakie są, nie ma sensu tego rozpatrywać, nie ma sensu usiłować zmienić to, czego zmienić się nie da, ani pojąć to, co jest nie do pojęcia.

– Nie potrzebowali nikogo, bo mieli siebie, jeden drugiemu wystarczał – mówi Bo, powtarzając zdanie, które wygłaszała tysiące razy podczas promocji swojego dokumentu, ale każde słowo zawsze wypowiadała szczerze. – No więc, czy ja tu szukam tematu? – pyta. – Kurwa, pewnie.

Rachel rzuca pusty papierek przez ramię Bo. Solomon śmieje się i zamyka oczy.

– I znowu zaczynasz.

## 2

– Rany – mówi Bo, gdy samochód pełznie powoli w stronę kościoła w niezwyklej okolicy. – Przyjechaliśmy za wcześnie. Rachel, możesz przygotować kamerę?

Solomon siada, teraz kompletnie rozbudzony.

– Bo, nie kręcimy pogrzebu. Nie możemy.

– Dlaczego nie? – pyta. Jej brązowe oczy wpatrują się w niego intensywnie.

– Nie masz zgody.

Rozgląda się.

– Czyjej? To nie jest teren prywatny.

– Okej, ja wysiadam – oznajmia Rachel, wydostając się z samochodu, żeby nie wkręcić się w ich kolejną kłótnię.

Burzliwy jest nie tylko związek z Solomonem, ale z każdym, kto ma do czynienia z Bo. Jest taka uparta, potrafi doprowadzić do pasji najspokojniejszych ludzi, jakby jedynym sposobem, w jaki się komunikuje lub uczy czegokolwiek, było wywołanie takiego napięcia, aby rozpocząć spór. Nie robi tego, ponieważ lubi się spierać – ona potrzebuje sporu, by dokopać się do sposobu myślenia innych. Nie odbiera na tych samych falach co większość ludzi. Chociaż jest wrażliwa, jest bardziej czuła na ludzkie historie niż na sposoby ich zdobywania. Niekiedy trzeba sprowokować niezręczną lub nieprzyjemną sytuację, czasami świat potrzebuje osób takich jak Bo, by przekraczali granice i skłaniali innych do otwarcia się i podzielenia swoją historią, ale istotne jest wybranie właściwego momentu, a to Bo nie zawsze wychodzi. Ale rzadko się myli, Solomon wiele się od niej nauczył przez te lata.

– Nie spytałaś Joego, czy możesz kręcić – wyjaśnia Solomon.

– Zapytam, gdy przyjedzie.

– Nie możesz go o to pytać tuż przed pogrzebem brata. To nietaktowne.

Bo rozgląda się po okolicy, a Solomon niemal widzi, jak jej mózg pracuje na wysokich obrotach.

– A może paru uczestników pogrzebu zechce potem udzielić wywiadu, powiedzieć nam o Tomie coś, czego nie wiedzieliśmy, albo jak ich zdaniem będzie teraz wyglądało życie Joego. Może Joe zechce z nami porozmawiać. Chcę wyczuć, jak teraz wygląda jego życie, czy może jak będzie wyglądało. –

Mówi to wszystko, obracając się w miejscu, by uchwycić panoramiczny widok.

– Cholernie samotne i żałosne, jak się domyślałam – warczy Solomon, tracąc nad sobą panowanie i wysiadając z samochodu.



Przygląda mu się, zaskoczona, i woła za nim:

– A potem znajdziemy ci coś do jedzenia. Żebyś przestał gryźć mnie.

– Okaż trochę empatii, Bo.

– Gdyby mnie to nie obchodziło, nie byłoby mnie tutaj.

Patrzy na nią ponuro, po czym prostuje nogi i rozgląda się – ma dość kłótni, którą, jak czuje, i tak by przegrał.

Gougane Barra leży na zachód od Macroom w hrabstwie Cork. Jego irlandzka nazwa to *Guagán Barra*, co znaczy „skała Barry”. Pochodzi od św. Findbara, który w VI wieku wybudował klasztor na wyspie pobliskiego jeziora. Odizolowane położenie sprawiło, że kaplica św. Findbara stała się miejscem odprawiania nielegalnych mszy katolickich w czasach, gdy były one zakazane. Dzisiaj jego zapierające dech w piersiach otoczenie jest popularnym miejscem ślubów. Solomon nie jest pewien, dlaczego Joe wybrał tę kaplicę. Wie natomiast z całą pewnością, że Joego nie obchodzi moda, tym bardziej nie interesuje go romantyczna sceneria. Farma Toolinów jest tak odludna, że już bardziej się nie da, a chociaż musi należeć do jakiejś parafii, Solomon nie ma pojęcia, do której. Wie, że *bliźniacy Toolin* nie byli ludźmi religijnymi – wprawdzie to nietypowe dla ich pokolenia, ale w nich nic nie było typowe.

Wyczuwa, że przeprowadzanie wywiadu z Joem w dniu pogrzebu jego brata nie jest w porządku, ale on sam też ma kilka pytań, na które chętnie poznałby odpowiedzi. Chociaż frustruje go to przekraczanie przez Bo granic, jednak zawsze wykorzystuje okazję.

Solomon wyrusza sam, by nagrywać. Od czasu do czasu Bo wskazuje jakiś teren, kąt ustawienia kamery albo przedmiot, który Rachel powinna jej zdaniem uchwycić, ale zazwyczaj zostawia ich samych sobie. To właśnie Solomon lubi w pracy z Bo. Trochę niczym *bliźniacy Toolin*: Bo, Solomon i Rachel rozumieją, jak lubi pracować każdy z członków zespołu, i pozostawiają sobie dość dużo przestrzeni. Solomon podczas ich wspólnej pracy czuje się wolny, czego brakuje mu przy innych zleceniach, przyjmowanych wyłącznie dla opłacenia rachunków. Najpierw zima spędzona na filmowaniu nietypowych części ciała dla programu telewizyjnego *Groteskowe ciała*, potem lato poświęcone kręceniu reality show w klubie fitness dla grubasów wyssały z niego całe życie. Jest wdzięczny Bo za te dokumenty, za jej ciekawość. To, co go w niej irytuje, to właśnie te same

umiejętności, które pomagają mu uwolnić się od banalnych, zwykłych zleceń.

W godzinę po rozpoczęciu filmowania przyjeżdża karawan, a zaraz za nim osiemdziesięcioletni Joe za kierownicą land rovera. Joe wysiada. Ma na sobie ciemnobrązowy garnitur, sweter i koszulę, które widzieli na nim setki razy. Zamiast wysokich kaloszy włożył półbuty. Nawet w ten słoneczny dzień jego ubranie nie różni się zbyt od tego, jakie nosiłby zimą, może ma o jedną ukrytą warstwę mniej. Głowę Joego przykrywa tweedowa czapka.

Bo natychmiast do niego podchodzi. Rachel i Solomon podążają za nią.

– Joe – mówi Bo, ściskając mu dłoń.

Objęcie ramionami to byłoby dla niego za dużo, nie jest przyzwyczajony do okazywania uczuć.

– Tak mi przykro z powodu twojej straty.

– Nie musieliście przyjeżdżać – mówi, patrząc z zaskoczeniem na całą trójkę. – Nie byliście czasem w Ameryce, kiedy telefonowałem?

– Tak, ale od razu wróciliśmy, żeby móc być z tobą. Możemy filmować, Joe? Czy to będzie w porządku? Wszyscy, którzy oglądali waszą historię, chcieliby się dowiedzieć, jak się miewasz. – Solomon spina się na jawną bezczelność Bo, ale jednocześnie go to rozbraja. Jej bezpośredniość i szczerłość wydają mu się niezwykle i rzadkie.

– A kręćcie sobie – mówi Joe, lekceważąco machając ręką, jakby nie miało to dla niego żadnego znaczenia.

– Joe, czy możemy z tobą potem porozmawiać? Planujesz jakieś spotkanie? Herbata, kanapki, coś w tym rodzaju?

– Tylko cmentarz i koniec. Żadnego zamieszania. Z powrotem do roboty. Robię teraz za dwóch, nie?

Podkrążone oczy Joego są smutne i zmęczone. Grabarze wyjmują trumnę z karawanu i umieszczają ją na wózku. W kościele, łącznie z ekipą filmową, jest dziewięć osób.

Pogrzeb jest krótki i konkretny, ksiądz odczytuje mowę pogrzebową, wspominając o etyce pracy Toma, jego miłości do ziemi, dawno zmarłych rodzicach i bliskim związku z bratem. Jedyne ruchy, jakie wykonuje ze stoickim spokojem Joe, to zdjęcie czapki, gdy trumna Toma opuszczana jest do grobu. Potem zakłada ją z powrotem i rusza do swojego dżipa. Solomon niemal

słyszysz w głowie jego słowa: „I koniec”.

Po pogrzebie Bo rozmawia przed kamerą z Bridget, gospodynią, chociaż ten tytuł jest trochę na wyrost, bo kobieta przynosi tylko jedzenie i zamiata pajęczyny w wilgotnym domu. Boi się patrzeć w kamerę, żeby nie wybuchła jej prosto w twarz, zachowuje się dość defensywnie, jakby każde pytanie było oskarżeniem. Miejscowy policjant Jimmy, dostawca paszy dla Toolinów oraz sąsiad, którego owce pasą się na tym samym wzgórzu, odmawiają wywiadu.

Farma Toolinów jest odległa o pół godziny jazdy, daleko od wszystkich, zagłębiona w sercu górskich zboczy.

– Czy w domu Toolinów są jakieś książki? – rzuca ni stąd, ni zowąd Bo. Często tak robi, strzela niespodziewanymi pytaniami i pomysłami, kiedy układa w głowie różne fragmenty informacji zebrane z różnych źródeł, by powstała jedna klarowna opowieść.

– Nie mam pojęcia – odpowiada Solomon, spoglądając na Rachel. Rachel ma lepszą pamięć wzrokową i więcej dostrzega niż którekolwiek z nich.

Rachel zastanawia się, przeglądając w pamięci ujęcia.

– W kuchni nie. – Milczy, w myślach przechodząc przez dom. – W sypialni nie. W każdym razie nie na otwartych półkach. Mają szafki przy łóżkach, może tam.

– Ale nigdzie indziej.

– Nie – odpowiada z przekonaniem Rachel.

– Dlaczego pytasz? – interesuje się Solomon.

– Bridget. Powiedziała, że Tom był „zapalonym czytelnikiem”. – Bo krzywi się. – Nie wzięłabym go za czytelnika.

– Nie wydaje mi się, by na pierwszy rzut oka można było poznać, czy ktoś lubi czytać.

– Ci, co lubią czytać, zawsze noszą okulary – żartuje Rachel. – Tom nigdy nie wspominał o książkach. Przez rok żyliśmy ich życiem. Nigdy nie widziałam, żeby czytał czy nawet brał książkę do ręki. Nie czytali gazet, ani jeden, ani drugi. Słuchali radia. Pogoda, sport, czasami wiadomości. Potem szli do łóżka. Nic o czytaniu.

– Może Bridget to wymyśliła. Kamera bardzo ją peszyła – stwierdza

Solomon.

– Opowiadała bardzo szczegółowo, że kupowała dla niego książki w antykwariatach i sklepach charytatywnych[1]. Wierzę, że kupowała książki, tylko nie mogę zrozumieć, dlaczego nigdy nie widzieliśmy w domu ani jednej i nigdy nie przyłapaliśmy żadnego na czytaniu. A o czymś takim chciałabym wiedzieć. Co Tom lubił czytać? Dlaczego? A jeżeli czytał, czy była to tajemnica?

– Nie wiem – mówi Solomon, ziewając. Nigdy się nie przejmuję drobiazgami, które analizuje Bo, zwłaszcza teraz, gdy znowu zaczynają mu dokuczać głód i zmęczenie. – Ludzie mówią dziwne rzeczy, kiedy posadzisz ich przed kamerą. Jak myślisz, Rachel?

Rachel milczy przez chwilę, przywiązując do sprawy większą wagę niż Solomon.

– No, teraz nie czyta już nic – stwierdza.

Docierają na farmę Toolinów. Okolicę znają lepiej niż dobrze – spędzili tu wiele ciemnych poranków i nocy, w strugach deszczu, włóczęc się po niebezpiecznym terenie. Bracia, górscy hodowcy owiec, na samym początku podzielili między siebie pracę i trwali przy tym do końca. Mieli dużo do zrobienia, a dochód był mały, ale od śmierci ojca każdy z nich trzymał się przydzielonej sobie roli.

– Joe, powiedz nam, co się stało – prosi łagodnie Bo.

Bo i Joe siedzą w kuchni przy plastikowym stole, na jedynych dwóch krzesłach. To główne pomieszczenie domu, jest tu kuchenka elektryczna, z której używane są wyłącznie cztery palniki. Jest zimno i wilgotno, nawet przy takiej pogodzie. W ścianie jeden kontakt z rozgałęziaczem, do którego podłączone są wszystkie sprzęty elektryczne: kuchenka, radio, czajnik i elektryczny grzejnik. Tylko patrzeć, jak stanie się coś złego. Szum grzejnika, dźwiękowy wróg Solomona. Kuchnia – a właściwie cały dom – pachnie psem: mieszkają tu dwa border collie, Mossie i Ring. Nazwane zostały na cześć Mossiego O’Riordana i Christy’ego Ringa, którzy odegrali istotną rolę w zwycięstwie hrabstwa Cork w finale mistrzostw Irlandii w hurlingu w 1952 roku. Wyprawa na finał rozgrywek to jeden z nielicznych wyjazdów chłopców do Dublina z ojcem i jedno z niewielu zainteresowań, jakie mieli oprócz pracy na farmie.

Joe siedzi w drewnianym fotelu z łokciami na oparciach i dłońmi splecionymi na brzuchu.

– To był czwartek. Bridget wpadła z jedzeniem. Tom miał je schować. Poszedłem. Wróciłem na podwieczorek i znalazłem go tu, na podłodze. Od razu wiedziałem, że odszedł.

– Co zrobiłeś?

– Schowałem jedzenie. Nie zdążył tego zrobić, czyli musiało być wcześniej, jak umarł. Musiało być niedługo po tym, jak poszedłem. Zawał. Potem zadzwoniłem... – Wskazuje ruchem głowy telefon na ścianie.

– Najpierw schowałeś jedzenie? – pyta Bo.

– Tak.

– Do kogo zadzwoniłeś?

– Do Jimmy’ego. Na posterunek.

– Pamiętasz, co powiedziałaś?

– Nie wiem. Pewnie: „Tom nie żyje”. – Cisza.

Joe uświadamia sobie, że jest filmowany, i przypomina sobie radę, jaką dała mu Bo trzy lata temu, by wciąż mówić, żeby to on sam opowiadał swoją historię.

– Jimmy powiedział, że i tak będzie musiał zadzwonić po karetkę, chociaż wiedziałem, że jemu już nic nie pomoże. Potem przyjechał sam. Napiliśmy się herbaty, jak żeśmy czekali.

– Tom leżał cały czas na podłodze?

– Pewnie, a gdzie go niby miałem przenieść?

– Pewnie nigdzie. – Bo uśmiecha się lekko. – Mówiłeś coś do Toma? Kiedy czekałeś na Jimmy’ego i karetkę.

– Do niego miałem mówić? – powtarza jej słowa. – Przecież on nie żył! Był całkiem martwy. Po co miałbym coś do niego mówić?

– Może „żegnaj” albo coś w tym rodzaju. Czasami ludzie tak robią.

– Ech – rzuca lekceważąco i odwraca wzrok, myśląc o czymś innym. Może o tym pożegnaniu, z którego zrezygnował, może o pożegnaniach z przeszłości, a może o owcach, które należy wydoić, i o papierach do wypełnienia.

- Dlaczego dzisiaj wybrałeś ten kościół?
- Tam mama z tatą brali ślub – odpowiada.
- Czy Tom chciał, żeby tam odbył się jego pogrzeb?
- Nigdy nie mówił.
- Nigdy nie rozmawialiście o swoich planach? Co byście chcieli?
- Nie. Wiedzieliśmy, że będziemy pochowani z mamą i tatą w jednym grobie. Bridget mówiła coś o kaplicy. To był dobry pomysł.
- Poradzisz sobie, Joe? – pyta czule Bo, szczerze przejęta.
- Muszę, nie? – Rzuca jej jeden ze swoich rzadkich uśmiechów, nieśmiały, wygląda przy tym jak mały chłopiec.
- Myślisz, że weźmiesz kogoś do pomocy?
- Syna Jimmy’ego. Już dogadane. Trochę pomoże, jak będzie trzeba. Coś przeniesie, takie tam. Albo w dni targowe.
- A co z pracą Toma?

– Ja to będę musiał robić, nie? – Poprawia się w krześle. – Nie ma nikogo innego, co by to zrobił.

Zarówno Joego, jak i Toma zawsze bawiły pytania Bo. Zadawała pytania, na które odpowiedzi były oczywiste – nie mogli zrozumieć, dlaczego wszystko tak kwestionowała, wszystko analizowała, kiedy im zawsze wystarczało „i koniec”. Po co pytać, skoro rozwiązanie jest oczywiste? Po co w ogóle szukać innego rozwiązania, skoro jedno wystarczy?

– Będziesz musiał porozmawiać z Bridget. Dać jej listę zakupów. Gotować – wylicza mu Bo.

Wydaje się, że to go denerwuje. Prac domowych nigdy nie lubił, to była działka Toma, który zresztą też za nią nie przepadał. Po prostu wiedział, że jeśli będzie czekał, aż brat da mu jeść, umrze z głodu.

- Czy Tom lubił czytać? – pyta.
- Co? – pyta, nie rozumiejąc. – Tom chyba w życiu nie przeczytał żadnej książki. W każdym razie od szkoły. Może dział sportowy, kiedy Bridget przyniosła gazetę.

Solomon ze swojego miejsca czuje podekscytowanie Bo, która prostuje

plecy, gotowa wgryźć się w nurtującą ją kwestię.

– Czy kiedy w poniedziałek chowałeś jedzenie, w torbach było coś niezwykłego?

– Nie.

Przypominając sobie o tym, jaki Joe ma stosunek do języka angielskiego, przeformułowuje pytanie:

– Czy było coś innego?

Przygląda się jej, jakby usiłował podjąć decyzję.

– No, przede wszystkim było za dużo jedzenia.

– Za dużo?

– Dwa bochenki chleba. Dwie szynki i sery, nie pamiętam, co jeszcze.

– Jakież książki?

Znowu na nią patrzy. To samo spojrzenie. Rozbudzone zainteresowanie.

– Jedna.

– Mogę zobaczyć?

Wstaje i z kuchennej szuflady wyjmuje książkę w miękkiej oprawie.

– Proszę. Miałem ją dać Bridget, myślałem, że jest jej, i to dodatkowe jedzenie.

Bo przygląda się książce. Wyczytany kryminał, który Bridget gdzieś znalazła. Otwiera go z nadzieją na odkrycie dedykacji, ale nigdzie jej nie ma.

– Nie sądzisz, że Tom o to prosił?

– A niby dlaczego? A jeśli prosił, to nie tylko z sercem musiał mieć problemy – mówi do kamery i chichocze.

Bo trzyma książkę.

– Wróćmy do obowiązków Toma. Jakie ty masz teraz obowiązki na farmie?

– Te same co zwykle. – Zastanawia się nad tym jakby po raz pierwszy, nad wszystkim, co Tom robił w ciągu dnia, a o czym on nigdy nie myślał, albo o tym, co omawiali wieczorami.

– Zajmował się tą studnią przy domu nietoperzy. Od lat tam nie byłem. Pewnie będę musiał mieć na nią oko.

– Nigdy nie wspominałeś o domu nietoperzy – mówi Bo. – Możesz nas tam zabrać?

Cała czwórka wraz z jednym z lojalnych owczarków wsiada do dżipa. Joe wiezie ich przez swoje ziemie ubitą drogą, która teraz wydaje się niebezpieczna, a co dopiero zimą, w burzliwe noce i lodowate poranki. Osiemdziesięciolatek sam sobie nie poradzi, dwóch osiemdziesięciolatek radzi sobie z trudem. Bo ma nadzieję, że syn Jimmy’ego to sprawny młody mężczyzna, który będzie robił więcej, niż Joe mu powie, bo Joe nie należy do mężczyzn, którzy proszą o pomoc.

Zatrzymuje ich zardzewiała bramka. Solomon wysiada przed Joem, żeby ją otworzyć. Potem biegnie za nimi. Joe parkuje na polanie przy lesie, Solomon zbiera swój sprzęt. Resztę drogi muszą przejść na piechotę. Mossie biegnie przed nimi.

– Zła ziemia, nigdy się jej nie dało uprawiać, ale i tak ją zatrzymaliśmy – mówi im Joe. – W latach trzydziestych tata posadził świerk sitkajski i sosny wydmowe. Nie przeszkadzają im słaba ziemia ani mocne wiatry. Jakies dwadzieścia akrów. Widać stąd park leśny Gougane Barra.

Idą ścieżkami i dochodzą do polany z małym budynkiem, kiedyś pomalowanym na biało, ale teraz wypłowiałym, zniszczonym przez czas, który odsłonił szary beton pod farbą. Okna zabito deskami. Nawet w tak piękny dzień wygląda ponuro, surowy budynek gospodarczy niepasujący do pięknego otoczenia.

– To dom nietoperzy – wyjaśnia Joe. – Są ich tam setki. Bawiliśmy się tam, jak byliśmy mali. – Chichocze. – Namawialiśmy jeden drugiego, żeby wejść do środka, zamknąć drzwi i liczyć tak długo, jak się da.

– Kiedy ostatni raz byłeś w środku? – pyta Bo.

– Ech. Dwadzieścia lat. Więcej.

– Jak często Tom tu przychodził? – pyta Bo.

– Raz, dwa razy w tygodniu, żeby skontrolować, czy studnia nie jest zanieczyszczona... Tam jest, za domem.

– Jeżeli na tej ziemi nie da się zarobić, dlaczego jej nie sprzedaliście?



– Po śmierci taty była na sprzedaż. Jakiś facet z Dublina chciał tu zbudować dom, ale nie mógł ruszyć tego domu nietoperzy. Ci od środowiska – unosi podbródek ze zdenerwowania – powiedzieli, że to rzadkie nietoperze. Nie można tego rozwalić ani budować obok, boby im się zaburzyło tory lotu, i koniec. Wtedy wycofaliśmy ogłoszenie. Mossie! – Joe woła swojego psa, który zniknął z oczu.

Przestają filmować. Rachel podchodzi do domu nietoperzy, przyciska twarz do okien, żeby zajrzeć przez szpary w deskach. Bo zauważa, że Solomon odchodzi, dzierżąc sprzęt, i kieruje się w stronę lasu. Ma nadzieję, że usłyszał coś ciekawego, co mógłby zarejestrować, dlatego pozwala mu odejść. A nawet jeżeli nic nie usłyszał, czuje się winna, że zmusiła jego i Rachel, by wstali tak wcześnie, przywiozła ich tu, gdzie nie można dostać posiłku, a oni w odróżnieniu od niej nie umieją funkcjonować bez jedzenia. Zaczyna wyczuwać ich irytację. Daje im spokój, niech mają kilka chwil dla siebie.

– Gdzie studnia? – pyta Joego.

– Tutaj, za domem.

– Miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy sfilmowali, jak sprawdzasz studnię?

Joe wydaje pomruk, który Bo interpretuje jako sygnał, że zrobi, co będzie chciała, nic go to nie obchodzi, niezależnie od tego, co myśli o jej dziwactwie.

Podczas gdy Rachel i Joe rozmawiają o nietoperzach – Rachel jest w stanie rozmawiać praktycznie o wszystkim – Bo obchodzi dom nietoperzy. Dostrzega za nim chałupkę, zaniedbaną z zewnątrz, w podobnym stanie jak dom nietoperzy, z niemal niewidocznymi śladami białej farby i z szarym betonem wśród całej tej zieloności. Mossie kręci się przed domkiem, obwąchując ziemię.

– Kto tu mieszkał? – woła Bo.

– Ech? – odkrzykuje, nie słysząc jej.

Przygląda się chatce. Ten budynek ma okna. Czyste okna.

Joe i Rachel idą za nią, pojawiają się na ścieżce prowadzącej do domku.

– Kto tu mieszkał? – powtarza Bo.

– Ciotka taty. Dawno temu. Ona się wyprowadziła, nietoperze się wprowadziły. – Znowu chichocze. Przymyka oczy, usiłując przypomnieć sobie

jej imię. – Kitty. Strasznie ją dręczyliśmy. Tłukła nas drewnianą łyżką.

Bo podchodzi bliżej, przygląda się otoczeniu. Obok domku zagonek z warzywami, rośnie też trochę owoców. W jednym oknie stoją polne kwiaty w wysokiej szklance.

– Joe – odzywa się Bo. – Kto tu mieszka teraz?

– Nikt. Może nietoperze? – żartuje.

– Ale spójrz.

Patrzy. Widzi to samo, co ona już dostrzegła. Owoce i ogródek warzywny, domek, lśniące okna, drzwi pomalowane na zielono, farbę świeższą niż gdziekolwiek w tej okolicy. Naprawdę tego nie rozumie. Bo przechodzi na tył domku. Znajduje kozę i dwie kury.

– Ktoś tu mieszka, Joe? – woła z bijącym mocno sercem.

– Intruzi? Na mojej ziemi? – złości się Joe. Takich emocji nigdy u niego nie widziała, u jego brata też nie, chociaż spędziła z nimi tyle czasu.

Zaciskając dłonie w pięści, rusza w stronę domku, najszybciej, jak może, a ona usiłuje go zatrzymać. Mossie biegnie za nim.

– Joe, zaczekaj! Zawołam Solomona! Solomon! – krzyczy, bojąc się zaalarmować osoby wewnątrz domku, ale nie ma innego wyboru. – Rachel, filmuj to.

Rachel już się zabrała do roboty.

Ale Joego nie interesuje jej film, kładzie rękę na klamce. Właśnie ma pchnąć drzwi, lecz się powstrzymuje – jest w końcu dżentelmenem. Zamiast tego puka.

Bo spogląda w stronę lasu, gdzie zniknął Solomon, a potem znowu na domek. Mogłaby Solomona w tej chwili zabić, nie powinna była pozwolić mu tak sobie odejść, to brak profesjonalizmu z jego strony. Pozwoliła mu na to, bo widziała, że padał z głodu, jest jego dziewczyną, więc wie, jaki się wtedy staje. Zręczliwy, zdekoncentrowany, roztargniony. Niestety, to jeden z bardziej frustrujących problemów z wiązaniem się z kolegami z pracy – człowiek zaczyna się przejmować, gdy przez jego decyzje druga osoba jest głodna. Ale z dźwiękiem będzie kłopot. Przynajmniej mają wizję, dźwięk doda się później.

– Ostrożnie, Joe – mówi Rachel. – Nie wiemy, kto tam jest.

Z wnętrza domku nie dobiega żaden odgłos, więc Joe otwiera pchnięciem drzwi i wchodzi do środka. Rachel zaraz za nim, Bo nie chce być ostatnia.

– Co do... – Joe stoi pośrodku pomieszczenia i rozgląda się wokół, drapiąc się po głowie.

Bo szybko wskazuje konkretne przedmioty, które Rachel ma uwiecznić.

W chacie jest tylko jedno pomieszczenie. Pod ścianą z niewielkim oknem wychodzącym na warzywny zagonek stoi pojedyncze łóżko. Po przeciwnej stronie znajdują się palenisko, kuchenka, prawie taka sama jak w domu Joego, a także fotel obok półek z książkami. Cztery półki są wypełnione po brzegi, stosiki książek ułożono też równo na podłodze.

– Książki – mówi Bo głośno, z namysłem.

Na podłodze leży kilka dywaników z owczej skóry, bez wątplenia mających ogrzewać zimną, kamienną podłogę podczas ponurych zim w domku, gdzie oprócz paleniska nie widać żadnego źródła ogrzewania. Owcza skóra leży na łóżku i na fotelu. Na bocznym stoliku stoi samotnie niewielkie radio.

Wnętrze zdecydowanie sprawia wrażenie, jakby zamieszkiwała je kobieta. Bo nie jest do końca pewna, dlaczego tak je odbiera. Wie, że nie ma na to dowodów, nie można przecież wnioskować na podstawie bukietu kwiatów w szklance. Nie ma tu żadnego zapachu, ale atmosfera tej chatki różni się całkowicie od atmosfery w domu Toma i Joego. Tu jest inaczej. O ten dom ktoś dba, ktoś tu żyje, na fotelu Bo zauważa złożony różowy rozpinany sweter. Trąca Rachel.

– Już mam – odpowiada Rachel, a pot spływa jej z czoła.

– Filmuj, ja zaraz wracam – mówi Bo, wybiega z domku i pędzi w stronę lasu.

– Solomon! – wrzeszczy na cały głos. Wie, że nie ma tu żadnych sąsiadów, którym mogłoby to przeszkadzać. Wraca na polankę przed domem nietoperzy. Dostrzega go niedaleko w lesie, w dole zbocza. Solomon stoi nieruchomo, jak w transie, w coś się wpatrując. Torba ze sprzętem leży na ziemi kilka metrów od niego, mikrofon z wysięgnikiem oparty jest o drzewo. Na domiar złego chłopak nie pracuje, co okazuje się kroplą, która przepęlnia czarę.

– Solomon! – wrzeszczy Bo, aż w końcu na nią spogląda. – Znaleźliśmy domek! Ktoś tam mieszka! Sprzęt, szybko, rusz się, zaraz! – Nie jest pewna,

czy użyte słowa mają sens ani czy wypowiedziała je we właściwym porządku, chce jedynie, żeby się pospieszył, potrzebuje dźwięku, musi zapisać tę historię.

Ale w odpowiedzi Bo słyszy dźwięk zupełnie niepodobny do niczego, co kiedykolwiek słyszała.

### 3

Dźwięk brzmi jak gdaknięcie, taki dźwięk wydaje ptak, może jakieś inne stworzenie, ale wydał go człowiek, wydała go kobieta stojąca pod drzewem.

Bo zbiega do lasu; koszyk jasnowłosej kobiety leci w powietrze, zawartość rozsypuje się po ziemi, jej oczy rozszerzają się w przerażeniu.

– W porządku – mówi Solomon, wyciągając ręce, chcąc ją uspokoić, stając między Bo a obcą, jakby usiłował oswoić dzikiego konia. – Nie zrobimy ci krzywdy.

– Kto to jest? – woła Bo.

– Nie ruszaj się, Bo – mówi niezadowolony Solomon, nie odwracając się.

Ona oczywiście ignoruje go i podchodzi bliżej. Młoda kobieta znowu wydaje dźwięk, inny, równie dziwny, coś w rodzaju ćwierkania, o ile ćwierkanie może brzmieć jak szczekanie. Jest skierowany do Bo.

Bo jest zaskoczona, ale na jej twarzy pojawiają się uśmiech i fascynacja.

– Chyba chce, żebyś się cofnęła – mówi do niej Solomon.

– Okej, doktorze Dolittle, chociaż nie zrobiłam nic niewłaściwego – odpowiada. Denerwuje się, gdy ktoś ją poucza. – Przecież nigdzie nie idę.

– W każdym razie nie podchodź bliżej – mówi Solomon.

– Sol! – Bo patrzy na niego zaszokowana.

– Hej, hej, wszystko w porządku! – przemawia do dziewczyny, powoli się przybliżając. Kuca, by pozbiierać z ziemi kwiaty i zioła. Wkłada wszystko do koszyka i wyciąga go w jej stronę. Dziewczyna przestaje ćwierkać, ale jest wyraźnie zdenerwowana, spogląda to na Solomona, to na Bo szeroko otwartymi, pełnymi strachu oczami.

– Nazywam się Bo Healy. Kręcę filmy, jesteśmy tu za zgodą Joego Toolina.  
– Wyciąga rękę.

Blondynka spogląda na jej rękę i wydaje serię przestraszonych dźwięków – żaden z nich nie przypomina słów.

– O Boże! – Zdumiona Bo patrzy na Solomona, wyjmując telefon i dzwoni do Rachel. – Rachel, chodź na polanę, szybko. Potrzebuję kamery. – Przerywa połączenie. – Nagrywaj to – mówi prawie bezgłośnie do Solomona, wskazując spojrzeniem na jego sprzęt, bojąc się poruszyć.

Młoda kobieta wydaje jeden dziwny dźwięk za drugim i jest to najbardziej fascynująca sytuacja, w jakiej Solomon kiedykolwiek się znalazł. Nie wygląda na to, by dźwięki wydobywały się z krtani tej istoty, przypominają raczej nagranie. Solomon jest tak zdumiony i zafrapowany, że nie może oderwać od niej wzroku, rozgląda się za przewodami, ale żadnego nie widzi. To się dzieje na żywo.

Robi kilka kroków w stronę torby ze sprzętem. Wśród drzew pojawia się Rachel, biegnie z kamerą w rękach, a po piętach depcze jej Joe.

– Co tu się, kurna, dzieje? – krzyczy Rachel, nagle przystając, gdy dostrzega rozgrywającą się przed nią scenę.

Młoda kobieta odwraca się do Rachel i zaczyna wydawać dźwięk alarmu samochodowego. Solomon stara się postawić w jej sytuacji – otacza ją trójka obcych ludzi, w lesie, musi się czuć schwytna w pułapkę. Dźwiękowiec nie może się zmusić, by to nagrywać. To nie jest w porządku.

Bo wyczuwa jego wahanie i wzdycha.

– Rany boskie – prychna. Robi to, co powinna była zrobić od razu, gdyby na to wpadła: zaczyna nagrywać całą scenę telefonem.

Blondynka przestaje wydawać dźwięki, przez chwilę patrzy na Joego i wygląda na to, że chyba odczuwa ulgę.

– Kto ty jesteś? – krzyczy Joe, na pół schowany za drzewem. Strach w jego głosie jest wyraźny. – Co robisz na mojej ziemi?

Kobieta wpada w panikę, cofa się między drzewa. Solomon patrzy na wszystkich po kolei. Bo filmuje telefonem, Rachel celuje w istotę kamerą, Joe robi groźną minę. Solomon jest wykończony, musi coś zjeść.

– Spokój! – wrzeszczy i wszyscy milkną. – Straszycie ją. Cofnąć się!

Zostawcie ją!

Dziewczyna wpatruje się w niego.

– Możesz iść.

Nadal nie spuszcza z niego oczu. Te zielone oczy.

– Ona chyba nie rozumie – mówi Bo, nadal nagrywając.

– Oczywiście, że rozumie – prycha Solomon.

– Ona chyba nie umie mówić... słowami. Jak masz na imię? – pyta Bo.

Kobieta ignoruje pytanie, ciągle się patrząc na Solomona.

– Ma na imię Laura – odpowiada Solomon.

Nagle od strony domu nietoperzy nadbiega Mossie. Pędzi w stronę lasu, szcękając jak szalony w obronie swojego terytorium przed obcym. Ale zamiast zatrzymać się przy Joem pędzi dalej przez las, prosto do Laury.

– Hej, hej, hej, Joe, zawołaj go – mówi Solomon, bojąc się, że pies ją ugryzie.

Ale Mossie staje przy stopach dziewczyny, obiega ją radośnie, podskakuje, liże jej dłoń, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

Laura głaszcze psa – najwyraźniej dobrze się znają – jednocześnie nerwowo spoglądając na wszystkich wokół. Wyciąga dłoń do Solomona, a on patrzy na nią, nie rozumiejąc, myśli, że chce go wziąć za rękę. Wyciąga własną dłoń, a dziewczyna uśmiecha się i przenosi spojrzenie na koszyk.

– Koszyk, Sol – mówi Bo. Zawstydzony Solomon podaje go dziewczynie.

Laura wyrusza razem z Mossiem, usiłując ich ominąć. Przechodząc obok Bo, naśladuje warczenie psa tak idealnie, że brzmi jak nagranie albo jak Mossie. Laura przygląda się uważnie Joemu, a kiedy tylko mija całą grupkę, rusza biegiem przez las, obok domu nietoperzy, w stronę domku.

– Masz to? – pyta Bo Rachel.

– Tak. – Rachel zdejmuje kamerę z ramienia i ociera pot z czoła. – Nagrałam, jak ta blondynka na ciebie warczy.

– Dokąd ona poszła? – pyta Solomon.

– Za domem nietoperzy jest chatka – wyjaśnia Rachel. Bo jest zbyt zajęta oglądaniem nagrania, chce sprawdzić, czy wszystko zarejestrowała.

– Znasz ją? – pyta Solomon Joego, który w ogóle nie rozumie, co się stało, ale czuje krążącą w ciele adrenalinę i lekko drży.

– Jest na prywatnym terenie bez pozwolenia – prycha wściekły.

– Myślisz, że Tom o niej wiedział? – pyta Bo.

To pytanie go zaskakuje. Na jego twarzy przekonanie ustępuje miejsca niepewności, wściekłości, poczuciu zdrady, a w końcu niedowierzaniu. Potem Joe smutnieje. Jeżeli jego brat wiedział o tej młodej kobiecie mieszkającej w domku na ich ziemi, ukrywał to przed nim. Bracia podobno nie mieli przed sobą tajemnic, ale jak się okazało, była tajemnica – jedna, za to wielka.

#### 4

– Jest tylko jeden sposób na poznanie odpowiedzi – oznajmia Bo, podwijając rękawy czarnej bluzki i odsłaniając opaloną skórę. Promienie słońca nadal parzą. – Musimy z tą dziewczynką porozmawiać.

– To nie dziewczynka. To kobieta i ma na imię Laura – mówi Solomon, niepewny, skąd bierze się w nim gniew. – I wątpię, czy będzie chciała z nami rozmawiać, kiedy ją śmiertelnie przeraziliśmy.

– Nie wiedziałam, że ma... że jest... upośledzona – broni się Bo.

– Upośledzona? – powtarza ze złością Solomon.

– O rany, jakie określenie jest poprawne politycznie? – zastanawia się Bo. – Opóźnienie w rozwoju, upośledzenie psychiczne, ograniczenie. Coś ci z tego odpowiada? Wiesz, o co mi chodzi.

– No, całkiem normalna to ona nie jest – stwierdza Rachel, siadając na kamieniu; jest wyczerpana i spocona.

– Solomon, jakkolwiek to nazwiemy, coś jest z nią wyraźnie nie w porządku – oznajmia podekscytowana Bo; odgarnia włosy z czoła i na nowo wiąże je w krótki koński ogon. – Gdybym to wiedziała, podeszłabym do niej inaczej. Rozmawialiście? Oprócz tego, że ci powiedziała, jak ma na imię. Spędziłeś z nią trochę czasu.

– Chyba Joe decyduje o tym, jak to się dalej potoczy. To jego ziemia – mówi Solomon, ignorując pytania Bo. Burczy mu w brzuchu.

Bo rzuca mu niezadowolone spojrzenie.

Joe kręci się wokół, wyraźnie zdezorientowany. Joe kocha rutynę, lubi, żeby wszystko pozostawało niezmiennie. Dzień i tak był już pełen stresu i emocji.

– Chcę Mossiego z powrotem – mówi w końcu. – A ona nie powinna mieszkać na mojej ziemi.

– Prawa dotyczące squatterów są skomplikowane – odzywa się Rachel. – Moja przyjaciółka przez to przechodziła. Trzeba nakazu sądu, żeby ich wyrzucić.

– A twoja przyjaciółka pozbyła się squattera? – pyta Solomon.

– Moja przyjaciółka właśnie była squatterką – odpowiada Rachel.

Mimo zdenerwowania Solomon uśmiecha się krzywo.

– Nie ma prawa trzymać mojego psa. Zabieram Mossiego – oznajmia Joe, poprawiając czapkę i kierując się w stronę domku.

– Za nim – mówi szybko Bo; chwyta kamerę i podaje ją Rachel, ignorując jej zmęczone ponure spojrzenie. Ale Joe nagle traci parę.

– Może niech lepiej kobieta z nią porozmawia.

– Na mnie nawet nie patrz – ostrzega Bo, posyłając Rachel wymowne spojrzenie.

Poza matką, Bo, Rachel i Bridget Joe nie miał do czynienia z innymi kobietami, przez większość swojego życia rzadko z jakąś rozmawiał. Rachel łatwo nawiązuje kontakty z innymi ludźmi, ale trochę trwało, zanim Joe się do niej przyzwyczaił, zwłaszcza że Rachel to zupełnie obcy dla niego gatunek. Gdy do Joego dotarło, że kobieta ma ślub z inną kobietą, kompletnie zamieszało mu to w głowie. Joe nie uważa Bridget za kobietę, w ogóle za nikogo jej nie uważa, a Bo nadal wywołuje w nim pewien dyskomfort ze względu na jej talenty towarzyskie, a właściwie ich brak. Konieczność rozmawiania z kolejną nieznaną kobietą to już dla niego za dużo. Zwłaszcza z taką dziwną, wrażliwą, wymagającą opieki i zrozumienia.

Cała czwórka idzie w stronę domku, ale w ich ruchach jest już mniej napięcia i agresji.

Bo puka do drzwi, Rachel i Solomon czekają w oddali.



– Jak myślisz? – zwraca się Solomon do Rachel.

– Kurwa, umieram z głodu.

– Ja też. – Solomon pociera zmęczoną twarz. – Nie jestem w stanie myśleć.

Patrz, jak Bo puka po raz drugi.

– Jeżeli Bo szuka nowego tematu, to już go znalazła. Zupełnie nowy rodzaj wariactwa – stwierdza Rachel.

– Nie zgodzi się na rozmowę – zauważa Solomon, obserwując drzwi.

– Znasz Bo.

Zna. Ta kobieta potrafi przekonywać ludzi, którzy nie mają pewności, czy chcą stanąć przed kamerą, by w końcu z nią porozmawiali. To znaczy, jeżeli naprawdę jej na tym zależy – te trzy rozmowy na cmentarzu nie były istotne, więc nie naciskała. Solomon i Rachel zazwyczaj nie są tacy bierni, ale dzisiaj Bo zmieniła typowy dla siebie styl filmowania. Wyraźna nerwowość, przypadkowe łapanie tematów – widać gołym okiem, że nie ma planu.

Laura pojawia się w oknie, ale nie otwiera drzwi.

– Powiedz jej, że chcę Mossiego – mówi głośno Joe, zaciskając ręce w kieszeniach. Czuje się niezręcznie. To był dzień pełen emocji, dzień spędzony poza strefą bezpieczeństwa, przełamujący nawyki, które nie były zmieniane od ponad pięćdziesięciu lat. W tym dniu Joe pochował swoją bratnią duszę. Jego świat wywrócił się do góry nogami. To go sporo kosztowało, a teraz chce tylko zabrać swojego psa i wrócić do bezpiecznego domu.

– Proszę, otwórz drzwi, chcemy tylko porozmawiać – mówi Bo. Laura przygląda się przez okno Solomonowi.

Wszyscy przenoszą na niego wzrok.

– Powiedz jej – zwraca się do niego Bo.

– Co?

– Patrzy na ciebie, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Powiedz jej, że chcemy tylko porozmawiać.

– Joe chce swojego psa – mówi Solomon, a Rachel chichocze.

Laura znika z okna.

– Nieźle. – Rachel się szczerzy. Oboje z Solomonem są już półprzytomni z głodu.

Joe ma właśnie walnąć pięścią w drzwi, gdy te się otwierają. Mossie wybiega, a Laura zamyka je i przekręca klucz w zamku.

Joe rusza energicznie, a podekscytowany Mossie tańczy wokół, niemal go przewracając.

– Zadzwoń do Jimmy’ego – mruczy Joe. – On to załatwi.

– Joe, zaczekaj! – woła za nim Bo.

– Daj spokój – parska Rachel. – Padam z głodu. Jedziemy do hotelu. Jeść. Prawdziwy posiłek. Muszę zadzwonić do Susie. A potem możesz naszkicować plan. Mówię poważnie.

Rachel rzadko traci panowanie nad sobą. Wścieka się tylko wtedy, gdy coś przeszkadza jej w ujęciu – ludzie w tle robią miny albo mikrofon Solomona wchodzi w kadr – ale kiedy już się rozżłości, wszyscy wiedzą, że nie ma żartów. Bo czuje, że przesadziła.

Poddaje się, na razie.

W hotelu w Gougane Barra Solomon i Rachel rzucają się na kolację, nie odzywając się ani słowem, gdy tymczasem Bo myśli na głos.

– Tom musiał wiedzieć o tej dziewczynie. To on sprawdzał ten teren, to była jego działka, sprawdzał tę studnię parę razy w tygodniu. Nie dało się przy tym nie zauważyć domku. Albo ogródka warzywnego, albo kozy i kur. To byłoby niemożliwe. I jeszcze te dodatkowe zakupy, półki z książkami, książka od Bridget. No i Mossie ją zna, więc Tom musiał go zabierać ze sobą w odwiedzinę.

– To pies. – Solomon odzywa się po raz pierwszy, odkąd przed dziesięcioma minutami zaczął jeść. – Psy biegają, gdzie chcą. Mógł sam się z nią poznać.

– Racja.

– Poznać – powtarza Rachel. – Psy poznają się z ludźmi? Chyba z takimi, co mówią po psiemu – żartuje, po czym przestaje się śmiać, gdyż pozostałym wcale nie jest do śmiechu: Bo nie słucha, a Solomonowi nie podoba się strojenie żartów z Laury. – Nieważne. Idę zadzwonić do Susie. – Rachel zabiera swój talerz z jedzeniem i siada przy innym stole.

– Co ona wyprawiała? Te dźwięki? – pyta Bo Solomona. – To coś jak zespół Tourette’a? Warczała, szczekała i ćwierkała.

– O ile wiem, ludzie z zespołem Tourette’a na nikogo nie szczekają – odpowiada Solomon, zlizując z palców tłusty sos i wgryzając się w wieprzowe żeberka.

Ma całą twarz umazaną sosem. Bo patrzy na niego z obrzydzeniem, nie rozumiejąc, dlaczego Solomon nie jest w stanie funkcjonować bez jedzenia. Przestaje grzebać w swojej sałatce.

– Masz już to swoje żarcie, więc czemu ciągle na mnie warczysz?

– Wydaje mi się, że nie rozegrałaś dzisiaj tego dobrze.

– A mnie się wydaje, że męczy cię zmiana czasu, masz podły nastrój i przez cały dzień jesteś wkurzony – odpowiada. – I przewrażliwiony, a u ciebie to naprawdę coś.

– Wystraszyłaś Laurę.

– Ja wystraszyłam Laurę – powtarza Bo; robi to zawsze, jakby ponowne wypowiedzenie słów pomagało jej je przyswoić. Tak samo się zachowuje podczas wywiadów: powtarza odpowiedzi rozmówców. Może ich to wytrącać z równowagi, budzić w nich podejrzenia, że im nie uwierzyła, a ona w rzeczywistości tylko próbuje dogłębnie zrozumieć to, co powiedzieli.

– Było widać, że jest przerażona. Młoda kobieta, otoczona w lesie przez czwórkę obcych ludzi. Z tego nas troje na czarno, jak jacyś ninja. Była przerażona, a ty filmowałaś.

Wydaje się, że powaga sytuacji nagle do niej dociera.

– Cholera.

– Tak, cholera. – Solomon znowu oblizuje palce i przygląda się jej. – Co się dzieje?

– To, co dzisiaj widzieliśmy, było niesamowite. Co ta dziewczyna wyczyniała...

– Laura.

– Co ta Laura robiła, te dźwięki, jakie wydawała, to było jak czary. A ja nie wierzę w czary. Nigdy czegoś takiego nie słyszałam.

– Ja też nie.

- Poniosło mnie.
- Chciwość cię ogarnęła.

Cisza.

Kończy zeberko, patrząc w telewizor stojący w kącie. Nadają właśnie dziennik.

- Wiesz, wszyscy pytają, co mam teraz na warsztacie – odzywa się Bo.
- Tak, mnie też.

– Niczego nie mam. Niczego takiego jak *Bliźniacy Toolin*. Wszystkie te nagrody, które dostajemy... Ludzie zaczęli się interesować moją pracą, muszę to jakoś pociągnąć.

Wiedział: Bo czuła, że jest pod presją; był zadowolony, że wreszcie to przyznała.

– Powinnaś się cieszyć, że udało ci się zrobić jedną rzecz, która się ludziom podoba. Niektórym nawet tyle nie wychodzi. Udało ci się przede wszystkim dlatego, że się nie spieszyłaś. Znalazłaś właściwy temat, byłaś cierpliwa. Słuchałaś. Dzisiaj to była wtopa, Bo. Biegałaś jak bezgłowy kurczak. Ludzie wolą zobaczyć coś autentycznego, godnego uwagi, a nie byle co.

- Dlatego robisz *Fat Fit Club* i *Groteskowe ciała*?

Czuje, że narasta w nim wściekłość, ale usiłuje zachować spokój.

- Mówiliśmy o tobie, nie o mnie.

– Jestem pod presją, Solomon.

– To nie bądź.

– Nie możesz powiedzieć komuś, żeby nie odczuwał presji.

– Właśnie powiedziałem.

– Solomon... – Bo nie wie, czy ma się śmiać, czy wściekać.

– Zagubiłaś się w tym lesie – stwierdza. Nie zamierzał tego powiedzieć, tak jakoś wyszło.

Przygląda mu się.

- Do kogo mówisz? Do mnie czy do siebie?

– No przecież, że do ciebie – odpowiada, po czym odrzuca żeberko, które wbrew jego zamierzeniom ląduje z hałasem w ceramicznym talerzu. Zabiera się za nowe.

Bo krzyżuje ręce i przygląda mu się przez chwilę. Solomon nie patrzy na nią, nie odzywa się.

– Oboje widzieliśmy w tym lesie coś fascynującego. Ja rzuciłam się do akcji, a ty... zamarłeś.

– Nie zamarłem.

– Co ty tam robiłeś cały ten czas, kiedy ja byłam przy domku? Cały czas tam była?

– Odpieprz się, Bo.

– Zaraz, to normalne pytanie, nie?

– Tak. Uprawialiśmy seks. Przez te dwie minuty, kiedy byłem z dala od ciebie, uprawialiśmy seks. Na stojąco pod drzewem.

– Kurwa, nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz.

– Nie o to?

– Ja usiłuję ją zrozumieć, a ty mi nie pomagasz. Musieliście rozmawiać, ale ty ciągle ignorujesz moje pytania. Powiedziała ci, jak ma na imię. Zanim tam dotarłam, byłeś z nią sam, chcę wiedzieć, o czym rozmawialiście...

Solomon nic nie odpowiada, chociaż chęć wrzeszczenia na cały głos przy wszystkich jest przemożna. Zagrzebuje tę złość, zagrzebuje głęboko, aż pozostaje tylko lekkie drżenie. Na tyle go stać. Patrzy na wiadomości na Sky News, ale właściwie ich nie widzi.

Bo wstaje w końcu od stołu i wychodzi z sali.

Mógłby pomyśleć o jej słowach, przeanalizować je, zrozumieć, poszukać odpowiedzi w głębi siebie. Mógłby się zastanawiać, co powiedział i dlaczego, mógłby myśleć o tym wszystkim. Ale męczy go zmiana czasu, nadal jest głodny i wściekły, więc zamiast tego skupia się na telewizyjnych wiadomościach, zaczyna słyszeć zdania wychodzące z ust prezentera, widzieć słowa przesuwane się w dolnej części ekranu. Kiedy kończy ostatnie żeberko, zlizuje z palców resztki gęstego sosu i opiera się w krześle, najedzony i zadowolony.

– Lepiej? – woła Rachel, a jej głos odbija się echem w pustej restauracji.

– Jeszcze przespana noc i będzie super. – Solomon ziewa i przeciąga się. – Jak Susie?

– Trochę wkurzona. Jest za gorąco. Nie może spać. Ma spuchnięte stopy i kostki. Dziecko wbija jej stopę w żebra. Myślisz, że jutro wrócimy do domu?

Solomon wyjmuje wykałaczkę z opakowania i wydłubuje mięso spomiędzy przednich zębów.

– Mam nadzieję.

Chce wracać do domu, naprawdę chce. Ponieważ czuje się spłoszony. Ponieważ zgubił siebie w tym lesie. A Bo to widziała. Tak jak Joe chciał wrócić do swojego domu, Solomon chce wrócić do Dublina, do *Groteskowych ciał*, których nienawidzi, do swojego mieszkania, które zawsze pachnie rybnym curry sąsiadów. Chce normalności. Chce być tam, gdzie przywykł nie zastanawiać się nad uczuciami, gdzie nie są potrzebne wątpliwości ani analizowanie, gdzie nic go nie ciągnie do ludzi, o których wie, że nic go do nich ciągnąć nie powinno, ani do robienia rzeczy, których nie powinien robić.

– Śpisz? Oczy masz otwarte – mówi Rachel, machając mu żeberkiem przed oczami, sos pryska na stół i podłogę. – Cholera.

Bo wbiega do baru z tą swoją miną i telefonem w rękę.

– To Jimmy, ten policjant, którego dzisiaj widzieliśmy. Jest na farmie Toolinów. Joe zadzwonił po niego, żeby pogadał z tą dziewczyną, ale podjeżdżając, Jimmy potrącił Mossiego. Dziewczyna zabrała Mossiego do domku i znowu wydaje te dziwne dźwięki. Zamknęła się w środku i nikogo nie dopuszcza ani do siebie, ani do psa.

Solomon patrzy na nią, a jego spojrzenie zdaje się mówić: „No i?”. Tylko na tyle go stać, ale serce bije mu jak szalone.

Bo rzuca mu intrygujące spojrzenie.

– Prosi o ciebie, Sol.

Jimmy stoi koło swojego wozu patrolowego, drzwi otwarte, radio policyjne włączone, samochód skierowany prosto w stronę drzew koło domu nietoperzy. W letni wieczór wciąż jest jasno.

Kiedy podchodzą, unosi ramiona w przeproszającym geście.

– Mossie biegał wkoło samochodu, nie zauważyłem go.

– Gdzie dziewczyna? – pyta Bo.

– Złapała psa, zniosła do domku, a teraz nie chce wyjść ani nikogo wpuścić. Wpadła w histerię. Joe kazał do was zadzwonić.

Wydaje się nie mniej zaskoczony niż oni, gdy po raz pierwszy mieli do czynienia z wybuchem wokalnym Laury.

– Pytała o Solomona? – pyta Bo, pragnąc posunąć sprawę naprzód.

– Najpierw o Toma. Mówiła, żebym go ściągnął, że on mi powie, kim ona jest. Kiedy powiedziałem, że nie żyje, to jeszcze bardziej jej odbiło. Potem wspomniała o Solomonie.

Byli w lesie, żadne z nich nie mogło odwrócić wzroku.

– Hej – powiedział łagodnie. – Jestem Solomon.

Uśmiechnęła się.

– Laura.

Bo patrzy na niego pytająco, tak jak poprzednio.

– Powiedziałem jej, jak mam na imię, zanim przeszliśmy do seksu – prycha. Jimmy najeża się, Bo rzuca Solomonowi groźne spojrzenie.

– Wyciągniesz ją? – pyta. – Przecież on nie zamierza jej aresztować.

– Nie mam za co. Muszę z nią pogadać, dowiedzieć się, kim jest i co robi na farmie Joego. Jeżeli to squatterka, prawo jest tu skomplikowane, ale jeśli Tom dał jej pozwolenie, niewiele można zrobić. Przyjechałem, żeby Joe się nie niepokoił. A potem potrafiłem tego nieszczęsnego psa – mówi zrezygnowany Jimmy.

– To co ja mam niby zrobić? – pyta Solomon; czuje, że rośnie mu ciśnienie.

– Idź do domku i zobacz, czego ona chce – rozkazuje Bo.

– Okej, rany boskie – mruczy, przeczesując palcami włosy, ponownie wiążąc je w węzeł na czubku głowy. Idzie ścieżką do domku, pozostała dwójka rusza za nim, ale trzymają się domu nietoperzy, kiedy on podchodzi do drzwi.

Serce Solomona bije szybko, gdy ten zbliża się do drzwi, ale nie ma pojęcia dlaczego. Ociera wilgotne dłonie o dzinsy i szykuje się do pukania, ale zanim zdąży podnieść rękę, drzwi się otwierają. Nie widzi jej, zakłada, że jest w głębi, wchodzi więc do środka, a drzwi natychmiast się zamykają. Laura przekręca klucz i opiera się o nie plecami.

– Cześć – mówi Solomon, wciskając ręce do kieszeni.

– Jest przy ogniu – mówi Laura; nie potrafi skupić na nim wzroku. Wygląda na zdenerwowaną, zmartwioną.

Chociaż przedstawiła się wcześniej, Solomon jest zaskoczony, słysząc, jak dziewczyna wymawia słowa. W lesie sprawiała wrażenie dzikiego stworzenia – tu, w swoim domu wydaje się bardziej ludzka.

Mossie leży na boku na owczej skórze przed kominkiem, jego pierś unosi się i opada w powolnym oddechu. Oczy ma otwarte, chociaż wydaje się nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje. Obok huczy ogień, a miski z wodą i jedzeniem stoją nietknięte przy pysku psa.

– Nie chce nic jeść ani pić – mówi Laura, klękając na podłodze obok Mossiego; obejmuje go ramionami i tuli do siebie.

Solomon powinien poświęcić całą uwagę psu, ale nie może oderwać wzroku od dziewczyny. Zagubiona, smutna, wpatruje się w niego pięknymi, zielonymi, czarującymi oczami.

– Czy on krwawi? – Solomon podchodzi do Mossiego i klęka przy nim, naprzeciw Laury; jeszcze nigdy nie znaleźli się tak blisko siebie. – Hej, piesku! – Kładzie rękę na jego futrze i głaszcze go delikatnie.

Mossie patrzy na mężczyznę oczami pełnymi bólu. Skomli.

Laura powtarza skomlenie Mossiego z niezwykłą dokładnością, która zmusza Solomona do przyjrzenia się jej ponownie.

– Nie krwawi. Nie wiem, gdzie go boli, ale nie może stać.



– Powinien go obejrzeć weterynarz.

Patrzy na niego.

– Zabierzesz go?

– Ja? Pewnie, ale powinniśmy spytać Joego, to jego pies. – Po czym, widząc jej minę, dodaje: – Także jego.

– Joe mnie nie lubi – odpowiada. – Nikt z nich mnie nie lubi.

– To nieprawda. Joe nie jest przyzwyczajony do zmian, to wszystko. Zmiany wkurzają niektórych ludzi.

– Zmieniają się ze zmianą – mówi Laura, a jej głos staje się raptem jakiś inny: niższy, głębszy, słyhać w nim nagle północnoangielski akcent.

– Słucham?

– Gaga. Moja babcia. To ona tak mówiła.

– Ach, tak. Pojedziesz z nami do weterynarza? – pyta Solomon.

Chce, żeby pojechała z nim.

– Nie, nie. Ja siedzę tutaj.

To ogólne stwierdzenie. Nie: „Zostanę tutaj”, tylko: „Ja siedzę tutaj”.  
Zawsze.

Jej czystą cerę oświetla blask ognia. W tym pokoju jest tak spokojnie, mimo że Mossie walczy o życie, a Laura cicho panikuje.

Dziewczyna głaszcze Mossiego po brzuchu, który unosi się i opada powoli.

– Kiedy ostatni raz byłeś gdzieś poza tą górą? – pyta Solomon.

Laura twarz za włosami, to pytanie wyprowadza ją z równowagi.

– Jak długo tu mieszkasz? – pada kolejne pytanie.

Chwilę trwa, zanim Laura odpowiada.

– Odkąd skończyłam szesnaście lat. Dziesięć lat – mówi, głaszcząc Mossiego.

– Od tego czasu nie ruszasz się stąd?

Kręci głową.

– Nie miałam powodu.

To mu się nie mieści w głowie.

– Ale teraz masz. Mossie na pewno wolałby, żebyś z nim pojechała – stwierdza.

Jakby zgadzając się z tym, Mossie robi głośny wydech, jego ciało drży.

Bo jest na zewnątrz z Jimmym, chodzą tam i z powrotem, prowadzą zdawkową rozmowę, obserwują odbłask ognia w oknach; z komina domku snuje się dym, wokół rozchodzi się jego zapach.

– Ciekawe, że Joe nigdy nie zauważył dymu. – Bo patrzy w górę na smugę unoszącą się z komina.

Jimmy spogląda w niebo.

– Pewnie na farmach zawsze coś się pali.

Bo kiwa głową, przyznaje mu rację.

– Czyli nie wiecie, kim jest ta dziewczyna?

– Nigdy jej nie widziałem – odpowiada, kręcąc głową. – A ja znam tu wszystkich. W takim miasteczku jak nasze mieszka kilkaset osób rozrzuconych po górach. To kompletna tajemnica. Moja żona uważa, że to turystka, z tych, co łążą z plecakami – znalazła domek i została. Sporo takich tu mamy. Przez te lata paru nawet się tutaj zadomowiło. Zakochują się w tym miejscu albo w kimś tutejszym i postanawiają zapaść korzenie. Może ona nie jest tu długo.

Bo zastanawia się nad tym, ale wnioski żony policjanta nie zaspokajają jej ciekawości, tylko dodatkowo mnożą i tak już liczne pytania. Dlaczego Tom miałby kłamać w sprawie domku? Chodziło o jego własny zarobek? Raczej wątpliwe. Trzy lata temu kręciła tutaj film, a Tom nigdy ich tu nie przyprowadził, nawet nie wspomniał o tym miejscu. Bo domyśla się, że dziewczyna już tu wtedy była.

– Skąd taka tajemnica? – pyta.

Jimmy zamyśla się, ale nie odpowiada.

Drzwi domku otwierają się, pojawia się w nich Solomon. Jego sylwetka wypełnia niewielką przestrzeń. W blasku ognia jest wielkim ciemnym cieniem. Wygląda niczym bohater, wynoszący psa z płomieni.

Bo uśmiecha się na ten widok.

Solomon odwraca się i mówi do stojącej za nim dziewczyny – zachęca ją,

by wyszła na zewnątrz.

– Chodź, Lauro, wszystko w porządku. – Sposób, w jaki to mówi, a może jego wygląd sprawiają, że uśmiech na twarzy Bo zamiera.

A potem pojawia się dziewczyna w rozpinanej sukience w kratkę z paskiem i narzuconym na nią grubym swetrze, w tenisówkach; długie jasne włosy opadają jej na ramiona.

– Zabieramy Mossiego do weterynarza – mówi Solomon. – Dokąd mamy jechać?

– Patrick Murphy, na głównej ulicy. Gabinet jest już zamknięty, ale zadzwonię do niego – mówi Jimmy, obserwując Laurę. – Cześć, Lauro – zwraca się do niej przyjaźnie, chcąc wynagrodzić swoje wcześniejsze zachowanie.

Laura wpatruje się w swoje tenisówki. Wygląda na przerażoną. Wyciąga rękę i chwyta ramię Solomona. Ujmuje je tak mocno, że mężczyzna czuje, jak drży jej ciało.

– Powinniśmy jechać jak najszybciej. – Solomon rusza przed siebie. – Z Mossiem nie jest najlepiej. Joe na pewno wolałby zająć się nim w pierwszej kolejności.

– Prawda – stwierdza Jimmy, cofając się. – Lauro, za parę dni umówimy się na pogawędkę. Ten chłopak będzie przy tym, jeśli zechcesz.

Laura ze spuszczoną głową trzyma się ramienia Solomona, a drugą ręką głaszcze opiekuńczo Mossiego. Wydaje dźwięk przypominający trzask policyjnego radia.

Jimmy marszczy brwi.

– Zorganizujemy czas, żebyście mogli porozmawiać z Laurą – zwraca się do policjanta Bo, idąc obok Laury i Solomona. – I może zgodzi się pan na wywiad? – Chciała porozmawiać z nim o zachowaniu Joego w domu, kiedy Tom leżał martwy na podłodze, chciała usłyszeć, jak ktoś inny opisuje tę trudną do zrozumienia scenę. Teraz był dobry moment na negocjacje. Pomoże mu porozmawiać z Laurą, jeżeli on porozmawia z nią.

Laura zatrzymuje się.

– Chodźmy – woła łagodnie Solomon tonem, jakiego Bo nigdy u niego nie słyszała. Do niej nigdy tak nie mówił, zresztą do nikogo innego też nie.

Laura wpatruje się tylko w Bo, co stawia Solomona w niezwykle trudnym, idiotycznym wręcz położeniu. Jest wykończony, chce spać. Mossie w jego ramionach ciąży mu coraz bardziej.

– Jimmy, czy mógłby pan odwieźć Bo do hotelu? – Nie patrzy jej w oczy, gdy zadaje to pytanie. – Zobaczymy się później. – Bo opada szczęka. – Chciałaś, żebym pomógł – rzuca ze złością i rusza ścieżką w stronę zaparkowanego samochodu, dźwigając psa. – To pomagam.

Laura siedzi z tyłu z Mossiem. Pies leży na siedzeniu z głową na jej kolanach. Bo wsiada do policyjnego samochodu z ponurą miną. To byłby zabawny widok, gdyby Solomon potrafił bawić się komizmem całej tej sytuacji.

– Dziękuję, Solomon – mówi Laura tak cicho, że mężczyzna natychmiast się odpręża, a złość go opuszcza.

– Nie ma za co.

W samochodzie Laura milczy, czasami tylko skomli cicho razem z Mossiem – Solomon domyśla się, że dziewczyna w ten sposób okazuje psu wsparcie. Włącza radio, ścisza je, po czym zmienia zdanie i je wyłącza. Do weterynarza jest pół godziny drogi.

– Po co przyjechał policjant? – pyta Laura.

– Joe do niego zadzwonił. Chciał się dowiedzieć, kim jesteś, i zrozumieć, dlaczego tu mieszkasz.

– Zrobiłam coś źle?

– Nie wiem, ty mi powiedz – śmieje się. Nie wtóruje mu, więc i on poważnieje. – Mieszkasz na ziemi Joego bez jego wiedzy, to... no, nielegalne.

Otwiera szeroko oczy.

– Ale Tom powiedział, że mogę.

– No, to chyba w porządku i tak musisz powiedzieć. – Urywa. – Masz to na papierze? Umowę najmu?

Kręci głową.

Solomon odchrząkuje, a ona go imituje, co nie jest miłe. Jednak na jej niewinnej twarzy nie ma cienia złości, nie ma nawet świadomości, że to zrobiła.

– Płaciłaś mu czynsz?

– Nie.

– Jasne. Zapytałaś go po prostu, czy możesz tam mieszkać, a on powiedział, że tak.

– Nie. Gaga go spytała.

– Twoja babcia? Może to poświadczyć?

– Nie. – Spuszcza wzrok na Mossiego i głaszczce go. Całuje psa w głowę i przytula się do niego. – Nie stamtąd, gdzie jest.

Mossie skomli i zamyka oczy.

– Czy to prawda, że Tom nie żyje? – pyta Laura.

– Tak – potwierdza Solomon, obserwując ją w lusterku. – Przykro mi. Miał zawał w poniedziałek.

– Poniedziałek – powtarza cicho.

Parkują na głównej ulicy i pukają do drzwi gabinetu. Nikt nie odpowiada, ale otwierają się drzwi przylegającego do gabinetu domu i pojawia się w nich mężczyzna, ocierając usta serwetką, a do przybyszy dolatuje zapach domowej pieczeni.

– A, dzień dobry – mówi. – Jimmy do mnie dzwonił. Coś pilnego, tak? – pyta, widząc Mossiego w ramionach Solomona. – Wejdźcie, wejdźcie.

Solomon zostaje przed gabinetem, Laura wchodzi do środka. Solomon opiera łokcie na udach i chowa głowę w dłoniach. Kręci mu się w głowie, ziemia kołysze mu się pod nogami, wszystko na skutek różnicy czasu.

Otwierają się drzwi gabinetu, pojawia się Laura, łązy spływają jej po policzkach. Siada bez słowa obok Solomona.

– Chodź tu – szepcze, obejmując ją ramieniem i przyciągając do siebie. Dla niej to kolejna strata w ciągu tygodnia. Nie jest pewien, jak długo tak siedzą, chętnie by tak został, ale weterynarz staje w otwartych drzwiach i cierpliwie czeka, aż się pozbierają i wyjdą, a on po długim dniu będzie mógł wrócić do rodziny.

– Przepraszam. – Solomon cofa ramię. – Chodźmy.

Na zewnątrz panują ciemności, z miejscowego pubu dobiega muzyka.

– Przydałby się browar – mówi. – Chcesz dołączyć? – Otwiera się boczne wejście, wylatuje z niego butelka; lądując w koszu do recyklingu, rozbija się o butelki znajdujące się w środku. Laura naśladuje jej brzęk. Solomon się śmieje. – Traktuję to jako zgodę.

Siadają przed pubem przy jednym z drewnianych stołów – ona ze szklanką wody, a on z kuflem guinnessa. Za rogiem ulokowała się grupka palaczy. Kiedy Solomon otworzył drzwi do lokalu i wszystkie głowy odwróciły się w stronę dwójki obcych, Laura szybko się wycofała. Solomon odczuł ulgę, że nie muszą siedzieć w środku i znosić spojrzeń miejscowych.

– Nigdy nie pijesz? – pyta.

Kręci przecząco głową. Ten ruch sprawia, że lód stuka o szkło. Dziewczyna idealnie naśladuje dźwięk lodu. To jest coś, czego Solomon nadal nie potrafi pojąć, nie wie też, jak poruszyć ten temat. A ona jakby zupełnie tego nie zauważała.

– Wszystko w porządku? Nic ci nie jest? – pyta. – Tom i Mossie, za dużo strat w ciągu jednego tygodnia.

– Jednego dnia – poprawia. – O Tomie dowiedziałam się dopiero dzisiaj.

– Przykro mi, że musiałaś dowiedzieć się w taki sposób – mówi cicho Solomon, przypominając sobie, jak Jimmy to powiedział.

– Tom przywoził mi w czwartki zakupy. Kiedy nie przyjechał, wiedziałam, że stało się coś złego, ale nie miałam kogo spytać. Dzisiaj w lesie myślałam, że Joe to Tom. Nigdy przedtem go nie widziałam. Są identyczni. Ale był taki wściekły. Nigdy nie widziałam Toma tak wściekłego.

– Mieszkasz tu od dziesięciu lat i nigdy nie widziałaś Joego?

Kręci głową.

– Tom nie pozwalał.

Solomon ma właśnie spytać dlaczego, ale się powstrzymuje.

– Joe opłakuje brata, normalnie jest bardziej ugodowy. Daj mu trochę czasu.

Laura z niepokojem popija wodę. Do Solomona nagle coś dociera.

– Czyli od czwartku nic nie jadłaś.

– Mam ogródek z warzywami, owoce, jajka. Sama piekę chleb. Mam

wszystko, ale Tom lubi... lubił... przynosić mi coś ekstra. Zbierałam jedzenie w lesie, kiedy was zobaczyłam. – Uśmiecha się do niego nieśmiało, wspominając, jak się spotkali. On też się uśmiecha, a potem śmieje się z samego siebie i ze swoich szczeniackich uczuć.

– Jezu, kupię ci coś do jedzenia. Co byś chciała, burgera z frytkami? Sobie też wezmę. – Wstaje i spogląda w stronę pubu. – Od dwóch godzin nic nie jadłem.

Uśmiecha się do niego.

Spodziewał się, że dziewczyna rzuci się na jedzenie, ale tak się nie stało. Wszystko robi wolno i z namysłem. Delikatnie bierze frytki długimi smukłymi palcami, czasem przygląda się jakiejś, zanim ją ugryzie.

– Nie smakują ci?

– Wydaje mi się, że nie ma w nich kartofli – odpowiada; odkłada frytkę na tłusty papier i rezygnuje z jedzenia. – Nie jem czegoś takiego.

– W odróżnieniu od Toma.

Otwiera szeroko oczy.

– Zawsze mu mówiłam, żeby odżywiał się lepiej. Nie słuchał. – Znowu smutnieje, gdy uświadamia sobie, że śmierć i strata są ostateczne.

– Joe i Tom nigdy by nikogo nie posłuchali. – Solomon wyczuwa, że ma to sobie za złe.

– Powiedział mi kiedyś, że jadł na kolację kanapkę z szynką, a ja mu walnęłam taki wykład, że kiedy wrócił po tygodniu, oznajmił mi z dumą, że tym razem zjadł kanapkę z bananem. Uważał, że owoc jest zdrowszy.

Śmieją się oboje.

– Może się myliłem – mówi łagodnie Solomon. – Kogoś jednak słuchał.

– Dzięki – odpowiada.

– Skąd twoja babcia знаła Toma? – pyta Solomon.

– Dużo pytań zadajesz.

Zastanawia się nad tym.

– Prawda. Taki już jestem. A ty, jak rozmawiasz? – pyta i oboje się śmieją.

– Nie rozmawiam. Oprócz Toma nie miałam z kim rozmawiać. W każdym

razie nie miałam wokół siebie żadnych innych ludzi.

Ktoś z grupy palaczy wstaje od stołu, odsuwając ławę, która skrzypi. Laura naśladuje ten dźwięk. Raz, drugi, dopóki nie uda się idealnie powtórzyć. Kelnerka, która sprząta sąsiedni stół, patrzy na nią dziwnie.

– Prowadzę doskonale rozmowy sama ze sobą – ciągnie Laura, nie zauważając spojrzenia kelnerki (a może wcale się nim nie przejmując?). – I z Mossiem, i Ringiem. I z przedmiotami.

– Nie jesteś jedyna. – Solomon uśmiecha się; patrzy na nią, niesłuchanie zaintrygowany.

Laura wydaje nowy dźwięk, który tym razem go rozśmiesza. To dźwięk wibrującego telefonu.

– Co to było? – pyta.

– Co? – Laura marszczy brwi.

Nagle znowu słyszy ten dźwięk i nie pochodzi on z ust Laury, chociaż musi się jej uważnie przyjrzeć, by się upewnić. Czuje, jak telefon wibruje w jego kieszeni.

– Och. – Sięga do kieszeni i wyjmuje aparat. Pięć nieodebranych połączeń od Bo, po czym trzy coraz bardziej zdesperowane wiadomości. Ignoruje je, odkłada telefon na stół wyświetlaczem w dół...

– Jak poznałaś Toma?

– Znowu pytania.

– Bo mnie intrygujesz.

– Ty intrygujesz mnie.

– Więc zapytaj mnie o coś. – Uśmiecha się.

– Niektórzy poznają ludzi w inny sposób. – Jej oczy wpatrują się w niego tak przenikliwie, że serce zaczyna mu bić jak szalone.

– Okej. – Odchrząkuje, a ona znowu idealnie naśladuje ten dźwięk. – My, czyli ja, Bo i Rachel, nakręciliśmy film dokumentalny o Joem i Tomie. Spędziliśmy z nimi cały rok, obserwowaliśmy każdy ich ruch, przynajmniej tak nam się zdawało. Ty najwyraźniej nam umknęłaś. Byłem przekonany, że Joe i Tom nie mieli w ogóle z nikim kontaktu, nie licząc dostawców i klientów, a i to bardzo rzadko. Byli ze sobą codziennie, całe życie. Nie wiem, jak Tom mógł



poznać twoją babcię.

– Poznała go przez moją mamę, która przywoziła im jedzenie. Sprzątała im dom.

– Bridget to twoja mama?

– Przed Bridget.

– Jak dawno to było? – pyta Solomon, pochylając się w jej stronę, zafascynowany, nie mając pewności, czy dziewczyna mówi prawdę. Uważa, że tak. Chce wierzyć, że tak.

– Dwadzieścia sześć lat temu – odpowiada. – Albo trochę więcej.

Patrzy na nią, przetrawiając powoli to, co usłyszał. Laura ma dwadzieścia sześć lat. Tom wyświadczył jej babci przysługę. Jej matka była gospodynią w ich domu dwadzieścia sześć lat temu.

– Tom był twoim ojcem – mówi cicho.

Oczywiście wie o tym, ale wymówienie przez niego tych słów wydaje się ją niepokoić. Laura rozgląda się wokół, naśladując brzęk szklanek, trzask butelek w koszu do recyklingu, chrzęst lodu. Wszystkie te dźwięki przepływające wokół nakładają się na siebie, są oznaką jej niepokoju.

Solomon jest wstrząśnięty swoim odkryciem. Ujmuje jej dłoń.

– Bardzo, ogromnie mi przykro, że dowiedziałaś się w ten sposób o jego śmierci.

Naśladuje jego odchrząknięcie, chociaż nie wydał tego dźwięku. Połączyła go z jego poczuciem dyskomfortu, może chce mu powiedzieć, że sama czuje się niezręcznie, próbuje powiązać to z chwilami, gdy on czuje się podobnie. Może w jej naśladownictwie kryje się jakiś kod. Może to on kompletnie traci rozum, poświęcając tyle czasu komuś, kogo Bo uważa za osobę prostą lub wręcz opóźnioną w rozwoju. Ale kobieta, która siedzi naprzeciwko Solomona, nie wydaje się taka w najmniejszym stopniu. Wygląda na to, że funkcjonuje i komunikuje się na większej liczbie poziomów niż pozostali znani mu ludzie.

– Lauro, dlaczego dzisiaj mnie potrzebowałaś?

Patrzy na niego tymi swoimi urzekająco zielonymi oczami.

– Bo oprócz Toma jesteś jedynym człowiekiem, jakiego znam.

Solomona znało wiele osób. Wydało mu się to dziwne, ale też cudownie

intymne, coś, czego nie należy traktować lekko. Wiąże się z tym wielką odpowiedzialność. Coś, co należy docenić.

## 6

Następny poranek; ekipa filmowa ulokowała się w kuchni Joego. Joe siedzi w milczeniu na swoim krześle. Ring leży u jego stóp, oplakując stratę przyjaciela.

Bo powiedziała Joemu najdelikatniej, jak mogła, że Laura jest córką Toma. Nie odezwał się ani słowem, nie skomentował tego w żaden sposób. Zamknął się we własnych myślach; może przypomina sobie wszystkie rozmowy, wszystkie momenty, w których mógł przegapić taką informację, momenty, w których mógł zostać oszukany, zastanawia się, w jaki sposób Tom był w stanie prowadzić życie, o którym on, Joe, nie miał pojęcia.

Solomonowi pęka serce, nie może nawet na niego patrzeć. Trzyma w powietrzu mikrofon na wysięgniku, przez szacunek odwracając wzrok, usiłując dać Joemu w takiej chwili tyle prywatności, ile może, chociaż troje ludzi wtargnęło do jego domu, a kamera patrzy mu prosto w twarz. Oczywiście Solomon był przeciw przekazaniu Joemu tej wiadomości przed kamerą, ale to producent decyduje.

– Matka Laury, Isabel, była waszą gospodynią ponad dwadzieścia sześć lat temu.

Spogląda na Bo, ożywa.

– Isabel? – warczy.

– Tak, pamiętasz ją?

Zastanawia się.

– Nie była u nas zbyt długo. – Cisza, kółka obracają się w jego głowie, przegląda wspomnienia.

– Przypominasz sobie, żeby Tom i Isabel byli szczególnie blisko?

– Nie. – Cisza. – Nie. – Znowu cisza. – No, on... – Odchrząkuje. – Wiesz, robił tak samo jak z Bridget: płacił jej za sprzątanie i zakupy. Ja byłem w terenie. Niewiele z tym miałem wspólnego.

– Czyli nie miałeś pojęcia o ich romansie? – To wyrażenie jakby dopiero teraz przyszło mu do głowy. Jedyne sposoby, w jaki Tom mógł zostać ojcem, to taki, że musiał mieć romans. A obaj mówili, że nic takiego nigdy im się nie zdarzyło. Dwóch siedemdziesięciodwuletnich prawiczków.

– Dziewczyna jest tego pewna?

– Po śmierci Isabel babcia Laury powiedziała jej, że Tom jest jej ojcem. Babcia nie była najlepszego zdrowia, dogadała się więc z Tomem, że Laura będzie mogła mieszkać w chatce.

– Czyli wiedział o niej – mówi Joe, jakby to właśnie pytanie cały czas go dręczyło, ale bał się je zadać.

– Tom dowiedział się o niej dopiero po śmierci Isabel, dziesięć lat temu. Zmodernizował chatkę, na ile się dało, chociaż nie ma w niej prądu ani bieżącej wody. Od tego czasu Laura mieszka tam sama. – Bo sprawdza w swoich notatkach. – Babcia Laury, Hattie Murphy, wróciła do panieńskiego nazwiska Button po śmierci męża. Isabel też swoje zmieniła, więc Laura nazywa się Laura Button. Hattie zmarła dziewięć lat temu, sześć miesięcy po przeprowadzce Laury do chatki.

Joe kiwa głową.

– Czyli jest sama.

– Jest.

Zastanawia się nad tym.

– To pewnie będzie chciała jego część.

Solomon spogląda na niego.

– Jego część...

– Ziemi. Tom zostawił testament. Jej w nim nie ma. Jeżeli o to jej chodzi. – Budzi się w nim niesławny irlandzki głód ziemi.

– Laura nic nie wspominała, że chciałaby część ziemi. W każdym razie nie nam.

Joe jest pobudzony, słowa Bo niezbyt go uspokajają. Jakby szykował się do bójk. Jego ziemia, jego farma to jego życie, niczego innego nigdy nie znał. Ani kawałka nie odda za kłamstwa swojego brata.

– Może Tom miał zamiar ci o niej powiedzieć – mówi Bo.

– Ale nie powiedział – odpowiada z nerwowym, nieprzyjemnym śmiechem.  
– Ani słowa. – Cisza. – Nigdy ani słowa.

Bo daje mu chwilę, po czym pyta:

– A skoro już wiesz, czy pozwolisz Laurze dalej mieszkać w domku?

Nie odpowiada. Znowu wydaje się zagubiony.

– Chciałbyś zacieśnić z nią więź? – pyta delikatnie.

Cisza. Joe się nie rusza, ale jego umysł najwyraźniej pracuje na najwyższych obrotach.

Bo spogląda na Solomona, nie jest pewna, co robić dalej.

– Może więź to dla ciebie w tej chwili za dużo. Może prościej będzie zastanowić się, czy będziesz ją dalej utrzymywał, jak robił to Tom.

Joe zaciska dłonie na poręczach. Solomon patrzy, jak krew odpływa mu z kostek.

– Joe – mówi łagodnie Bo, pochylając się do niego. – Wiesz, to znaczy... nie jesteś sam. Masz rodzinę. Jesteś stryjem Laury.

Joe wstaje z krzesła, zaczyna się bawić mikrofonem przypiętym do klapy. Ręce mu drżą, jest wyraźnie zdenerwowany, teraz irytuje go obecność ekipy filmowej, jakby to oni sprowadzili ten problem do jego życia.

– To tyle – mówi, rzucając mikrofon na płaską poduszkę leżącą na drewnianym krześle. – To tyle i już.

Po raz pierwszy to on odchodzi od nich.

Ekipa przenosi się do domku Laury. Laura siedzi w fotelu w tej samej szmizjerce w kratkę przewiązanej paskiem i w zdartych tenisówkach Converse. Umyła niedawno długie włosy, które teraz swobodnie sobie schną. Na jasnej pięknej cerze nie ma ani śladu makijażu.

Kamera nie jest włączona, Rachel stoi ze sprzętem na dworze i rozmawia przez telefon z Susie. Dzisiejszy deszczowy dzień tak bardzo się różni od wczorajszego upalnego; Solomon się zastanawia, jak ona tu może przeżyć zimę, kiedy on nawet w swoim nowoczesnym dublińskim mieszkaniu wpada niekiedy w depresję. Bo mówi, a Laura obserwuje Solomona, co jest dla niego dość niezręczne. Odchrząkuje.

Laura naśladuje ten odgłos.

Kręci głową i uśmiecha się.

Bo nie zauważa tego, co między nimi zaszło, gdyż szykuje się do rozmowy.

– Biorąc pod uwagę, że nie wiemy, na ile Joe będzie skłonny pani pomóc, chcielibyśmy z Solomonem...

Solomon zamyka oczy, gdy słyszy wzmiankę o sobie. To gierka mająca na celu pozyskanie zaufania Laury przez przedstawienie siebie jako jego sojuszniczki, a zatem i Laury. Nawiasem mówiąc, jest to prawda – są w końcu parą. Ale i tak jest to gierka.

– Chcielibyśmy coś zaproponować. Chcielibyśmy zaoferować pani pomoc. Wydaje mi się, że źle rozpoczęliśmy swoją znajomość, chciałabym wyjaśnić dlaczego. Bardzo przepraszam za moje zachowanie przy naszym pierwszym spotkaniu. Dałam się ponieść. – Bo kładzie rękę na sercu, każde jej słowo brzmi całkiem szczerze. – Kręcę filmy dokumentalne. Przed paroma laty spędziłam cały rok z pani ojcem i stryjem.

Solomon zauważa, że Laura wzdryga się na te słowa, jakby prawda była dla niej równie nieprzyjemna jak dla Joego.

– Są, to znaczy byli, fascynującymi ludźmi, a ich historia rozeszła się po całym świecie. Film pokazywano w dwudziestu krajach, mam go tutaj. To jest iPad, jeżeli pani zrobi tak... – Ostrożnie przesuwając palcem po ekranie, spoglądając to na Laurę, to znowu na iPada, by się upewnić, że zrozumiała.

Laura naśladuje klikanie iPada.

– Potem wystarczy nacisnąć tu, żeby obejrzeć. – Bo dotyka ekranu i film się uruchamia.

Pozwala Laurze oglądać przez chwilę.

– Bardzo bym chciała nakręcić film dokumentalny o pani. Chcielibyśmy sfilmować panią tu, w domku, zrozumieć, kim pani jest, dowiedzieć się, jak wygląda pani życie.

Laura zerka na Solomona, który ma właśnie odchrząknąć, ale się powstrzymuje. Laura robi to zamiast niego, całkiem jak on. Bo nadal niczego nie zauważa.

– Jest wynagrodzenie, ale nieduże. Mam tu warunki. – Bo wyjmując kartkę z teczki i podaje jej. Laura przygląda się obojętnie arkuszowi papieru.

– Zostawię, żeby mogła się pani zastanowić.

Bo też patrzy na papier i zastanawia się, czy powinna dalej wyjaśniać, czy może tym samym da Laurze odczuć swoją wyższość. Kiedy Solomon stoi za jej plecami, osądza ją, może nie robi tego celowo, ale i tak czuje, że ją ocenia, czuje bijący od niego chłód, kiedy ona coś zrobi albo powie. Przyznaje, że on lepiej radzi sobie w pewnych sytuacjach, ale chce także działać tak, jak sama uzna za stosowne, nie bać się oceny, dezaprobaty i rozczarowania. Tego, że zawsze go zawodzi, albo tego, że musi się wciąż kontrolować. Ma dość tego chłodu, tej nieprzyjaznej atmosfery, ale przede wszystkim ma dość kwestionowania jej samej, gdy wykonuje pracę, którą – jak dobrze wie – doskonale umie wykonywać. Gdy ich związek był platoniczny, było jakoś łatwiej. Wtedy bardziej ją interesowało, co on myśli w ogóle, a nie to, co myśli o niej.

Bo siedzi na samym brzeżku krzesła, zbyt mocno wchodząc w przestrzeń Laury. Odsuwa się; usiłuje wyglądać na odprężoną, czeka na pozytywną odpowiedź.

Laura ogląda na iPadzie pierwsze minuty filmu o swoim ojcu i stryju.

– Chyba nie chcę, żeby ludzie o mnie wiedzieli – mówi, a Solomon jest zaskoczony tym, że odczuwa tak wielką ulgę.

Nigdy nie uważał, że ich filmy powstają dzięki żerowaniu na czyichś losach, ale jest dumny z Laury, że robi to, co wydaje jej się najlepsze dla niej samej, nie pragnie znaleźć się w centrum uwagi i zyskać sławy, jak czyni to wiele osób. Bo rzadko musi przekonywać kogokolwiek, by powiedział coś przed kamerą, nie macha przed nim sprzętem, by stał na baczność, żeby mieć swoje pięć minut. Solomonowi podoba się, że Laura jest inna. Normalna. Jest normalnym człowiekiem i ceni sobie anonimowość, prywatność. To i coś jeszcze.

– Nie musisz nam mówić niczego, czego nie chcesz – kontynuuje Bo. – Joe i Tom pozwolili, byśmy chodzili za nimi i obserwowali, jak żyją, jak się ze sobą komunikują, ale raczej nie sądzili, żebyśmy przekroczyli jakieś granice. Mieliśmy bardzo precyzyjnie określone warunki, jeżeli tylko czuli się niekomfortowo, przestawaliśmy filmować.

Tak jak dzisiaj rano w kuchni Joego. Bo źle zniosła to wydarzenie, jakby pokłóciła się z przyjacielem.

Laura chyba przyjmuje to z ulgą.

– Lubię być sama. Nie chcę... – patrzy na iPada, a także na artykuły z gazet i recenzje w czasopiśmie leżących na stole – ...nie chcę tego wszystkiego. – Naciąga rękawy swetra na nadgarstki i mnie go palcami, jakby było jej zimno.

– Jasne – mówi Solomon i spogląda na Bo; jest w tym coś ostatecznego. – Szanujemy twoją decyzję. Ale zanim sobie pójdziemy, zobacz, przynieśliśmy ci trochę rzeczy.

Bierze torby z zakupami i stawia je przy niej na podłodze. Pewnie przesadził, ale nie chciał, żeby została z niczym, zwłaszcza jeżeli Bridget stanie po stronie Joego i nie będzie chciała dalej robić zakupów dla Laury. Solomon pobiegł do miejscowego sklepu dla turystów i kupił tyle koców, koszulek i swetrów, ile się dało. Nie umiał sobie wyobrazić, jak bywa tu zimno, gdy wiatr świszczy w szparach ścian, w nieszczelnych starych oknach, podczas gdy nietoperze latają kilka metrów od drzwi.

Bo nie skomentowała jego zakupów. Została w samochodzie, sprawdzając maile, kiedy on wypełniał bagażnik torbami. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę z tego, ile i jakie rzeczy przyniósł, i patrzy na niego z zaskoczeniem. Solomon jest zawstydzony, ale jego starania zrobiły na niej wrażenie. Zdaniem Bo to może znacznie się przyczynić do przekonania Laury do współpracy.

– Pomyślałem, że tu się robi bardzo zimno – wyjaśnia Solomon nieskładnie, wskazując na torby i mamrocząc coś o ich zawartości.

Bo uśmiecha się, usiłując ukryć rozbawienie z powodu niezręcznej sytuacji, w jakiej znalazł się jej chłopak.

– Bardzo dziękuję za to wszystko – mówi Laura, zaglądając do toreb, po czym zwraca się do Solomona: – To o wiele za dużo. Nie wydaje mi się, żebym była w stanie sama to wszystko zjeść.

– No, są tu trzy osoby, które chętnie by pomogły – żartuje Bo, wciąż naciskając, nieustannie naciskając.

– Muszę ci to wszystko oddać – mówi do Solomona, a potem zwraca się do Bo: – Nie mogę zrobić z wami filmu.

– To dla ciebie – oznajmia Solomon zdecydowanie – czy zrobisz film, czy nie.

– Tak, tak, proszę to zatrzymać – mówi z roztargnieniem Bo.

Podczas gdy Solomon przestaje naciskać i szykuje się do wyjścia w ten swój specyficzny sposób, nie chcąc okazać się nieuprzejmym, Bo się przygotowuje. Ta sytuacja jej nie przeszkadza, to chwilowa niezręczność w ogólnej, znacznie szerszej perspektywie. Bo czuje w głębi duszy, że nie może wypuścić Laury. To fascynująca, piękna, interesująca, niezwykle intrygująca dziewczyna, nikogo podobnego dotąd nie spotkała. Nie tylko ma życie osobiste, które nadaje się na znakomitą opowieść, ale jest też niezwykła, wizualnie cudowna. Dziewczyna jest idealna. Kiedy Solomon żegna się z Laurą, Bo trzyma się z tyłu, nie spieszy się z porządkowaniem papierów. Układa kserokopie gazet w stosik, powtarza sobie w głowie to, co zaraz powie.

– Idź, Sol, zaraz do ciebie dołączę – mówi, powoli wkładając teczkę do torby.

Solomon wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Ponury, pełen dezaprobaty facet znika.

Bo podnosi wzrok na Laurę – dziewczyna wydaje się tak zagubiona, jakby zaraz miała się rozpłakać.

– Co się stało? – pyta zaskoczona Bo.

– Nic, ja... nic – odpowiada tak, jakby zabrakło jej tchu. Wstaje i przechodzi przez pokój do miniaturowej kuchni. Nalewa sobie szklanke wody i wypija duszkiem.

Dziwna dziewczyna. Bo chce się o niej wszystkiego dowiedzieć. Chce zobaczyć świat jej oczami, przejść się w jej butach, potrzebuje tylko, żeby Laura powiedziała „tak”. Nie może jej stracić. Bo wie, że praca jest jej pasją, graniczącą wręcz z obsesją, ale to jest konieczne, żeby w pełni mogła zrozumieć swój temat. Musi zanurzyć się w czyimś życiu, chce to robić. Szukała czegoś nowego po *Bliźniakach Toolin* i prosi bardzo: naturalny początek kolejnej opowieści, która dosłownie wyłoniła się z tej pierwszej. Jest idealna, jest taka jak trzeba, potencjalnie nawet lepsza niż *Bliźniacy Toolin*. Zadaniem Bo jest sprawić, żeby inni widzieli to co ona, czuli to co ona. Musi przekonać Laurę, by to rozumiała.

– Lauro – mówi łagodnie. – Szanuję pani decyzję odmowy uczestniczenia w tym projekcie, ale chcę mieć pewność, że rozumie pani, o co w tym wszystkim chodzi. Chcę pani pomóc to przemyśleć. Oczywiście ten tydzień był



dla pani ciężki, w pani życiu zaszły duże zmiany po śmierci ojca.

Laura spuszcza wzrok, długie rzęsy muskają jej kości policzkowe. Bo zauważyła jej reakcję, gdy nazywa Toma jej ojcem, Joego stryjem, musi kontrolować używanie tych słów. Laura nie reaguje na nie dobrze i Bo chce wiedzieć dlaczego. Dlaczego, dlaczego, dlaczego?! Wydaje się, że ta dziewczyna cała składa się z tajemnic – została w nich poczęta, w nich urodzona, wychowana, w nich istnieje. Bo chce przerwać ten łańcuch.

– To dla pani nowy początek. Pani życie się zmienia. Nie ma pewności, czy Joe pozwoli pani dalej tu mieszkać, a jeżeli pozwoli, to czy pomoże pani żyć tak, jak żyła pani przez ostatnie dziesięć lat. Nie wiem, czy Joe przejmie rolę Toma jako pośrednika między Bridget a panią, czy pozwoli jej, by kupowała pani jedzenie, i czy będzie za nie płacił, bo zakładam, że Tom pokrywał koszty.

Kiwa głową.

– Jeżeli Joe się nie zgodzi, jak się pani dostanie do sklepu, nie mając samochodu? Ma pani pieniądze? Może pani płacić za jedzenie? Tom był dla pani bardzo pomocny, ale zostawił panią w dość niepewnej sytuacji. – Lekko akcentuje następne zdanie: – W testamencie Toma nie ma nic o pani. Swoją część zostawił Joemu. Może zamierzał z nim porozmawiać o pani obecności tutaj, ale nie zrobił tego.

Pozwala, żeby dotarło to do Laury, która teraz mocno zaciska ręce na oparciu krzesła. Jej spojrzenie skacze po pokoju, jest głęboko zamyślona, wszystko, co tworzyło jej świat, może zaraz rozwiać się przed nią jak dym.

– Jeżeli weźmie pani udział w tym filmie, pomożemy pani. Nasza trójka dostarczy pani wszystkiego, czego będzie trzeba. Pomożemy pani urządzić się gdzie indziej, jeżeli pani zechce. Cokolwiek pani postanowi, będziemy mogli pomóc. Nie jest pani sama. Będzie pani miała mnie, Rachel i oczywiście... Solomona, a widzę, że on panią bardzo polubił – dodaje Bo z uśmiechem.

## 7

– Wchodzi w to! – woła śpiewnie Bo, idąc ścieżką w stronę Solomona i Rachel czekających przy samochodzie.

– Co? – pyta Rachel, spoglądając na Solomona. – On właśnie powiedział,

że nie.

– Ale teraz tak! – Bo unosi rękę, by przybić z nimi piątkę. Oboje wpatrują się w nią.

– Ej, nie zostawiajcie mnie tak.

Rachel, zaskoczona, przybija jej ze śmiechem piątkę.

– Jesteś niesamowita. Naprawdę z ciebie numer.

Bo unosi brwi, zadowolona z pochwały, z ręką wciąż uniesioną czeka na Solomona.

Ten splata ramiona na piersi.

– Żadnych piątek, dopóki mi nie powiesz, jak ją przekonałaś.

Bo opuszcza rękę i wznosi oczy do nieba.

– Innego producenta też byś o to pytał? Czy tylko mnie? Chcę, byś odnosił się do mnie z takim samym szacunkiem, jakim darzyłybyś kogoś innego. Nie uważasz, że tak byłoby sprawiedliwie?

– Gdybym był w jednym pokoju z producentem, który usłyszał wyraźne „nie”, a po moim wyjściu dostał zgodę, to owszem, pytałbym.

– Dlaczego ten producent to zaraz facet? – pyta Bo.

– Ją też bym pytał. Kogo to obchodzi? Jak wyciągnęłaś z niej zgodę?

– Okej, zanim zaczniecie się kłócić, wyjaśnijmy sobie najpierw logistykę – wtrąca się Rachel. – Ja naprawdę muszę wracać do Susie, mamy w piątek skan anatomiczny i nie zamierzam go przegapić – oznajmia z powagą. – Muszę wiedzieć, co się dzieje. Mamy plan?

Bo patrzy na nich oboje szeroko otwartymi oczami.

– Słuchajcie – mówi zirytowana. – Czy możemy na chwilę przestać narzekać i ucieszyć się z faktu, że mamy potwierdzony temat do następnego dokumentu? Czy możemy nie psuć tej chwili tysiącami pytań, a zamiast tego ją uczcić? – Patrzy na nich. – Możemy znowu zaczynać. Hura! No, chodźcie! – Usiłuje ich ożywić, aż w się końcu poddają i cieszą wraz z nią w zbiorowym uścisku; Rachel i Solomon chwilowo ukrywają swoje wątpliwości.

– Gratuluję, ty mała wiedźmo – mówi Solomon, całując ją.

Śmieje się.

– Dziękuję! Nareszcie pochwała, na jaką zasługuję.

– No więc... – mówi Rachel.

– Wiem, wiem, Susie – odpowiada Bo z namysłem. – Oczywiście, że musisz do niej wrócić. Moje przeczucia mówią, że według wszystkich znaków należy filmować teraz – stwierdza. – Na przykład pogoda. Byliśmy tu zimą, ciemno, wszystko jest skomplikowane. Rachel, upadłaś na tyłek, już nie pamiętam, ile razy, a chociaż było to bardzo zabawne, było też niebezpieczne, jak sama zauważyłaś.

Solomon chichocze.

– Chciałabym sfilmować życie Laury o każdej porze roku, bo moim zdaniem to ważne, ale najważniejsze chcę załatwić teraz. Chcę pokazać ludziom, jak ją znaleźliśmy. Śpiąca Królowna w swojej chatce ukrytej w lesie. Chcę mieć ten kolor, to światło, te dźwięki – mówi, widząc to wszystko w swojej wyobraźni. – Letni nastrój. Jeżeli to odłożymy na zbyt długo, może się rozmyślić. Chcę mieć jej aktualne przemyślenia, życzenia, marzenia, nie coś, co sobie wymyśli za kilka miesięcy. Jej życie się zmieniło teraz – bam! Musimy pochodzić za nią teraz, kiedy jest na krawędzi. A na dodatek nie wiem, jak długo Joe pozwoli jej tu mieszkać. Jeżeli wyjedziemy, może ją po prostu wywalić z chatki, a jak tu będziemy, może da jej spokój. Tak więc, pamiętając o tym wszystkim, pojedziemy dzisiaj do domu, a ja przygotuję papiery, Rachel skompletuje sprzęt i wrócimy w niedzielę wieczorem. Zaczniemy kręcić w poniedziałek i kręcimy jakieś dwa tygodnie, maks.

Wszyscy się zgadzają.

– Rachel, wiem, że Susie ma termin za trzy tygodnie, jeżeli z jakiegokolwiek powodu będziesz musiała wyjechać... – mówi Bo i zaczyna myśleć o kamerzystach, z którymi pracowała, a którzy mogliby posłużyć jako zastępstwo. – Mogłabym zadzwonić do Andy’ego i zapytać...

– Andy to palant, a jego zdjęcia nie umywają się do moich. Nie bierz w zastępstwie Andy’ego. To byłaby obraza. Nikogo za mnie nie bierz – oznajmia twardo Rachel. – To jest opowieść. – Wskazuje w górę, w stronę domku. – Chcę przy tym pracować.

Patrząc na taką demonstrację poparcia ze strony Rachel, Solomon dostaje gęsiej skórki. Nigdy nie słyszał u niej takiego entuzjazmu, sam też nie czuł się podobnie przy żadnym projekcie. Wszyscy chcą zacząć pracę, nie mogą się

doczekać, aż poznają historię Laury. Pełna entuzjazmu Bo wraca do domku, by omówić harmonogram z Laurą, jednak wyłania się po chwili ze znacznie mniejszym zapałem.

– Zmieniła zdanie – domyśla się Solomon, czując, jak ściska mu się serce.

– Niezupełnie. Wpadła w panikę. Znowu wydaje te dźwięki. Chce ciebie, Sol. Znowu.

Solomon zamyka drzwi domku. Laura nie siedzi już w fotelu, chodzi tam i z powrotem, przemierzając niewielką przestrzeń między łóżkiem, kuchenką a pokojem.

– Cześć – odzywa się Solomon.

Naśladowuje dźwięk, a on nie wie jaki, dopóki nie zamknie drzwi, które brzmią zupełnie tak samo. Ten dźwięk to szcęk zamka. Może jej dźwięki wyrażają to, co chciałaby, żeby się stało – Solomon dodaje tę informację do swojej listy.

– Myślałam, że zaczniemy jutro – mówi, nerwowo wykręcając palce.

– Film?

– Tak.

– Nie, przykro mi. Tego się nie da zrobić od razu. Musimy wrócić do domu, przygotować się, ale nie ma się co martwić, w poniedziałek wrócimy i zostaniemy dwa tygodnie.

– Kiedy wyjeżdżacie? – pyta, nadal krążąc po pokoju.

– Dzisiaj. Lauro, co się stało?

– Jeżeli pojedziesz, zostanę tu sama.

Zaczyna wydawać dźwięki, ptasie dźwięki, pełne niepokoju.

– To tylko pięć dni. Zawsze jesteś tu sama.

– Joe mnie tu nie chce.

– Nie wiemy, czy naprawdę cię nie chce – mówi Solomon. – Przeżył szok, trochę to potrwa, zanim dojdzie do siebie.

– A co, jeżeli tu przyjedzie, jak was nie będzie, i każe mi się stąd zabrać? Albo jak wróci policjant? Co ja zrobię? Dokąd pójdę? Nikogo nie znam. Nikogo nie mam.

– Jeżeli tak się stanie, proszę, zadzwoń do mnie. – Grzebie w kieszeniach w poszukiwaniu papieru i długopisu. – Dam ci mój numer.

– A jak mam zadzwonić? Nie mam telefonu.

Zamiera z długopisem uniesionym nad kartką.

– Proszę, zostań. Wolałabym filmować już jutro – mówi, przełykając nerwowo ślinę. – Jeżeli to się ma stać, musi to być jutro – usiłuje naciskać mocniej.

– Lauro, nie możemy jutro kręcić – odpowiada Salomon łagodnie. – Słuchaj, wszystko jest dobrze. Proszę, uspokój się. Muszę być w ten weekend u mamy. Ma siedemdziesiąte urodziny. Mieszka w Galway, nie mogę nie pojechać. Rachel, ta z kamerą, ma żonę, która jest w ciąży, musi do niej pojechać, a Bo, ta, która jest reżyserem, producentką, ma dużo pracy na przyszły tydzień, planowanie, papiery, wykład, takie rzeczy. Potrzebujemy więcej sprzętu, są sprawy do załatwienia, trzeba uzyskać zgodę, nie ma możliwości, żebyśmy zaczęli jutro.

– Mogę jechać z tobą? – pyta.

Wstrząśnięty, przygląda się jej, kompletnie nie wiedząc, jak na to odpowiedzieć.

– Chcesz...

– Czy mogę zostać z tobą? Tutaj już nie mogę być. Wszystko się zmieniło. Muszę... zmieniać się ze zmianami.

Panikuje, jej umysł pracuje jak szalony.

– Spokojnie, Lauro, w porządku, wszystko w porządku, nic się nie zmieniło. – Podchodzi do niej, chwyta ją delikatnie za ramiona, usiłuje nakłonić, żeby na niego spojrzała. Serce mu wali, od samej jej bliskości kręci mu się w głowie. Patrzy na niego, jej zielone jak trawa oczy prześwietlają go, jego duszę.

– Mój tata nie żyje. – Wpatruje się w niego przenikliwie. – Mój tata nie żyje. A ja nawet nigdy nie powiedziałam do niego „tato”. Nawet nie wiedziałam, czy on wie, że jestem jego córką. Nigdy nawet... – Łzy płyną jej po policzkach.

– No, chodź tu – szepcze Solomon, obejmując ją ramionami i przyciągając mocno do piersi; jest otoczona jego miłością i troską.

– Jak to może być mój dom, jeżeli nikt mnie tu nie chce? – pyta przez łyzy. – To nie jest dom.

Na to nie umie odpowiedzieć.

On jest jedyną osobą, jaką Laura zna. Nie może jej tu zostawić.

– Co, kurwa! – Bo aż przysiada ze zdumienia, gdy widzi, jak Solomon podąża w ich stronę – jej i Rachel – z torbami w rękach, a Laura depcze mu po piętach.

– Jedzie z nami – oznajmia, unikając wzroku Bo, i wkłada torby do bagażnika.

– Co? – Bo dołącza do niego.

– Boi się zostać tutaj. Nie chce sama czekać, aż wrócimy. Zastanawiam się, kto ją tak wystraszył, Bo – cedzi przez zęby, a na jego szyi pulsują żyły. Jest naprawdę wściekły.

– Ale... ty musisz jechać do rodziców.

– Tak, i będę musiał zabrać ją ze sobą. Z tobą do Dublina nie pojedzie – mruczy, usiłując umieścić w bagażniku torby z zakupami i walizkę obok całego ich sprzętu.

Czeka, żeby Bo powiedziała: „Nie ma mowy, to idiotyczne, nie pozwolę, by mój chłopak pojechał z obcą młodą i piękną kobietą na rodzinną imprezę”, ale kiedy na nią patrzy, widzi jej szeroki uśmiech.

– Lauro! – woła, unosząc oba kciuki. – To znakomita wiadomość. Najlepsza.

## 8

– *Królewna Śnieżka!* – oznajmia Bo, trzaskając butelką piwa o stół w hotelowym barze głośniej, niż zamierzała.

Rachel parska śmiechem. Solomon kręci głową i sięga po miseczkę orzeszków.

– Poważnie, ona jest jak prawdziwa Królewna Śnieżka – powtarza Bo z

podnieceniem. – To na pewno mogłabym sprzedać. Mieszka w lesie, śpiewa pieprzonym zwierzątkom.

Solomon i Rachel nie potrafią się powstrzymać: śmieją się z tych słów i z zapału Bo. Dziewczyna jest wstawiona, jej oczy błyszczą, ma zarumienione policzki. Omawiają plany filmu. Nie pojechali do domu. Bo zdołała przekonać Rachel do pozostania tutaj jeszcze przez dwa dni. Zatrzymają się na dwie doby w hotelu w Gougane Barra, w dzień będą filmowali w domku, na weekend każde pójdzie w swoją stronę, a w niedzielę rano wrócą do Cork. Nie potrafi się opanować, jej entuzjazm jest zaraźliwy: ani Solomon, ani Rachel nie są w stanie jej odmówić. Laura jest na górze w swoim pokoju, który jest połączony z ich pokojem – sfilmowali, jak tam wchodzi. Bo sfilmowała wszystko. Pierwsze drobne kroki Laury w wielkim groźnym świecie – i nic szczególnie dramatycznego się nie wydarzyło. Laura nie została wychowana przez wilki, umie się zachować. Wszystko pozostało wewnątrz niej, zamknięte. Rachel sfilmowała Laurę siedzącą w samochodzie po raz pierwszy od dziesięciu lat, jej domek w tle za domem nietoperzy. Nie obejrzała się, chociaż dziewczyna naśladowała dźwięk uruchamianego silnika. Kiedy Laura opuściła ziemie Toolinów, wyraz jej twarzy ani razu się nie zmienił. W milczeniu wchłaniała powoli wszystko wokół siebie. Był to widok uspokajający, hipnotyzujący, podobny do widoku śpiącego noworodka. A gdy wydawało się, że już wszystko jest zamknięte w jej wnętrzu, dźwięki wydostawały się z niej i ją zdradzały.

– To tak, jakbyśmy mieli dziecko – powiedziała Bo do Solomona, mając na myśli połączone pokoje; zażartowała i zaraz się wzdrygnęła.

– Jeżeli Laura jest Królową Śnieżką, to kto jest złą czarownicą, która ją zamknęła? – pyta Rachel.

– Jej babcia – odpowiada Solomon; język mu się rozwiązał. Przysypiał cały dzień, a teraz się obudził. – Ale nie złą. Jeżeli już, to pełną dobrych chęci.

– Wszyscy źli ludzie w zasadzie uważają, że mają dobre chęci – stwierdza Bo. – Manson sądził, że jego morderstwa wywołają apokaliptyczną wojnę ras... A może *Rozpunka*?

– A może *Mowgli*? – żartuje Rachel.

Bo ignoruje ją.

– Zamknięta w domku, na szczycie góry, odcięta od świata. I ma długie

jasne włosy, i jest piękna – stwierdza. – Niby nie powinno to mieć znaczenia, ale ma, i my wszyscy o tym wiemy. – Wskazuje palcem na twarze Solomona i Rachel, żeby nie protestowali, chociaż wcale nie zamierzali tego robić.

– Nie wiem, dlaczego przychodzą ci do głowy same filmy Disneya – mówi Rachel. – Komerccja?

– To jest jak bajka. Laura jest taka eteryczna, jak nie z tego świata, nie uważacie?

Solomon oczywiście się zgadza; cały czas tak uważał, może się mylił, byłoby głupio sądzić, że tylko na nim Laura wywiera takie wrażenie.

– Rozmawia ze zwierzętami i z ptakami – sugeruje Bo. – To całkiem jak u Disneya.

– De Niro rozmawiał z lustrem – odparowuje Rachel – a Shirley Valentine mówiła do ściany.

– To nie całkiem to samo – podsumowuje z uśmiechem Bo.

– Ona z nimi nie rozmawia, ona je naśladuje – wyjaśnia Solomon. – To co innego.

– Imitator. Imitatorka.

– Taka feministka, a nie może się zdecydować na rodzaj. Wstydź się – drażni się z nią Rachel, sygnalizując barmanowi, by przyniósł następną kolejkę.

– *Echo Laury.*

– Idealnie – stwierdza Rachel. – Dla jakiegoś romansidła.

– Ona naśladuje – głośno myśli Solomon. – Powtarza dźwięki, których wcześniej nie słyszała, powtarza kilka razy, aż jej wyjdzie, jak trzeba. Może powtarza, by je zrozumieć. Kiedy czuje się zagrożona, wydaje dźwięki pełne niepokoju: szczekanie, warczenie, alarm samochodu, tak było, gdy ją spotkaliśmy pierwszy raz. Te dźwięki kojarzą się jej z niebezpieczeństwem albo obroną.

Oboje podtrzymują swoją teorię.

– Ciekawe. – Rachel kiwa głową. – Nie zauważyłam, że jest to język.

– Nie? – pyta Solomon. Dla niego to było jasne. Każdy dźwięk jest inny: pełen współczucia, kiedy skomlała razem z Mossiem, nieufny czy agresywny,



gdy była otoczona. Naśladuje chrząknięcie Solomona, gdy dostrzega, że on czuje się nieswojo albo znajduje się w niezręcznej sytuacji. Dla niego te dźwięki mają sens. Dziwne, ale jest w nich jakiś porządek.

– *Język Laury* – mówi Bo, dalej poszukując tytułu.

– Jest naśladowczynią – stwierdza Rachel. – Laura Naśladowczyni.

– Ależ wymyślny. – Bo się śmieje.

– Nie naśladuje tego, co robią czy jak się ruszają. Naśladuje same dźwięki – mówi Solomon.

Wszyscy się nad tym zastanawiają.

– Nie chodzi na czworakach i nie warczy jak pies ani nie biega w kółko, machając rękami jak ptak. Powtarza dźwięki.

– Racja.

– Nasz przyjaciel antropolog. – Rachel wznosi kufel w stronę kolegi.

– Antropolog, bardzo dobry pomysł – oznajmia Bo, sięgając po papier i długopis. – Trzeba będzie z jakimś o niej pogadać.

– Gdzieś jest taki ptak, który naśladuje dźwięki – ciągnie Solomon, nie zwracając na nie uwagi. – Widziałem go kiedyś w programie przyrodniczym. – Ciężko mu się myśli z powodu zmiany czasu, a teraz jeszcze ten alkohol.

– Papuga? – sugeruje Rachel. Bo chichocze.

– Nie.

– Nierozłączka.

– Nie, on naśladuje wszystkie dźwięki. Ludzi, maszyny, inne ptaki, widziałem w tym programie.

– Hm... – Bo sięga po telefon. – Ptak, który naśladuje dźwięki.

Szuka przez chwilę. Nagle jej telefon zaczyna głośno grać, goście baru odwracają się w jej stronę. Przeprasza i szybko wycisza komórkę.

– To ten.

Pochylają się, żeby obejrzeć dwuminutowy filmik z Davidem Attenborough i ptakiem, który naśladuje dźwięki wydawane przez inne ptaki, piły łańcuchowe, komórki, migawkę aparatu.

– To dokładnie jak Laura. – Rachel szturcha ekran palcem, tłustym i słonym od orzeszków.

– Nazywa się lirogon – mówi Bo, głęboko zamyślona. – *Laura Lirogon*.

– *Ludzki Lirogon* – podchwytuje Rachel.

– Nie. – Solomon kręci głową. – Tylko Lirogon.

– Super. – Bo się szczerzy. – To jest to. Gratulacje, Solomon, to twój pierwszy tytuł!

Zachwyceni, dają sobie wreszcie spokój i o północy wracają do swoich pokoi.

– Myślałam, że jesteś zmęczony. – Bo próbuje otworzyć kartą drzwi i śmieje się, gdy Solomon ociera się policzkiem o jej szyję. Kilka razy nie trafia w otwór. – Jesteś jak wampir, ożywasz nocą. – Chichocze.

Solomon gryzie ją w szyję; kojarzy mu się to z nietoperzem, z domem nietoperzy, z Laurą, która jest w pokoju obok... To wszystko psuje, sprawia, że Bo wymyka mu się. Na szczęście kobieta tego nie zauważa, bo właśnie udaje jej się trafić kartą do zamka i otworzyć drzwi.

– Ciekawe, czy śpi – mówi szeptem.

Myśląc o Laurze, Solomon przyciąga do siebie Bo, całuje ją.

– Zaczekaj – szepcze Bo. – Posłucham.

Odsuwa się od niego i podchodzi do drzwi prowadzących do pokoju Laury. Przyciska do nich ucho i nasłuchuje, a Solomon zaczyna ją rozbierać.

– Sol! – Śmieje się. – Ja tu usiłuję zbierać materiał!

Mężczyzna ściąga z Bo bieliznę i rzuca przez ramię. Zaczyna całować jej kostkę, przesuwając się coraz wyżej, całuje nogę, liże wnętrze uda.

– Nieważne. – Bo daje sobie spokój z materiałami i odwraca się plecami do drzwi.

W łóżku wydaje jęki rozkoszy.

Solomon przyciąga dziewczynę do siebie, chce ją pocałować, a gdy ich wargi się stykają, znowu słyszy dźwięki rozkoszy. Dźwięki Bo. Ale te dźwięki nie pochodzą od Bo, dochodzą zza drzwi. Oboje zamierają.

Bo patrzy na Solomona.

– O Boże – szepcze. Solomon wpatruje się w drzwi między pokojami. Światło dochodzące z łazienki oświetla ciemny pokój. Drzwi od ich strony wciąż są zamknięte, a więc to Laura musiała otworzyć drzwi po swojej stronie i teraz nasłuchuje. – O Boże – powtarza Bo, zsuwając się z Solomona i owijając się prześcieradłem.

– Ona cię nie widzi – mówi jej. – Ciii.

Solomonowi wali serce, jakby został przyłapany na czymś niewłaściwym. Jeśli Laura ich nie widzi, na pewno ich słyszy.

– Nic mnie to nie obchodzi, to jest chore.

– To nie jest chore.

– Kurwa, Solomon – syczy Bo, zdeglustowana. Nasłuchują, ale niczego więcej nie słyszą. – Co ty robisz? – pyta ze złością, patrząc, jak wstaje z łóżka.

Mężczyzna podchodzi do drzwi między pokojami i przykłada ucho do zimnego drewna. Wyobraża sobie Laurę po drugiej stronie, jak robi to samo co on. Jej pierwsza noc poza domem, może nie powinni byli zostawiać jej samej na tak długo? Solomon ma nadzieję, że wszystko jest w porządku.

– No? – pyta Bo, gdy wraca do łóżka.

– Nic.

– Sol, a co, jeśli to wariatka? – pyta szeptem.

– To nie wariatka.

– Taka psychiczna zabójczyni.

– Nie.

– Skąd to możesz wiedzieć?

– Nie mogę... To był twój pomysł, żeby przywieźć ją tutaj.

– Bardzo mi pomagasz.

Wzdycha.

– Nie możemy przynajmniej skończyć?

– Nie. Już mam dosyć.

Solomon wzdycha, opiera głowę na ręce i wpatruje się w sufit, całkowicie obudzony. Bo leży na nim z nogą przerzuconą przez jego ciało, więc nie może

nawet załatwić sprawy sam, gdy będzie spała. Nie dość, że nie może spać, to jeszcze nie jest zaspokojony.

Zrzuca kołdrę i porusza się tak, by Bo się od niego odsunęła.

– Jeżeli zamierzasz zwalić konia w kiblu, to lepiej bądź cicho, bo przez następne dwa tygodnie Lirogon będzie powtarzać przed kamerą każdy dźwięk – ostrzega go sennie Bo.

Wznosi oczy do sufitu i wraca do łóżka – jego nastrój się ulotnił.

Wkrótce potem zasypia, ukołyszany dźwiękiem nasłuchującej go Laury.

## 9

Solomon budzi się rano w pustym łóżku. Drzwi między pokojami są uchylone. Siada i usiłuje się zorientować w sytuacji. Słyszy głos Bo. Łagodny, ale przekonujący.

– Joe zgodził się, żebyśmy weszli dzisiaj do domku, więc możemy cię tam nakręcić. Zobaczymy, jak spędzasz dzień, co robisz, jak żyjesz, takie rzeczy. A potem zadam ci kilka pytań, jak widzisz swoją przyszłość, co chciałabyś zrobić ze swoim życiem. Więc pomyśl nad tym.

Cisza.

– Powiedz coś.

Cisza.

Solomon wstaje z łóżka i nago podchodzi do drzwi. Zagląda przez szparę. Widzi Laurę siedzącą na łóżku i tył głowy Bo.

– Okej, w porządku, nie musisz odpowiadać teraz. Ale czy rozumiesz, co planujemy?

– Rozumiem.

– Będziemy kręcić dzisiaj i jutro, zrobimy przerwę na weekend, a potem wrócimy w poniedziałek. Może być?

– Na weekend pojedę z Solomonem do Galway.

– Tak.

Niezręczna cisza.

– Lauro, wczoraj w nocy...

Cisza.

Solomon zamyka oczy i krzywi się; wolałby, żeby Bo zostawiła już ją w spokoju. Była to pierwsza noc od dziesięciu lat, gdy Laura spała w obcym łóżku, w obcym pokoju. Wszystko było inaczej. Dźwięki Bo były dla niej nowe, naśladowanie ich było jej sposobem na zrozumienie tego, co się wokół dzieje, to wszystko. Chciałby, żeby Bo to zrozumiała i odpuściła.

– Hm, wczoraj w nocy usłyszałam, jak wydałaś dźwięk. Kiedy byłam w łóżku.

Laura znowu wydaje ten dźwięk, wierna kopia jęków rozkoszy Bo, jakby go nagrała i odtwarzała na własnych strunach głosowych.

Solomon zagryza wargę, usiłując się nie roześmiać.

– Tak. Ten. – Bo jest zażenowana.

– Chcesz go w swoim filmie?

Solomon znowu zagląda przez szparę, żeby spojrzeć na Laurę: zauważył zmianę w tonie jej głosu. Jest teraz żartobliwy. Laura droczy się z Bo. Ale Bo tego nie zauważa.

– Nie! – odpowiada, śmiejąc się nerwowo. – Widzisz, tamto, co słyszałaś, było prywatną sprawą między mną a... – Przerywa, nie chce wspominać o Solomonie.

– Solem – kończy Laura, powtarzając to imię tak samo, jak wymawia je Bo. To głos Bo wychodzący z ust Laury.

– Jezu. Tak.

– Solomon to twój chłopak?

– Tak.

Mężczyzna przełyka ślinę, serce znowu zaczyna mu bić mocno.

– Czy to... w porządku? – pyta Bo.

– W porządku dla kogo?

– Dla ciebie. Czy dla ciebie to jest w porządku – odpowiada zdeorientowana Bo.

Laura odchrząkuje z zażenowaniem, ale to nie jest jej dźwięk, tak odchrząkuje Solomon. Szybko spogląda w stronę drzwi, a do niego dociera, że ona wie, iż on nasłuchuje. Solomon uśmiecha się i idzie do łazienki.

Czwartek spędzają na kręceniu dokumentu w domu Laury. Bo zrozumiała, że gdy Laura wie, że jest obserwowana, wówczas nieruchomieje i wpatruje się w kamerę z zagubioną miną; Bo wymyśliła więc, że sfilmuje ją przy gotowaniu zupy warzywnej. Początkowo ich obecność krępuje Laurę, wciąż jest świadoma ich spojrzeń i kamery. Gdy natomiast pograża się w codziennych czynnościach, wyraźnie się odpręża i coraz rzadziej naśladuje ich dźwięki. Cała trójka trzyma się z tyłu, stara się nie naprzykrzać, chociaż trzy osoby ze sprzętem do filmowania nie wyglądają w lesie naturalnie.

Laura zajmuje się swoim zagonkiem owocowym i ogródkiem warzywnym, zbiera zioła; dziki czosnek rośnie bujnie wzdłuż strumyków i w cienistych miejscach, dziewczyna wybiera większe liście i rozwinięte kwiaty.

Niewiele mówi, czasami wcale się nie odzywa. Bo prosi, żeby opisała to, co zebrała, ale nie nalega, uznając, że będzie to jeden z tych dokumentów, podobnych do *Bliźniaków Toolin*, w którym ścieżkę dźwiękową doda się później, kiedy odpowiedzi będą mogły nawiązywać do bezpośrednich pytań. Laura nie nadaje się na narratorkę, ale naśladuje dźwięki ptaków. Wydają się zaskoczone, ale odpowiadają jej.

Bo jest wyraźnie nabuzowana. Wszyscy są. Pracują razem, zachowują się najciszej, jak to tylko możliwe, szanują prywatność Laury. Kiedy nie kręcą, ograniczają rozmowy do minimum, komunikują się tylko w razie konieczności. Gesty czy słowa wtrącone tu i tam. Możliwe, że jest to najcichszy dzień w życiu Solomona, nie tylko dlatego, że sam musi milczeć – do tego jest przyzwyczajony – ale też dlatego, że większość czasu spędza na słuchaniu innych. Chociaż filmują na tej samej górze, na której kręcili *Bliźniaków Toolin*, dźwięki i rytmy są zupełnie inne. Powstaje całkiem inny film – liryczny, muzyczny, wręcz magiczny. Laura idąca lasem, jej jasne blond włosy i jej spokój – ten obraz jest oszałamiający, niezmierny. Przypomina Solomonowi ich pierwsze spotkanie, wówczas dosłownie zaparło mu dech w piersiach. Mógłby na nią patrzeć cały dzień. Mógłby jej słuchać cały dzień. I tak robi. Dzięki mikrofonowi i baterii przypiętym do jej koszulki słyszy

każdy jej oddech, każde uderzenie serca. Jednak gdy na nią patrzy, gdy ich spojrzenia się spotykają, stwierdza, że nie ma w niej nic delikatnego. Jest silna. Jest twarda. Ma żywy umysł.

Laura prostuje się i przeciąga. Patrzy w niebo, robi głęboki wdech i jakby przypominając sobie, że jest tu ekipa, odwraca się i unosi swój koszyczek.

– Co znalazłaś? – pyta Bo, zachwycona, że Laura jest gotowa do rozmowy.

– Dziki czosnek, dodaje potrawom smaku. Pomaga też na kaszel i na płuca. Gotuję zupę z dzikiego czosnku, cebuli i kartofli. Mam grzyby... – Przesuwa długimi palcami po sporej kupce grzybów.

– Skąd wiesz, że są jadalne?

Laura parska śmiechem, a ten śmiech wydaje się znacznie starszy niż ona. Nagle słychać odgłos wymiotowania tak realistyczny, że u Rachel uruchamia się odruch wymiotny, ale ona sama zdaje się go nie zauważać – jakby wspomnienie ożyło dzięki temu dźwiękowi, tak jak u innych ludzi wspomnienia uruchamiają pokaz slajdów.

– Przez pierwsze kilka lat metoda prób i błędów – wyjaśnia, po czym przesuwa dłonią po owocach leśnych spoczywających w koszyku. – To są świnińskie orzechy, czasem zwane leśnymi kartoflami. Nadają się do pieczenia. Pietruszka aleksandryjska, przypomina seler. Pokrzywy, kwiat kolcolistu na dżem i czosnaczek. Należy do kapustowatych, jest dobry do marynowania mięsa. Lubię go, bo wszystkie części tej rośliny nadają się do spożycia: korzenie, liście, kwiaty i nasiona. Z korzeni można robić bardzo smaczny ocet.

– Okej, super, dzięki. – Bo uśmiecha się radośnie.

W domku Laura otwiera szafki, żeby pokazać im zapasy jedzenia – zapeklowane, wysuszone czy zakonserwowane. Konserwuje owoce i warzywa, by jej dieta nie była monotonna. Ma to, co daje jej Tom. Dawał. Urywa, opanowuje się, zanim zacznie mówić dalej. Jest pewna siebie, dumna z przygotowywania jedzenia i chętnie o tym mówi. Jej zdania są krótkie i proste, ale sam fakt, że niepytana przekazuje jakieś informacje, świadczy o pewności siebie, o tym, że Laura ma poczucie własnej wartości.

Gotuje zupę i daje im do spróbowania. Bo uprzejmie przełyka jedną łyżkę. Solomon i Rachel zjadają po misce.

Jest późne popołudnie.

– Co robisz potem? – pyta Bo; wyraźnie usiłuje przyspieszyć.

– Normalnie jestem w lesie. – Dziewczyna uśmiecha się uprzejmie, świadoma, że Bo niepokoi się o czas.

– Nie śpiesz się, nie myśl o nas, chciałabym cię nakręcić tak, jak się zachowujesz normalnie.

– Normalnie nie podawałabym zupy trzem osobom. – Uśmiecha się do Solomona. – Od dziesięciu lat tego nie robiłam.

– Czterem osobom – mówi Rachel. – Mogę dokładkę?

Laura wybucha śmiechem. Lubi Rachel, to widać. Bo ją niepokoi. Jeżeli chodzi o Solomona, wszyscy wiedzą, co jest grane.

Laura sugeruje, że będzie prała, ale Bo to nie interesuje. Nie marszczy nosa, ale reakcja jest podobna.

– Może nakręcimy, jak czytasz? – pyta Bo. – Książki to ważna część twojego życia, prawda?

– Oczywiście, codziennie czytam.

– Są twoją więzią ze światem?

– Powiedziałabym, że to jedyna rzecz, która nie łączy mnie ze światem – odpowiada Laura. – To rozrywka, ucieczka.

– Tak – mówi Bo, chociaż jest zbyt zajęta planowaniem następnego ujęcia, aby zastanawiać się nad tą odpowiedzią. – Gdzie zazwyczaj czytasz?

– W różnych miejscach. Tutaj. Na dworze.

– Chodźmy na dwór, pokażesz nam, dokąd byś poszła.

– To zależy od pory roku, dnia, pory dnia, światła – mówi. – Chodzę, aż znajdę sobie miejsce, które mi odpowiada.

– No to zróbmy tak. – Bo uśmiecha się, a kiedy Laura nie patrzy, zerka ukradkiem na zegarek. Nie chodzi o to, że Bo to nie interesuje, interesuje, i to bardzo, informacji nigdy nie jest za dużo, tylko że czas nigdy nie był jej przyjacielem. Jest masa rzeczy do zrobienia, a czasu zawsze brakuje. Musi wykonać wszystko i szybko, żeby nic jej nie umknęło, ale oczywiście przez to ucieka jej wiele spraw, przed czym Solomon nieustannie ją ostrzega.

Solomon idzie z Laurą do jej przepełnionej półki z książkami. Wszędzie dookoła książki leżą w stosach na podłodze.



– Masz swoją ulubioną? – pyta.

Bierze do ręki romans erotyczny *Młot i kowadło*, pokazuje mu. Potem wydaje dźwięk, który usłyszała zeszłej nocy, jęk rozkoszy Bo. Ale robi to tak cicho, że Bo jej nie słyszy. Solomon śmieje się i kręci głową.

– Jesteś w niej zakochany? – pyta Laura.

To pytanie tak go zaskakuje, że nie jest pewien, jak odpowiedzieć. Powinien wiedzieć, ale nie może się zmusić do zastanawiania się nad tym.

Naśladuje jego niezręczne chrząknięcie.

– Dziwię się, że Bridget kupiła ci tę książkę. – Solomon zmienia temat.

– Nigdy jej nie spotkałam, ale też się dziwiłam. – Śmieje się. – Och, jest całe pudełko. Z drugiej ręki, z kościelnego bazaru. Dziewica o imieniu Betty Kowadło i zboreźnik Nathan, czyściciel okien. Dużo mydlin w różnych miejscach.

Oboje się śmieją.

– Nie. Ta jest moja ulubiona. Czytałam ją ponad pięćdziesiąt razy. – Pokazuje mu ilustrowaną książkę.

– Nie ma w niej słów – mówi Solomon, kartkując ją.

– Słowa są często przeceniane – odpowiada.

– O czym to jest?

– O drzewie, które zmienia się w kobietę.

– Dokładnie tak jak mówiła Bo – stwierdza sarkastycznie Solomon, przeglądając książkę. – Twoje jedyne łącze ze światem.

Śmieje się.

Zerka na okładkę. *Zakorzeniona*.

– O czym jest ta książka?

– Jest sobie drzewo w parku. W miejskim parku pełnym ludzi. Ma setki lat i codziennie ich obserwuje. Dzieci bawiące się piłką, matki z niemowlętami w wózkach, biegaczy, kłócące się pary. Z czasem, im mocniej drzewo wchłania toczące się wokół niego życie, tym bardziej ludzkie się staje. Kora zamienia się w skórę, liście stają się włosami, a gałęzie ramionami. Drzewo się kurczy. Aż pewnego dnia nie jest już drzewem, ale piękną młodą kobietą.

Wyciąga nogi z ziemi i wychodzi z parku.

– Ciekawe – mówi Solomon, przerzucając kartki.

– Możesz przeczytać, jeśli chcesz – proponuje mu.

– Wychodzi z tego parku naga. Nagość jest obowiązkowa w książkach z obrazkami.

– Jest strona z wyskakującymi obrazkami. – Laura się uśmiecha.

On głośno się śmieje i przygląda się jej z ciekawością.

Dziewczyna podnosi na niego wzrok, nie jest wcale skrępowana jego pożądanym spojrzeniem. Najwyraźniej jej to nie przeszkadza, przygląda się więc dalej.

Oddycha głęboko i powoli wypuszcza powietrze.

– Dzięki za książkę – mówi Solomon. – Oddam ją w tym samym stanie. Właściwie to mam coś dla ciebie. – Wyjmuje z torby ze sprzętem książkę w miękkiej okładce. – Bridget przyniosła ją w czwartek. Na pewno miała być twoja.

Solomon musi oddać Bo sprawiedliwość. Gdy tylko Bridget wspomniała, że Tom był zapalonym czytelnikiem, wiedziała, że coś tu nie gra. Zastanawia się, co jeszcze wyczuła.

Laura bierze od niego książkę, czując przyływ energii. To ostatnia książka, jaką dostała od ojca, nawet jeżeli sam jej nie wybrał, nawet jeżeli nigdy nie miał zamiaru dać jej Laurze, nawet jeżeli nigdy jej nie dotknął, nie wiedział, co to jest. Prosił o nią dla swojej córki. Przyciska ją mocno do siebie.

– Chodźmy – mówi Solomon. – No, to jak pierzesz ubrania? – pyta, gdy zbierają sprzęt i szykują się do wyjścia na dwór.

– Pralnia chemiczna jest na szczycie góry, koło klubu nocnego – mówi Laura z powagą. – Ale Bo nie chciała o tym wiedzieć.

Solomon zadziera głowę i śmieje się do rozpuku. Laura zwraca uwagę na ten piękny dźwięk, zapisuje go w pamięci, a następnie odtwarza raz za razem.

Nocą świat Laury jest zaskakująco ciemny i mroczny, musi się wtedy czuć bardzo odizolowana i samotna. Podczas gdy za dnia okolica wydaje się odludna, ale emanująca spokojem, w nocy budzi grozę i przerażenie. Nie ma nikogo. Nikogo. Ring, drugi owczarek, przychodzi do niej czasami, kiedy nie jest z Joem, może lubi jej obecność, bo łączy ich żałoba po Mossiem i Tomie. Jest dla niej jedynym towarzystwem, on, a także ptaki i stworzenia żyjące wokół. Zyskała wielką wprawę w wyczuwaniu ich obecności wcześniej niż ktokolwiek inny, ostrzega Rachel przed zrobieniem kroku w tył i odkrywa martwego borsuka albo ptasie gniazdo, które spadło z drzewa. Jej zmysły są tak wyostrome na otaczającą ją przyrodę (przynajmniej Solomonowi się wydaje, że Lirogon, jak Bo zaczęła ją nazywać, niemal się w niej zatracą), że Laura przyswaja dźwięki, zapachy, wszystko, co wokół niej żyje, jak w jej ulubionej książce. Drzewo wchłania ludzkie życie i staje się młodą kobietą, a młoda kobieta wchłania przyrodę i staje się jej częścią (albo stara się nią być).

– Powinien nastąpić ciąg dalszy – mówi Solomon, nawiązując do książki, gdy stoją w oknie domku. Nie może się powstrzymać, by nie wyjrzeć na zewnątrz, ile razy coś usłyszy; czuje się w obowiązku ją strzec, co nie ma sensu, skoro Laura bez trudu rozpoznaje każdy dźwięk, i ile razy on się wzdryga, to ona go uspokaja. Nie jest pewien, kto kogo chroni. Rachel i Bo siedzą na kanapie przy kominku i oglądają to, co dzisiaj nakręciły. – Chciałbym wiedzieć, jak ta bosa kobieta, która była drzewem, radzi sobie w świecie. Czy zostaje twardą bizneswoman w korporacji i niczym się nie przejmuje? Zmienia się w robota? A może zakochuje się, wychodzi za mąż i ma pięcioro drzewnych dzieci, a może... – Śmieje się.

– Co?

– Nieważne.

– Powiedz mi.

– A może tuż po wyjściu z parku na ulicę wpada pod ciężarówkę, bo z parku nie było widać samochodów. – Uśmiecha się, ale Laura wydaje się zamyślona.

– Sądzę, że wystarczy, jeżeli znajdzie kogoś, komu zaufa, a potem już będzie dobrze.

– Zaufanie – mówi Solomon, niezbyt przejęty tym słowem. – Czy kobieta-

drzewo nauczyła się w lesie zaufania?

– Nie – odpowiada Laura ze śmiechem. – No, może. Nauczyła się tego, czym jest człowieczeństwo. Powinieneś przeczytać tę książkę. Ale nie musiała się tego wszystkiego nauczyć akurat w parku. Zaufanie to coś, co się po prostu czuje.

– Aha. Jest instynktowne.

– Tak.

– Nie zdradzaj teraz zakończenia.

– Tego w książce nie ma.

Wpatruje się w nią, nie przejmując się, że ona to dostrzega. Jej oczy lśnią nawet w ciemności, a wargi są tak pulchne i miękkie, że chciałby je pocałować bez względu na wszystko. Niepokoi go, jak mocne jest to pragnienie, nigdy przedtem nie czuł nic podobnego. Odwraca wzrok i odchrząkuje.

– Chcesz tu dzisiaj spać? – pyta dziewczyna. – Będziesz?

– Nie – odpowiada cicho – nie mogę, Lauro.

– Och, wiem. – Jest zmieszana; w ciemności nie sposób odczytać czegokolwiek z jej oczu. – Chodziło mi o was wszystkich. Możecie zostać.

– My wszyscy tutaj? – pyta, rozglądając się po domku.

– Nie, masz rację, pojedziemy do hotelu – stwierdza Laura. – Nie chcę tu zostać sama.

W duchu dodaje: „Już nie”.

Następnego ranka odwiedzają dom babci Laury, gdzie wychowały się ona i jej matka. Jest to samotny dom, daleko od głównej drogi, dwadzieścia minut od miasteczka, ukryty przed wścibskimi spojrzeniami. Jak to bywa w wiejskim ustroniu, trudno dostrzec wąską ścieżkę prowadzącą do właściwego budynku, jeżeli wcześniej się o niej nie wiedziało. Gdyby się wpadło na ten dom przypadkiem, nie wywarłby żadnego wrażenia: nie zdradzał ciepła i miłości, jakie przechowywał w swoim wnętrzu. Nikt w nim nie mieszkał od śmierci Hattie, czyli od dziewięciu lat, i było to po nim widać. Chociaż Laura nie odwiedzała go już dziesięć lat, prowadzi pewnie, jakby była tu wczoraj.

Podczas marszu Bo delikatnie ją wypytuje, świadoma, jak czuły jest ten punkt.

Bo zaparkowała na głównej drodze: chciała zarejestrować reakcję Laury, kiedy ta będzie wchodziła do domu babci pierwszy raz od tak dawna. Na samym początku ścieżki jest bramka, Laura powiedziała, że babcia wstawiła ją niedługo po śmierci dziadka, dla bezpieczeństwa.

– Nie wiesz, czy twoja mama lub babcia zostawiły testament? – pyta Bo, kiedy idą długim podjazdem wśród wysokich drzew w stronę domu.

Laura kręci głową.

– Skąd mam wiedzieć?

– Możesz zapytać prawnika babci albo wykonawcę testamentu.

– Gaga nie miała prysznic, wątpię, żeby miała wykonawcę. – Rachel i Solomon nie patrzą na siebie, żeby nie parsknąć śmiechem.

– Jeżeli nie było wykonawcy, powinien zostać wyznaczony wykonawca spadku. Wykonawcą byłby najbliższy krewny. Mówię ci o tym, bo możesz mieć prawo do tej ziemi i domu, Lauro. Jeżeli gdzieś w banku są pieniądze albo inwestycje czy renta, też mogą należeć do ciebie. Jeżeli chcesz, pomogę ci sprawdzić.

– Dziękuję. – Milknie na dłużej. Zatrzymuje się, pochyla, by zerwać frezję, obraca ją w palcach. Rachel przesuwa się, żeby sfilmować ciemną sylwetkę Laury w promieniach słońca; ostrość jego światła słabnie, a potem rozjarza się za drzewami niczym światło latarni morskiej.

Laura znowu rusza, teraz szybciej.

– Gaga nie miała nikogo. Była jedynaczką. Jej rodzice dawno odeszli. Urodziła się w Leeds, ze szkoły odeszła, mając czternaście lat, pracowała w fabryce, szyła. Przeniosła się do Irlandii, by opiekować się dziećmi pewnej rodziny, niedaleko stąd, ale nie została u nich długo. Tego samego lata, kiedy przyjechała, poznała dziadka... – Patrzy na wyłaniający się dom. Na chwilę traci oddech.

Solomon był gotów, żeby ją podtrzymać, w każdej chwili wyciągnąć rękę, skoczyć do przodu i ją złapać.

Cisza.

Rachel staje za nią. Opuszcza nisko kamerę. Oto dom widziany oczami

Laury.

Solomon chce zobaczyć jej twarz, ale musi trzymać się z tyłu za kamerą. Obserwuje dziewczynę, dostrzega wszystko. To, jak uniosły się jej ramiona i zeszywniały. Palce przestały obracać frezję, która opadła na ziemię koło jej buta. W słuchawkach słyszy jej oddech. Szybki i płytki.

Solomon odrywa wzrok od Laury, by przyjrzeć się otoczeniu. Trawa urosła tak wysoka, że sięga okien. To żadna chatka z bajki: brązowe cegły, płaski dach, drzwi wejściowe i dwa okna po obu stronach. Dom jest kompletnie pozbawiony uroku, a jednak dla Laury to skarbnica bezcennych chwil.

Solomon spodziewa się, że jej słowa będą równie przewidywalne jak słowa Bo, kiedy wzięła do ręki swoją pierwszą nagrodę: „O ja cię, ale ciężka”. Drażnił się z nią, gdy wróciła z pierwszym kawałkiem kryształu w dłoni. Nigdy więcej już tak nie powiedziała, stała się bardziej elokwentna, wyrobiła się towarzysko. Wyobraża sobie zaskoczenie Laury: „Skurczył się, jest mniejszy, niż sobie wyobrażałam” – typowe słowa dorosłego człowieka, który wraca do miejsca ze swojego dzieciństwa. Ale reakcja Laury jest zaskakująca.

– Gaga nie zostawiłaby tego mnie – mówi z przekonaniem dziewczyna. – Bo mnie nie ma w żadnych dokumentach. Wszyscy ludzie, którzy wiedzieli o moim istnieniu, nie żyją. – Przyspiesza kroku i oddala się od nich, idzie wśród wysokiej trawy w stronę domu. Rachel z niepokojem patrzy na Solomona.

– Czy ona właśnie powiedziała, że nikt w ogóle nie ma o niej pojęcia? – pyta cicho Rachel, kiedy robią cięcie.

Bo kiwa głową. Wcale nie jest zaskoczona, ale ma wielkie, rozszerzone z podniecenia źrenice.

– Rozpytywałam w całym miasteczku; nikt, z kim rozmawiałam, nie wiedział, że Isabel Murphy, czy też Isabel Button, bo tak wolała być nazywana, miała dziecko. Właściwie wydawało im się to absurdalne.

Rachel marszczy brwi.

– Czyli kłamie?

Solomon patrzy na Rachel. Początkowo jest wściekły za tę nielojalność, ale potem przypomina sobie, że ona zawsze postępuje racjonalnie, a jej pytanie

takie właśnie było. Lekko panikuje na myśl, że ta kobieta, do której tak się przywiązał (przynajmniej we własnej głowie), mogłaby wszystko sobie zmyślić. To go kompletnie zbiło z pantałyku. Z opresji ratuje go Bo, mówiąc coś, dzięki czemu czuje, że kocha ją jeszcze bardziej.

– Słuchałam wszystkiego, co inni mieli do powiedzenia o tej rodzinie, a uwierz, jest to wariacko popieprzone, i nie chodzi o to, że im nie wierzę, ale wierzę w każde słowo Laury – mówi twardo Bo. Biegnie, by nadążyć za dziewczyną.

Laura naciska klamkę, ale drzwi są zamknięte. Zagląda w okna, w każde po kolei, przyciska twarz do brudnego szkła, ocieniając dłońmi oczy. Szyby są tak brudne, że ledwo można dojrzeć wewnątrz. Idzie na tyły domu.

– Który pokój był twój? – pyta Bo, wyłaniając się tuż za nią.

– Ten.

W pokoju znajdują się żelazne łóżko bez materaca oraz szafa pozbawiona drzwi. Poza tym pusto, ani śladu po Laurze. Solomon próbuje wyczytać coś z jej twarzy, usiłuje znaleźć w tym celu najlepszy kąt, ale Rachel patrzy na niego zniecierpliwiona, bo zasłania jej światło, wchodzi w kadr, więc Solomon wycofuje się.

Wreszcie odkłada swój sprzęt. Ściąga zawiązany w pasie sweter i owija go wokół nadgarstka i łokcia.

Szkło roztrzaskuje się. Bo, Rachel i Laura odwracają się do niego zaskoczone.

– Teraz jest otwarte – mówi. Laura uśmiecha się do niego.

– Opowiedz nam o swoim życiu tutaj, oczywiście jeżeli chcesz – zastrzega Bo, kiedy po obejrzeniu domku zamieszkanego głównie przez szczury siadają na zewnątrz. Bo znajduje urocze miejsce w wysokiej trawie; za plecami mają dom i las. Jest ciepły letni dzień, panuje jednak duchota, jakby nadchodziła burza; po niebie szybko gonią chmury, znikając w innym miejscu, jakby dowiedziały się czegoś, czego nikt inny jeszcze nie wie. W oku kamery wygląda to świetnie. Laura siedzi na stołeczku, Bo przed nią, niewidoczna w kadrze. Po zwykłych wyjaśnieniach, by włączyć pytanie w odpowiedź dla lepszego rytmu narracji, zaczynają.

– Nic się nie zmieniło – mówi Laura, zamykając oczy i wciągając

powietrze. – Wszystko wydaje się takie samo. W każdym razie wtedy, kiedy zamykam oczy.

– Co czujesz, widząc dom w takim stanie?

Laura patrzy na dom jak na coś obcego.

– Nie tak go pamiętam. Nigdy nie był wypucowany, Gaga i mama dbały o niego, ale w inny sposób. Był cały zagracony, zastawiony pojemnikami z różnymi rzeczami: sznurkami, guzikami, ziołami, kamykami, ścinkami tkanin. Wywary, olejki, emocje... – Uśmiecha się, jakby przypomniawszy sobie jakiś dowcip. – Tak właśnie Gaga zawsze mówiła o domu, że we trzy wypełniałyśmy go wywarami, olejkami i emocjami.

– Gaga i twoja mama (mogę na nią mówić Gaga?) zajmowały się szyciem i przeróbkami. Rozmawiałam z tutejszymi mieszkańcami, powiedzieli, że dobrze im się wiodło.

Wczoraj wieczorem i dzisiaj rano Bo nie było w hotelu – prowadziła „badania”. Solomon miał się zająć Laurą, grali więc w karty do powrotu Bo. Wróciła o północy, miała oddech pachnący piwem i ubranie przesiąknięte dymem. Solomon nie ucieszył się z jej powrotu. Pragnął spędzić więcej czasu z Laurą, słuchać, jak naśladuje dźwięk tasowania kart, kostek lodu przesuwających się w jego szklance. To było jak muzyka. W jej towarzystwie odprężał się, czas płynął wolno, bez pośpiechu, bez obaw. Czas był nieistotny, jakby w ogóle nie istniał. Laura nie miała telefonu, który musiałaby co chwila sprawdzać, ani zegarka na ręku. Po prostu była, istniała w czasie teraźniejszym: miękka linia jej ust, jej długie włosy muskające i łaskoczące jego ramię, kiedy sięgała po karty. Jego serce nigdy nie zaznało takiej przyjemności, nigdy tak nie drżało. Tylko z dala od niej pojawia się poczucie winy, porównania do Bo, ciche przerażenie wywołujące zimne dreszcze, narasta wewnętrzny konflikt.

– Dobrze im się wiodło – zgadza się Laura. – Miały sporo stałych klientek, szyły na śluby, komunie, przyjęcia... Wokół tyle dużych rodzin, więc zawsze była jakaś okazja. Kochałam szycie. Korzystały z mojej pomocy przy upinaniu, bo na manekinach nie widać ruchu. Uwielbiałam kręcić piruety w sukienkach, udawać, że to mój ślub albo moje urodziny, one dostawały od tego szału. – Uśmiecha się do swoich wspomnień. – Potem skończyło się szycie, zostały same przeróbki, a potem mama zajmowała się domami różnych starszych ludzi,



którzy mieszkali sami, robiła dla nich zakupy, prała i prasowała, wszystko, co trzeba. Sporo osób mieszkało tu na odludziu. Większość ich dzieci wyprowadziła się do miast, na studia albo do pracy. Nie przyjeżdżały do rodzinnych domów. Gaga i mama miały coraz mniej pracy.

– Czy klienci przychodzili do domu?

– Nie. Tutaj miały warsztat. – Wskazuje na garaż. – Nie lubiły, jak ludzie wchodzili do domu.

– Dlaczego?

– Ceniły sobie prywatność. Nie chciały mieszać pracy z domem.

– Nie chciały, żeby ktokolwiek cię zobaczył, tak?

– Nie.

– Jak myślisz, dlaczego?

– Bo ceniły prywatność.

– Czy możesz włączyć pytanie w odpo...

– Nie chciały, żeby ktoś o mnie wiedział, bo ceniły sobie prywatność – warczy zniecierpliwiona Laura. Wypada to ostro, nie nada się do wykorzystania. Zbyt agresywnie, zbyt defensywnie.

Bo pozwala jej się uspokoić, udając, że sprawdza z Solomonem dźwięk.

– Idealnie. – Solomon mruga do Laury, gdy Bo jest odwrócona tyłem. Rachel patrzy na niego.

– Mam dwa pytania. Jedno ci zadam teraz, drugie zostawię na później. Jak myślisz, co dla ciebie znaczyła wtedy ich potrzeba prywatności?

Laura zastanawia się.

– Widziałam, że są szczęśliwe w swoim towarzystwie. Cały czas rozmawiały i śmiały się. Razem pracowały, razem żyły, siedziały wieczorem do późna, popijając i rozmawiając prawie do rana. Zawsze miały coś do roboty, nowy pomysł, jakąś sukienkę albo przepis. Lubiły planować, omawiać wspaniałe perspektywy. Były cierpliwe, snuły plany, kilka naraz, co sprawiało, że zawsze coś się działo, zawsze się kończył i zaczynał jakiś projekt czy eksperyment, to było jak prezent. Miesiącami marynowały bukowe liście w wódce, miały w spiżarni mnóstwo butelek. – Śmieje się. – Potem wieczorami piły i tańczyły, śpiewały i opowiadały.

Solomonowi przypomina się jego własna rodzina, jest zupełnie taka sama.

– Nie potrzebowały nikogo innego – mówi Laura cicho. Nie uważa się za wyjątkową, chciała tylko podkreślić, jak było wspaniale. – Wystarczało im własne towarzystwo. Myślę, że było to coś w rodzaju romansu. Tylko one dwie.

To kojarzy się Solomonowi z bliźniakami Toolin. Może Isabel i Tom mieli więcej wspólnego, niż ktokolwiek sądził?

– Ty też z nimi siedziałaś do późna? Uczestniczyłaś w tych przyjęciach? – pyta Bo, jej oczy błyszczą, obraz namalowany przez Laurę bardzo jej odpowiada.

– Czasami z nimi siedziałam, a jeżeli nie pozwalano mi tam być, to słuchałam. Jak widzicie, ten dom nie jest duży, a one nie zachowywały się bardzo cicho. – Śmieje się tym swoim pięknym melodyjnym śmiechem. Zagryza wargę i patrzy na Solomona.

Mężczyzna obserwuje ją z dołu, z trawy, swoimi pięknymi, lśniąco-błękitnymi oczami; kosmyk włosów wymyka się i opada mu na oczy, na długie rzęsy. Patrzy na swój sprzęt, przesuwając pokrętło w jedną stronę i z powrotem.

– Opowiedz nam którąś z tych historyjek – prosi Bo.

– Nie – odmawia uprzejmie, acz stanowczo Laura. – To działo się między nimi.

– Ale teraz ich tu nie ma – z figlarnym uśmiechem szepcze konspiracyjnie Bo.

– Są. – Laura zamyka oczy i bierze głęboki wdech. Solomon uśmiecha się. Spogląda na Rachel i widzi jej serdeczny uśmiech i łzy w oczach. Bo daje Laurze chwilę, po czym ciągnie dalej:

– Uczyłaś się w domu.

– Gagę też uczono w domu. Jej ojciec uważał, że nauka dziewczynek to strata czasu, więc nie pozwolił jej iść do szkoły. Mama uczyła ją w domu, potajemnie. Tak samo Gaga postąpiła ze mną.

– Żałujesz, że nie chodziłaś do szkoły?

– Nie. – Śmieje się. – Uważam, że to dzieci, które nie uczą się w domu, wiele tracą. Pamiętam, jak Gaga goniła żabę w rzece. Mówiła, że u mamy

w szkole robili im sekcję, żeby dzieci się nauczyły, jak wyglądają martwe żaby. Ona chciała mi pokazać, jak żyją. – Znowu zagryza dolną wargę; Solomon przygląda się jej wardze, po czym przełyka ślinę. – Niesamowicie to wyglądało, jak za nią biegała. Nie mogę sobie wyobrazić lepszego sposobu na spędzenie popołudnia. Wciąż pamiętam anatomię żaby.

Bo śmieje się wraz z nią. Teraz.

– Wiedziałaś wtedy, że jesteś tajemnicą? Że nikt nie wie o twoim istnieniu?

– Tak, wiedziałam. Zawsze wiedziałam, że jestem sekretem. Nie ufały ludziom. Były ostrożne. Powiedziały, że jeżeli będziemy trzymać się razem, nic się nam nie stanie.

– Jak myślisz, przed czym cię chroniły?

– Przed ludźmi.

– Ludzie je skrzywdzili?

Cisza. Laura szuka odpowiedzi.

– Gdy Gaga i mama były same, stawały się zupełnie inne. Kiedy przychodzili klienci, słyszałam ich głosy, czasami patrzyłam przez okno i ledwo je poznawałam. Nie śmiały się, były konkretne, jak roboty. Nie było w nich nic magicznego. Nie żartowały jak w domu, nie śpiewały i nie śmiały się. Były poważne. Zgaszone. Jakby przywdziewały maski. Nie tylko dlatego, że chodziło o biznes. Strzegły się. Nie ufały ludziom.

– Twoja mama odeszła ze szkoły bardzo wcześnie. Miała czternaście lat. Wiesz dlaczego?

Solomon przygląda się teraz Bo. Jest pewien, że ona coś o tym wie. Czuje to. Jest cała spięta, chociaż usiłuje wyglądać na odprężoną, ale widać, że zwęszyła trop. Bo nie powiedziała Solomonowi, czego dowiedziała się od miejscowych; kiedy wróciła, był zmęczony, niezadowolony, że musiał zostawić Laurę. Chciał od razu iść spać, ale Bo była nabuzowana, nie mogła się uspokoić, krążyła po pokoju, hałasowała, aż w końcu na nią warknął. Powinien był się wtedy domyślić, że jej zachowanie wynika z tego, że dowiedziała się czegoś ważnego dla filmu, ale nie miał ochoty na rozmowę. Teraz też jest zaintrygowany, chociaż czuje jednocześnie, że znalazł się w defensywie, bo u Laury włączył się instynkt obronny. Solomon nie chce, żeby Bo drążyła dalej, jest gotów bronić Laury, jakby to on był po złej stronie.

W rezultacie jest skołowany.

Laura sztywnieje.

– Dziadek wynajmował się do pracy na farmie. Kiedy umarł, Gaga potrzebowała mamy, żeby jej pomagała. Musiały zdobywać pieniądze. Dlatego mama odeszła ze szkoły i Gaga uczyła ją w domu. Więcej szyły i przerabiały. I robiły leki. Naturalne leki, które sprzedawały na targu. Mama mówiła, że dzieci ze szkoły nazywały je czarownicami.

– Czy to ją bolało?

– Nie. Gaga i mama śmiały się z tego. Zaśmiewały się, szykując te swoje wywary. – Uśmiecha się na te wspomnienia.

– Dzieci potrafią być okrutne – mówi łagodnie Bo. – Co jeszcze mówiły do twojej mamy?

Solomon ma ochotę wtrącić: „Nie musisz odpowiadać”. Rachel przygląda się swoim butom, zerkając od czasu do czasu na monitor – jest to znak, że czuje się niezręcznie.

– Mama bardzo się różniła od większości ludzi – mówi Laura z namysłem, powoli, bardzo starannie dobierając słowa. – To Gaga podejmowała ważne decyzje. Mama była zadowolona, że Gaga wszystkim rządzi – stwierdza dyplomatycznie. – Mama robiła wszystko we własnym tempie. Jeżeli chcecie wiedzieć, niektóre dzieci wołały na nią: głupia, bo za wolno myślała. Mama mi o tym powiedziała. Ale ona nie była głupia. To takie nieprecyzyjne słowo. Myślała wolniej, musiała się uczyć w inny sposób, to wszystko.

Kiedy język ciała Laury sygnalizuje, że dziewczyna chce się wycofać, Bo zmienia temat.

– Jak wylądowałaś w domku Toolinów?

– Mama zachorowała, bardzo poważnie, w 2005 roku. Do lekarzy nie chodziłyśmy, Gaga i mama nie wierzyły w ich lekarstwa, wołały robić własne, naturalne i rzadko chorowały, ale kiedy stwierdziły, że z mamą jest naprawdę źle i ich środki nie pomogą, poszły do doktora, a on je odesłał do szpitala. Miała raka jelita. Odmówiła leczenia w szpitalu, powiedziała, że woli odejść naturalnie, jak przyszła. Więc opiekowałyśmy się nią z Gagą.

– Ile miałaś lat? – pyta łagodnie Bo.

– Czternaście, kiedy postawiono diagnozę, piętnaście, kiedy umarła.

– Przykro mi – mówi szeptem Bo i zawiesza głos, aby okazać szacunek.

Przelatuje nad nimi ptak, gdzieś niedaleko słycać muchę. Laura naśladuje ich odgłosy, ujawniając w ten sposób swoje zdenerwowanie, i usiłuje wziąć się w garść.

– Czyli potem mieszkaliście tu same, ty i Gaga. Powiedz mi, jak wtedy było.

– Gaga nie miała łatwo, bo sama musiała zajmować się przeróbkami. Pomagałam jej, ale wciąż się uczyłam, wiele nie potrafiłam. Miała problemy z palcami, artretyzm, palce były niesprawne i nie mogła już szyć, przynajmniej nie tak szybko. Klientów też było coraz mniej. Wcześniej dochodziły jeszcze zarobki mamy, ale jej zleceń ja nie mogłam przejąć.

– Nawet jak miałaś piętnaście lat, nie mogłaś rozmawiać z klientami? Nie mogłaś pokazać się światu?

– A jak by Gaga wytłumaczyła, skąd się nagle wzięłam? – pyta Laura. – Nie mogła. Próbowwała wymyślić jakiś sposób, ale źle to wychodziło. Strasznie ją to denerwowało. Nie chciała kłamać. Martwiła się, że się zapłacze, zapomni, co miała mówić. Pamięć już jej nie służyła. Uważała, że w wieku piętnastu lat nadal jestem zbyt bezbronna, wciąż byłam dzieckiem.

– Czego się tak bała, Lauro?

Znowu to pytanie, ale tym razem wydaje się Solomonowi uzasadnione. Sam też chciałby wiedzieć. Ale Laura się zamyka, a Bo nie naciska.

– Nigdy nie pytałaś o swojego ojca?

Laura spuszcza wzrok pod uważnym spojrzeniem Solomona, jej oczy lśnią jak szmaragdy, jakby odbijała się w nich zielona trawa, w której siedzi. Chciałby przesunąć palcem po jej policzku, podbródku, wargach. Odwraca wzrok.

– Nie. – A potem, jakby przypominając sobie wskazówki Bo, zaczyna od nowa: – Nigdy nie pytałam, kto jest moim ojcem – mówi cicho. – Nigdy nie pytałam, bo to nie było dla mnie ważne. Czułam, że nie miało znaczenia, kim był. Wszystkich, których potrzebowałam, miałam przy sobie.

Rachel zaciska wargi, wyraźnie poruszona.

– A po śmierci mamy?

– Był moment, gdy po odejściu mamy zastanawiałam się, czy powinnam była ją wypytać, wydawało mi się, że inaczej nie będę mogła się dowiedzieć. Pewnie nigdy nie będę miała pewności, ale byłam przekonana, że Gaga mi nie powie. Jeżeli mama sama postanowiła mi tego nie mówić, dobrze wiedziałam, że Gaga uszanuje jej decyzję. Może to nie brzmi sensownie, ale nie zaprzętałam sobie głowy jakimś ojcem. To nie było ważne.

Zastanawia się przez chwilę.

– Myślałam o nim, kiedy dostrzegałam, że Gaga jest coraz starsza, kiedy zaczęło do mnie docierać, że zostanę sama. Zaskoczyło mnie, że starzeje się tak szybko. Były z mamą nierozzerwalnie zespolone. Potrzebowały tylko siebie nawzajem i to było piękne, bo one się naprawdę potrzebowały. Żyły sobą nawzajem. Kiedy mama umarła, Gaga też zaczęła odchodzić. I wiedziała o tym. Dlatego zaczęła się o mnie martwić. Próbowwała coś zaplanować. Nie spała, wiem, że to jej nie dawało spokoju.

– Przedtem nie robiły w związku z tobą żadnych planów?

– Nigdy nie pytałam. – Laura przełyka ślinę. – Ale mama nie robiła planów. To Gaga planowała, mama pomagała je wykonać. Wydaje mi się, że mama byłaby zadowolona z tego, co się w końcu stało. Wiem, że to brzmi dziwnie, jakbyśmy się nie komunikowały ze sobą, ale to nie tak. Żyłyśmy ze sobą tak blisko, że słowa nie wydawały się potrzebne, każda z nas wiedziała, co myśli ta druga, nie trzeba było pytać. – Patrzy na Bo, zawstydzona.

– Rozumiem – mówi Bo szczerze, chociaż Solomon nie jest o tym przekonany. Przecież Bo o wszystko musi pytać. – No to kiedy się dowiedziałaś, że Tom jest twoim ojcem?

– Kiedy Gaga wymyśliła ten plan z moją przeprowadzką do domku. Wyjaśniła mi, że Tom Toolin jest moim ojcem i że o mnie nie wiedział. Spotkała się z nim, a on się zgodził, żebym mieszkała na jego ziemi. Powiedziała, że on ma brata bliźniaka, który nie może się o tym dowiedzieć. To była jedyna prośba Toma.

– Co o tym myślałaś? – pyta Bo, a ton jej głosu jasno dowodzi, że czuje się oburzona w imieniu Laury.

– Byłam przyzwyczajona do dochowywania tajemnic. – Uśmiecha się lekko, ale w jej oczach widać smutek.

Bo postanawia zostawić temat Toma i nowego życia Laury na zboczu góry.

– Mieszkałaś tu szesnaście lat, zanim przeniosłaś się do domku. Nigdy nie chciałaś wyjść z domu? Odejść stąd?

– Przecież wychodziłam, nieraz – odpowiada Laura, a jej twarz się rozjaśnia. – Zanim mama zachorowała. Jeździłyśmy na wakacje do Dingle. Pływałam w Clogherhead, raz mało nie utonąłam – śmieje się. – Pojechałyśmy też do Donegal. Obie lubiły łowić ryby. Łapały ryby, oprawiały je i gotowały. Robiły olejki rybne.

– Czyli wychodziłaś? – pyta Bo, zaskoczona.

– Nie zamykały mnie w domu. – Laura się uśmiecha, ubawiona jej reakcją. – Wręcz odwrotnie. Dawały mi wolność. Mogłam być tym, kim chciałam, nikt mnie nie osądzał ani nie mówił mi, co mam robić. Nie wydaje mi się, żeby to było poświęcenie z mojej strony. Na przeróbki ludzie się umawiali, one nie życzyły sobie wizyt bez zapowiedzi, więc wiedziałyśmy, że mogę się bawić, gdzie mi się podoba, dopóki nie przyjdą klienci. Przychodzili, kiedy w domu odrabiałam lekcje.

– Ale nigdy nie zdawałaś egzaminów.

– Państwowych nie.

– Bo państwo cię nie uznawało.

– Nie wiedzieli, że się urodziłam – stwierdza prostolinijnie Laura. – To co innego. Mama urodziła mnie tutaj, w domu. Nie zarejestrowała mnie.

– Jak myślisz, dlaczego zachowała cię w tajemnicy? Ukryła przed światem?

I znowu to pytanie.

– Mama nie ukrywała mnie przed światem. Cały czas tu byłam, w świecie – oznajmia zdecydowanie Laura.

Bo odczekuje chwilę, zwalnia.

– Wcześniej zadałam ci pytanie: jak myślisz, dlaczego twoja mama i Gaga trzymały cię w ukryciu, kiedy byłaś młodsza? Odpowiedziałaś, ale teraz chcę wiedzieć, co sądzisz o tym jako dorosła kobieta, gdy Gaga i mama nie żyją: dlaczego trzymały cię w ukryciu? Czy jest różnica?

Laura nie zamyka się w sobie natychmiast, tak jak przedtem. Tu chodzi o sposób, w jaki Bo to ujęła, podkreśliła, że Laura jest dorosłą kobietą, nie

jest już dzieckiem, jej matki i babci już nie ma, nie musi więcej ich bronić ani przed nimi odpowiadać. Teraz może mieć własne zdanie.

Warczy, ale nie na kogoś konkretnego; ma poczucie zagrożenia. Potem rozlega się dźwięk tłuczonego szkła. Walkie-talkie, radiowy szum. Nie wiadomo, czy w ogóle zauważa, że wydała te dźwięki.

– Wtedy wydawało mi się, że były szczęśliwe, zadowolone, chociaż nieufne. Kiedy teraz o tym myślę, mam wrażenie, że chyba się bały.

Bo niemal wstrzymuje oddech.

– Bały się, że ktoś im mnie odbierze. Bały się, że zostaną uznane za niezdolne do opieki nad dzieckiem. Krążyły... plotki. – Tłukące się szkło, ten sam szum radiowy. – Ludzie o nich plotkowali. Były czarownicami, były wariatkami. Pozwalali im szyć sobie sukienki czy przerabiać ubrania, ale nie zapraszali ich na te przyjęcia czy wesela. Były outsiderkami.

– A to dlaczego? – pyta Bo łagodnie.

– Gaga mówiła, że nigdy tak naprawdę nie pasowała do tych ludzi, odkąd tu przyjechała. Ale kochała mojego dziadka, więc została, próbowała. Ale było coraz gorzej. Plotki stawały się coraz wredniejsze.

– Kiedy?

Laura zastanawia się.

– Po śmierci dziadka – mówi i zamyka się w sobie.

A potem, jakby chciała mówić dalej albo po prostu była zmęczona pytaniami, które i tak nieuchronnie by padły, kontynuuje:

– Zdrowie Gagi pogorszyło się po śmierci mamy. Nie chciała, żebym została sama. Chciała, żebym była w bezpiecznym miejscu, wciąż to powtarzała. Czasami budziła mnie w środku nocy, żeby mi o tym powiedzieć, widziałam, że wciąż nie daje jej to spokoju. – Urywa na chwilę. – Czytałam kiedyś, że budowanie gniazd bierze się stąd, że ciężarne samice mają biologiczną potrzebę chronienia swojego potomstwa lub siebie przed niebezpieczeństwem. Gniazda mają chronić jaja przed drapieżnikami, ukrywać je. I wierzę, że to właśnie robiły Gaga i mama. Ta chatka, dokąd mnie Gaga zaprowadziła, była jej ptasim gniazdem. Z dala od niebezpieczeństwa i blisko ojca. Zrobiła, co mogła.

Cisza.



– Dlaczego zostałam w chatce? Lauro, masz teraz dwadzieścia sześć lat, mogłaś odejść dawno temu. Jesteś dorosła, nie musisz się martwić, że gdzieś cię zabiorą.

Laura spogląda na Solomona. Bo to dostrzega. Solomon nie spuszcza z Laury oczu. Nie przejmuje się tym, przerwanie kontaktu wzrokowego byłoby nieuprzejmością teraz, kiedy wysłuchali jej historii. Poza tym jakiś magnetyzm przyciąga go do niej.

– Zostałam z tych samych powodów, dla których mama i Gaga postępowały tak, jak postępowały. Bo byłam tu szczęśliwa. Bo bałam się odejść.

– Teraz się nie boisz. Czy to w związku ze śmiercią Toma? Czy jesteś już gotowa na zmianę? – Bo bombarduje ją pytaniami, zachęcając do dalszych zwierzeń.

– Zmiany zachodzą ciągle, nawet na górze. Trzeba się zmieniać razem z nimi – odpowiada, a jej głos jest głębszy, naśladuje teraz Gagę. Bo i Rachel słyszą to po raz pierwszy, otwierają szeroko oczy, bo wydaje się, że inna osoba opanowała ciało Laury. – Szukałam tego, co miały wspólnego Gaga z mamą. Tom z Joem. Trzeba mieć tę jedną zaufaną osobę.

Podnosi wzrok na Solomona; jego serce wali tak mocno, że mężczyzna boi się, że mikrofon to wyłapie.

## 11

W sobotę rano cała czwórka zasiada do śniadania w hotelowej restauracji. Laura rozgląda się, jej oczy zdradzają osobę, która nieczęsto bywa w lokalach, a może nawet nigdy.

– Dzień dobry, co państwo zamawiają? – pyta kelnerka.

Nie wymawia R, zamiast tego wychodzi jej Ł.

Laura obserwuje ją, zafascynowana, jej wargi układają się, by wydobyć ten sam dźwięk.

Solomon przygląda jej się z nadzieją, że nie powie tego za głośno.

– Poproszę... – mówi donośnie Rachel, która gotowa jest zjeść nogę od stołu. Pierwsza recytuje swoje zamówienie.

– Może powtórzę: dwie kielbaski, dwa jajka, dwa pomidory, pieczarki, dwie porcje szynki... Szynka jest od Rafferty’ego, to miejscowy farmer. Jest znakomita. Zdobywa nagrody.

– Połcje – odzywa się nagle Laura, idealnie naśladowując kelnerkę. Nawet na nią nie patrzy, smaruje masłem swój tost i mówi, jakby nie zauważała, że z jej ust wychodzą jakieś słowa. – Pomidoły... pieczałki.

Kelnerka przerywa przyjmowanie zamówień i gapi się na Laurę. Bo ani trochę nie współczuje kelnerce, obserwuje tylko, rozbawiona i zaintrygowana, pragnąc być świadkiem tej sceny, tak jak Rachel pragnie swojego podwójnego śniadania. Solomon czuje, jak pot spływa mu po plecach, tak niezręczna jest ta sytuacja.

– Łaffełty – mówi Laura.

– Ona pani wcale nie przedrzeźnia – wtrąca zakłopotany Solomon. Widzi, że jego towarzyszki się dziwią, że w ogóle o tym wspomina.

Złość, która pojawiła się w oczach kelnerki, znika, dziewczyna patrzy teraz na Laurę inaczej. Po chwili Solomon zdaje sobie sprawę z tego, że uznała z kolei, iż z Laurą jest coś nie w porządku.

– Nie, ona nie jest... wie pani... Uczy się. To dla niej nowy dźwięk. Ona... – Spogląda na Laurę, która patrzy na niego z rozbawieniem. Jakby to on był zabawny.

– No dobrze, jeżeli będą państwo jeszcze czegoś potrzebowali, proszę dać znać. Zaraz przekażę do kuchni zamówienie. – Kelnerka uśmiecha się do Rachel.

Laura nie może się powstrzymać, mówi „płoszę”, idealnie imitując głos kelnerki. Rachel wygląda tak, jakby próby powstrzymania nerwowego śmiechu sprawiały jej okropny ból.

– Przestań – karci ją cicho Bo.

– Wiem, nie mogę, sorry – odpowiada poważnie Rachel, a potem znowu zaczyna, niczym Jekyll i Hyde, w jednym momencie przechodząc od powagi do rozbawienia.

Kelnerka odchodzi od stołu, niepewna, czy Laura jest upośledzona, czy może to z niej się śmieją.

– Napluje ci w cappuccino – mówi Solomon, smarując masłem tost.

– Dlaczego się śmiałaś? – pyta Laura Rachel.

– Nie mogłam się powstrzymać. – Ociera serwetką pot z czoła. – Zawsze to robię w trudnych chwilach. Od dziecka tak mam. Najgorsze są pogrzeby.

Laura uśmiecha się.

– Śmiejesz się na pogrzebach?

– Cały czas.

– Nawet Toma?

Rachel patrzy na nią z powagą.

– Tak.

Solomon kręci głową.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Dlaczego się śmiałaś? – pyta zaciekawiona Laura; wcale nie ma o to do Rachel pretensji.

– Bridget pierdnęła – wyjaśnia Rachel.

– Nie, no, daj spokój – mówi Solomon, znowu kręcąc głową.

– Rachel! – strofuje ją zdegustowana Bo.

– Laura zadała mi pytanie, więc szczerze jej odpowiadam. Siedziałam tuż za Bridget. Kiedy wstała, żeby klęknąć, właśnie wtedy, mały pierd. – Rachel ilustruje to dźwiękiem.

Laura idealnie naśladuje za Rachel dźwięk pierdnięcia, więc Rachel śmieje się jeszcze głośniej. Bo i Solomon dołączają mimo woli.

– To się nazywa rotacyzm – mówi Solomon, kiedy śmiech już cichnie.

– Co? – pyta Bo; nie rozumie, przegląda maile w telefonie.

– To „r” kelnerki. Miałem to jako dziecko – mówi do Laury.

Bo podnosi wzrok, zaskoczona.

– Nigdy mi nie mówiłeś.

Solomon wzrusza ramionami, a jego policzki czerwienią się na to wspomnienie.

– Do siódmego roku życia musiałem chodzić do logopedy, żeby się tego pozbyć. Moi bracia do dziś nie dają mi o tym zapomnieć, nie mam przez

to spokoju. Na mojego brata Rory'ego do dziś mówią Łoły.

– Zawsze się zastanawiałam, dlaczego tak go nazywają – mówi Bo ze śmiechem. – Myślałam, że dlatego, bo jest najmłodszy.

– Bo tak. Mój mały Łoły – mówi Solomon i teraz śmieją się wszyscy.

Nagle włącza się urządzenie do parzenia kawy, żeby zagrzać mleko. Laura podskakuje, słysząc ten dźwięk, rozgląda się za jego źródłem, jednocześnie go naśladowując.

– Co ona robi? – pyta cicho Bo.

– Zaparza, moim zdaniem – odpowiada Rachel.

– Rany! – Bo chwytą za telefon i nagrywa. Ludzie jedzący przy sąsiednim stole odwracają się i patrzą na nich, dwójka dzieci wgapia się w Laurę z otwartymi buziemi.

– Nie gapić się – mówi cicho i spokojnie ich matka, przez cały czas obserwując Laurę znad swojej filiżanki.

Solomon ledwo się powstrzymuje, by nie powiedzieć tym ludziom, że z Laurą wszystko jest „w porządku”.

– To automat do kawy – wyjaśnia, kładąc dłoń na ramieniu Laury, aby ją pohamować, uspokoić.

Patrzy na niego, źrenice ma rozszerzone, jest wystraszona.

Solomon wskazuje na ladę po drugiej stronie sali.

– To maszyna do parzenia kawy. Grzeje mleko do latte albo cappuccino.

Obserwuje ją: Laura znowu naśladowuje dźwięk, aż w końcu przyzwyczajają się i odwraca do stołu. Dzieci wracają do swoich gier komputerowych.

Laura skupia się na nich, naśladowuje piski, strzały. Jeden z chłopców odkłada swoją grę i klęka na krześle, by spojrzeć na nią nad oparciem. Laura uśmiecha się do niego, ale gdy chłopiec dostrzega, że został zauważony, szybko siada z powrotem. Matka każe dzieciom wyłączyć dźwięki.

Kelnerka przynosi jedzenie. Pełne irlandzkie śniadanie dla Solomona i Rachel, grejpfrut dla Bo, która w ogóle go nie dostrzega, stukając w swój telefon, a dla Laury dwa gotowane jajka.

– Dziękuję – mówi do nieufnej kobiety.

Zapada cisza, gdy zabierają się za jedzenie, potem Laura patrzy na talerz Rachel, przygląda się jego zawartości i naśladuje kelnerkę tak doskonale, tak zupełnie niewinnie, bez śladu złośliwości czy kpiny:

– Szynka Łaffełty’ego.

Cała trójka parska śmiechem.

– Sądzę, że naprawdę powinnam pojechać z wami do Galway – mówi nagle Bo, kiedy się wymeldowują. Laura pomaga Rachel nieść torby do samochodu, Solomon i Bo są sami przy recepcji.

– Pierwszy raz słyszę, żebyś tak mówiła, gdy chodzi o moją rodzinę – żartuje lekko Solomon, chociaż to prawda. Kiedy Laura wychodzi z hotelu, przeczesuje palcami włosy Bo.

Ta uśmiecha się i spogląda na niego, obejmując go w pasie.

– Twoja rodzina mnie nienawidzi.

– Nienawidzi to za mocno powiedziane. – Całuje ją delikatnie. – Moja rodzina cię nie lubi.

Solomon śmieje się.

– Powinieneś skłamać i powiedzieć, że mnie uwielbiają.

– Uwielbiają to za mocno powiedziane.

Uśmiechają się do siebie.

– Solomon, uważam, że tworzymy coś wyjątkowego.

– Jak romantycznie, Bo. – Naśladuje jej rozmarzony ton, dobrze wiedząc, że mówi o Laurze, nie o ich związku.

Bo znowu się śmieje.

– Uważam, że powinniśmy filmować wyjazd do Galway. Laura po raz pierwszy wychodzi na świat, a nas przy tym nie ma. Jak dzisiaj rano przy śniadaniu, to jest bezcenne. Ona jest jednoosobową ścieżką dźwiękową.

– Wiesz, dlaczego nie możemy tego filmować? – Wzrusza ramionami i się odsuwa, nagle niezadowolony z zachłanności Bo. – Nie jesteśmy gotowi. Rachel musi wracać do domu, ty masz ten swój superwykład na uniwerku. Powrót studentki marnotrawnej.

Bo jęczy.

– Gdyby nie ten wykład, pojechałabym z wami.

– Pamiętam, że specjalnie zaklepałaś tę datę, żeby nie musieć jechać na urodziny mojej mamy.

– Prawda.

– Jak Kuba Bogu...

Śmieje się.

– Nie jestem dobra w sprawach rodzinnych. Pochodzę z nieobytej towarzysko czteroosobowej rodziny. Całe to ćwierkanie, tańce i śpiewy, wyrażanie uczuć mnie denerwuje.

Solomon ma trzech braci i jedną siostrę, wszyscy przyjadą na ten weekend, niektórzy z partnerami, żonami, dziećmi. Do tego dochodzą wujowie, ciotki i kuzyni, nie licząc nawet zwariowanych sąsiadów i przypadkowych ludzi, którzy wpadają, bo przechodząc obok, słyszą muzykę. Jest to hałaśliwe, męczące dla osób nieprzyzwyczajonych do takich spotkań, a Bo ze swoim charakterem z wielkim trudem wytrzymałaby niecichnący gwar przez cały weekend. On czuje się równie niezręcznie w jej podmiejskim domu. Tam jest zbyt cicho, trzeba uważać na słowa, silić się na uprzejmości. Rodzina Solomona opowiada o wszystkim – to jedna ożywiona dyskusja obejmująca aktualną politykę, aktualne sprawy, sport i to, co się dzieje w łózkach w sąsiednim domu. Jego rodzina nie znosi ciszy. Cisza używana jest wyłącznie jako dramatyczny przerywnik w opowieści. Słowa, muzyka czy piosenki zostały stworzone do wyeliminowania cichych pauz.

Ale prawda jest też taka, że Solomonowi w najmniejszym stopniu nie przeszkadza, że Bo do nich nie dołączy. Właściwie to bez niej będzie łatwiej, a w każdym razie byłoby, gdyby nie jechała z nim Laura.

– Nie sądzę, żeby Laura całkiem się zmieniła do poniedziałku, kiedy zaczniemy znowu kręcić. Nadal będzie wydawała te dźwięki – mówi.

– Myślisz?

– Tak. To część jej natury.

– Może moglibyśmy jej pomóc, skierować ją do kogoś. Filmować jej terapię czy coś – odpowiada Bo, przekształcając się znowu w producentkę. – W ramach ogólnej zmiany życia. Do tego dokumentu można podejść na tyle

sposobów, że naprawdę muszę to jakoś uporządkować w głowie.

– Dlaczego miałyby chcieć pozbyć się tych dźwięków? – pyta Solomon.

Bo patrzy na niego, nie rozumiejąc.

Solomon słyszy, jak wraca Rachel, Bo cmoka go jeszcze raz i odsuwa się.

– Nie zostałeś z nią tutaj? – zagaduje. – Poczekać na jej pierwszy raz we wszystkim, zanim wrócę?

Serce Solomona przyspiesza po tej uwadze, mężczyzna usiłuje ocenić ton Bo. Źle zrozumiał – oczywiście nie chodzi jej o ten pierwszy raz Laury, o ile byłby to jej pierwszy raz. Ale myślał o tym dużo i doszedł do wniosku, że musi być dziewicą, skoro mieszkała sama w domku od szesnastego roku życia. A przedtem w jej życiu nikogo nie było? Powiedziałaaby przecież. Usiłuje ukryć, jak podziały na niego słowa Bo.

Odchrząkuje.

– Nie opuszczę siedemdziesiątych urodzin mamy. – Jego głos brzmi spokojnie. – Laura może jechać z tobą do Dublina, jeśli ci na tym zależy. Możesz sama obserwować jej postępy. – Gdy tylko to powiedział, od razu zapragnął to odwołać. Serce bije mu jeszcze mocniej, kiedy czeka na odpowiedź, ale psychologiczny podstęp chwycił. Bo wygląda na przerażoną, jak młoda matka na myśl o pozostaniu pierwszy raz sam na sam ze swoim niemowlęciem.

– Nie, lepiej niech będzie z tobą. Woli ciebie.

On ukrywa ulgę, a ona strach. Zastanawia się, czy potrafi go przejrzeć równie łatwo jak on ją.

Solomon odwozi Bo i Rachel na stację. Początkowy plan był taki, że Bo i Rachel pojedą do Dublina samochodem, a Solomon złapie autobus do Galway, ale wspólnie doszli do wniosku, że trzygodzinna jazda z Laurą w zatłoczonym autobusie pełnym nowych dźwięków nie jest najlepszym sposobem na podróż. W drodze na stację Rachel i Laura siedzą razem i świetnie się dogadują – ich rozmowa jest prosta i łatwa.

– Pokazałaś, że masz miękkie serce – żartuje Solomon, gdy rozładowują samochód, pomagając Rachel z jej sprzętem. – To pewnie przez to nadchodzące macierzyństwo. Hormony.

– Nie przesadzaj, dobrze? – mówi szorstko Rachel.

– Poważnie. Laura cię lubi – zapewnia Solomon.

– Tak. Ale ciebie lubi bardziej – stwierdza Rachel, rzucając mu wiele mówiące spojrzenie. Ostrzegawcze spojrzenie. – Bądź grzeczny.  
Do zobaczenia w poniedziałek.



## 12

– Mamo. Tu Solomon.

– Cześć, skarbie, wszystko w porządku?

– Tak. W porządku... Ehhh. Jestem w drodze do was i wiozę kogoś ze sobą.

– I? – Ten nieufny ton, chociaż ze wszystkich członków rodziny ona najbardziej próbuje go ukryć. Zawsze starała się okazywać szacunek jego różnym drugim połowom, których nie polubiła.

– Nie, wcale nie Bo, bardzo jej przykro, ale nie mogła się wykręcić od tego wykładu. To dla niej wielki zaszczyt, nie mogła odmówić – wyjaśnia, usiłując usprawiedliwić ją na wszelkie sposoby, chociaż nie ma pojęcia, po co zadaje sobie tyle trudu: zawsze kogoś przeprosza w czyimś imieniu, a nikogo z tych osób to przecież nie interesuje.

– Oczywiście, oczywiście, jest zbyt zajęta.

– Nie chodzi o to, że jest zbyt zajęta, tylko że to jest ważne. Co nie znaczy, że twoje urodziny też nie są ważne... – Wycofuje się.

– Solomon, kochanie. – Słyszy uśmiech w jej głosie. – Nie martw się. Za bardzo się przejmujesz, zupełnie niepotrzebnie. Kogo przywozisz? Może spać z tobą w pokoju? Trochę mi brakuje miejsca. – Zniża głos. – Maurice przyjechał z Fioną i trójką swoich dzieci. Ja rozumiem, wdowiec i w ogóle, ale trójka dzieci. Położyłam ich w pokoju, gdzie mieli być Paddy i Moira, ale Moira nie mogła przyjechać. Znowu kręgosłup. Paddy śpi z Jackiem i nie jest zadowolony, wiesz, że oni się nie dogadują, ale co innego miałam zrobić?

Solomon uśmiecha się.

– Nie martw się. Powinni się cieszyć, że w ogóle tam są. Mogę spać u Pata.

– Nie będziesz spać u Pata, kiedy tu jest twój własny pokój i twój dom. Nie chcę o tym słyszeć.

– Mamo, przywożę dziewczynę. A to ci trochę utrudni sprawy. Jeżeli ci zależy, żebyśmy mieszkali w naszym domu, może spać w moim pokoju, a ja

się prześpię na kanapie.

– Żaden mój syn nie będzie spał na kanapie. Kto to jest, Solomon?

– Laura. Laura Button. Nie znasz jej. Jest z Macroom. Kręcimy o niej nowy dokument. Ma dwadzieścia sześć lat. I nie jesteśmy razem.

Pauza.

– Mogę ją położyć w pokoju Cary.

– Nie, mam, naprawdę nie musisz. Może spać u mnie. A ja na kanapie. Lepiej, jak będzie miała pokój dla siebie.

– Nikt nie będzie spał na kanapie – oznajmia matka twardo. – A zwłaszcza mój własny syn. Nie po to planowałam od roku przyjęcie, żeby ludzie mi się tu walali po kanapach.

Jako właścicielka ośmiopokojowego pensjonatu matka Solomona jest opiekuńcza, karmi wszystkich gości i dba o ich wygodę, zapominając niemal o własnej. O sobie zawsze myśli na końcu. Chętnie wita każdego, ale ma też staroświeckie zasady: żadne z jej dzieci nie może dzielić pokoju z chłopakiem czy dziewczyną aż do ślubu.

– Kiedy ją poznasz, zrozumiesz. Jest inna.

– Inna?

– Nie w ten sposób. – Jest rozbawiony.

– Zobaczymy – stwierdza matka pogodnie, ukrywając śmiech. – Zobaczymy.

Solomon żegna się z matką. Rzeczywiście: zobaczą. Laura stoi koło pachołków wyznaczających teren robót drogowych; czterech mężczyzn w kurtkach odbłaskowych i dzinsach zjeżdżających do połowy tyłka usiłuje pracować, podczas gdy ona naśladuje dźwięk młota pneumatycznego.

Kiedy zauważa, że Solomon skończył rozmawiać, dołącza do niego. Jest bardzo zadowolona: jej naśladownictwo jest doskonałe.

– Wsiadamy do auta i jedziemy dalej do Galway, ale jeśli chciałabyś się zatrzymać i obejrzeć coś jeszcze albo posłuchać, nie ma sprawy. W ogóle się nie krępuj, im dłużej będziemy jechali, tym później tam dotrzemy.

Uśmiecha się.

– Masz szczęście, że masz rodzinę, Sol – odzywa się Laura głosem Bo.

– Powiedz to po swojemu – prosi.

– Solomon – mówi, a on się uśmiecha.

Za każdym razem, gdy tworzy z nią więź, musi potem celowo ją zrywać. To zdarza się często. A właśnie podczas procesu odrywania jego duszy od niej ona naśladuje jego zakłopotane chrząknięcie, a on się śmieje.

Wracają do samochodu. Solomon zostawił go w niebezpiecznym miejscu; wyskoczyła z niego na czerwonym świetle, by przyswoić dźwięk, jaki wydawał młot.

– Co to jest lirogon? – pyta w czasie jazdy.

Solomon zerka na nią, po czym znowu patrzy na drogę.

– Słyszałam, jak Bo mówiła to słowo przez telefon. Znalazła lirogon. To ja?

– Tak.

– Dlaczego tak mnie nazywa?

– To jest tytuł filmu. Lirogon to ptak, który żyje w Australii i słynie z naśladowania dźwięków. – Naprawdę chciałby powiedzieć, że „to jedno z najpiękniejszych, najbardziej wyjątkowych i najbardziej inteligentnych dzikich stworzeń na ziemi”. Zamierzał jej o tym powiedzieć, ale teraz nie może wydobyć z siebie odpowiednich słów. Spędził sporo czasu na lekturze opisującej tego dziwnego ptaka, odkąd Bo podjęła decyzję co do tytułu. Solomon po raz pierwszy wspomniął Laurze o jej naśladownictwie, teraz się denerwuje, że dziewczyna może się obrazić za to porównanie. Jak na razie nie dała po sobie poznać, że jest świadoma wydawanych przez siebie dźwięków, nawet kiedy zebrał się wokół niej tłum gapiów, którzy obserwowali, jak imituje młot pneumatyczny.

– Zobacz. – Solomon przeszukuje swój telefon, trzymając kierownicę jedną ręką i patrząc na drogę jednym okiem. Pokazuje Laurze krótki filmik o lirogonie, który znalazł na YouTube. Z trudem usiłuje obserwować jej reakcję, prowadząc samochód. Myśli, że Bo będzie na niego zła, ponieważ nie uchwycił tej chwili kamerą. Uśmiecha się, widząc, jak ptak naśladuje inne ptaki z platformy, którą zbudował sobie w lesie.

– Dlaczego to robi? – pyta Laura, a Solomona intryguje to pytanie. Bardzo chciałby zapytać ją o to samo.

– Żeby przyciągnąć partnerkę – wyjaśnia.

Laura spogląda na niego, a on przez te oczy o mało nie uderza w samochód, który zatrzymał się przed nimi na światłach. Odchrząkuje i wciska mocno hamulec.

– Samiec lirogona śpiewa w okresie godowym. Buduje w lesie coś w rodzaju kopca, tańczy na nim, wydając przy tym dźwięki, które przypominają odgłosy otoczenia. Samice przyciąga taki dźwięk.

– Czyli jestem samcem szukającym towarzystwa – stwierdza Laura, marszcząc brwi.

– Powiedzmy, że to *licentia poetica*.

Ogląda jeszcze kawałek filmu, a kiedy ptak zaczyna naśladować dźwięk piły łańcuchowej, a potem migawki aparatu, wybucha śmiechem tak głośnym, jakiego Solomon nigdy u niej nie słyszał.

– Kto wymyślił, żeby tak mnie nazwać? – Laura chichocze, ocierając łzy z oczu.

– Ja – mówi niepewnie Solomon, biorąc od niej telefon.

– Ja. – Naśladuje go idealnie, a po krótkiej pauzie, gdy on się zastanawia, o czym dziewczyna myśli, dodaje: – Znalazłeś mnie. Nazwałeś mnie.

Solomon krzywi się na te słowa.

– Czytałam książkę o Indianach – ciągnie Laura. – Wierzą, że nadanie imienia może wzbogacić poczucie tożsamości. Imię człowieka może się zmieniać w ciągu całego jego życia, tak jak on sam się zmienia. Wierzą, że przydomki umożliwiają zdobycie wiedzy nie tylko o człowieku, ale i o tym, jak inni go widzą. Ludzie stają się podwójną soczewką, już nie są jednostronnym lustrem.

Solomon chłonie każde jej słowo.

Nagle Laura wydaje odgłos klaksonu, co go dezorientuje, dopóki nie dociera do niego agresywne trąbienie samochodu za nimi. Światła zmieniły się na zielone, a on był zasłuchany w jej słowa. Szybko rusza, gdy akurat zmieniają się znowu na pomarańczowe, zostawiając za sobą wściekłego kierowcę.

– Usiłuję powiedzieć – Laura się uśmiecha – że mi się podoba. Jestem

Lirogonem.

## 13

– Och, Solomon, jaka śliczna! – oznajmia Marie, matka Solomona, witając go przed domem tak, jakby właśnie przyniósł pierworodnego ze szpitala. Ściska syna, ale ani na chwilę nie odrywa oczu od Laury. Jest wręcz zaskoczona, albo może zabrakło jej tchu w piersi. – No popatrz tylko! – Ujmuje dłonie Laury, nie zwracając uwagi na syna. – Istny aniołek. Musimy się tobą dobrze zaopiekować. – Przyciąga ją do siebie i obejmuje ramieniem.

Solomon wnosi bagaże do środka razem ze swoim ojcem Finbarem, który daje mu takiego szturchańca w żebra, że ten aż upuszcza torbę. Finbar śmieje się i wyprzedza syna.

– Skarbie, dokąd to zanieść? – pyta Finbar żonę.

– Dla kochanej Laury pokój orchidei – odpowiada Marie.

– To mój pokój. – Z drzwi po prawej stronie wygląda czyjaś głowa. – Cześć, braciszku. – Donal, identyczna, ale starsza wersja Solomona, wychodzi do nich, obejmuje brata i wita się z Laurą.

– Ciebie przygarnie Hannah – oznajmia matka. – Gdybyś nie był sam, Donal, znaleźlibyśmy ci coś tutaj, ale teraz inaczej się nie da.

– Au! – Solomon śmieje się, trącając brata pięścią w ramię. Matka karze go za rozstanie z kobietą, którą wszyscy uważali już za jego przyszlą żonę.

Laura uśmiecha się, obserwując braci.

– Czy Solomon też będzie w orchidei? – pyta niewinnie Donal. Matka rzuca mu spojrzenie pełne złości, w reakcji na które on tylko parska ironicznie. Solomon zajmuje się bagażami i usiłuje odciągnąć Laurę od tej rozmowy.

– Solomon ma własny pokój – prycha Marie, zadowolona z tych żartów. – A teraz znikajcie stąd wszyscy. Laura, aniołku, pokażę ci, gdzie będziesz spała. Nie zaczynaj z nim, Donal – ostrzega, gdy obaj bracia idą do Solomona.

Donal wybucha śmiechem.

– Mamo, mam czterdzieści dwa lata.

– Nieważne, ile masz, nigdy nie dawałeś spokoju biednemu Solomonowi.

Wiem, że to ty go wykopałeś z piętrowego łóżka.

Uśmiech Donala staje się coraz szerszy.

– Oj, biedny mały Solomonek.

– Dobrze wiesz, że to nie ja byłem biedny mały – mówi Solomon z roztargnieniem, usiłując złapać wzrok Laury. Chce mieć pewność, że to wszystko jej nie zraża, a jednocześnie niepokoi się, że przejście od całkowitego braku kontaktu z ludźmi do nawiązania znajomości z tak licznym gronem w ciągu zaledwie paru dni może być dla niej trudne.

– Łoły – mówi Laura, idealnie naśladowując problemy Solomona z wymową, jakie miał w dzieciństwie.

Donal ryczy ze śmiechu. Unosi dłoń do przybicia piątki, ale Marie odciąga Laurę, zanim dostrzegą, że i ona się śmieje. Marie uważa, że matka powinna być surowa – gdyby kiedyś zobaczyli, że traci panowanie nad sobą, straci i władzę. Teraz nieustannie się z nią drażnią, zachowanie powagi to jej własna gra, jej taktyka.

Laurę prowadzą do nowego „skrzydła” składającego się z dwóch sypialni, o które został powiększony pensjonat, gdy dzieci wyprowadziły się z domu; Rory jest jedynym dzieckiem, które mieszka z rodzicami, i jeżeli tak dalej pójdzie, pozostanie z nimi na wieki.

Solomon daje Laurze kilka minut na ogarnięcie się, po czym puka do niej.

– Tak – odzywa się cicho, a on otwiera drzwi.

Dziewczyna siedzi na podwójnym łóżku i rozgląda się po pokoju; jej torby leżą nietknięte na podłodze.

– Pięknie – mówi rozmarzonym głosem...

– To ulubiony pokój mamy – stwierdza Solomon, wchodząc do środka. To, że przydzieliła Laurze akurat ten, wiele mówi. – Moja siostra Cara jest fotografką. To są jej zdjęcia przeniesione na płótno. Z jakichś przyczyn lubi fotografować kwiaty. I kamienie. Ale one są w kamiennym pokoju. A w nim śpi walnięty wujek Brian. Mama nie przepada za kamieniami.

Laura śmieje się.

– Twoja rodzina jest zabawna.

– Można to i tak nazwać. – Solomon odchrząkuje. – Uroczystość zacznie się

za godzinę. Zejdzie się tu prawie całe Spiddal, będą pieśni, instrumenty, opowieści i tańce. Jeśli wolisz, możesz zostać tutaj, będzie bezpieczniej.

– Chciałabym pójść.

– Jesteś pewna? – pyta zaskoczony.

– Jesteś pewna? – pyta zaskoczony.

– Będziesz śpiewać? – odpowiada mu pytaniem.

– Tak, każdy musi wystąpić.

– Chcę usłyszeć, jak śpiewasz.

– Ostrzegam od razu, ciebie też mogą zmusić. Spróbuję ich powstrzymać, ale obiecać nie mogę. Są namolni, nie mam na nich żadnego wpływu.

– Schowam się z tyłu – mówi Laura, a on się śmieje. – Dlaczego się śmiejesz?

– Na samą myśl o tym, że się schowasz. Zwracasz na siebie uwagę nawet w pokoju pełnym ludzi.

Laura zagryza wargę po tym komplemente, który zabrzmiał banalnie, chociaż Solomon nie miał takiego zamiaru. Mężczyzna wycofuje się do drzwi, karcąc się w duchu.

Laura naśladuje jego chrząknięcie.

– Właśnie tak – zgadza się Solomon. – Niezręcznie. Przepraszam. Dam ci czas, żebyś mogła się odświeżyć, wziąć prysznic czy co tam chcesz. Pół godziny starczy? – Bo wystarczyłoby w zupełności pół godziny, nie poświęca dużo czasu na swój wygląd, jest naturalnie piękna; narzuca po prostu coś na siebie i osiąga zamierzony efekt. Półbuty, spodnie z mankietami, cienkie kaszmirowe sweterki, jakby wybierała się na Harvard. Ale miewał i takie dziewczyny, którym pół godziny nie wystarczyłoby nawet na wysuszenie włosów.

Laura kiwa głową.

– Zaczekaj. – Wygląda na zdenerwowaną. – Czy to będzie eleganckie przyjęcie? Nie mam żadnych wyjściowych ubrań. Uszyłam parę rzeczy, ale... chyba tu nie pasują.

– To, co masz na sobie, jest idealne. Żadnego strojenia się.

Chyba jej ulżyło; Solomonowi jest przykro, że cały czas musiała się o to

martwić. W takich sprawach Bo byłaby lepsza.

– O co chodzi z tą blondynką? – pyta Donal, gdy Solomon wychodzi spod prysznic. Brat leży wyciągnięty na jego łóżku i przegląda telefon Solomona.

– Śmiało, wściubiaj nos w moje osobiste sprawy, nie krępuj się.

– Gdzie krowa?

– Bo jest w Dublinie. Ma dzisiaj wykład na uniwersytecie dla studentów reżyserii. Nie mogła dotrzeć tu na czas.

Donal wciąga z sarkazmem powietrze.

– Na pewno nijak nie mogła się wykręcić.

– Powiedziałem, żeby nawet nie próbowała. To wielka sprawa.

– Na to wygląda. – Donal bacznie obserwuje brata.

Niezadowolony z jego spojrzenia, Solomon odkłada owinięty wokół pasa ręcznik i unosi ręce.

– Bez trzymanki!

– Bardzo dorośle.

– No cóż. – Solomon grzebie w torbie w poszukiwaniu czystej koszulki. – Jest mi łatwiej, kiedy jej tu nie ma – mówi, odwrócony tyłem; słyszy kliknięcie telefonu. – Nie ułatwicie mi, chłopaki.

– Nie ułatwiamy. – Kieruje telefon na tyłek Solomona i robi kolejne zdjęcie. – Dbamy o ciebie.

– Nazywając ją krową.

Tu Donal szczerze się śmieje.

– Mówiłeś, że rozmawiasz z nią po angielsku.

Bó oznacza po gaelicku „krowa”, co zachwyca rodzinę Solomona, która włada językiem gaelickim.

– Nie dajecie jej spokoju.

– To tylko żarty.

– Ona ma inne poczucie humoru.

– Nieprawda. W ogóle nie ma poczucia humoru. I prawie się z nami nie



spotyka, więc nie musi nas znosić tak często.

– Przestań robić zdjęcia moich jaj.

– Ale są takie ładne. Wyślę je mamie. Może urządzi nowy pokój i nazwie go jajowym.

Solomon śmieje się, wstydząc się jednocześnie, że bawi go taki dziecinny dowcip.

– A ty co, chodzisz do rodziców Bo na przyjęcia, brunche i inne wieczorki?

– pyta Donal, udając wytworny dubliński akcent.

– Czasami. Niezbyt często. Raz. Z Bo jest nam lepiej we dwoje. Z dala od obu rodzin.

– Z dala od siebie.

– Daj spokój.

– Niech ci będzie. Ostatnie pytanie. Pobierzecie się?

– Czy się pobierzemy? – Wzdycha. – Wypytyujesz jak stara baba. Co ci, kurwa, za różnica, czy się pobierzemy?

– Rany, chyba ci się kutas skurczył, jak spytałem. Zobacz... – Donal podnosi telefon, żeby mu pokazać zdjęcie. – Zanim zadałem pytanie. – Przesuwa obraz. – Po.

Solomon chichocze.

– Bardzo dobrze, że zadajesz mi te wszystkie pytania. Czterdziestodwuletni kawaler. Powinieneś być zostać księdzem.

– Miałbym lepsze życie miłosne – stwierdza Donal, a Solomon, zde gustowany, marszczy nos.

Donal śmieje się z własnego dowcipu.

– Poważnie, słyszałem rozmowę mamy z tatą, zastanawiali się, czy nie jesteś gejem.

– Zamknij się – oznajmia Donal, udając, że go to nie obchodzi, odkłada jednak telefon.

Solomon bierze aparat do ręki. Trzydzieści dwa zdjęcia jego własnych jaj w jego własnym telefonie.

Donal zmienia temat.

- Mama mówiła, że byliście w Bostonie. Jak poszło?
- Dostaliśmy nagrodę od *Irish Globe*.
- Gratulacje.
- Dziękuję.
- Czyli jesteś szczęśliwy.
- Zawsze jestem.
- No więc, ożenisz się z nią?
- Odpieprz się.
- A o co chodzi z tą blondynką? – powtarza swoje pierwsze pytanie.
- Laurą.
- O co chodzi z Laurą?

Solomon wyjaśnia mu historię Laury i jej talenty liryczna, opowiada wszystko, co o niej wie.

- Dlaczego nie pojechała do Dublina z Bo?
- Chciała zostać ze mną. To ja ją znalazłem. Ufa mi. – Wzrusza ramionami.
- No proszę, powiedz mi, że to popieprzone.
- Nie jest.

Solomon przygląda się jego twarzy, wydaje mu się, że słowa Donala są przesycone sarkazmem.

- Rany, włóż wreszcie gacie. – Brat rzuca w niego poduszką.
- To masz za robienie zdjęć mojego kutasa. Wyślę ci go ememesem, żebyś mógł sobie patrzeć do upojenia.

Otwierają się drzwi, pojawia się w nich jeszcze dwóch braci.

- Łaaa! – wołają i ładują się do pokoju z sześciorakiem piwa.

Solomon śmieje się i łapie bokserki, które rzucił mu Donal.

- Co tu się dzieje? – pyta najstarszy brat Cormac, oglądając Solomona od stóp do głów. – Niezłe jaja.

– Twoja panienska stoi w oknie pokoju orchidei i udaje kukułkę – mówi jego najmłodszy brat Rory, otwierając zębami butelkę.

- Tak. No i co? – spina się Solomon. Wciąga dzinsy i odwraca się do nich

wszystkich plecami, gotów do walki, do obrony. Nie po raz pierwszy dałby któremuś z nich w twarz.

– No i nic. Niezła laska. – Rory się szczerzy, podając mu butelkę.

Schodząc ze schodów, Laura słyszy gwar tłumu gości i zatrzymuje się, wystraszona. Bracia zauważają ją, ale idą dalej bez słowa; Solomon to docenia. Gdyby to była Bo, nie daliby jej spokoju, pewnie pochwyciliby ją i zanieśli do sali.

– Wszystko w porządku, naprawdę – mówi łagodnie Solomon. Chce położyć dłoń na jej talii, chce wziąć ją za rękę i poprowadzić. Ale nie dotyka jej. Patrzy na Laurę z wysokości swojego słusznego wzrostu, przez jej długie rzęsy widzi delikatne piegi na nosie. Przebrała się jednak w sukienkę, którą sama sobie uszyła. Prosty wykrój, długie rękawy, ale krótki dół. Z pozszywanych razem kawałków różnych materiałów. Kiedy przeniosła się do domku Toolinów, najwyraźniej zabrała ze sobą całą stertę tkanin.

– Zostaniesz ze mną? – pyta, podnosząc na niego wzrok.

Chce odgarnąć włosy, które opadły jej na oczy. Stoją na schodach tak blisko siebie, że Laura czuje bijące od niego ciepło. Ma ochotę przycisnąć twarz do jego skóry, widocznej przez niezapięte guziki koszuli. Chce poczuć jego zapach, jego ciepło na swojej skórze.

Stoją tak i tylko na siebie patrzą. On czuje intensywność jej spojrzenia. Odchrząkuje.

– Oczywiście, że z tobą zostanę. Jeżeli ty obiecasz zostać ze mną. Tam mnie mogą zjeść żywcem.

Laura uśmiecha się.

Bierze go pod rękę, mocno przyciskając do siebie jego ramię. Nie mogła się powstrzymać.

– Wszystko będzie dobrze – mówi do niej cicho, a jego wargi są tak blisko czubka jej głowy, że muskają jej włosy. Czuje zapach lekkich, słodkich perfum.

Wszystkie drzwi między salonem, jadalnią, kolejnym pokojem i kuchnią, jak również te do oszklonej werandy, są otwarte, dzięki czemu przyjęcie rozciąga się na ogromnej przestrzeni. Stół w jadalni ugina się od potraw, które częściowo przygotowała Marie, wiele spośród tych dań przynieśli sąsiedzi. Do pomieszczeń na parterze domu wcisnęło się dobre sto osób; Finbar stoi na środku i opowiada szczególną historię poznania Marie. Mówi po angielsku z szacunku dla jej rodziny i przyjaciół, którzy przyjechali z Dublina.

Po zakończeniu opowieści wręcza żonie ręcznie wykonane serce, które wyrzeźbił z kawałka drewna z drzewa obalonego przez burzę. Twierdzi, że pod tym drzewem pocałowali się po raz pierwszy, ale Solomon podejrzewa, że było to raczej drzewo w parku, do którego poszli raz na spacer. Ale uczucia pozostają niezmiennie. W czterech komorach serca znajdują się cztery szufladki, a w każdej z nich jest przedmiot reprezentujący cztery pokolenia.

Wszyscy mają łzy w oczach, telefony w uniesionych dłoniach rejestrują moment, kiedy Marie, która zawsze jest obecna na scenie z Finbarem, gdy on odgrywa swoją rolę, tonie w jego objęciach. Następnie występuje Marie. Z zawodu jest harfistką; zanim urodziła czwórkę dzieci i otworzyła własny pensjonat, podróżowała po świecie – głównie po Stanach Zjednoczonych – grając na urodzinach, ślubach i w różnych przedstawieniach. Grała muzykę klasyczną i tradycyjną – zależnie od zapotrzebowania – ale sama najbardziej lubi muzykę celtycką. To właśnie w celtyckim przedstawieniu, które wystawiono w Galway, Finbar zobaczył ją po raz pierwszy. Rudowłosą boginię za ogromną harfą, która wszystkich oczarowała. Marie z pewnością jest utalentowana, ale Solomon i jego bracia słuchają tej samej muzyki przez całe życie i chociaż jeszcze im się to nie znudziło, na pewno straciło już trochę na aktualności. Jednak zachwyty na twarzach ludzi, którzy słyszą ją po raz pierwszy, przypomina synom, jak ich matka znakomicie potrafi zawładnąć publicznością.

Marie zaczyna grać *Sen Carolana*. Laura, która przez cały czas siedziała w milczeniu obok Solomona, prostuje się, całkowicie pochłonięta muzyką. Solomon uśmiecha się na widok wyrazu jej twarzy, opiera się wygodniej, zakłada ręce i obserwuje, jak Laura patrzy na jego matkę.

Jego kieszeń zaczyna wibrować; jest zmuszony do wyjęcia telefonu. Bo. Przeprasza, chociaż nikt nawet nie zauważył jej nieobecności i nikogo to nie obchodzi, wszystkie oczy skierowane są na Marie. Solomon wyślizguje się

z pokoju do kuchni.

– Cześć – mówi, skubiąc jedzenie ułożone na kuchennej wyspie.

– Cześć! – Bo tak bardzo krzyczy, że mężczyzna odsuwa telefon od ucha. Hałas tłumu narusza jego spokojne otoczenie. Dźwięki pubu.

– Myślałem, że pracujesz w domu – mówi jak najciszej.

– Co?! – krzyczy.

– Myślałem, że pracujesz w domu – mówi trochę głośniej, ktoś go zaraz ucisza i zamyka drzwi. Solomon otwiera drzwi kuchenne i wychodzi do ogrodu. Kapryfolium pachnie mocno, przypomina mu się życie spędzone na zabawach na dworze, długie, gorące letnie dni, przygody, które spotykały ich w każdym kącie ogrodu.

– Pracowałam. Pracuję. *Research!* – Bo wciąż krzyczy, a on poznaje po jej głosie, że trochę wypila. Bo nie potrzebuje dużo, by się upić. – Spotkanie z anprotologiem – mówi i chichocze. – No, wiesz, o co mi chodzi. W każdym razie próbowałam jakiegoś znaleźć, więc wysłałam film z Laurą. Jack jest zachwycony. Chce, żeby się zgłosiła do *StarrQuest*, mówi, że byłaby znakomita. Nie wolno nikomu powiedzieć, że ją widział, bo sędziowie nie mogą o niczym wiedzieć przed programem, ale uważa, że jest niesamowita. Wiem, co myślisz o tym całym programie, ale chodzi mi o promocję dla Laury, wiesz, co by to znaczyło dla naszego dokumentu?

Bo jest tak podekscytowana, że ledwie łapie oddech, wydaje się, że idzie ulicą. Najdłuższą, najbardziej ruchliwą ulicą Dublina. A może tylko chodzi w kółko.

Solomon czuje, że krew w nim zawrzała.

– Moment. Jack Starr chce, żeby Laura wzięła udział w przesłuchaniach do *StarrQuest*?

– Sol, pomyśl tylko, przecież to byłoby super. Moglibyśmy sfilmować całą jej drogę. On nie tylko chce, żeby przyszła na przesłuchanie, ale chce widzieć ją w finale. Na pewno. Ale znowu, nikomu nie mów, nie mogą mówić takich rzeczy z góry. Pomyśl, czy to nie świetna okazja dla Laury? Przecież chce nowego początku.

– Myślę o tym i uważam, że to pieprzone świństwo, że w ogóle o tym myślisz. – Niemal s pluwa w telefon.

Bo milczy przez jedną, dwie, trzy... minuty.

– Powinam była się domyślić, że będziesz miał coś przeciwko temu. A ja byłam tym zachwycona, dlatego do ciebie zadzwoniłam. Dlaczego nigdy nie wykazujesz entuzjazmu wobec tych samych spraw co ja? Albo przynajmniej nie cieszysz się z czegoś razem ze mną. Zawsze wszystko psujesz.

– A po co ty pijesz z Jackiem? – pyta.

Jack to jej były, przez pięć lat byli parą, mieszkała z nim przed Solomonem. Przygasała gwiazda w średnim wieku, niegdyś znany wokalista amerykańskiego duetu rockowego, który nagrał kilka przebojów. W latach osiemdziesiątych przeniósł się do Irlandii, umawiał się z różnymi modelkami i, ogólnie rzecz biorąc, jechał na swojej opinii. Teraz jest didżejem radiowym, prowadzi program telewizyjny poszukujący talentów, przy którym Solomon kiedyś pracował (jedno z tych zleceń dla pieniędzy), i w ogóle doprowadza Solomona do szału. Jack wykorzystuje to, że spotykał się z Bo przed Solomonem, i rzuca jedną za drugą uszczypliwe i upokarzające uwagi, by go wkurzyć.

– Nie piłam z nim – broni się. – Wysłałam mu mailem filmik z Laurą, gdy szukałam antropologa... – Tym razem udaje jej się wymówić poprawnie wszystkie słowa, chociaż musi uważać na każdą sylabę.

– Bo, skąd on, kurwa, może znać antropologa? To były pieprzony muzyk. Zadzwoniłaś do niego, bo mnie nie ma obok, a chciałaś kogoś mieć. – Nie ma pojęcia, skąd się bierze ta wściekłość, ta zazdrość. Wie, że ma prawo być niezadowolonym, ale nie aż tak bardzo. Jednak nie może się powstrzymać. To poczucie winy spowodowane tym, co czuje do Laury, oraz tym, że przyjął na siebie rolę jej opiekuna. To tak na niego działa.

Bo piszczy w telefonie, dostała furii, brzydzi się jego oskarżeniami, ale on ją przekrzykuje, żadne z nich nie słucha drugiego, tylko obrzucają się wzajemnie obelgami. Błędne koło. W końcu milkną oboje.

– Jeżeli Laura pójdzie na casting, to na pewno wzbudzi zainteresowanie, a my zdobędziemy fundusze na film – mówi Bo rzeczowo i chłodno.

– Myślałem, że nie potrzebujesz funduszy. Moim zdaniem to słaby pomysł. Nie rozumiem, jak to ma pomóc tobie jako twórczyni poważnych dokumentów. Uważam, że zniweczy wszystko, co ci się udało w tym roku osiągnąć. – Solomon ma nadzieję, że Bo w końcu usłyszy jego lodowaty ton, zastanawia

się, czy nie powinien sformułować tego ostrzej.

Ona milczy, a on się zastanawia, czy doprowadził ją do łez (co byłoby u Bo niezwykle), ale potem ona znowu się odzywa, głosem równie pewnym jak wcześniej.

– Jako producentka chcę mieć więcej możliwości. Czyli zmiana planów. Nie jadę w niedzielę do Cork, za to ty przywieziesz Laurę do Dublina na przesłuchanie. Przekaż mamie życzenia. Dobranoc.

Przerwała połączenie, zanim zdążył się odezwać.

Bo wpatruje się w swój telefon. W podświetlony wygaszacz ekranu, na którym umieściła zdjęcie siebie i Solomona trzymających nagrodę za *Bliźniaków Toolin*. Oczy zachodzą jej łzami. W tej chwili nienawidzi swojego chłopaka, ale przede wszystkim czuje się zraniona. Zirytowana, sfrustrowana, stłamszona, złapana w pułapkę. To takie przewidywalne. Wiedziała, że on tak się zachowa, że odrzuci tę możliwość, ale mimo wszystko opowiedziała mu o tym i pozwoliła, by ją zranił. Wciąż robi to samo i oczekuje innego wyniku – Bo jest pewna, że to jest właśnie definicja wariactwa.

Czyjeś ramię obejmuje ją w pasie. Zamyka oczy, przypominając sobie to uczucie, rozkoszuje się nim, a potem się odsuwa.

– Jack, przestań – mamrocze.

Spogląda na nią.

– Rozmowa z królewiczem nie poszła najlepiej?

Nie jest nawet w stanie kłamać, nie może bronić siebie ani jego. Czuje na sobie ciężar spojrzenia Jacka. Zawsze tak robił: wpatrywał się w nią tak długo, aż zmuszał ją do wyznań, czego wcale nie zamierzała robić. Ale teraz się nie podda.

Jack zapina skórzaną kurtkę i wciąga na głowę czapkę, podczas gdy przechodnie wpatrują się w niego i szepczą coś między sobą.

– On jest w Galway z inną kobietą, a ty jesteś tutaj ze mną. Coś jest z wami nie w porządku.

– Jack, ufamy sobie – mówi Bo zmęczonym głosem.

– Wróć do mnie – rzuca, a ona się śmieje.

– Żebyś znowu mógł mnie zdradzać?

– Nigdy cię nie zdradzałem. Już ci mówiłem. Jesteś jedyną, której nigdy nie zdradzałem.

Rzuca mu podejrzliwe spojrzenie. Nigdy tak naprawdę mu nie wierzyła. Ich definicje zdrady zawsze się różniły. Jack w klubie, otoczony tłumem niemal nagich, zachwycających się nim młodych kobiet – może z technicznego punktu widzenia nie była to zdrada, ale nigdy nie powstrzymywał ich przed ocieraniem się o niego, dotykaniem go. Sam też nie potrafił się opanować.

– Dlaczego jestem taka wyjątkowa? – pyta cynicznie, mając wrażenie, że mówi kwestię ze scenariusza.

– Dlaczego w ogóle musisz o to pytać? – odpowiada pytaniem na pytanie. – Powinnaś sama wiedzieć, dlaczego jesteś wyjątkowa. Powinnaś to słyszeć codziennie – mówi łagodnie.

– Cały czas mi to powtarza – odpowiada obojętnie. – Dobranoc, Jack.

Wyciąga rękę i przesuwa kciukiem po jej podbródku, jak zawsze to robił. Bo czuje zapach dymu papierosowego na jego palcach.

– Powinieneś rzucić palenie.

– Wtedy byś do mnie wróciła?

Wznosi oczy do nieba, ale jej irytacja znika.

– A wtedy byś rzucił?

Uśmiecha się.

– Bezpiecznej drogi do domu, Bo.

Stoi sama przed pubem, otoczona kilkunastoma rozmawiającymi, śmiejącymi się palaczami, ale tak naprawdę jest sama. Zastanawia się nad tym, co powiedział Sol. Kiedy ostatnio ją pochwalił albo powiedział, że jest wyjątkowa? Bo nie pamięta. Ale są razem od dwóch lat, to się przecież zdarza, prawda? Wkrada się rutyna, to naturalne. Wierzy, że jest lojalny, a przynajmniej zawsze jak dotąd wierzyła. Nigdy się nie martwiła, kiedy wychodził wieczorem i wracał późno. To nie jest ten typ faceta. Może myśleć tylko o tych wszystkich sytuacjach, kiedy ją uspokajał, próbował zmienić jej zdanie tym swoim kojącym głosem, który, jak się jej teraz wydaje, był pełen



wyższości. Ale to też jest naturalne, to skutek tego, że razem żyją i pracują. Rzadko od siebie odpoczywają, sprawy zawodowe nakładają się na siebie, linie się zacierają, idzie im dobrze, Bo tak uważa. Może trzeba przestrzegać innych zasad, może ktoś ma im pomóc w tym, jak dbać o związek i jednocześnie razem pracować. Koniec z wybijaniem z głowy pomysłów reżyserce i producentce, w żadnej innej pracy nie odważyłyby się na to. Z drugiej strony sama wie, że często tego potrzebuje. Rzuca się w pracę głową naprzód, Solomon pomaga jej spojrzeć na sprawy pod innym kątem. Takim, który wydaje się oczywisty, jak tylko go jej wyjaśni, ale którego wcześniej nie była w stanie dostrzec. Tworzą dobry zespół.

Ale czasami nie ma takiego wrażenia, zwłaszcza teraz. To też jest na pewno naturalne.

A jeżeli chodzi o ten pomysł ze *StarrQuest*... Mimo obiekcji Solomona, które ona też miała, Bo nadal uważa, że jest świetny. Jak mówiła Laura, czasami wystarczy jedna zaufana osoba. *StarrQuest* to program Jacka i Bo mu ufa bez względu na to, co między nimi zaszło.

Solomon klnie i wpycha telefon do kieszeni. Na dworze wciąż jest jasno, ale niebo zaczyna ciemnieć, zwiastując nadejście wieczoru. Bierze głęboki oddech, jest wciąż wściekły po tym, co mu powiedziała Bo. Przywieźć Laurę do Dublina, żeby brała udział w *StarrQuest*! Ten pomysł wydaje się najgłupszym, najbardziej kiczowatym pomysłem, na jaki Bo mogła wpaść, ale nie może odmówić jej wprost. Powinien przekazać go Laurze i zobaczyć, jak ona na to zareaguje. To w końcu jej życie, nie jego. Musi przestać się angażować tak bardzo w cudze sprawy i nie być taki wrażliwy na wszystko, co się wokół niego dzieje. Nie do niego należy gaszenie cudzych pożarów ani angażowanie się w czyjeś problemy, ale taki już jest, zawsze taki był. Nic na to nie poradzi. To on zawsze usiłował pogodzić zwaśnione pary, które zrywały ze sobą, gdy zaszło jakieś nieporozumienie. To on zawsze starał się przerwać pijacką kłótnię między kolegami w barze, natychmiast wyjaśnić każde nieporozumienie, które nie miało z nim nic wspólnego. Arbiter. Doradca. Strażnik pokoju. Takie sytuacje bardziej go stresują niż osoby bezpośrednio w nie zaangażowane – odczuwa wściekłość, ból, niesprawiedliwość, uczucia, które tak naprawdę nie on powinien odczuwać. Wie o tym, zdaje sobie sprawę z tego, że nie powinien się tak przejmować, ale nie może przestać.

Gdy wściekłość wyparowuje, jego ciało stygnie. Od powiewu morza dostaje gęziej skórki. Zamierza zdobyć papierosa – pali tylko wtedy, kiedy jest bardzo zdenerwowany albo pijany, a w tej chwili i jeden, i drugi warunek jest spełniony – lecz nagle słyszy z wnętrza domu dźwięk, który powoduje, że Solomon staje jak wryty, a jego serce zaczyna bić jak szalone.

Znowu rozbrzmiewa *Sen Carolana*, ale on wie, że to nie mama. Marie nie zagrałaby tego dwa razy w ciągu jednego wieczoru, nigdy tego nie robiła, nie ma powodu, by akurat dzisiaj miało się to zmienić. Ktoś gra podobnie, lecz coś się nie zgadza, a on nie potrafi określić co. Szarpane są właściwe struny, nie ma fałszywych tonów, ale czegoś brak, a poza tym ten ktoś nie posiada nawet ułamka talentu jego matki, by zagrać tak jak ona. Nie tam. Solomon porusza się jakby w zwolnionym tempie, jakby stał przed kamerą, która robi najazd, ujęcie. Ostrożnie stawia stopy, głowę ma pełną muzyki. Idzie za nią, jakby go przywoływała, przyciągała. Z kuchni przez otwarte drzwi widzi tylko tłum. Wszyscy patrzą przed siebie, usta i oczy są szeroko otwarte. Widzowie kręcą głowami, przepełnieni pięknem tego, co widzą i słyszą. Solomon staje w drzwiach, lecz nikt go nie zauważa. Patrzy na scenę, gdzie na stołku siedzi Laura, sama, ma zamknięte oczy, otwarte usta i naśladuje dźwięki celtyckiej harfy.

Matka stoi obok Finbara; odwraca się i dostrzega Solomona. Podbiega do niego z wyrazem niepokoju na twarzy, z dłońmi uniesionymi do ust.

– Och, Solomonie – szepcze, obejmując go ramionami i przytulając się do niego. Odwraca się w stronę Laury.

– W porządku? – pyta zdezorientowany. Przez chwilę się obawia, że Marie zrobi awanturę, skoro Laura wykonuje jej utwór podczas jej urodzinowego wieczoru. Wprawdzie to by do niej nie pasowało, ale Solomon nie potrafi odczytać jej intencji.

Matka ignoruje jego pytanie, zauroczona Laurą. Potem odwraca się do syna.

– Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałam ani nie słyszałam. To czysta magia.

Solomon uśmiecha się z ulgą. Z dumą.

– Teraz sama słyszysz, jak pięknie grasz – odpowiada.

– Mój Boże! – Kobieta unosi ręce do rozpalonych policzków.

Rozgląda się po twarzach gości, wszyscy są całkowicie zauroczeni, doświadczają czegoś nowego i niezwykłego.

Może był niesprawiedliwy wobec Bo? Może się mylił? A Laura zasługuje na publiczność, i to nie tylko taką, jaką zapewniłby film dokumentalny? Najwyraźniej Laura potrzebuje żywej publiczności, żywej reakcji – wtedy sama ożywa i ozywają jej umiejętności. Może scena jest właściwym miejscem, gdzie powinna występować, jak dla lirogonu kopiec?

## 15

Wystąpienie Laury wywołuje aplauz. Wszyscy zrywają się na nogi, krzyczą i gwizdzą, domagają się powtórki. Laure tak przeraża ta reakcja, że staje jak słup soli, wpatrując się w widownię.

– Ratuj ją, Solomon. – Marie chwyta go za ramię.

Solomon podbiega do sceny i bierze Laure za rękę. Kontakt ciała z ciałem; patrzy na niego zaskoczona. Myśli o swojej kłótni z Bo i puszcza Laure szybko, a ona rusza za nim. Usiłuje zejść ze sceny, ale bracia blokują mu drogę, a rodzina i sąsiedzi domagają się, żeby zaśpiewał. Wie, że nie pozwoli mu odejść bez wykonania co najmniej jednej piosenki. Sadowiąc się z gitarą, Solomon obserwuje z niepokojem, jak Rory rusza na pomoc Laurze i prowadzi ją do krzesła. Mówi jej coś do ucha, ona pochyla się do niego, żeby lepiej słyszeć. Krew znowu zaczyna szybciej krążyć Solomonowi w żyłach, ale ponieważ jest na scenie, nic na to nie poradzi, zresztą w ogóle nic nie może na to poradzić, bo nie ma do niej żadnych praw. Rory jest najmłodszy, ma dwadzieścia osiem lat, jest prawie w tym samym wieku co ona. Jest też singlem, permanentnym, na rodzinne imprezy przyprowadza kolejne urocze dziewczyny, ale nigdy nie zostaje z nimi dłużej niż kilka miesięcy. Rory może przebierać w dziewczynach, jak mu się podoba, i wybiera zawsze piękne, miłe, oczarowane jego urokiem. „Słodki, uroczy” – tak dziewczęta określają Rory’ego, a on jest zachwycony.

Solomon poprawia kucyk na głowie przy wtórze śmiechu Donala „Idź do fryzjera!”, po czym uderza w struny gitary. Laura natychmiast podnosi wzrok. Rory nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowany Solomonem i jego piosenką, którą ten będzie śpiewał po raz setny, i usiłuje znaleźć sposób,

żeby ponownie zwrócić na siebie uwagę Laury.

– Napisałem tę piosenkę, kiedy miałem siedemnaście lat, a dziewczyna, której imienia nie będę wymieniał, złamała mi serce.

– Sarah Maguire! – krzyczy Donal, goście się śmieją.

– Każdy z was już ją słyszał z wyjątkiem jednej osoby, którą bardzo chętnie dziś tu gościmy, była cudowna, prawda, chłopaki?

Wszyscy klaszczą Laurze.

– Jej tytuł brzmi *Dwadzieścia rzeczy, co dają mi szczęście...* – rozlega się zbiorowe „aaach” – *...i żadną nie jesteś ty* – kończy przy wtórze oklasków. Zawsze klaszczą, za każdym razem jest tak samo. Wszystko to sprawia, że spotkanie jest na luzie, każdy zna swoją rolę, włącza się, robi, co do niego należy. I mimo tego, że znają nie tylko tytuł, ale i słowa, wszyscy się śmieją.

Zaczyna. To wesoła piosenka o tym, jak ważne w życiu są proste przyjemności, ile szczęścia dają. Dużo więcej niż dziewczyna, która złamała mu serce, teraz ona jest dla niego nikim – tak właśnie myślał, kiedy miał siedemnaście lat, był wściekły i zraniony, gdy zdradziła go z kolegą. Nie była jego pierwszą miłością, miewał inne, ale wtedy Solomon zakochiwał się łatwo i uwielbiał być zakochany, młody romantyk, który pisał piosenki miłosne dla siebie i rockowe dla swojego zespołu.

Zawsze chciał zostać gwiazdą rocka, a gdyby się nie udało, to przynajmniej – w ramach planu rezerwowego – specem od nagrywania w studiu nagrań lub od nagłośnienia w trasach. W końcu poprzestał na nagrywaniu dźwięku do filmów dokumentalnych dla duszy, a w programach reality show dla czynszu. Nadal pisze i gra na gitarze, ale mniej, odkąd zamieszkała z nim Bo; ma niewiele czasu dla siebie, a cienkie jak papier ściany jego mieszkania nie pozwalają na luksus powolnego, czasem wręcz krępującego odnajdywania drogi w tonach melodii.

Tłum włącza się, gdy śpiewa swoją wyliczankę:

*Jeden: świeża pościel na łóżku.*

*Dwa: dobra fryzura od rana.*

*Trzy: koniec pracy, a na dworze jasno.*

*Cztery: ładna pogoda w wolny dzień.*

*Pięć: coś w poczcie, i to nie rachunek.*

*To pięć rzeczy, co dają mi szczęście – uuu...*

*Przestaje grać, a tłum wypełnia ciszę słowami:*

*I żadną nie jesteś ty.*

*Klaszczą sami sobie i śmieją się, a on kontynuuje:*

*Sześć: kanapka z bekonem i keczupem.*

*Siedem: zapach świeżo ściętej trawy.*

*Osiem: Scarface i kufel piwa.*

*Dziewięć: Jackie's Army w Italia '90.*

*Dziesięć: niespodziewane pieniądze w kieszeni.*

*To dziesięć rzeczy, co dają mi szczęście – uuu...*

*Przestaje grać, a tłum odpowiada:*

*I żadną nie jesteś ty.*

– Sarah! – wrzeszczy Donal, a wszyscy dostają ataku histerycznego śmiechu.

*Jedenaście: ulubiona piosenka w kółko.*

*Dwanaście: złapanie rannego autobusu.*

*Trzynaście: pęknięcie folii bąbelkowej.*

*Czternaście: szarlotka mamy. [Tu oklaski].*

*Piętnaście: dopasowane skarpetki.*

*To piętnaście rzeczy, co dają mi szczęście – uuu... I ŻADNĄ NIE JESTEŚ TY.*

*Szesnaście: obrona Packiego Bonnera przeciw Rumunii. [Znowu oklaski].*

*Siedemnaście: śniadanie w łóżku.*

*Osiemnaście: prysznic, kibel i golenie.*

*Dziewiętnaście: pierwszy dzień wakacji.*

*Dwadzieścia...*

Szybciej uderza w struny, zwiększając napięcie, żeby wszyscy włączyli się z ostatnią linijką:

...I całowanie się z twoją przyjaciółką!

Oryginalny tekst mówił o pieprzeniu się z przyjaciółką; zrobił to wtedy, traktując to jako lekarstwo, co oczywiście nie pomogło, ale ze względu na rodziców ocenzurował tekst.

Rozlegają się brawa i śmiechy, a gdy Solomon schodzi ze sceny, wchodzi na nią Cormac, jego najstarszy brat, żeby wyrecytować fragment z dramatu *Dancing at Lughnasa* Briana Friela.

Solomon przeciska się przez tłum, zatrzymuje się czasem, by porozmawiać z ludźmi niewidzianymi od miesięcy, dociera na swoje miejsce, ale Laury tam nie ma. Rozgląda się i napotyka spojrzenie Donala: brat wskazuje na drzwi prowadzące do kuchni. Solomon idzie tam najszybciej, jak się da.

W kuchni kilku maruderów grzebie w jedzeniu podczas występu Cormaca. Jego brat ma znakomity talent do „opróżniania” pokoju, nie dlatego, że nie jest dobry – jest świetny, nikt nie odgrywa tego lepiej – ale dlatego, że brak mu wyczucia chwili. Kiedy zabawa sięga szczytu, on zaczyna swój numer – refleksyjny, spokojny, pełen zadumy i smutku, absolutne przeciwieństwo tego, czego oczekują goście. Atmosfera robi się napięta, entuzjazm opada. Podobnie dzieje się podczas rozmowy: Cormac zaczyna jakiś poważny temat, gdy akurat wszyscy się śmieją.

Cara też uciekła z występu brata. Zauważa, że Solomon się rozgląda, wyczuwa jego nastrój.

– Tam poszli. – Wskazuje na okno. – Chciał pokazać jej kukułki, nasz pieprzony ekspert od kukulek. – Wyświadcza Solomonowi tę uprzejmość, że nawet się z tego nie śmieje. Solomon zwalnia, usiłuje też opanować bicie serca, gdy przeciska się przez gęstniejący tłum do drzwi wychodzących do ogrodu. Przy drzwiach zatrzymuje się z ręką na klamce.

I co w tym złego, że Laura wyszła na dwór z Rorym? Pomijając fakt, że Solomona to niemiłosiernie wkurza, jest dwudziestosekstoletnią kobietą i może robić, co jej się podoba. A on co niby robi, rozdzieli ich? Oznajmi, że nie mogą być razem? Dobrze zna swojego brata, doskonale wie, czego chce od Laury, czego każdy mężczyzna chciałby od każdej pięknej młodej kobiety, z którą spędza chwilę sam na sam, ale jego brat nie jest żadnym seksualnym drapieżnikiem. Nie rzuci się na Laurę i nie przycisnie jej do ziemi. Solomon nie ma powodu, by ją ratować.

A może Laura doskonale wie, czego Rory oczekuje, może ona chce tego samego? Dziesięć lat spędzonych samotnie w domku, bez intymnych zbliżeń, może ma ochotę na seks? Czyż to nie byłoby naturalne? Solomon miałby. Ale czy powinien się Laurą opiekować? To chyba nie jest jego zadanie? A może jednak? Może wyznaczył sobie tę rolę, aby podbudować własne ego...

Argumentacja przywodząca na myśl dziecięce kłótnie pomiędzy braćmi: „Ja ją znalazłem pierwszy. Jest moja!”. Ale Laura też go wybrała, chciała zostać właśnie z nim, chociaż może niekoniecznie po to, by tak jej pilnował. Jej rycerzem na białym koniu też w zasadzie nie jest, jeśli wziąć pod uwagę myśli snujące mu się po głowie. I ma dziewczynę. Dziewczynę, którą właśnie oskarżył o umawianie się z byłym za jego plecami. To było przerzucanie na nią winy. Bo przejrzy go na wylot, jeśli jeszcze tego nie zrobiła. Większość dziewczyn nie pozwoliłaby swojemu facetowi wyjechać dokądkolwiek z inną młodą, piękną i samotną kobietą, a tym bardziej na rodzinną imprezę. Czy ona go wypróbowała, czy po prostu ma niezwykle wysoki próg zaufania i lojalności? A może chciała, żeby zrobił to, czego tak bardzo pragnął? Zachęcała go, rzucała mu wyzwania, żeby to on zerwał? Zrobił to, czego ona nie potrafiła uczynić. Jeżeli on nie zrobiłby tego, to czy kiedykolwiek by zerwali? Będą razem na zawsze, ponieważ żadne z nich nie miało jaj, by skończyć ten związek, ponieważ nie było wystarczająco dobrego powodu do zerwania?

Solomon i Bo tworzyli udaną parę, ale on właściwie nie wiedział, dokąd zmierzają. Pracowali razem, to ich łączyło; mieszkali razem bardziej z przypadku niż z jakichś konkretnych czy romantycznych powodów. I za kogo on się w ogóle uważa, skoro mu się zdaje, że w ogóle miałby prawo do próbowania czegoś z Laurą, jakby to zależało tylko od jego chęci. Sfrustrowany sam sobą za takie pomysły, wie, że za wszystko ponosi winę wyłącznie on sam i że usiłuje tylko usprawiedliwić jakoś to, co się z nim stało tamtego dnia w lesie, gdy spotkał Laurę.

– Jezu. – Cara przerywa tok jego myśli. – Jeśli ty nie pójdziesz, to pójde ja.  
– Podaje mu swoją butelkę piwa, odsuwa go na bok i wychodzi do ogrodu. Chłód uderza w Solomona i trafia prosto do mózgu, jak dzwonek. Mężczyzna dopija resztę piwa i podąża za siostrą w ciemną noc. Uruchamia się włącznik światła, oświetlając ogród. Nie ma śladu Rory’ego ani Laury.

Mogli pójść tylko w trzech kierunkach. Przez łukowatą bramkę do labiryntu,

do wypielęgnowanych żywopłotów, za którymi bracia kiedyś psocili, albo na plażę.

– Tam by jej nie zabrał – mówi Cara. Patrzy na plażę po drugiej stronie drogi, a potem znowu na ogród. Serce Solomona bije już jak szalone.

– Tam – oznajmia Cara. Mija starannie przystrzyżony trawnik i wchodzi w dziksze obszary. Ziemia niczyja. Kiedy byli mali, nie wolno im było tam chodzić. Wszyscy wiedzieli o starej czarownicy, która mieszkała na tej ziemi i porywała dzieci, bo nie mogła mieć własnych – była to wersja historii o złym smoku w wykonaniu Marie. Do pewnego czasu to działało, ale już jako nastolatki spędzali tam czas. Cormac i Donal przyprowadzali w to miejsce kilkunastoletnie irlandzkie uczennice, które przyjeżdżały latem z Dublina na trzytygodniowe obozy, by uczyć się gaelickiego. Nie działało się nic dramatycznego – wszystko sprowadzało się do palenia papierosów i picia piwa, całowania i dotykania tych części ciała, na których właśnie spoczęły ich dłonie – ale pewnego wieczoru Donal złamał kostkę, potykając się o kamień, jego rodzice dowiedzieli się, gdzie się to wydarzyło, i to był koniec.

Zawiedzeni rodzice uczennic przyjechali po nie i zapłakane dziewczyny ze wstydem wróciły do Dublina – największy skandal roku szkolnego, temat do plotek dla całej szkoły, prawdziwa legenda. Podczas gdy Cormac i Donal zostali uziemieni na całe lato, Marie przestała brać na stancję uczennice, póki jej własne dzieci nie dorosły.

Solomon i Cara idą przez ciemny teren, Cara prowadzi.

– No, jesteście – mówi nagle; Solomon ją dogania.

Laura i Rory siedzą na gładkim, płaskim kamieniu, niewidoczni z domu, za to mają doskonały widok na plażę. Księżyc oświetla morskie fale. Rory obejmuje ramiona Laury. Solomon nie jest w stanie wykrztusić słowa, serce podeszło mu do gardła.

– Jest jej zimno – mówi Rory z beczelnym uśmiechem.

Zawsze działał Solomonowi na nerwy. Z pozostałymi braćmi Solomon nigdy nie miał szczególnych problemów – a jeżeli nawet jakieś miał, były one rozwiązywane za pomocą pięści – ale Rory zawsze umiał namieszać mu w głowie. Fakt, że nie potrafił wymówić porządnie jego imienia, od początku wpływał na jego relacje z młodszym bratem, od samego urodzenia. Pozostali dokuczali mu z tego powodu, co Rory wykorzystywał, naprzykrzając się



Solomonowi, jak tylko potrafił.

– Bo jest zimno – orzeka Cara. – Za to nie ma żadnych kukulek. Trochę na to za późno, nie?

Rory zagryza wargę, ale nie przestaje się uśmiechać. Spogląda to brata, to na siostrę. Wie, że zdenerwował ich oboje, i bawi się tym. Albo może zdenerwował jedno, a drugie przybyło z odsieczą. Wydaje się z siebie dumny.

– Co wy tu robicie? – pyta Rory.

– Zdjęcia – odpowiada Cara.

– Nie masz aparatu.

– Nie. – Nie spuszcza wzroku z brata, ją też zirytował.

Rory kręci głową i śmieje się.

– Właśnie, Lauro, chyba powinniśmy już wracać. Turner i Hooch się o ciebie martwią.

– Okej – odpowiada Laura, patrząc na ich trójkę. Jest zaniepokojona sytuacją. Solomon czuje się okropnie, uważa, że ją przestraszył.

– Jeżeli tylko uznasz, że ten palant cię nudzi, wystarczy mnie zawołać – mówi Rory i rusza w stronę domu. Cara idzie za nim.

– Wszystko w porządku? – pyta Solomon, wreszcie odzyskawszy głos.

– Tak. – Laura się uśmiecha, po czym spuszcza wzrok. – Martwiłeś się o mnie.

– Tak – mówi niezręcznie, zawstydzony.

Są tak blisko siebie, że czuje jego ciepły oddech na skórze mimo chłodnego powietrza. Czuje zapach piwa. Jest ciemno, ale na jego twarz pada światło z domu. Mocna szczeka, idealny nos. Chciałaby rozwiązać mu włosy, przeciągnąć po nich palcami. Chciałaby wiedzieć, jakie są w dotyku, jak falują. Widzi ruch jabłka Adama, gdy przełyka ślinę.

– Nie musiałeś się o mnie martwić.

Chce przez to powiedzieć, że jego brat wcale jej nie interesuje, nie wywołuje w niej nic takiego, co czuje tylko w towarzystwie Solomona, ale Laura wie, że nie uda jej się tego dobrze ująć. Solomon wygląda na urażonego. Jakby odczytał, że ona nie chce, by się o nią martwił, bo nie chce jego. Jej serce bije mocno. Chciałaby to natychmiast odwołać, wyjaśnić, jak należy.

– Uważaj na kamienie – mówi do niej łagodnie, odwraca się i idzie w stronę domu.

## 16

Następnego ranka dom jest zatłoczony, każdy pokój jest pełen, na każdej kanapie ktoś śpi, tak jak planowała Marie, ale panuje kompletna cisza. Przyjęcie trwało do szóstej rano. Laura po rozmowie z Solomonem poszła do łóżka, zła na siebie, że powiedziała to, co powiedziała, a jemu było głupio, że usiłował odgrywać rycerza na białym koniu. Został na przyjęciu i jeszcze przez parę godzin obserwował Rory'ego i schody, by mieć pewność, że Laura jest bezpieczna. Rory okrąży Solomona szerokim łukiem – ale tylko w sensie fizycznym. Ile razy spojrzą sobie w oczy, mruga do niego lub posyła mu szyderczy uśmiech, a to wystarcza, żeby Solomon wpadł we wściekłość. Poszedł się położyć około drugiej nad ranem, ale i tak nie mógł spać z powodu śpiewów i krzyków dochodzących z dołu, a także przez Donalę, który padł na niego gdzieś koło piątej i zaczął chrapać, jak tylko jego głowa dotknęła poduszki.

Solomon najchętniej zostałby w łóżku cały dzień albo zaszył się w jakimś cichym kącie, by pograć na gitarze czy popisać: czuje natchnienie. Co prawda inspiracja pojawiała się w tych dniach bardzo rzadko, ale on wie, że i tak się nie uspokoi. Wydaje mu się, że Laura najprawdopodobniej wstanie wcześniej, a nie chce, żeby Rory znowu ją gdzieś zabrał. Nie zamierza cały czas odgrywać goryla, ale na pewno nie pozwoli, by wpadła akurat w ręce jego młodszego brata.

Bierze szybki prysznic i schodzi do salonu. Wszystkie okna otwarte, żeby usunąć smród dymu papierosowego i alkoholu. Marie w towarzystwie sąsiadów siedzi w szlafroku przy kuchennym stole, popijając Krwawą Mary.

– Coś ci usmażyć? – Ma zmęczony głos. Przyjęcie mocno dało jej się we znaki.

– Nic mi nie trzeba, mam. A wy w ogóle byliście w domu? – żartuje, lejąc mleko na płatki.

– Tak, ale wróciliśmy na drugą rundę! – odpowiada ze śmiechem ich sąsiad

Jim i unosi swój drink. – *Sláinte*. – Mimo wyczerpania panuje pogodny nastrój, wszyscy analizują wydarzenia poprzedniego wieczora. – Ten twój Lirogon to prawdziwy skarb – mówi.

– Skąd wiesz, że mówią na nią Lirogon?

– Sama nam powiedziała. Powiedziała, że ty ją tak nazwałeś. Nic o nim nie słyszałem, ale to musi być fascynujący ptak. Chociaż na pewno nie tak fascynujący jak ta dziewczyna. Mój Boże, ma niezłe organy.

– Tak, organów jej nie brakuje – odzywa się nagle Rory, wchodząc do kuchni. Porusza się sennie, drapie się po głowie.

– Poszła na plażę – mówi Marie, uważnie obserwując Solomona. Usiłuje ukryć uśmiech, gdy syn nagle zaczyna ładować płatki do ust pełnymi łyżkami, żeby jak najszybciej skończyć i iść do Laury.

– Czy mogę... – Wstaje i wyrzuca resztę płatków do zlewu.

– Idź. – Uśmiecha się. – Tylko nie zapomnij, że obiecałeś ojcu, że pójdziecie dzisiaj postrzelać.

Laura stoi na samym brzegu w kolejnej ze swoich oryginalnych kreacji. Można by pomyśleć, że ma na sobie męską koszulę – prawdopodobnie Toma – ale wykorzystując swoje umiejętności, przerobiła i dopasowała ją tak, że wygląda jak sukienka, doszyła też inny materiał na dole, żeby ją wydłużyć. W talii ma zawiązany na węzeł skórzany pasek, na stopy w wełnianych skarpetach podciągniętych prawie do kolan włożyła czarne martensy, które nie wyglądają źle na jej długich, smukłych nogach, całość dopełnia dzinsowa kurtka. Solomon niezbyt zna się na modzie, ale wie na pewno, że jej styl nie mieści się w żadnym z aktualnych trendów. Ale i tak wygląda dobrze. Typ kobiety, do jakiej zagadałaby w barze, jaka zawróciłaby mu w głowie. Typ kobiety, jaka podbiłaby jego serce.

Laura ma wrażenie, że mogłaby tak stać nad wodą zawsze – od lat nie była nad morzem, od ostatniego rodzinnego wyjazdu z Gagą i mamą do Dingle. Mogłaby tak stać w nieskończoność... i to jest problem Laury – może zostać, gdziekolwiek jej się zechce, na zawsze. Może spędzać całe dni w lesie, oparta o pień, spoglądając przez liście w górę, na niebo. Cały dzień zagubiona we własnych myślach, we własnych wspomnieniach, we własnych marzeniach. Ale już koniec z tym – musi przestać, musi się zmieniać wraz ze zmianą, przygotować się na nowy kierunek.

Zamyka oczy i słucha, jak woda chlupoce delikatnie, odpręża się tak, że niemal kołysze się do rytmu fal. Nad głową dziewczyny śpiewają mewy, a ona rozkoszuje się pięknem i doskonałością tej chwili. Staje się jeszcze doskonalsza po nadejściu Solomona. Najpierw wyczuwa jego zapach, dopiero potem go słyszy.

– Cześć, Solomon – mówi, nie odwracając się do niego, zanim on zdążył się odezwać.

– Cześć. – Śmieje się. – Jesteś też jasnowidzką?

– To by znaczyło, że wiem, co się stanie w przyszłości – odpowiada i dopiero teraz się odwraca. – Chciałabym wiedzieć. – On ma na sobie niebieską koszulę z długimi rękawami, z paroma rozpiętymi guzikami. Widać kilka ciemnych włosów na piersi. Włosy po bokach głowy ma wygolone, a czarne loki związane są wysoko w kucyk. Nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny z kucykiem, ale podoba jej się. Wciąż jest męski, jak wojownik, widać to w jego rysach, wysokich kościach policzkowych, mocnej linii szczęki zawsze pokrytej lekkim zarostem. Laura ma ochotę przesunąć po nim palcami, tak jak on to robi, gdy się zamyśli – wygląda wtedy na skupionego i nieobecnego.

– Co to było? – Marszczy brwi.

– Co?

– Ten dźwięk.

Nie miała nawet świadomości, że wydała jakiś dźwięk, ale o jednym myślała. O dźwięku przesuwania palcami po zarostie. Lubi ten dźwięk.

– Naprawdę chciałabyś wiedzieć, co się stanie w przyszłości? – pyta, stając tuż obok i patrząc w morze.

– Czasami bardziej mnie interesuje, co się działo w przeszłości – przyznaje. – Myślę o rozmowach, które prowadziłam albo które słyszałam, albo i nie słyszałam. Zastanawiam się nad nimi, wyobrażam sobie, jak przebiegały, jak mogły przebiegać.

– Na przykład...?

– Na przykład mama i Tom. Wiem, że mieli potajemny romans, wyobrażam go sobie... znaczy, rozumiesz, nie wszystko, ale...

– Wiem, o co ci chodzi – rzuca, pragnąc, by mówiła dalej.

– To pewnie moja wada. Dlaczego całe życie siedziałam na tej górze? Byłam tak zajęta rozmyślaniami o przeszłości, że zapomniałam zaplanować swoją przyszłość.

Czuje, jak wwierca się w nią jego spojrzenie, i odwraca wzrok. Nie może znieść tego żaru.

– A ty? – pyta.

– Co ja? Zapomniałem, o czym mówiliśmy. – Nie żartuje. Jest zdenerwowany.

– Myślisz o przyszłości czy przeszłości?

– O przyszłości – odpowiada z przekonaniem. – Od dziecka żyłem własnymi myślami. Chciałem być gwiazdą rocka, zawsze myślałem o swojej przyszłości, o tym, jak będę starszy, skończę szkołę, podbiję świat swoją muzyką.

Śmieje się.

– To była twoja wada?

– Nie. – Znowu na nią spogląda, a jej żołądek wykonuje salto. – Myślę, że mamy taką samą wadę.

– To znaczy jaką?

– Nie myślimy o terażniejszości.

Gdy tylko wypowiada te słowa, wydaje się, że wszystko jest tylko teraz. Jakby rzucono na nich zaklęcie, jej ciało całe drży, czuje się pełna życia, a jednocześnie słaba. Nigdy dotąd przy nikim nie czuła się w ten sposób podczas swoich nielicznych doświadczeń z innymi ludźmi. Nawet ona wie, że to nie jest normalne. To coś wyjątkowego.

Odwraca wzrok i zaklęcie znika. Usiłuje ukryć rozczarowanie.

– Wczoraj wszyscy byli tobą zachwyceni – mówi rzeczowo, prawie jak profesjonalista. Znowu go straciła: kiedy zaczyna intensywnie myśleć, jego spojrzenie staje się skupione i odległe. – Sądzą, że przyleciałaś z innej planety. Takiego daru nigdy nie doświadczyli.

Laura uśmiecha się w podziękowaniu.

– To twoja mama ma dar. – Myśli o Marie, jak siedzi wyprostowana przy

harfie, siedzi tak pięknie, Laura słyszy melodię i dopiero po chwili zdaje sobie sprawę z tego, że znowu wydaje dźwięk.

– Podobało ci się bycie na scenie? – pyta Solomon, zauroczony.

Laura widzi, że coś go gnębi. Jak wczoraj wieczorem, kiedy był na nią bardzo zły, bo znalazł ją ze swoim bratem. Nigdy nie spotkała kogoś takiego jak on, u kogo w głowie działałyby się tyle rzeczy. Wszystko widać w oczach i na czole. Wydaje się, że myśli nabierają kształtu, poruszają się, całe kłęby myśli. Chciałaby, żeby wydostały się spod skóry, by sama mogła je zobaczyć. Chce położyć ręce na jego czole i powiedzieć: „Stop”. Wygładzić zmarszczki, napełnić go spokojem. Albo jeszcze lepiej – dotknąć tych zmarszczek wargami. Teraz on czuje się niezręcznie, coś się w nim zmieniło tak szybko, w ciągu kilku sekund pełne odprężenie ustąpiło miejsca napięciu.

On pociera szczękę. Ona naśladuje ten dźwięk. Kocha ten dźwięk. Nagle pączkujące myśli znikają, zamiast tego widzi jego uśmiech, jego piękne proste zęby. Tak lepiej.

– To ten dźwięk słyszałem wcześniej – mówi, zadowolony, że go zidentyfikował, może zadowolony, że to jego dźwięk.

Laura mogłaby ten dźwięk wydawać przez cały dzień, gdyby on przez cały czas tak się do niej uśmiechał. Ale to by się nie udało, dźwięk by go zmęczył, iskra w końcu by zgasła, Laura musiałaby ciągle szukać nowych, a ten nowy świat był dla niej wypełniony nowymi dźwiękami. Czasami było ich zbyt wiele – od prób uporządkowania zaczynała ją boleć głowa. Najpierw chciała wszystkie usłyszeć, zrozumieć, ale kiedy przenieśli się z Macrooom do Galway, dźwięki się nasiliły. Odczuła to zwłaszcza wczorajszego wieczoru. Interakcja ją wyczerpywała, Laura wyczekiwała powrotu do Cork. Gdziekolwiek będzie mieszkała, musi przynajmniej trochę czasu spędzić w górach, otoczona znajomymi dźwiękami.

Nieważne, ile osób odśpiewało wczoraj swoje piosenki, ich blask nie przygasał ani trochę. Słyszała je po raz pierwszy i czuła, jakby też je po raz pierwszy wykonywali. Zwłaszcza występ Solomona. Ożywił całe pomieszczenie. Przez cały czas Laura czuła serce w gardle, słuchając jego głosu.

Niepokój Solomona wrócił, wyczuwa coś.

– Pytam, czy wczoraj spodobało ci się występowanie na scenie,

bo wieczorem dzwoniła do mnie Bo.

Pojawienie się w ich rozmowie Bo zmienia wszystko – dystans między nimi znów się powiększa. Kto to spowodował, ona czy on? Spuszcza wzrok na piasek, widzi, że ich drogi się rozeszły. Odsunęli się od siebie.

– Zmieniła plany – mówi z wysiłkiem.

Serce Laury bije mocno, ma nadzieję, że Bo nie zrezygnowała z filmu. Sam film w ogóle jej nie obchodzi, ale potrzebuje jego. To jedyny most prowadzący z jej wyspy. Bez niego nie wie, co by się stało z jej życiem.

– Chce, żebyśmy dzisiaj pojechali do Dublina. Ustawiła parę wywiadów do filmu.

Laura odczuwa wielką ulgę na wieść, że film jest nadal aktualny, nawet nie przeszkadza jej to, że trzeba odłożyć powrót do domu. Usiłuje zdusić uśmiech, który pojawia się na jej ustach.

– I ma przyjaciela – Solomon pochmurnieje, jego czoło zaczyna się marszczyć – który prowadzi w telewizji show dla talentów, *StarrQuest*. Chcieliby, żebyś tam wystąpiła.

Wydaje się, że coś go gnębi, więc i ona czuje się niepewnie. Sygnały pozwalające go zrozumieć pojawiają się i znikają. Mówi dalej, podczas gdy ona usiłuje go rozgryźć.

– Bo pokazała tym gościom z telewizji film z tobą. Pamiętasz ten automat do parzenia kawy wczoraj przy śniadaniu?

Laura natychmiast wydaje stosowny dźwięk, gdy tylko go sobie przypomina.

– No, właśnie ten. – Jego uśmiech jest pełen napięcia.

– Podoba im się ten dźwięk? – Wydaje go znowu, wsłuchując się w siebie bardziej uważnie, żeby zrozumieć, co jest w nim tak szczególnego.

– To jest niezwykle, Lauro. Nikt inny nie potrafi wydawać takich dźwięków. Nikt ani nic oprócz... automatu do kawy.

– No to automat do kawy miałby szansę wygrać – mówi Laura, próbując go rozbawić.

Śmieje się głośno, liczy, że jej żart spełnił swoje zadanie.

– Słyszałam o *StarrQuest* – ciągnie. – Przeczytałam dość pism, znam

zwycięzców każdego reality show, a jeszcze słyszałam o nich w radiu i ich piosenki też. A twoim zdaniem powinnam to zrobić?

– Będę szczerzy... – Unosi dłonie do twarzy.

Wydaje dźwięk pocierania zarostu, na co on wciska ręce do kieszeni dzinsów.

– Kiedy Bo mi o tym powiedziała, nie byłem zadowolony. Uważałem, że to zły pomysł. Ale potem zobaczyłem ten twój występ, miny widzów. Byli jak zaczarowani. Może nie należy ludziom odbierać ciebie. Może po prostu nie chciałem się tobą z nikim dzielić. Ale film i tak by to osiągnął. Może to tobie nie należy odbierać tego doświadczenia, tego podziwu, docenienia twoich umiejętności.

Czuje, jak jej policzki różowieją, gdy słucha jego słów. Nie chciał się nią dzielić. Ale nie do końca rozumie.

– Moich umiejętności?

Nie jest pewien, jak zacząć temat. Dosyć często nie jest nawet pewien, czy ona zdaje sobie sprawę z tego, że potrafi wydawać takie dźwięki.

– Jak wczoraj na przyjęciu. Podobało ci się to?

Myśli o spokoju, jaki czuła w domu jego rodziców. Spokoju na wspomnienie strun harfy, wspólnej energii przesycającej atmosferę. Entuzjastyczna reakcja publiczności wystraszyła ją, nie oczekiwała tego. Sama miała poczucie samotności, co jej odpowiadało, ale też jakby się tą samotnością dzieliła z innymi.

– Tak – mówi. – Podobało mi się.

Przyjmuje to. Wydaje się zaskoczony jej reakcją, może rozczarowany. Laura go nie rozumie. Niczego jej nie ułatwia. Chce, żeby coś zrobiła, ale nie jest do końca pewna, czego od niej oczekuje.

– A właściwie to co chcecie, żeby robiła w tym programie? – pyta.

– To nie ja wymyśliłem – odpowiada szybko. – To Bo. Jej zdaniem byłoby to dobre dla filmu. Jeżeli zyskasz rozgłos, film też będzie lepiej przyjęty.

Laura nie może stracić tego filmu. Bez ekipy filmowej nie ma nikogo, musi się ich trzymać jak tratwy ratunkowej.

– Udział w programie dla talentów, żeby pomóc filmowi, to chyba dobry



pomysł – mówi.

Solomon kiwa głową.

– Pewnie tak.

Uśmiecha się.

– Nie zawsze ci się podobają pomysły Bo.

Wydaje się, że możliwość powiedzenia prawdy sprawia mu ulgę.

– Nie, nie zawsze. I jeżeli mam być całkiem szczery, Lauro, co do tego też nie jestem przekonany. Ale decyzja należy tylko do ciebie.

– A co ty myślisz o tym programie? – pyta.

Solomon krzywi się i zamyka oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Kiedyś przy nim pracowałem – mówi w końcu. – Przy dźwięku.

– To nie jest odpowiedź.

– Wszystko zauważysz. – Uśmiecha się. – Jest to ryzyko. Możesz iść na przesłuchania i nie przejść do następnego etapu. Możesz się spodobać publiczności albo mogą cię z jakiegoś nieznanego powodu znienawidzić. Możesz tam pójść i wygwizdzą cię ze sceny. Możesz pójść i wygrać. A jeżeli tak się stanie, twoje życie może się potoczyć na miliard różnych sposobów. Zależy, co chcesz z nim zrobić.

– A jeżeli nie wygram?

Zastanawia się nad odpowiedzią.

– Prawie natychmiast o tobie zapomną.

„Kierunki – myśli Laura. – Możliwości. Różne kierunki wydają się dobre, bo zawrócić już nie można. Jeżeli zrobię z siebie idiotkę, zapomną o mnie, to nie tak źle. To niemal korzyść”.

– Zrobię to – mówi zdecydowanie, ku zaskoczeniu Solomona. Przerzuca most z jednego brzegu na drugi.

Tego popołudnia, kiedy bracia Solomona wstają wreszcie z łóżek i dochodzą do siebie, wybierają się nieopodal na strzelnicę, gdzie można postrzelać do rzutków. Tu zawsze panowała ostra konkurencja wśród rodzeństwa oraz między nimi a ojcem. Tylko Cara się wyłączyła – woli zostać

w domu i pogadać z mamą. Finbar, zapalony gracz w pokera, zawsze dążył do zwycięstwa i przekazał to samo swoim dzieciom. Co roku chodzą na polowanie – bażanty, bekasy, gołębie, zwierzyna, cokolwiek się da, a zdobycz świadczy o mężczyźnie. Teraz nie ma sezonu na ptaki, więc muszą się zadowolić rzutkami, Finbar już wymyślił sposób liczenia punktów i zasady.

Solomon i Laura zamierzają pojechać za pozostałymi jego samochodem, ale gdy już mają ruszyć, otwierają się drzwiczki i do środka wskakuje Rory. Solomon czuje napad wściekłości, ale ją tłumi. Oczy Laury rozjaśniają się, chichocze uprzejmie z idiotycznych dowcipów i historyjek, które Rory opowiada po drodze. Solomon usiłuje się opanować, lekceważąc jego gadaninę, ale nie może ignorować, że Laura tak się ożywia w towarzystwie jego brata.

Laura idzie z Rorem w stronę strzelnicy składającej się z rzędu drewnianych kabin. Solomon pozostaje czujnie przy jej boku, chociaż trzyma się na dystans. Nie jest pewien, czy ona wolałaby, żeby odszedł, ale i tak zostaje. Pięć kabin jest zajętych, w każdej tłoczy się sześćoosobowa grupka. Weekend i piękna pogoda – ludzie wyszli z domów.

Laurze wystarczy siedzenie na ławce i obserwowanie zawodów. Rory siada obok niej, a Solomona ogarnia irytacja. Stoi niedaleko i usiłuje słuchać ich rozmowy, czując się przy tym jak piąte koło u wozu. Laura lubi jego brata, tyle wie, więc w miarę upływu czasu Solomon odsuwa się, daje im przestrzeń. Czuje się odepchnięty i ma to za złe bratu i sobie.

Gdy skupia się na trafianiu w rzutki, Rory nawija za nim. Solomon uważa, że brat robi to specjalnie, usiłuje go rozproszyć, a potem zdaje sobie sprawę, jak aroganckie są to myśli. Jednak za pierwszym razem pułkuje.

– Cisza – warczy i wszyscy milkną. Finbar ucisza Rory'ego, z czego Solomon jest zadowolony, bo teraz już trafia za każdym razem. Pięć z rzędu, ale to dopiero rozgrzewka. Rory jest następny i Solomon z satysfakcją zajmuje jego miejsce na ławce.

Laura unosi rękę do piątki.

Solomon uśmiecha się i przybija piątkę, pozwala, by jego palce zwinęły się i splotły z jej palcami. Uśmiecha się do niego. Pozwalają rękom, wciąż połączonym, powoli opaść, a potem on myśli o Bo i zastanawia się, co on tu, kurwa, robi, po czym cofa dłoń.

Rory trafia za każdym razem.

– Tak się kończy, jak odpuszczasz Boże Narodzenie – żartuje Finbar. Solomon nie był na bożonarodzeniowym polowaniu.

– Ee, nie bądź dla niego za surowy – mówi Donal, biorąc strzelbę i zajmując jego miejsce. – Autorzy nagradzanych filmów dokumentalnych obracają się w wyższych sferach.

– Hej, to nie ja zbierałem te nagrody, tylko *Mouth to Mouth*[2]. – Solomon splata ramiona na piersi i staje koło Laury. Zastanawia się, czy nie usiąść, ale koło niej nie ma miejsca, a nie chce siadać przy Rorym, który wrócił na swoje miejsce.

– Dostawałeś usta–usta? – pyta Donal, a następnie ciągnie za spust.

Solomon wyjaśnia Laurze:

– Tak się nazywa firma producencka Bo. Filmy dokumentalne to dla niej ożywanie opowieści. Pomaga im żyć.

Rory wydaje dźwięk wymiotowania.

– Dorośnij wreszcie, Rory.

– Łoły – mówi Laura, idealnie imitując Solomona udającego samego siebie.

Nie kpi z niego i ma nadzieję, że on tak tego nie odbierze, ale ocenia atmosferę między nim a Rorym i widzi problem. To proste słowo ma wyjaśnić uczucia Solomona. Chociaż Rory ani pozostali nie patrzą na to w taki sposób. Bracia śmieją się, myśląc, że dziewczyna z niego drwi. Solomon splata ręce i wpatruje się w horyzont.

– No, ruszcie się, bo do jutra będziemy tu siedzieć.

Laura patrzy na niego przepaszająco.

Każdy ma swoją kolejkę. Prowadzi tata wspólnie z Rorym, któremu zawsze idzie najlepiej, kiedy ma się przed kim popisować. Ostatni jest Cormac. Spięty Cormac, który zbyt dużo myśli przed każdym strzałem.

– Cara lepiej strzela z aparatu – drażni się z nim Solomon. Solomon lubi, kiedy przychodzi kolej na Rory'ego, bo wtedy zwalnia się miejsce na ławce obok Laury. Zastanawia się, czy go nie podsiąść, ale potem uznaje, że może to się wydać małostkowe, może będą się z niego śmiali, zbyt wiele się

dopatrzą. Stoi więc, zwłaszcza że Laurę i tak bardziej teraz interesuje obserwowanie strzelania. Rory nie chybia ani razu. Jako jedyny syn wciąż mieszkający z rodzicami ma więcej czasu na polowania z ojcem.

Ku powszechnemu rozbawieniu Laura naśladuje odgłosy strzałów, maszyny do rzutków, dźwięk ich wyrzucania, dźwięk trafienia. Solomonowi wydaje się ciekawe, jak szybko wszyscy przywykli do jej dźwięków, robią swoje i nie odwracają się do niej za każdym razem. Od czasu do czasu jakiś dźwięk wywołuje u kogoś śmiech („Ten był dobry, Lauro!” – chwali ojciec), okrzyk podziwu i zaskoczenia, nigdy drwiny – Solomon mógłby ich wszystkich za to ucałować.

Teraz Rory prowadzi. Finbar i Solomon mają tę samą liczbę punktów. Cormac i Donal zostali z tyłu. Jeżeli Solomon trafi sześć na sześć, a tata chybi raz, będzie na równi z Rorym. Zajmuje swoje miejsce. Opiera strzelbę na ramieniu.

– Powodzenia, Solomon – mówi Laura, to zmiękcza jego serce. Za nim Rory bierze do ręki swoją strzelbę i gestem przywołuje Laurę. Dziewczyna marszczy brwi, ale wstaje bez słowa i idzie za nim. Rory schodzi rodzinie z oczu, ale oni i tak na niego nie patrzą, bo wszyscy są odwrócenii w drugą stronę i obserwują Solomona. Rory wskazuje coś niezbyt daleko w trawie, a Laura uśmiecha się zachwycona. To piękny zając. Przez nieuwagę zapuścił się za daleko i znalazł się na środku pola bitwy. Skacze szaleńczo, usiłując się wydostać z niebezpiecznego terenu, a z pięciu kabin dobiegają strzały. Laura uśmiecha się i obserwuje go. Od lat nie widziała zająca, na górze żadnych nie było; największymi ssakami były borsuki i szczury, których nie miała ochoty widzieć w pobliżu swojego domku.

Laura patrzy, a Rory tymczasem unosi strzelbę do ramienia. Celuje.

– Co ty robisz? – pyta.

Strzela natychmiast, a pozostali podskakują, gdy strzał rozlega się tak blisko nich, chociaż nie wydobył się ze strzelby Solomona.

Laura wrzeszczy. Solomon się wystraszył i jego palec zaciska się na cynglu. Nie trafia, ale to go nie obchodzi, bo boi się o Laurę. Odwraca się i widzi, jak dziewczyna przeciska się pod drewnianą balustradą na łąkę.

– Co ona robi? – pyta Donal.

– Lauro, nie! – krzyczy Solomon, odkładając strzelbę i biegnąc za nią.

– Wracaj!! – wrzeszczą za nim Finbar i pozostali, ale ona ich ignoruje. Wszędzie wokół strzelają, ktoś może ją postrzelić.

Zauważa ich właściciel, krzyczy do wszystkich, żeby przestali, ale nie dociera to do nich od razu i pada jeszcze kilka strzałów, gdy Laura i Solomon biegną przez łąkę.

– Laura! Stój! – krzyczy Solomon, wściekły, że się wystawiła na takie niebezpieczeństwo. Dociera do niej i chwyta ją w tali, przyciąga mocno do siebie. Ona odpycha jego ramię, rozgląda się wokół w panice, jakby czegoś szukała. Solomon puszcza ją i patrzy, jak krąży wokół, usiłując coś znaleźć, wydając dźwięki, których nie może rozszyfrować. Zwierzęce dźwięki, odgłosy strzałów.

– Lauro, co ty robisz? – Jest spokojniejszy, bo wszyscy w kabinach odłożyli broń; teraz stoją przy barierce, oglądając przedstawienie. Solomon nie chce, żeby Laura była bohaterką przedstawienia.

Wciąż okrąża tę samą część łąki, patrząc w dół, spanikowana, wydając dźwięk za dźwiękiem, jakby usiłowała coś wytropić.

– Lauro – mówi spokojnie Solomon. – Pomogę ci. Co ty robisz? – Czuje, że tata i bracia stają obok niego. Patrzy na nich, nic nie rozumiejąc, widzi, że Rory trzyma się z tyłu z miną winowajcy.

– Co ty zrobiłeś? – pyta szorstko. Rory go ignoruje.

– Do czegoś strzelił – mówi Cormac, zły na młodszego brata. – Rory, Jezu, mogłeś trafić któreś z nas. Nie strzela się z kabiny.

– To nie pieprzony *Pluton* – dodaje Donal.

– Do czego strzelałeś? – pyta Solomon. – Do ptaka?

– Tu nie ma, kurwa, żadnych ptaków – odpowiada Rory, niezadowolony, że nagle wszyscy są przeciw niemu. – Skąd by się tu wziął?

– Nie dotykaj tego, skarbie – mówi nagle Finbar. Solomon odwraca się i widzi, że Laura uklękła w trawie obok zająca. Zając został postrzelony, ale jeszcze nie jest martwy. Laura płacze, łzy spływają jej po policzkach, naśladuje ostatnie dźwięki zwierzęcia.

– Jezu – mówi Rory, patrząc na nią, jakby była odmieńcem. – To tylko

cholerny zajęc.

– Tu nie możesz strzelać do cholernych zajęcy – warczy na niego ojciec, usiłując nie podnosić głosu, świadom, jak dużo osób na nich patrzy. – Boże, co ci odbiło, wszystkich nas stąd wyrzuca, Rory.

– Popisywał się i tyle – odzywa się niezadowolony Cormac.

– Naprawdę powinniśmy wracać do kabiny – zwraca się Finbar do Solomona, z niepokojem popatrując na Laurę, świadom spojrzeń, jakie przyciągają.

– Wiem. – Solomon zmęczonym gestem pociera oczy. – Daj jej chwilę.

Patrzy, jak Laura klęczy obok umierającego zajęcia, wciąż naśladując jego dźwięki i płacząc. Może pozostali uważają ją za wariatkę, ale on rozumie jej ból, jej stratę.

Właściciel rusza w ich stronę, czerwony z wściekłości.

Solomon podchodzi do Laury, kuca i obejmuje ją ramieniem.

– Już odszedł, chodźmy stąd.

Czuje, jak jej ciało drży, gdy powoli wstaje i się rozgląda. Patrzy na wszystkich dookoła. Słyszy prychnięcia, widzi zmarszczone brwi, uniesione komórki. Nawet Rory nie chce jej teraz spojrzeć w oczy, nadal trzyma się z tyłu i rusza sam do kabiny. Ociera policzki i usiłuje się opanować.

Kiedy docierają do kabiny, Rory'ego nie ma, zabrał się z kimś samochodem. Popsuł wszystkim nastrój, w dodatku brakuje im teraz jednego zawodnika, więc wracają do domu.

Marie i Cara patrzą na nich pytająco, gdy pojawiają się wcześniej, niż przewidziano, ale w odpowiedzi widzą tylko wzruszenia ramion i słyszą niejasne mamrotanie. Solomon prowadzi Laurę na górę do jej pokoju, staje w drzwiach.

– Nic ci nie jest?

Laura kładzie się na łóżku, zwija w kłębek i dalej płacze. Solomon chciałby położyć się przy niej, owinać się dookoła, chronić ją.

– Chcesz już jechać? – pyta.

– Tak, proszę – mówi, szlochając.

Pożegnanie z Finbarem i Marie jest dyskretne. Marie obdarza ją delikatnym

uściskiem i mówi, żeby na siebie uważała, Laura szepcze słowa podziękowania i milknie. Chce być sama, dlatego podczas podróży do Dublina siedzi z tyłu. Po pewnym czasie Solomon dostrzega, że się położyła plecami do niego. Włącza cicho radio, rozlega się piosenka Jacka Starra i chociaż w takich przypadkach zazwyczaj zmienia stację, teraz nawet trochę podgłośnia.

– To Jack Starr – mówi. – To właśnie on jest sędzią w *StarrQuest*.

Laura nie odpowiada. Solomon zerka w tylne lusterko i widzi, że nadal jest odwrócona do niego tyłem. Ścisza muzykę i w końcu przełącza stację, a potem postanawia całkiem wyłączyć radio. Czasami Laura wydaje pisk umierającego zająca, który przechodzi w skomlenie Mossiego sprzed paru dni – leżał na tym samym tylnym siedzeniu, kiedy jechali do weterynarza.

Resztę drogi przebywają w milczeniu. Laura usiłuje uporać się z kolejną stratą w swoim życiu w jedyny sposób, jaki zna.

Laura leży na tylnym siedzeniu samochodu Solomona. Czuje, jakby głowę rozwalął jej młot, migrena pulsuje, zatoki bołą. Nic z tym nie może zrobić, najwyżej zamknąć oczy, skupić się na ciemności.

W ciemności migocą obrazy jej mamy, Gagi, Toma i tego wszystkiego, co mogła i może powinna była mu powiedzieć. Na początku, kiedy wprowadziła się do domku, czuli się ze sobą dość niezręcznie, chociaż Laura traktowała go z wielką delikatnością. Tom był jeszcze mniej przyzwyczajony do towarzystwa niż ona... Poznanie jego zachowań zabrało jej trochę czasu, ale w końcu Laura nauczyła się odczytywać, kiedy Tom chce z nią zostać dłużej, a kiedy nie ma nastroju do rozmowy. Z upływem lat coraz częściej siadał z nią i zjadał przygotowany przez nią posiłek. W czwartki szykowała specjalne danie, na wypadek gdyby mógł zostać. Czasami siedzieli w całkowitym milczeniu, on był pogrążony we własnych myślach, a ona go obserwowała, usiłując odnaleźć w nim rozpoznawalne fragmenty siebie samej. Zdarzało się, że rozmawiali ze sobą przez cały czas: o przyrodzie, o sporcie, o czymś, co Laura przeczytała w czasopiśmie albo usłyszała w radio. Chociaż to ona pozostawała w ukryciu, wydawało jej się, że właśnie ona dostarcza mu więcej informacji o świecie. Jego światem była farma, podczas gdy jej światem był domek, gdzie słuchała radia i czytała, więc zawsze wiedziała, co się dzieje. Prosiła tylko, żeby dostarczał jej baterie. Wydawało jej się, że Tom lubił słuchać, jak mówiła. Może on też odnajdywał

w niej fragmenty siebie. Nie był człowiekiem, któremu śmiech przychodził łatwo, był prosty i pogodny, umiał cierpliwie słuchać i uważnie obserwować. Pod tym względem byli do siebie podobni. Myśli o tym, kiedy widziała go po raz ostatni, jak znika wśród drzew, machając na pożegnanie, z Mossiem u nogi. Miał wrócić później, by naprawić jej okno. Trzeba je było uszczelnić. Chodził po domku, stukając w różne rzeczy, waląc w nie, kopiać. Najpierw wydawało jej się to nieuprzejme, że nigdy nie potrafił się na niej skupić, potem zrozumiała, że w taki sposób okazywał, że mu na niej zależy. Przez wiele lat był wszystkim, co miała, i kochała go.

Myśli o Mossiem, o Rorym i o bezczelnym uśmiechu na jego przystojnej twarzy, zanim strzelił do zająca. Pisk wydany przez zwierzę, gdy padło. Był daleko, wystrzał rozbrzmiewał echem w jej uszach, ale była pewna, że go słyszała. Dźwięk, jaki wydał, odchodząc z tego świata.

Okrucieństwo.

Co ona robi w tym świecie? Dokąd zmierza? Wie, że przed nią znacznie dłuższa droga niż ta, którą dotąd pokonała. Zawsze mogła wrócić. Jej most się chwieje, w najlepszym wypadku to kładka na linach, jeżeli przyjmie na siebie większy ciężar, prawdopodobnie nie wytrzyma. Myśli o Joem, który był tak bardzo podobny do Toma fizycznie, że wzięła go za brata. Słyszy jego pełne złości krzyki skierowane do niej, słowa wypowiedane nieprzyjemnym tonem, i w końcu musi otworzyć oczy. Czuje w swojej przestrzeni Solomona, wyobraża sobie jego spojrzenie, czuje jego ciało przyciśnięte do niej na strzelnicy, gdy usiłował odciągnąć ją w bezpieczne miejsce, silne ramiona zaciśnięte wokół jej talii. Nawet kiedy jej nie dotyka, jest obecny w jej życiu. Jego ramię odciągające ją od zagrożenia.

Nie jest pewna, dokąd zmierza, ale wie, że zawrócić nie może.

## 17

Solomon i Laura docierają do Dublina wieczorem. Przez całą drogę nie odezwała się do niego ani słowem, chociaż zagadywał ją kilka razy, delikatnie dopytując, czy dobrze się czuje lub czy nie chciałyby się zatrzymać. Wydaje mu się, że zasnęła, bo dźwięki ucichły. Jeżeli tak, to już wie, że ona przez sen nie wydaje żadnych dźwięków, a w tej wiedzy, nawet w pragnieniu jej



pozyskania, kryje się jakaś intymność. Nigdy nie odczuwał potrzeby, aby dowiedzieć się o kimś tak dużo. Znowu przygląda jej się w lusterku, po czym wzdycha i poprawia się w fotelu.

Mieszkanie Solomona znajduje się na Grand Canal, w nowej dzielnicy otoczonej eleganckimi biurowcami. Pod każdym blokiem aż się roi od restauracji i kawiarni; latem przez pierwsze miesiące po wprowadzeniu się siadywał na balkonie z piwem i przysłuchiwał się rozmowom obcych ludzi uczujących na dole. Słuchał wszystkiego, wszystko go interesowało, aż pewnego wieczoru, kiedy zaczęła się pijacka kłótnia, okazał się na tyle głupi, że zszedł na dół i próbował interweniować. Zamiast spokoju zyskał podbite oko. W końcu te rozmowy zaczęły go irytować. Nie usłyszał niczego, co by go w najmniejszym stopniu mogło zaciekawić: paplanina, small talk, plotki, narzekanie, niezręczne pierwsze randki, milczące pary z długim stażem, hałaśliwe grupki przyjaciół. Unikał więc balkonu albo kasłał głośno, odchrząkiwał, nastawiał głośniejszą muzykę, by dać tym na dole do zrozumienia, że wyżej ktoś ich słyszy.

W końcu przestał ich słyszeć. Nie wie, kiedy to się stało, ale uświadomił to sobie w pierwszym tygodniu po wprowadzeniu się Bo. Pewnej nocy nie mogła spać z powodu rozmów na dworze. Potem nie mogła się skupić na swoich papierach, bo przeszkadzał jej hałas wakeboardingu. A kiedy opowiadał jej coś przy obiedzie, widział, że go nie słucha.

– Słyszałeś to? – spytała. Wstała od stołu, wyszła na balkon i przechylając się przez balustradę, usiłowała znaleźć źródło tajemniczej rozmowy.

O ile mu wiadomo, Bo w końcu też przestała zwracać uwagę na hałasy. To się zdarza.

Laura budzi się tuż po wjeździe do miasta, wyczuwa różnicę natężenia światła, dźwięku, mniej płynną jazdę. Przeciąga się, a Solomon obserwuje jej twarz, pierwszy raz od wielu godzin widzi ją w pełnym świetle. Jeżeli spała, nie widać tego po niej – wydaje się całkiem rozbudzona, piękna, niewinnie wygląda to przez jedno, to przez drugie okno, wchłaniając wszystko. Nigdy nie była w mieście. Światła i ruch znikają, kiedy samochód wjeżdża na podziemny parking pod blokiem.

– Moje mieszkanie jest na górze – wyjaśnia Solomon, podczas gdy ona rozgląda się wokół, zdezorientowana.

Solomon zatrzaskuje drzwi samochodu, dźwięk odbija się echem w podziemiu. Laura podskakuje, zaskoczona. W oddali ktoś wyrzuca śmieci do blokowego kosza i zamyka go z hukiem. Znowu rozlega się echo, a ona po raz drugi podskakuje.

Obserwuje ją kątem oka, zaniepokojony tym, że ją tu przywiózł.

– Na następnej ulicy jest hotel Marker. Sympatyczny. Nowoczesny, z wypasionym barem na dachu, można stamtąd zobaczyć całe miasto. – Nie stać go na wynajęcie tam pokoju, ale może Bo znalazłaby jakieś pieniądze. Dla bohaterki dokumentu powinno się udać. – Możesz mieszkać tam, jeśli wolisz.

– Nie – odpowiada szybko. – Chcę zostać z tobą.

– Okej, żaden problem – mówi spokojnie, czując zalewające go ciepło.

Wyjmuje z bagażnika torby i zamyka klapę, tym razem jest ostrożniejszy. Otwierają się ciężkie drzwi przeciwpożarowe; kiedy się zatrzasują, rozlega się głośne echo. Wysokie obcasy stukają po betonie, samochód koło nich rozświetla się i piszczy. Laura naśladuje dźwięk, odsuwając się od auta. Kobieta, która wsiada do tego samochodu, patrzy na nią z niechęcią, tak jakby wydany przez Laurę dźwięk ją obraził. Uruchamia silnik, a Solomon szybko odciąga dziewczynę.

– Okej. Chodźmy do środka – mówi, biorąc torby, i prowadzi ją do wyjścia.

Bo stoi w drzwiach mieszkania. Solomon i Laura powinni niedługo być. Czuje zdenerwowanie, chociaż w zasadzie bez powodu. To kłamstwo. Jest powód, ale Bo usiłuje sobie wmówić, że fakt, iż Solomon i Laura byli razem przez dwa dni, sami, bez niej, nie jest żadnym powodem do niepokoju. Chce być partnerką, która się takimi sprawami nie przejmuje. Zazdrość jest zabójcza, niszcząca. Nigdy nie była zazdrosną osobą, zwłaszcza w związkach, nigdy nie czuła się w nich zagrożona. Praca to co innego – jeżeli ktoś nakreśli lepszy dokument, jeżeli ktoś poradzi sobie lepiej od niej, wtedy przyzna się do zazdrości. Posługuje się tym uczuciem, aby być jeszcze lepsza. Ale nie jest pewna, jak takie uczucie wpływa na związek. Nie wie, jak poradzić sobie lepiej od Laury, i nie chce wiedzieć.

I nie chodzi o to, co powiedział wczoraj Jack. To nie on uruchomił

dzwonek alarmowy, nie on zasiał ziarno wątpliwości, nie on szepcze jej do ucha i znika w ciemnościach. To uczucie pojawiło się już wcześniej. Laura upierała się, żeby być z Solomonem cały czas. Jaka partnerka by na to pozwoliła? Nie tylko pozwoliła, ale wręcz zachęcała do tego. To ona, Bo, popycha Solomona w stronę Laury. I to właśnie jest przyczyną tego niepokoju, tego dziwnego uczucia umiejscowionego głęboko w brzuchu – świadomość, że wszystko to dzieje się za jej przyzwoleniem. Udaje, że nie wie, bo stwierdzenie czegoś zgoła przeciwnego byłoby bezduszne, dziwne, bezlitosne. Widzi, co się między nimi dzieje tuż przed jej nosem, i podsycza to, dla dobra filmu. Proszę. Przyznała się do tego.

Winda rusza, wjeżdża na jej piętro. Nie spodziewają się, że Bo powita ich w drzwiach. Chce zobaczyć ich twarze, gdyż przed wejściem do mieszkania na pewno przybiorą obojętne miny. Jeden rzut oka wystarczy, żeby poznać, czy między nimi coś zaszło. Drzwi windy otwierają się. Ścisła ją boleśnie w żołądku. Wychodzi Solomon. Jest sam. Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, po czym odwraca się w stronę windy.

– Chodź, Lauro, przyjechaliśmy.

Bo przesuwa się w lewo i zagląda do środka. Laura kuli się w kącie kabiny, przyciskając dłonie do uszu. Potem podnosi się, potulnie jak baranek; w każdej ręce ma torbę. Bo czuje, że ucisk w żołądku znika natychmiast. Wstydy się tego uczucia ulgi, wstydy się tego, jak zrobiło się jej przyjemnie, gdy zobaczyła Laurę w tym stanie.

– Nie lubi wind – oznajmia podenerwowany Solomon.

– Cześć, Lauro! – Głos Bo brzmi łagodnie. – Witaj.

Podziękowanie Laury to ledwo słyszalny szept. Wchodzi do mieszkania.

– Jak podróż? – pyta Bo ostrożnie, podczas gdy Laura rozgląda się dokoła.

Solomon daje głową znak, by o nic nie pytała, ale jest już za późno.

Laura otwiera usta: wylewa się z nich potok pomieszanych, zlewających się ze sobą dźwięków. Brzmi to jak źle zmiksowana piosenka.

Bo otwiera szeroko oczy; nie wie, jak sobie poradzić z tą kakofonią. To niedobre dźwięki – coś się stało, coś, co Laurę tak zdenerwowało. Oszołomiona patrzy, jak Solomon prowadzi ją do małego pokoiku, jakby była kruchym poranionym ptakiem. W tym czasie Bo usiłuje rozszyfrować

poszczególne dźwięki, ale nie potrafi. Czyżby słyszała wystrzał?

Solomon jednak zrozumiał je wszystkie, zidentyfikował każdy z nich; gdy ona powtarza je raz za razem, on zagłębia w jej strwożone myśli, w jej zranione serce. Skomlenie Mossiego. Wściekły Joe. Zabity zając, wystrzał, trzaśnięcie drzwi, wysokie obcasy na betonie, pisk alarmu samochodowego, dźwięk wydawany przez drzwi wejściowe, zgrzyt windy po przyciśnięciu przycisku. Syrena policyjna.

I jeszcze głos Bo kochającej się z Solomonem schowany wśród innych dźwięków.

Wiele mówiące dźwięki. Mieszanka głosów wszystkich osób, których Laura nie lubi.

Dublin jest dla Laury pełen nowych dźwięków. Setki ludzi, którzy wychodzą z teatru w dole ulicy i rozchodzą się stopniowo: jedni odpalają swoje samochody, inni wzywają taksówki, rozjeżdżają się do różnych części miasta, z powrotem do swojego życia. Taksówkarze kryjący się pod balkonem podczas nagłej ulewy. Nawet szmer kropli deszczu brzmi inaczej. Padają na beton i do kanału po drugiej stronie ulicy. Żaden liść nie staje im na drodze na ziemię, ziemia ich nie wchłania. W oddali słychać syrenę policyjną, ktoś krzyczy, grupa ludzi się śmieje... Każdy hałas każe jej biec do okna sypialni.

Cieszy się, że pokój jest tak mały. Nie sądzi, że byłaby w stanie poradzić sobie z większą przestrzenią. Jest jej za dużo, a Laurze potrzebny jest własny kokon. W pokoju stoi pojedyncze łóżko; jest ono dosunięte do ściany, za którą znajduje się pokój Solomona i Bo. Stoi tu też wieszak z jego koszulami, więc pokój pachnie nim. Bo ma szafę w ich pokoju, tak jej powiedział. To miło z jego strony, że opowiada jej o wszystkim, kiedy wie, że jest podenerwowana. To ją wycisza. Jego głos jest spokojny, łagodny. Zwłaszcza gdy śpiewa. Zamyka oczy, by znowu usłyszeć jego śpiew na przyjęciu, ponownie przeżyć tę chwilę; ledwo jednak przeniosła się myślami do tamtego pokoju, gdy dźwięk z zewnątrz sprawił, że podskoczyła. To jakaś dziewczyna śmieje się razem z przyjaciółką. Laurze wali serce.

Domek Toolinów zawsze wypełniały jakieś dźwięki. Nigdy nie było cicho, chociaż ekipa mówi o spokoju. Ale Laura była do tych dźwięków przyzwyczajona. Pamięta swoją pierwszą samotną noc w domku. Miała szesnaście lat i tak bardzo się bała. Bez matki, którą straciła kilka miesięcy

wcześniej, po pełnym łez pożegnaniu z Gagą. Babcia nie spała już w pokoju obok, ale świadomość tego, że nie jest daleko, trochę łagodziła ból i strach. Kiedy się dowiedziała o śmierci Gagi pół roku później, przeżyła straszne chwile. Czuła się całkowicie opuszczona, ale śmierć babci wzmocniła przyjaźń między nią a Tomem. Tom przekazał jej złe wieści w swój zwykły szorstki sposób. Wrażliwości nauczył się z czasem. Wiedział, że Laura jest zupełnie sama, przeciągał więc swoje wizyty, zostawał coraz dłużej, służył pomocą, coś reperował, chociaż o to nie prosiła, bardziej się starał. To, że Tom był niedaleko i Laura mogła na niego liczyć, gdyby nagle potrzebowała pomocy, było niezwykle ważne. Czasami naprawiał jej toaletę, przywoził farbę, dostarczał leki albo coś przybijał, jednak na ogół Laura polegała na sobie. Lubiła to uczucie samodzielności, kwitła dzięki niemu, ale czuła się bezpieczniej, wiedząc, że bliźniacy są niedaleko, nawet jeżeli Joe o niczym nie wiedział.

Nigdy się z Tomem nie uścisnęli, nie pocałowali, nawet się nie dotknęli, ale najważniejsze było to, że łączył ją ze światem, z którego czuła się czasami wykluczona.

– On nie może wiedzieć – tylko tyle Tom powiedział o tej sprawie, kiedy spytała, tylko tyle.

Od bardzo dawna nie wspominała tak szczegółowo swojej pierwszej nocy w domku. Leżała w łóżku, patrząc na czarne niebo przez pozbawione zasłon okno. Miała wrażenie, że jest obserwowana, chociaż jedynymi ludźmi w promieniu wielu kilometrów byli Joe i Tom. Chociaż Tom włożył sporo pracy w naprawę starego budynku przed jej przybyciem, było w nim zimno. Owinęła się owczą skórą, skuliła i słuchała dźwięków, które były jej obce, usiłując przy tym umiejscowić każdy z nich i zrozumieć swój nowy świat. Dziesięć lat później, w wieku dwudziestu sześciu lat, znowu czuła się jak wtedy, pierwszej nocy w domku na farmie Toolinów.

– Czuję się jak w Cork, w domku Toolinów – szepcze Bo i chichocze.

– Przestań – strofuje ją Solomon. Nie chce, by Laura usłyszała jej śmiech. – Sowa – szepcze, usiłując zidentyfikować dźwięki dobiegające z pokoju Laury. Przypomina sobie, jak stał przy oknie w jej chatce i wzdygał się na każdy odgłos. Zidentyfikowała je dla niego, by pomóc mu się uspokoić. Może powinien teraz odplącić jej tym samym? Zaczyna nasłuchiwać dźwięków

w mieszkaniu i poza nim. Słyszy odgłosy, których nigdy dotąd nie zauważał.

Oboje słuchają w milczeniu. Leżą na wznak na łóżku i wpatrują się w sufit.

– Nietoperz? – pyta Bo, rozpoznając dźwięk.

– Jakiś ptak. – Solomon wzrusza ramionami. – To rechot żaby – szepcze, rozpoznając kolejny.

– Rany, deszcz na dachu – odpowiada Bo szeptem, przytulając się do niego.  
– Wiatr?

– Kto wie – mówi, zadowolony z obecności Bo, z ich bliskości. Są nadzy, przykryci jedynie do pasa w tę parną noc, którą deszcz usiłuje odświeżyć, i nasłuchują nocnych dźwięków odległych gór. Solomon czuje, że w nadzwyczajny sposób został przeniesiony w inne miejsce; wystarczy tylko zamknąć oczy. To bardzo intymna sugestia tego, jak byłoby cudownie leżeć nocą u boku Laury w jej domku.

– Jak romantycznie, czuję się jak na biwaku – mówi Bo. Przytula się mocniej do Solomona, wsuwając głowę pod jego ramię. Przerzuca nogę przez jego ciało i układa się wygodnie. – Robiłeś to kiedyś pod gwiazdami? – Zaczyna całować jego pierś i przesuwa się niżej.

Jednak dociera do niego, że to nie jest romantyczne. Laura, sama w obcym miejscu, przypomina sobie, za czym tęskni, przywołuje znajome dźwięki, by odpędzić samotność. On stara się przegonić myśli o niej, stara się przestać ją słyszeć i zatracić się w Bo. Ale nie może, bo nawet gdy Laura milczy, wciąż tkwi w jego głowie.

## 18

Filmowcy i Laura przybyli do laboratorium Davida Kelly'ego z Irlandzkiego Towarzystwa Ornitologicznego. Rachel przygląda się ekranowi stojącego obok niej monitora. Pomieszczenie jest nieźle oświetlone, w tle klatki dla ptaków, dobrze ujęte przyrządy naukowe, strategicznie rozmieszczone; w tym samym czasie pan Kelly rozgląda się z poczuciem bezradności.

– No dobrze, ale tego by tu normalnie nie było – oponuje nieco podenerwowany, gdy Bo przenosi jego plakaty z ptakami z jednej ściany

na drugą, żeby lepiej prezentowały się w kadrze.

Wreszcie siada, gotów do rozpoczęcia wywiadu; Bo jest poza kadrem. Solomon też jest gotowy, mikrofon wyciąga się nad ich głowami. Laura znajduje się za jego lewym ramieniem. Wszyscy są zadowoleni z wyjątkiem Solomona – dla dźwiękowca to koszmar. Za każdym razem gdy David Kelly się odzywa, skrzeczy ptak. A do tego wszystkiego Laura go naśladuje.

Podobnie jak Rachel traci nad sobą panowanie, gdy coś jej przeszkadza w ujęciu, również humor Solomona bardzo się zmienia, kiedy coś psuje mu dźwięk. Podczas gdy David Kelly spogląda na Laurę, zniecierpliwiony tym, że musi zaczynać od nowa swoją wypowiedź, Solomonowi wcale to nie przeszkadza. Jest po prostu zadowolony, że ona jest tu z nim, dźwięki przypominają mu o jej obecności, co graniczy z cudem, jeżeli wziąć pod uwagę jego temperament.

Laura patrzy na Davida wielkimi niewinnymi oczami, jakby wcale nic nie zrobiła.

Zanim wywiad w ogóle się zaczął, Solomon był zdania, że nie należało jej tu przyprowadzać; nie był pewien, czy powinna słyszeć oceny i opinie innych na swój temat. Czy ktoś koniecznie musi wiedzieć, co ludzie gadają o nim za plecami? Wyłożył to Bo, ona zgodziła się z nim, ale nie bardzo mieli wybór. Laura stanowczo zaprotestowała przeciwko pozostaniu samej w mieszkaniu. Chciała być z Solomonem.

– Okej, panie doktorze, proszę jeszcze raz. To samo pytanie, ta sama odpowiedź, proszę – mówi Bo.

– Oczywiście. Lirogon to ptak australijski, prowadzący naziemny...

– Przepraszam, czy mógłby pan zacząć bez tego „oczywiście”?

– Przepraszam, jasne. – Robi pauzę. Rachel kiwa głową. Akcja. – Lirogon to ptak australijski, prowadzący naziemny tryb życia, znany ze swoich...

– Chwileczkę... – Bo znów mu przerywa. – Przepraszam bardzo. Za szybko – zatrzymuje go. I ma rację. Doktor Kelly usiłuje powiedzieć jak najwięcej, zanim zaskrzeczy kolejny ptak, a po nim Laura. – Troszeczkę wolniej, przedtem było idealnie. Proszę kontynuować. – Słuchawki na uszy. Akcja.

– Lirogon to ptak australijski, prowadzący naziemny tryb życia, znany ze swoich...

Skrzeek. Ptak.

Skrzeek. Laura.

– ...niezwykłych zdolności mimetycznych – kontynuuje. – Żyje w gęsto zalesionych...

Skrzeek. Ptak.

Skrzeek. Laura.

– ...górach. Bardzo niewiele osób ma okazję zobaczyć lirogona, chociaż...

Stuk, stuk. Dziób uderza o klatkę, co Laura naśladuje od razu.

Solomon rzuca Bo pełne frustracji spojrzenie. Co za bałagan. Nawet David Kelly się niecierpliwi. Mówi co prawda dalej, ale wygląda, jakby nieustannie szturchał go w żebra niewidzialny napastnik.

– Nie – odzywa się nagle Rachel, przerywając pracę. Solomon zdejmuje słuchawki i usiłuje ukryć uśmiech. – To nie jest dobre.

– Może powinniśmy spróbować porozmawiać gdzieś, gdzie nie ma ptaków – proponuje dziarsko Bo, żeby nie dopuścić do straty energii.

David Kelly zerka na zegarek.

W sali konferencyjnej jest cicho. Nie ma tu ruchu, nie ma ludzi, telefonów, nie szumi klimatyzacja. Pomieszczenie pasuje Solomonowi. Jest sporo ciemnego mahoni, więc Rachel ma więcej pracy z oświetleniem, ale nie jest źle. W kadrze są ptaki, ptaki w szklanych pojemnikach, przycupnięte na gałęziach. Jedyne problem polega na tym, że są martwe, wypchane, co Solomona niepokoi.

Laura dołącza do nich. Patrzy na szklane pudełka z ptakami. Solomon nakłada słuchawki, dostrzega zmieszanie na jej twarzy. Laura przesuwa w milczeniu palcami po szklanej szafce, usiłując dotknąć ptaków w środku; zanim David Kelly zdąży powiedzieć słowo, ona znowu zaczyna wydawać dźwięki – wystrzał, umierający zając, jego piski, skomlenie Mossiego. Nowy dźwięk, który połączyła z tym wszystkim – strzały z gry komputerowej chłopca w hotelu sprzed kilku dni.

Doktor Kelly wstaje i patrzy na nią.

– Mój Boże. To niezwykle.

Laura podnosi wzrok i widzi, że wszyscy się w nią wpatrują. Dźwięki



cichną. Cofa rękę.

– Jak umarły?

– Kłam! – rozkazuje mu Solomon i nagle dostaje ataku kaszlu, by ukryć to, co właśnie powiedział.

– A, tak. Ehe. Z przyczyn naturalnych – odpowiada.

Laura marszczy brwi i patrzy na Solomona. Imituje jego kasznięcie, raz za razem, aż słowo „kłam” staje się wyraźnie słyszalne. Solomon wzdycha.

– Chyba najlepiej będzie nagrać rozmowę w pana gabinecie. Jest najodpowiedniejszy – postanawia nagle Bo.

– Przecież się państwu nie podobał – przypomina David Kelly tonem obrażonego dziecka.

– A teraz jest idealny – oznajmia Bo, zbierając swoje rzeczy; wszyscy przechodzą z powrotem do gabinetu.

– Naprawdę powinienem już iść. Mam wykład...

– Już niedługo – zapewnia go Bo z uspokajającym uśmiechem. – I będzie pan mógł spędzić więcej czasu z Lirogonem. Proszę to potraktować jak badanie naukowe.

Ten pomysł podoba się doktorowi Kelly'emu, jest zafascynowany tą ptakopodobną kobietą. Przygląda się jej, gdy pozostali przenoszą sprzęt, i śmieje się do siebie trochę głupkowato.

Laura odwzajemnia jego spojrzenie, oglądając go od stóp do głów, tak samo jak on ogląda dziewczynę, po czym naśladuje jego śmiech. A Kelly radośnie zaciska ręce.

W końcu w gabinecie doktora Kelly'ego – niedużym pomieszczeniu pełnym papierów, gdzie dominuje wielkie biurko – rozpoczynają wywiad.

– Panie doktorze – gładko zaczyna Bo. – Czy mógłby pan nam opowiedzieć o samcach lirogon, a konkretnie o ich zdolnościach mimetycznych?

– Samiec lirogon to popularny leśny artysta, podziwiany i lubiany przez innych śpiewaków. Znaczna część możliwości wokalnych lirogon sprowadza się do naśladowania śpiewów innych ptaków, ale sam też nieźle śpiewa. Mniej więcej jedna trzecia dźwięków, które wydaje, to śpiew oryginalny, jedną trzecią można opisać jako częściowo oryginalną, wyraźnie opartą

na naśladowaniu okolicznych dźwięków, rozbudowanych i połączonych w harmonijną nieustanną melodię. Reszta jego pieśni to naśladownictwo, nic więcej, ale naśladownictwo tak doskonałe, że nie da się odróżnić oryginału od kopii. Wydaje się, że nie istnieje dźwięk, którego lirogon nie byłby w stanie odtworzyć. Lirogony to stworzenia o wyraźnych nawykach. Lubią rutynę. Okres godowy zaczyna się w maju i kończy w sierpniu. Na początku samiec buduje kilka specjalnych kopców i z wielkim zaangażowaniem popisuje się przed samicami tańcem i śpiewem. Samica podąża wszędzie za nim i ogląda jego popisy z dogodnego miejsca. Kiedy popis się kończy, oboje szukają pożywienia, ale jak tylko samiec zacznie śpiewać, samica zatrzymuje się, żeby go słuchać. Pary rzadko się rozdzielają, a to, jak opiekują się potomstwem, dowodzi, że mają instynkt rodzinny.

Solomon uśmiecha się, słuchając tego. Bo szybko odwraca głowę w jego stronę, a on odwraca wzrok, udając, że majstruje przy swoim sprzęcie.

– Para lirogonów wybiera miejsce na gniazdo. Żadne z nich go nie opuszcza. To monogamiczne stworzenia, kiedy już raz dokonają wyboru, nie zmieniają partnera.

Solomon zaciska wargi, by ukryć coraz szerszy uśmiech. Odwraca się na chwilę do Laury, a ona wpatruje się w niego, zielone oczy studiują go starannie.

Jest dziesiąta wieczorem. Dla Bo i Solomona jeszcze za wcześnie, żeby się kłaść. Rzadko też się zdarza, żeby o tej porze mieli już za sobą akt miłosny, ale gdy niewielkie mieszkanie dzieli z nimi Laura, najprościej jest powiedzieć dobranoc i iść do swoich pokoi dla zachowania prywatności.

Znowu kochali się najciszej, jak się dało, zwłaszcza po tamtym doświadczeniu w hotelu. Solomon wydawał się nie do końca obecny duchem, ale Bo to nie przeszkadzało – też nie była zaangażowana, zajęta konkretyzowaniem i planowaniem dokumentu, który zaczął nabierać kształtu w jej głowie. Teraz oboje leżą na wznak, wpatrując się w sufit i słuchając nocnej pieśni Laury. Bo się to podoba, odpręża ją. Nawija pasmo włosów na palec i zamyka oczy.

– Odtwarza swój dzień – szepcze.

– To bankomat – rozpoznaje z uśmiechem Solomon. – Poszła ze mną, kiedy kończyłyście z Rachel śniadanie. Nigdy żadnego nie widziała.

Laura piszczy jak bankomat. Wysuwa się gotówka.

– Szkoda, że nie daje prawdziwej kasy – żartuje Bo. – Ale jeżeli ten film wyjdzie tak dobrze, jak myślę, to będzie kasa.

– Pewnie mogłaby pomagać rozszyfrowywać cudze PIN-y, zapamiętując dźwięki – mówi Solomon. – Z takimi talentami mogłaby ją zatrudnić jakaś rządowa tajna służba.

Bo chichocze cicho.

– No, to bym naprawdę chciała sfilmować. – Pauza, nasłuchują dźwięków.  
– Przewija wspomnienia z dzisiejszego dnia, jak ja przewijam zdjęcia w telefonie.

Słuchają jeszcze trochę. Odprężeni. Spokojni. Potem słyszą śmiech Solomona. Rzadki śmiech – głośny, serdeczny.

– To ty? – Spogląda na niego.

– Tak. – Nie patrzy jej w oczy. – Nie pamiętam, co było takie śmieszne – kłamię. Przypomina sobie, jak uczepili się siebie nawzajem, a on nie mógł przestać się śmiać, aż łzy ciekły mu z oczu. Kiedy się ubierał, z kuchni dochodziły do niego cudowne odgłosy – dźwięk skwierczącego boczku smażącego się na patelni – i pomyślał, że Laura przygotowuje bekon. Kiedy wszedł do salonu, stała przed pustą lodówką, naśladowując dźwięki. Była głodna. Tak go zaskoczył widok kuchenki, na której nic się nie smażyło, i pusty stół, po chwili ogarnęło go takie rozczarowanie, że Laura nie mogła powstrzymać śmiechu na widok jego miny. Kiedy zrozumiał, co się stało, zaczął się śmiać razem z nią.

Gdy Laura kończy naśladować jego śmiech, zaczyna odtwarzać kasznięcie z ukrytym słowem „*kłam*”.

Solomon się krzywi.

Kontrastuje to ze śmiechem. Znowu kłamstwo, znowu śmiech. Robi to kilka razy.

– Usiłuje się zdecydować – mówi Bo, patrząc na niego. Jej serce bije mocno, gdy wreszcie dociera do niej, co Laura robi. – Usiłuje cię zrozumieć.

Laura znowu naśladuje jego śmiech.

– Sol – mówi Bo, a w jej głosie słycać niepokój.

– Mhm? – Nie jest w stanie na nią spojrzeć. Serce wali mu jak młot, ma nadzieję, że leżąc obok Bo tego nie czuje, gdyż on ma wrażenie, że pulsuje całe jego ciało.

– Sol.

*Kłam.* Jego śmiech. *Kłam.* Jego śmiech. I tak w kółko. Patrzy na nią. W końcu siada, kryjąc twarz w dłoniach.

– Wiem. Kurwa.

## 19

Następnego ranka Laura stoi na balkonie, ściskając w dłoniach kubek herbaty. Wydaje gwizdy.

– Co ona robi? – pyta Solomon, który dopiero wyszedł spod prysznica i dołączył do Bo w kuchni. Całuje ją. Specjalnie ją całuje, niczego już nie ukrywając. Poprzedniej nocy zdecydowali z Bo, że będzie najlepiej, jeżeli na razie Solomon trochę odsunie się od Laury, pozwoli, żeby obie kobiety utworzyły więź. I tak musi pracować, kręcąc *Groteskowe ciała*, w tym celu jutro wyjeżdża na parę dni do Szwajcarii, by filmować operację mężczyzny, którego losy śledzili od roku. A chociaż zdecydowali z Bo, że będzie zdrowiej i dla Laury, i dla filmu, jeżeli na chwilę zniknie, Solomon wie, że to będzie też lepiej dla niego. Gubi się, nie podoba mu się, że myśli o innej kobiecie, będąc w łóżku z własną dziewczyną. To nie on. Nie chce być takim mężczyzną. Musi się z tego wycofać.

– Rozmawia z ptakiem w mieszkaniu obok – odpowiada Bo. – Chcesz jajecznicę na bekonie? – pyta, stawiając przed nim talerz. – Laura zrobiła. Wciąż dopytuje mnie o rzeczy, o których w życiu nie słyzałam. Zioła i takie tam.

– Powinnaś ją zabrać do supermarketu – mówi Solomon, usiłując nie patrzeć na Laurę. – Podobałoby się jej.

– Tak. – Bo nie jest pewna, jak sobie poradzi przez następne cztery dni

sama z Laurą. Jest gotowa zmienić zdanie na temat bliskości, jaka się nawiązała między Solomonem a tą dziewczyną, jeżeli to by go skłoniło do pozostania.

Laura ćwierka na balkonie.

– Z jakim ptakiem w mieszkaniu obok? – pyta nagle Solomon, pochłaniając ze smakiem śniadanie; bardzo docenia jakość kuchni od chwili pojawienia się w ich domu Laury.

– Dzieciak obok ma ptaka w klatce, nierozłączkę czy coś. Nie mów, że nigdy go nie słyszałeś.

– Jaki dzieciak?

Bo śmieje się i uderza go żartobliwie ścierką. Potem przysiada się do niego z espresso i grejpfrutem w dłoniach i mówi cicho:

– Zostaniesz ze mną, kiedy dam jej znać o eliminacjach?

– Mówiliśmy o tym wczoraj – odpowiada, skupiając się na jajecznicy. – Czas, żebyś poznała ją lepiej. Ona musi zacząć ci ufać. – Laura zrobiła mu śniadanie i jest to najlepsza jajecznicą, jaką w życiu jadł. Niemal wylizuje talerz. Musi opuścić to mieszkanie jak najszybciej.

– Tak, wiem, ale ty naprawdę lepiej sobie z nią radzisz.

Patrzy na nią, dostrzega jej zdenerwowanie.

– Poradzisz sobie. Nie myśl o tym jak o briefingu. Rozmawiaj z nią jak z przyjaciółką.

– O ósmej rano pewnie jest za wcześnie na butelkę wina. – Bo żartuje, ale nie potrafi ukryć niepewności.

Po raz pierwszy, odkąd przyszedł do kuchni, nabiera odwagi, żeby spojrzeć na Laurę. Dopiero po kilku dniach od incydentu na strzelnicy w Galway znowu wyrzwała ze swojej skorupy. Miło spędzili czas, chętnie jej pokazywał nowe rzeczy, obserwował ją, słuchał jej, zaczął też zauważać codzienne hałasy, które już dawno przestały do niego docierać. Syk podjeżdżającego na przystanek autobusu, gwizdanie listonosza, otwieranie żaluzji w sklepie na dole, szcęk kluczy, silnik motocykla, dzwonek roweru, stukot wysokich obcasów. Jej dźwięki były nieskończone, płynęły bez wysiłku, jakby ich nawet nie zauważała. Obawy Bo co do dźwięków Laury okazały się w weekend bezpodstawne – nie cichną, a nawet stały się częstsze. Solomon dobrze się

bawił z Laurą. Od dawna tyle się nie śmiał co przez te ostatnie parę dni z nią. Kiedy się przyłapywał na swojej radości, zamykał się w sobie. Laura miała wczoraj prawo czuć się zdezorientowana. Jak on się zachowywał wobec niej? Raz był wobec niej otwarty, po chwili się zamykał; gorąco i zimno. Dla dobra ich trojga będzie musiał trzymać się z dala.

Przez otwarte przesuwane drzwi wpada do mieszkania ćwierkanie Laury.

– A nawiasem mówiąc, nie rozmawia z ptakiem – mówi Solomon, myjąc talerze.

– Hm?

– Mówiłaś, że rozmawia z ptakiem.

– Bo rozmawia.

– Poważnie tak sądzisz?

– Dla mnie to brzmi jak rozmowa.

– No nie. – Solomon się śmieje, ale czuje, jak narasta w nim zdenerwowanie, zna już to uczucie, chociaż może to po prostu zgaga, uczucie pieczenia w przełyku. Czy dlatego czepia się Bo, czy może właśnie z powodu Bo całe to pieczenie? Nie jest pewien, ale wie, że jedno i drugie są ze sobą mocno powiązane.

– Najwyraźniej ptak uważa, że ze sobą rozmawiają – odpowiada Bo bez troski, po czym bierze do ręki telefon, by sprawdzić maile.

– No, co myśli ptak, to ja nie wiem. Rozumiem tylko ludzi. – W tych słowach ledwo ukryte jest oskarżenie, że ona ludzi nie rozumie.

– Dobra, Solomon, Laura nie rozmawia z ptakiem – odpowiada ze śmiechem Bo. – W takim razie wytłumacz mi to. Najwyraźniej rozumiesz ją dużo lepiej niż ja.

Nie mówi tego z sarkazmem ani cynizmem, w jej głosie nie słyhać żadnego osądu.

– Dobrze, „porozmawiajmy” tak jak oni. Teraz. Od razu.

– Mam zagwizdać? – Chichocze.

– Mam zagwizdać? – powtarza i też chichocze, naśladowując ją najlepiej, jak potrafi.

Bo parska śmiechem.

Solomon naśladuje ją.

– Może powinnam zaćwierkać.

– Może powinnam zaćwierkać.

Jej uśmiech gaśnie.

– Okej, Sol, łapię.

– Okej, Sol, łapię.

– Ona nie rozmawia z tym ptakiem.

– Ona nie rozmawia z tym ptakiem.

– Naśladuje go.

– Naśladuje go.

Przestaje się w ogóle odzywać.

Na balkonie Laura uśmiecha się do swojego kubka herbaty. Żadne z nich tego nie widzi.

On wpatruje się w Bo, czekając, aż się znowu odezwie; czuje się jak mały Solomon, który naumyślnie drażni swoich braci.

– Moja dziewczyna Bo – zaczyna powoli, z namysłem, kobieta – to największa laska wśród producentów.

Powtarza to, przysuwając się do niej z krzesłem, przyciągając ją do siebie, twarzą w twarz.

– Z najlepszymi cyckami.

Śmieje się.

– Tego nie powiedziałam.

– Tego nie powiedziałam.

Beztraska zabawa jest najlepsza, ale Bo wszystko psuje:

– Ożenię się z moją dziewczyną Bo.

Milczy. Wpatruje się w nią, odsuwa się trochę, żeby lepiej ją widzieć; chce dostrzec całość, zobaczyć, czy żartuje. Jej uśmiech zniknął, jego również. Trudno wytrzymać napięcie. Dlaczego musiała to powiedzieć? Dlaczego zniszczyła taką miłą chwilę?

– Tego właśnie chcesz? – pyta ją.

Ona też obserwuje jego twarz – on wyraźnie tego nie chce, nie może tego wysłować nawet w ramach głupiej zabawy. Właściwie to ona sama też nie za bardzo chce. Małżeństwo nie było celem ich związku. Kiedyś tak, chciała tego, z Jackiem, ale wtedy była młodsza, lubiła konkretne projekty, a ten mężczyzna był projektem. O ironio, z Jackiem pewnie szybciej dotarłaby do ołtarza niż z Solomonem. To ją niepokoi, ale nie dlatego, żeby jej specjalnie zależało na małżeństwie, ale dlatego, że jemu widocznie na tym nie zależy. Nie jest pewna, czy bycie z kimś, kto nie chce się z nią ożenić, to obelga (nawet jeżeli ona ma to gdzieś). Podwójny standard. Niejedyny zresztą, jaki ma.

Słyszy argumenty Solomona, choć ten się nie odezwał ani słowem, patrzy tylko na nią w panice, jego skóra lśni, jakby oblał go zimny pot. Słyszy jego argumenty głośno i wyraźnie, właściwie to sama testuje je na sobie, ale i tak wypowiedziała to zdanie, chciała, żeby je powtórzył, chciała go wypróbować, a to nie było w porządku.

– A teraz to rozmowa – mówi, wstając. – Powinieneś już iść, spóźnisz się do pracy.

Na balkonie Laura powoli wypuszcza powietrze z płuc.

Ptak w klatce na balkonie obok ćwierka hałaśliwie, skacze po swojej klatce, zeskakuje z huśtawki na podłogę, dziobiąc jedzenie i pręty. Obok klatki siedzi mały chłopiec, bawi się, najeżdżając jednym czerwonym samochodzikiem na drugi. Laura naśladuje dźwięki wydawane przez dziecko.

Ostatnie dwa poranki spędziła na balkonie i rozmyślała. Tu jest przyjemniej, jest świeże powietrze. Dzięki niemu jest łatwiej, przegania ból głowy.

Bo dołącza do niej. Laura obrzuca ją szybkim spojrzeniem. U Bo wszystko jest takie schludne, porządne, doskonałe. Na jej ubraniu nie ma ani jednej zmarszczki czy zagniecenia, skórę ma gładką i nieskazitelną, oczy brązowe jak czekolada, oliwkową cerę bez żadnej skazy. Krótkie kasztanowe lśniące włosy nosi zawsze związane w kucyk na czubku głowy, chociaż nie jest ich za wiele, dwa pasma opadają z przodu i musi je odgarniać za uszy. Kiedy się uśmiecha i wypowiada pewne słowa, na jej policzkach pojawiają się dwa głębokie dołeczki. Ma na sobie obcisłe dzinsy z obciętymi nogawkami, mokasyny i koszulkę polo z postawionym kołnierzem. Ubrania z luksusowych tkanin,



wszystko jest dobrej jakości. Na jej obojczykach spoczywa naszyjnik z perłą. Mogłaby śmiało pozować do zdjęć dla pisma o żeglarstwie. Wydaje się, że obce są jej chwile niepewności, że nigdy się nie gubi i nie traci kontroli. Laura ma wrażenie, że Bo zawsze doskonale wie, dokąd zmierza. Odwrotnie niż ona sama.

– Nowe przyjaźnie? – pyta Bo.

Laura patrzy na nią, nie rozumie pytania. Przecież siedzi na balkonie sama.

– Ten... nieważne. – Uśmiech znika z twarzy Bo; kobieta skupia się na leżącym na stole laptopie. – Chcę ci pokazać *StarrQuest*. To ważne, musisz wiedzieć, o co chodzi i co się będzie działo, kiedy tam trafisz. Nie chciałabym, żeby cokolwiek sprawiło ci przykrość.

Na samo wspomnienie o tym czuje motyle w brzuchu. Przesłuchanie jest dzisiaj po południu.

– To Jack – mówi Bo, wskazując na ekran, a miękkość w jej głosie, gdy wypowiada to imię, sprawia, że Laura rzuca jej szybkie spojrzenie. – Co?

Bo się czerwieni.

– Nic – odpowiada łagodnie Laura.

– Przyniosę ci jeszcze zielonej herbaty – oznajmia Bo i pośpiesznie wchodzi do środka.

Laura skupia się na ekranie. Bo ułożyła dla niej listę filmów na YouTube. Zawodnicy *StarrQuest* mają dwie minuty na zaprezentowanie swojego talentu. Niezwykli akrobaci, śpiewacy, muzycy, magicy, wszelkiego rodzaju talenty, o których istnieniu nawet nie wiedziała.

Bo wraca i stawia przed nią kubek. Wody jest w nim po brzegi, gorące krople spływają po ściankach naczynia. Najwyraźniej Bo nieczęsto robi herbatę. Laura zastanawia się, dlaczego wynajduje w niej wady – nigdy dotąd nie spotkała nikogo tak na pozór doskonałego, tak pewnego siebie.

– Co o tym myślisz? – pyta.

– Mają niesamowite talenty – stwierdza Laura. – Nie czułabym się wśród nich na miejscu.

– Lauro, jesteś bardziej niezwykła niż oni wszyscy razem wzięci – oznajmia Bo. – A Jack Starr, główny sędzia, sam prosił, żebyś przyszła.

– A ty mu wierzysz – orzeka Laura. To nie jest pytanie. Słyszała, jak Bo wymawia jego imię. Ciepło. Z ufnością. Z miłością.

Bo drętwieje na chwilę.

– Czy ja... tak, znaczy, on... jego specjalność to wynajdywanie talentów. I sam też jest muzykiem. Bardzo utalentowanym, bardziej, niż wszystkim się wydaje. Gra na gitarze, fortepianie, harmonijce. Znany jest z paru przebojów, ale tkwi w nim znacznie większy potencjał. Ma tyle piosenek, których nikt nigdy nie słyszał. Lepszych. Ma ogromne doświadczenie, rozpoznaje talenty, szuka czegoś naprawdę niezwykłego.

Bo dwa razy powiedziała słowo „niezwykły” – Laura powinna tam pójść, bo jest niezwykła... a może utalentowana? Boi się spytać. Nie jest pewna, czy chciałaby usłyszeć odpowiedź. Klika na link kolejnego filmu. „Ten program zmienia ludziom życie” – oznajmia dramatycznie narrator o głębokim głosie. Czy Laura chce, żeby jej życie zostało zmienione? Życie Laury już się zmieniło, nic na to nie poradzi. Usiłuje tylko za nim nadążyć.

– A twoim zdaniem co powinnam zrobić? – pyta Laura.

Bo nawet się nie zastanawia.

– Pójść tam. Wszystko się sprowadza do tego: film możemy oczywiście zrobić nawet bez twojego udziału w *StarrQuest*, to nie ma być dokument o programie dla talentów, ale uważam, że jeżeli zyskasz popularność, to film będzie nie tylko ciekawszy, ale ogólnie mu to pomoże. Ty się nie musisz martwić o te rzeczy, ale mnie jako producentce będzie łatwiej go sprzedać. A dokument, który zdobył rozgłos, da ci więcej możliwości, będziesz mogła wybrać swój życiowy kierunek. To już jest coś. Okazje, możliwości. A wiem, że teraz tego szukasz.

Laura kiwa głową. Wydaje się, że Bo zna ją bardzo dobrze. Mówi właśnie to, co trzeba mówić w chwilach, gdy się jest zagubionym.

– Idź – mówi zachęcająco Bo z szerokim uśmiechem, jej energia jest zaraźliwa. – Przeżyjesz przygodę. Co masz do stracenia?

– Nic. – Laura unosi ręce i uśmiecha się.

Solomon i Rachel docierają w południe do Slaughter House, gdzie odbywają się eliminacje na żywo do programu *StarrQuest*.

– Jagnięta prowadzone na rzeź – mówi Rachel, przyglądając się scenie z obrzydzeniem.

To miejsce jest znane z występów znanych artystów. Nieduże i przytulne. Kiedyś była tam rzeźnia, która została potem wyremontowana na potrzeby imprez. Eliminacje odbywają się inaczej niż w większości podobnych programów – nie ma kolejek chętnych, którzy czekają długie godziny, ci wszyscy, co stanęli przed jurorami, zostali wybrani do eliminacji na żywo. Proces selekcji podlega zasadom programów rozrywkowych, nie polega tylko na wyłapywaniu nieoszlifowanych talentów. Formuła *StarrQuest* zasadza się na tym, że w czasie godzinnego programu na żywo każdy z dziesięciu uczestników ma dwie minuty na występ. Jack Starr siedzi na tronie, publiczność dookoła sceny, jakby to była arena dla gladiatorów. Po każdym dwuminutowym występie Jack wciska przycisk, który odsłania olbrzymią złotą dłoń z kciukiem uniesionym albo opuszczonym w geście „egzekucja”. Jack Starr wymyślił tę formułę z pracownikami swojej firmy producenckiej StarrGaze; nazwa nawiązuje do jego kariery muzycznej, kiedy był wokalistą w zespole Starr Gazers. Po długotrwałym procesie sądowym wygrał w ubiegłym roku prawo do dalszego używania nazwy StarrGaze jako nazwy swojej firmy producenckiej, nagraniowej i agencji impresaryjnej po tym, jak niezadowolony były członek zespołu wyłonił się z cienia, by się z nim o to procesować.

Format *StarrQuest* kupiło dwanaście innych państw, prowadzący programu mieli cechy podobne do cech Starra i podobną historię w przemyśle rozrywkowym. Ale najbardziej pożądanym rynek amerykański wciąż nie zareagował, więc na nim właśnie Jack najbardziej skupiał swoje wysiłki, zwłaszcza teraz, gdy skończył się *Idol*. Ponieważ Irlandia stała się jego drugim domem, a także jedynym anglojęzycznym krajem, gdzie formuła się przyjęła, jest sędzią w irlandzkiej wersji programu. Zwycięzcy podpisują umowy ze StarrGaze, z jego wytwórnią i impresariatem. To ich chwila na zabłyśnięcie, zanim pojawi się zwycięzca innego programu. A Jack Starr znowu zarabia dzięki programowi, a także ponownemu wydaniu swojej debiutanckiej płyty – niemal dwadzieścia lat po tym, jak uzyskała ona nagrodę Grammy, a on wyruszył w światowe tournée. Jack znów może grać na żywo –

to była jego pierwsza miłość – i stara się prezentować jak najwięcej nowego materiału publiczności, która przyszła posłuchać tylko swoich ulubionych przebojów. Chciałby, żeby te nowe utwory weszły na listy przebojów – są lepsze niż te, które stworzył jako nadużywający alkoholu i narkotyków dwudziestokilkulatek, jednak jego popularność w programie nie przełożyła się na karierę muzyczną. Od rozpoczęcia *StarrQuest* wydał jeden singiel, który nie osiągnął pierwszej czterdziestki.

Na środku sceny *StarrQuest* znajduje się czterostronny ekran. Złota rękawica waha się w połowie drogi w chwili decyzji, zanim uniesie kciuk albo go opuści. Greps polega na tym, że publiczność też ma w tym swój udział. Publiczność to wszyscy ludzie na widowni i w domach przed telewizorami, którzy mogą głosować za pomocą aplikacji do głosowania *StarrQuest*. Jeżeli publiczność zagłosuje „kciuk w górę”, kiedy Jack zagłosował „kciuk w dół”, jej decyzja jest ważniejsza. Jeżeli to on zagłosował „kciuk w górę”, ma to pierwszeństwo przed „kciukiem w dół” publiczności – jednym słowem, „tak” zawsze wygrywa. Odkąd Jack Starr przeszedł na buddyzm – po tym, jak szalone życie kosztowało go małżeństwo, karierę i niemal wykończyło jego samego – stara się, by wszystko, co tworzy, miało pozytywny wydźwięk. Na samym początku programu ci, którzy dostali „kciuk w dół”, byli wynoszeni ze sceny w klatce przez gladiatorów, ale zrezygnowano z tego po pierwszej edycji, kiedy widzowie zaprotestowali z powodu upokarzającego widoku dziewięćdziesięciodwuletniej kobiety w klatce, matki jedenaściorga dzieci, której nie udało się jej wersja „Danny Boy”. Dzieci i wnuki tej kobiety siedziały na widowni. Zapłakany dziesięcioletek, któremu nie wyszła magiczna sztuczka: zmuszony do wejścia do klatki, dostał ataku paniki, co również wyglądało przerażająco. Klatka pozostała jednak lubianym elementem w wersji programu nagrywanej na Bliskim Wschodzie.

Chociaż numery uczestników były zaplanowane i zatwierdzone już od paru miesięcy i tygodni, Jack Starr zdołał wkręcić Laurę do programu na żywo na ten weekend. Producenci obejrzelik z iPhone’a Bo, na którym Laura naśladuje automat do kawy, a także dodatkowy, dostarczony na życzenie, więc wiedzą, co dzisiaj pokaże. Ale najpierw spotkanie twarzą w twarz, weryfikacja i próba dźwięku dla całkowitej pewności: aż tacy znowu ufni nie są.

Przy wejściu jest sporo ludzi z ochrony. Michael, osobisty ochroniarz

Jacka, postanawia sam się zająć Solomonem i Rachel.

– Możesz wejść – mówi do Rachel, ale Solomona powstrzymuje wyciągniętą ręką. Minęło dobre dwadzieścia lat, odkąd Michael zdobywał nagrody za walenie ludzi na ringu, ale upływający czas obszedł się łaskawie z jego olbrzymią sylwetką. Przeszywa Solomona groźnym spojrzeniem, a ten przewraca oczami i podrzuca na ramieniu sprzęt dźwiękowy.

– Ja do pracy – mówi znudzonym głosem. Ma ochotę dodać: „Duży Michael” – taką ochroniarz miał ksywkę w swoich bokserskich czasach w Stanach. Tam to brzmiałoby dobrze, ale nie w Irlandii.

– Zabawne, pamiętam, że cię wylali po tym, jak ja cię wyrzuciłem. – Amerykanin ma dobre dwa metry i góruje nad Solomonem. Był w swoim czasie tour managerem Jacka i pozostali wobec siebie lojalni, gdy kariera tamtego ponownie rozkwitła. Taki już z Jacka honorowy facet. Nie potrafi dochować wierności kobiecie, ale o przyjacielu nigdy nie zapomni.

Normalnie Solomonowi byłoby wszystko jedno, czy wpuszczą go do środka, czy nie. Z największą przyjemnością nigdy więcej nie znalazłby się nawet w pobliżu Jacka Starra, a od Laury usiłuje się oddalić, ale musi się tam dostać ze względu na film. Wmawia sobie, że chodzi tylko o film i o nic więcej, wcale nie o to, aby być blisko niej. Jutro będzie w Szwajcarii i przestanie się tym zadręczać.

Laura i Bo są już w środku. Większość czasu spędziły razem, podczas gdy on pracował przy *Groteskowych ciałach*, dokumencie o przygotowaniach Paula Boyle'a do czekającej go operacji w Szwajcarii. Solomon myślał, że po kilku tak intensywnych dniach będzie zadowolony ze swojej nieobecności, a tu wprost przeciwnie – cały dzień martwił się o Laurę. Dzięki krótkim esemesom od Bo był informowany na bieżąco, ale ostatni z nich brzmiał: „Qrwa ona jest dorosła przestań”. Nie odpowiedziała na kolejny esemes. Nie miał pojęcia, gdzie spędziły dzień ani co robiły, nie mógł sobie nawet wyobrazić, żeby robiły coś we dwie.

Rachel wychodzi, żeby wesprzeć Solomona.

– Myślę, że cię wpuści, chce tylko, żebyś się trochę pomęczył.

– Nie ma sprawy – odpowiada Solomon, odkładając sprzęt i opierając się o ścianę: przed nim niewątpliwie długie oczekiwanie. – Odzywała się do ciebie dzisiaj Bo? – pyta ją.

– Tak i nie – odpowiada Rachel.

– Co to znaczy?

– Parę razy dzwoniła, jak byłam na badaniach, chociaż wiedziała, że nie mogę odebrać. Zostawiła wiadomość, żebym się spotkała z nią i z Laurą.

– Żeby kręcić?

– Nie, tylko się spotkać.

Mina Rachel mówi wszystko. Nie cierpi, gdy się zakłóca jej prywatność. Solomonowi podoba się, że Rachel mówi o Bo bez ogródek, nie przejmując się faktem, iż oni są parą. Podoba mu się, że nie krępuje się powiedzieć, co jej chodzi po głowie, że mówi o szefowej szczerze. Solomon nie lubi skarżyć się na Bo, ale Rachel wie, zawsze wiedziała, kiedy coś mu przeszkadza albo coś go gnębi. A tym, co przeszkadza Solomonowi u Bo, jest to samo, co przeszkadza większości ludzi.

– Z Laurą wszystko w porządku? – pyta, marszcząc brwi na myśl o tym, że Bo dzwoniła do Rachel po pomoc.

– Na pewno. To Bo ma problemy.

Solomon zastanawia się, dlaczego w żadnym z wysłanych do niego esemesów Bo ani razu nie przyznała, że go potrzebuje. Dał jej wiele okazji. Chociaż nie mógł rzucić wszystkiego i popędzić do niej, i tak by to zrobił.

Otwierają się drzwi, pojawia się wreszcie Bo, dziwnie zdenerwowana. Solomon i Jack w jednym miejscu – były facet i aktualny facet, który pobił byłego, za co został wylany z pracy i wyrzucony z budynku – to niełatwe. Ale jak tylko dostrzega Solomona i Rachel, niepokój znika z jej twarzy.

– Cześć – mówi z wyraźną ulgą, ale zaraz dodaje ze zdziwieniem: – Dlaczego tutaj stoicie?

– Nie chce mnie wpuścić – wyjaśnia Solomon, wskazując na Michaela.

– Ona może wejść – oznajmia Michael, nadgryzając jabłko. Owoc jest niewidoczny w jego olbrzymiej dłoni, a po pierwszym ugryzieniu już go praktycznie nie ma.

– Ona ma imię – wtrąca Rachel.

– Przepraszam. – Pochyliła głowę. – Ale ten złamas nie wchodzi.

– Przeprosiny przyjęte – chichocze Rachel.

– Michael – zaczyna Bo – Jack powiedział, że Solomon może wejść.

– Mnie nie mówił.

– Jasne – orzeka Solomon.

– Solomon, dlaczego on nie chce cię wpuścić? – odzywa się nagle Laura. Wszyscy się odwracają i dostrzegają ją za masywną sylwetką ochroniarza. Oczy ma szeroko otwarte, przestraszone.

– Lauro – odzywa się Bo zdenerwowana, jakby mówiła do dziecka – powiedziałam ci, żebyś została w poczekalni.

– Złamas ma zakaz wstępu – wyjaśnia Michael Laurze – bo jak go ostatni raz widziałem, dostał ataku hysterii. Trzeba go było wynieść na siłę.

– Ale przywalił ci nieźle – broni Solomona Rachel. – Nie było mnie przy tym, ale widziałam siniaki na zdjęciach w gazetach.

Michael skupia uwagę na Rachel.

– Nie jest wielbicielek Dużego Michaela – mówi Solomon, a Rachel przewraca oczami.

– Rany, jeszcze trochę, a nikogo z nas nie wpuszczą do środka. Czekajcie, ja to załatwię – stwierdza Bo, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu telefonu.

– Bo, przekaż, proszę, Jackowi Starrowi, że bardzo dziękuję za tę okazję, ale bez Solomona tam nie idę – odzywa się Laura uprzejmie, ale zdecydowanie.

Solomon patrzy na nią z zaskoczeniem i nawet nie próbuje kryć uśmiechu przed Michaeliem.

Honorowa postawa Laury nie robi wrażenia na ochroniarzu, który widział w tych drzwiach niejedną spragnioną sławy blond piękność.

– W porządku, Lauro, dzwonię do Jacka – zapewnia pośpiesznie Bo, odsuwając się od nich z telefonem przy uchu, co wkurza Solomona; chce wiedzieć, co o nim mówi swojemu byłemu. Pięć minut później wprowadza ich do środka Bianca, asystentka wyposażona w podkładkę z klipsem i słuchawki z mikrofonem, i prowadzi labiryntem korytarzy.

– Hej – mówi Rachel do Laury. – Nie przywitałam się z tobą porządnie. – Unosi rękę do piątki, a Laura uśmiecha się i przybija.

– Jak twoje dziecko? – pyta Laura.

– Duże i zdrowe – odpowiada Rachel z uśmiechem.

– Dobrze minął wam dzień? – pyta Solomon niby od niechcienia, ale uważnie obserwuje twarze Bo i Laury, wypatrując na nich jakichś znaków.

– Tak, super – odpowiada Bo, nieco zbyt sztywno. – Poszliśmy do supermarketu, potem na kawę i herbatę, i na spacer do parku Stephen's Green. Pokazałam Laurze parę supersklepów z ciuchami, wiesz, na wypadek gdyby chciała wiedzieć, dokąd iść.

– Aha. – Rachel kiwa głową, patrząc to na Bo, to na Solomona.

– Dzwoniłam do ciebie – zwraca się Bo do Rachel. – Chciałam zapytać, czy do nas dołączysz.

– Naprawdę? Nie wiedziałam – udaje Rachel. – Byłam na badaniach.

– No tak, rzeczywiście! – uświadamia sobie Bo. – Zapomniałam. Jak poszło?

– Super. Jak mówiłam, według pielęgniarki to na pewno dziecko, więc jestem zachwycona – odpowiada Rachel. Laura się śmieje.

– Jak poszło? – pyta Solomon Laurę; Bo i Rachel idą przed nimi.

Laura wydaje się rozbawiona, potem otwiera usta i wydobywa się z nich głos Bo.

– Może lepiej wrócimy do domu.

Sposób, w jaki Laura to mówi – ton, pochwycona nerwowość, niepokój – sprawia, że Solomon wybucha śmiechem. Rozpoznaje brzmienie głosu Bo, gdy ta usiłuje być uprzejma, ale jednocześnie chce jak najszybciej wyplątać się z kłopotliwej sytuacji.

Bo odwraca się na chwilę do nich, po czym idzie dalej.

– O nie – mówi Solomon. – Chyba nie było aż tak źle?

Laura otwiera usta i znowu rozlega się głos Bo.

– Czy mogłabyś nie robić tego tutaj? – Uśmiech Solomona znika. – W porządku – mówi szybko Laura, kładąc dłoń na jego ramieniu. Solomon ma na sobie T-shirt, jej skóra dotyka jego skóry i coś się wydarza. Przechodzi ich dreszcz. Ona spogląda na jego ramię, on wie, że poczuła to samo. – Robiłam to częściej niż zwykle – wyjaśnia. – Staję się przy niej nerwowa.



– To może być obopólne – mówi Solomon.

– Ona denerwuje się przeze mnie?

– Jesteś inna – odpowiada; tak naprawdę chce powiedzieć, że Bo pewnie czuje się zagrożona, zwłaszcza kiedy usłyszała, jak Laura naśladowała jego śmiech, oraz dlatego, że zawsze chce być przy nim i najwyraźniej nikomu innemu nie ufa. – Czasami ludzie robią się nerwowi, gdy ktoś jest inny.

Kiwa głową, zrozumiała.

– Ja też.

– Teraz się denerwujesz?

Znowu kiwa głową.

– Będzie dobrze – mówi.

– Zostaniesz?

– Zostanę. – Klepie dłonią torbę ze sprzętem. – Zawsze słucham.

Bianca w końcu doprowadza ich do garderoby z napisem „LIROGON” na drzwiach.

– Lirogon, to tutaj – oznajmia Bianca. – Za jakieś piętnaście minut zabierzemy cię na charakteryzację, a koło czwartej na próbę dźwięku. – Patrzy na swoją tabliczkę. – Jesteś ostatnia w kolejności, więc na scenę wychodzisz o ósmej pięćdziesiąt na swoje dwie minuty. Jesteś... – sprawdza notatki – ... imitatorką. Zgadza się?

Wszyscy patrzą na Laurę. Laura patrzy na Solomona.

– Nie jest tak do końca imitatorką – wyjaśnia Solomon. – Ale naśladuje.

– Naśladuje – zapisuje. – Super. Ty jesteś agentem?

– Tak – odpowiada z powagą. – Jestem.

Laura chichocze. Bo wznosi oczy do sufitu.

– Nie, nie jest. Jest w ekipie realizatorskiej.

Bianca spogląda na Solomona, mrużąc mocno podmalowane oczy: najwyraźniej nie zapałała do niego sympatią.

– Super. – Ale nie wydaje się, żeby to było dla niej aż tak super. – Producenci chcą wiedzieć, ile będzie tych imitacji, czy jak to nazwać.

Patrzy na Laurę. Dziewczyna znowu kieruje wzrok na Solomona.

– Zaraz o tym pogadamy – odpowiada on.

– Teraz? – Laura z niepokojem otwiera szeroko oczy.

– Super. Wróć za piętnaście minut, okej? – mówi Bianca.

Z jej walkie-talkie dobiega szum.

Laura naśladuje ten dźwięk i siada.

– Super – mówi głosem Bianki.

Bianca jest zaskoczona. Nikt się nie śmieje, wszyscy obecni są już przyzwyczajeni. Asystentka zostawia tych dziwnych ludzi samych i idzie do garderoby obok, do dwunastoletniej gimnastyczki.

– Miałyście chyba popracować nad tymi eliminacjami dzisiaj rano, co? – mówi cicho Solomon do Bo, gdy szykują się do wywiadu.

Bo rzuca mu spojrzenie ponure jak chmura gradowa.

– Sol, przy ladzie z mięsem w supermarkecie wydała dźwięki należące do wszystkich pieprzonych martwych zwierzaków, jakie tam były. Potem piszczała za każdym razem, gdy kasjerka skanowała towar, piszczała tak, jakby była skanerem. Biednej kasjerce tak się wszystko pomieszało, że nie była pewna, co właściwie skanowała.

Solomon prycha i parska śmiechem, przyciągając uwagę Laury i Rachel.

– To nie jest śmieszne! – oznajmia Bo piskliwym głosem. – Co cię tak śmieszy?

On nie przestaje się śmiać, aż w końcu ona nie ma wyjścia, przyłącza się do niego.

– Jak się czujesz? – pyta Bo Laurę.

Kręcą ujęcie. Bo i Laurze idzie o wiele lepiej, jeżeli między nimi znajduje się kamera.

– Dobrze – odpowiada Laura. – Chociaż trochę się stresuję. – Dziewczyna naśladuje zeszłorocznego zwycięzcę, siedemdziesięcioletniego śpiewaka ludowego, grającego też na harmonijce. Rachel uśmiecha się półgębkiem. – To wydaje się bardzo ekscytujące – mówi Laura, jakby przed chwilą nie brzmiała jak harmonijka. – Czuję się podekscytowana. Jakby zaczynało się coś nowego. Znaczący, cały ten tydzień był nowy.

– Wiesz, co pokażesz na eliminacjach? Nie powinnaś sobie tego zaplanować? Przecwiczyc?

Laura spuszcza wzrok na dłonie.

– Ja właściwie tego nie planuję. To się po prostu... dzieje.

– Pamiętasz, kiedy po raz pierwszy odkryłaś tę niezwykłą zdolność naśladownictwa?

Laura milczy przez chwilę. Solomon jest prawie pewny, że zapyta: „Jaką zdolność?”, bo to jest tak bardzo częścią jej, czymś, czego ona sobie nawet nie uświadamia. Zastanawia się, namyśla, rozgląda się wokół, jakby szukała odpowiedzi. Potem jej spojrzenie zatrzymuje się na Solomonie i mężczyzna jest pewien, że sobie przypomniała, Bo również tak myśli.

– Nie – mówi w końcu Laura, unikając kontaktu wzrokowego. Nie umie kłamać.

W głosie Bo wyraźnie słychać rozczarowanie.

– Dobra, czyli zawsze to robiłaś?

Kolejna pauza.

– Tak. Długo.

– Może od urodzenia?

– Chyba nie pamiętam. – Uśmiecha się.

– Nikt tego nie oczekuje – zapewnia neutralnym tonem Bo. – Chodziło mi o to, czy twoim zdaniem ta... zdolność...

Solomon powiedziałaby raczej: „talent, dar”. Jest pewien, że Bo nadal nie widzi tego w ten sposób. Dla niej to przypadłość. Jej ciekawość ogranicza się tylko potrzebami filmu. Dobrze, że nie powiedziała: „upośledzenie”.

Rozlega się pukanie do drzwi, szybkie i energiczne, wchodzi Bianca.

– Lirogon, zabieram cię do przebieralni.

Solomon ma ochotę powiedzieć Biance, że dziewczyna ma na imię Laura, nie Lirogon, ale się powstrzymuje. „Dystans, Solomon, dystans”.

Nie zdejmując mikrofonów, Laura i cała ekipa filmowa ruszają za Biancą do szatni, żeby przymierzyć stroje przed charakteryzacją.

Idąc korytarzem, Laura odwraca się i patrzy niepewnie na Solomona.

On mruga do niej, by ją wesprzeć, a ona uśmiecha się radośnie i maszeruje dalej.

– Szanowne panie, robi się tu trochę ciasno – warczy główna stylistka, gdy za Laurą usiłuje się wcisnąć Rachel z kamerą, a potem jeszcze Bo. Nie przesadza, pomieszczenie wypełniają liczne długie wieszaki pełne ubrań, ledwo można się obrócić.

– Poczekam na zewnątrz. Rachel? – mówi Bo.

– Jasne – odpowiada Rachel, wie, że ten ton oznacza „filmuj wszystko”.

– Rany – mówi Laura. Przechodzi wzdłuż wieszaków, przesuwa ręką po tkaninach.

– Jestem Caroline. Będę cię ubierać. – Stylistka ogląda dziewczynę od stóp do głów, oceniając jej ciało. – To jest Claire.

Claire nie uśmiecha się ani nie odzywa. Claire to asystentka, która pewnie nauczyła się trzymać język na wodzy, jeżeli nikt jej o nic nie pyta.

Laura szczerzy zęby w uśmiechu.

– Mama i Gaga byłyby zachwycone. Były krawcowymi.

Caroline nie wygląda na szczególnie przejętą. Musi ubrać dziesięć osób w pomieszczeniu bez okien, ma bardzo mało czasu, a do tego frustrującą ekipę produkcyjną na karku, która bez przerwy zmienia zdanie i spodziewa się, że ona poskłada wszystko do kupy. Ale Laura porusza się w innym tempie niż ci wszyscy, którzy dzisiaj pojawili się w świecie Caroline. Laura zamyka oczy, nagle pokój wypełnia się dźwiękiem maszyny do szycia. Jest rytmiczny i kojący, tak jak nieustanny turkot pociągu, aż chce się kołysać do taktu.

Oczy Caroline ogromnieją.

– Boże! – Kładzie jedną rękę na brzuchu, a drugą na sercu. – Jak podróż w czasie. To singer.

Laura otwiera oczy i uśmiecha się.

– Tak.

– Moja mama miała taką maszynę – mówi Caroline, a w jej twardym głosie nagle pojawia się nutka emocji, rysy jej twarzy łagodnieją. – Siadywałam pod stołem, gdzie stała, i cały dzień słuchałam tego dźwięku, patrzyłam, jak koronka spada na podłogę koło mnie.

– Ja też – mówi Laura. – Z resztek robiłam ubranka dla moich lalek.

– Ja też! – odpowiada Caroline, a stres znika z jej twarzy.

Laura się rozkręca. Są nowe dźwięki – nożyczki tnące tkaninę, ich szczykanie, darcie się rozcinanego materiału, a potem znowu maszyna do szycia, przyspiesza i spowalnia, poruszając tkaniną, materiał unosi się i opada.

– Och! Moja droga. Moja kochana. Znajdźmy dla ciebie coś pięknego, ty czarodziejko! – Caroline jest kompletnie oczarowana tym, co usłyszała.

Piętnaście minut później Laura wychodzi z improwizowanej przebieralni.

– No? – Caroline patrzy na Rachel. Rachel oczywiście nie odpowiada, ale jej kamera robi swoje. Widzi przed sobą Laurę, jakiej dotąd nie widziała, jaką Laura jeszcze nigdy nie była. Dziewczyna patrzy na ich twarze speszona, z nieśmiałym uśmiechem. Podoba jej się, ma nadzieję, że pozostałym też się spodoba.

Claire zabiera się za dodatki do stroju Laury.

– Zaczekaj, aż wezmą cię w obroty charakteryzatorki. Taka będzie z ciebie laska – mówi Caroline. – Tylko co do butów nie jestem pewna – dodaje. – Nogi ci się trzęsą, biedactwo.

Laura zdejmuje koturny z wyraźną ulgą.

– Gładiatorki na płaskiej podeszwie – orzeka w końcu Caroline. – To do ciebie pasuje. Anielska bogini grecka. I tak jesteś dosyć wysoka.

Kiedy makijaż i fryzura Laury są już gotowe, okazuje się, że ekipa stworzyła boginię w bardzo krótkiej białej sukience sięgającej do połowy jej zgrabnych ud. Jeżeli uniesie ramiona, widać bieliznę. Jej długie jasne włosy zostały związane w ciasny węzeł na czubku głowy, złote metaliczne gładiatorki wiją się aż do kolan, ramię obejmuje złota obręcz ze szmaragdowym kamieniem. Zielone oczy lśnią.

Wszyscy milkną, gdy staje przed nimi.

– No, od Jacka masz kciuk w górę gwarantowany – mówi makijażystka.

– Więcej niż kciuk – dodaje Caroline, a wszyscy się śmieją, zanim do nich dociera, że kamera pracuje. Wtedy szybko milkną i się rozchodzą.

Solomon stoi koło sceny z Bo. Wymienia się nowinkami z byłymi kolegami z pracy, czekając, aż Laura przyjdzie na próbę dźwięku i kostiumu. Dziewczyna wchodzi na plan z Biancą i zostaje poprowadzona po schodkach na środek sceny. Nieświadoma wygłodniałych spojrzeń, rozgląda się wokół, jakby wylądowała na nieznanym planecie. Światła, puste siedzenia na widowni otaczającej scenę, olbrzymi ekran nad jej głową, na którym pokaże się kciuk uniesiony lub opuszczony. Połączony tron, na którym zasiądzie Jack, aby ją osądzić.

Solomon, obrócony plecami do sceny, pogrążony w rozmowie z dawną ekipą, z którą się nie widział od czasu bójki z Jackiem, nagle wyczuwa zmianę atmosfery w pomieszczeniu. Może to głupie, ale wie, że weszła. Widzi, jak wszyscy podnoszą wzrok, przestają robić to, co robili, widzi wyraz ich oczu, zmianę twarzy. Jego kumpel Ted milknie w połowie opowieści, jest pochłonięty tym, co się dzieje na scenie.

– O ja cię.

Serce Solomona zaczyna bić szybciej od tej chwili. Odchrząkuje i przygotowuje się. Odwraca.

– No żeż kurwa – mówi Ted. – To jest Lirogon?

– Wygrywa – oznajmia Jason śpiewnie, przechodząc obok nich. Ted parska śmiechem.

Solomon znowu odchrząkuje niezręcznie. Nie wie, gdzie ma patrzeć. Jeżeli znowu spojrzy na nią, wszyscy się domyślą, co czuje, absolutnie wszyscy będą o tym wiedzieli. Nie może się zmusić, by nie patrzeć na nią, nie może się opanować, to nagłe drżenie, niezręczność, prymitywna potrzeba wzięcia jej, zatrzymania tylko dla siebie, zrobienia tego wszystkiego, o czym w tej chwili fantazjuje większość obecnych na sali mężczyzn.

Bo obserwuje go, Solomon czuje na sobie jej spojrzenie, gdy się odwraca od sceny, żeby się zająć swoim sprzętem.

– I jak myślisz? – pyta. – Chodzi mi o...

– Laurę. – Znowu podnosi wzrok, jakby za pierwszym razem jej nie zauważył. – Tak. Wygląda inaczej.

– Inaczej? – Przygląda mu się. – Jest nie do rozpoznania, Solomon. Znaczący, jest, kurwa, niesamowita. Nawet ja się chcę z nią przespać, ale wiesz...

Solomon patrzy na nią z zaskoczeniem.

– Co?

– Nie tego się spodziewałam... – Bo znowu przygląda się Laurze, analizuje.

– Tak – zgadza się Solomon. On też się nie tego spodziewał. Wcale nie.

Podczas gdy Laurę otaczają chętni nagle do pomocy pracownicy, a Bo znowu jest zajęta, Solomon znajduje chwilę, żeby dobrze jej się przyjrzeć. Widzi zdenerwowanie Laury. Ona patrzy na niego pytająco. Szuka pociechy, uspokojenia, zachęty, a on nic nie może zrobić. Jeżeli do niej podejdzie, zdradzi się przed wszystkimi. Ona się dowie, Bo się dowie. Nie może w tej chwili sobie pozwolić na zbliżenie się do niej chociaż o krok, pod tymi światłami i kamerami, na oczach wszystkich. Trzyma się więc na dystans, patrzy na nią z daleka, kątem oka, ukradkiem.

Kierownik planu przyciąga jej uwagę, a Rachel wszystko dokumentuje. Solomon uaktywnia się i podchodzi szybko ze słuchawkami na uszach i z mikrofonem w dłoni, usiłując unikać spojrzenia Laury.

– Lirogon, jestem Tommy. – Kierownik wyciąga rękę, ona ją ściska. – Bardzo miło cię poznać. Wiem, że to straszne nerwy, każdy, kto dzisiaj występuje, czuje się dokładnie tak samo. Ale nie ma potrzeby, jesteśmy bardzo mili. Też jestem z Cork. My, ludzie z Cork, trzymamy się razem.

Laura uśmiecha się do niego, chwilę rozmawiają. Udaje mu się ją uspokoić.

– Król i kat w jednym zasiada tam, na tronie. Kiedy występujesz, tu jest twoja główna kamera. Ten gość za nią to Dave.

Dave macha komicznie, a ona się śmieje.

– Tutaj stajesz. Myślisz, że będziesz się przemieszczać?

Laura szuka wskazówek u Solomona, on szybko spuszcza wzrok na swój sprzęt i bawi się gałkami.

– Zrobimy próbę i sami się przekonamy – stwierdza pogodnie Tommy. Bez paniki. Przynajmniej na razie. Dopiero za parę godzin wchodzi na żywo. – Po to tu jesteśmy.

Wyjaśnia jej kwestie zgrania w czasie, gdzie ma stać, czekając na decyzję, dokąd iść, jak skończy. Wreszcie przychodzi czas na próbę. Solomon, Bo i

Rachel schodzą ze sceny wraz z pozostałymi, jednocześnie uruchamiają się światła i muzyka. Laura rozgląda się, nieznacznie się wzdygając, kiedy rozlega się głośna muzyka. Dziesięciosekundowe odliczanie, scenę zalewa czerwone światło, potem zielone i zaczynają się jej dwie minuty. Stoper na ekranie nad głową dziewczyny odlicza czas, który Laura ma na to, aby przekonać króla Jacka Starra, że powinna przejść do następnej tury półfinału.

Laura przybliży mikrofon do ust i rozgląda się. Nic nie mówi. Jej oddech słychać w absolutnej ciszy.

Tommy stoi na brzegu sceny, unosi obie ręce w dramatycznym geście.

– Powiedz coś, cokolwiek, nieważne co, musimy cię po prostu usłyszeć.

Bo wygląda na zdenerwowaną, Solomon nie jest pewien, czy martwi się o Laurę, czy o własną reputację. Rachel zagryza wargę i wpatruje się w podłogę, usiłuje pohamować wściekłość. Solomon zapisuje w pamięci, żeby ją o to później zapytać.

Znowu zaczyna się dziesięciosekundowe odliczanie. Laura patrzy na Solomona i przez całe dwie minuty wydaje dźwięki automatu do kawy. Solomon tak się śmieje, że Bo wbija mu łokieć w brzuch, ekipa zdjęciowa rzuca mu złowrogie spojrzenia, w końcu wychodzi ze studia, bo nie może się opanować.

Parę godzin później, po tym jak przedstawienie na żywo już się zaczęło, gdy cztery osoby otrzymały już kciuk w górę, a pięciu uczestników kciuk w dół, Solomon, Rachel i Bo filmują na zapleczu Laurę. Jest bardzo niespokojna. Z nerwów ledwo może mówić. Bianca nie odchodzi od niej na krok, a rozedrgana Laura naśladuje dźwięk walkie-talkie w jej dłoni i w zasadzie wszystko, co tamta robi. Bianca ignoruje to, sprawdzając czas do jej występu.

– Wchodzimy za dwie minuty.

Laura gwałtownie łapie oddech i odsuwa się.

– Muszę do łazienki.

– Poczekaj, poczekaj, teraz nie możesz – mówi Bianca, patrząc z niepokojem, już nie jest tak opanowana jak przedtem.

Solomon odkłada mikrofon, a Rachel przestaje filmować.

– Co wy robicie? – Bo patrzy na nich, nie rozumiejąc. Rachel odmawia



odpowiedzi. Kamera leży obok niej na podłodze, ramiona ma skrzyżowane, wzrok spuszczone. – Solomon?

Mężczyzna bierze Laurę pod ramię i prowadzi jak najdalej od pozostałych, żeby nikt ich nie słyszał, ale i tak na wszelki wypadek przysuwa się do niej tak blisko, że czuje, jak jego nos zanurza się w jej włosach, a wargi muskają jej miękkie ucho.

– Masz zdolność do przenoszenia ludzi w miejsce, którego nie widzą, ale które mogą poczuć. Jeżeli nie wiesz, co robić, jeżeli nic ci nie przyjdzie do głowy, zamknij oczy i pomyśl o czymś, co sprawia, że jesteś szczęśliwa. Pomyśl o mamie i Gadze.

– Okej – mówi cichutko, czuje jej oddech na policzku.

– Wyglądasz pięknie.

Laura uśmiecha się.

Solomon odsuwa się szybko, spuszcza głowę, wzrok wbił w ziemię, czuje na sobie spojrzenia Bo i Rachel.

– Gotowa? – pyta Bianca, w której oczach wciąż widać niepokój i można odczytać nieme przesłanie: „Lepiej bądź gotowa”.

– Tak – odpowiada Laura.

– Super. – Unosi walkie-talkie do ust. – Lirogon w drodze.

Laura staje na scenie, powitalne oklaski publiczności gasną, zapada cisza.

– Witaj – mówi Jack ze swojego tronu, subtelnie mierząc ją wzrokiem i niezbyt subtelnie się nią zachwycając.

– Dzień dobry – mówi Laura do mikrofonu. Solomon nie mógłby być z niej bardziej dumny, Rachel gryzie paznokcie. Jack jak na razie hojnie pozwalał im filmować, ale nie mogą kręcić występu na żywo, dostaną potem materiał z programu.

– Powiedz, jak się nazywasz, i opowiedz coś o sobie.

– Jestem... Lau... Lirogon – poprawia się. – Mam dwadzieścia sześć lat i jestem z Gougane Barra w Cork.

Rozlega się aplauz z jednego sektora widowni.

Jack pozdrawia obecnych widzów z Cork. Lirogon mu się podoba, to widać. Ta jego czarująca mina.

– No to powiedz mi, co zamierzasz nam dzisiaj pokazać?

Laura milczy.

– Jeszcze nie jestem pewna.

Publiczność się śmieje. Laura nie. Jack – tak.

– Okej, dobra odpowiedź. Mam nadzieję, że szybko się zdecydujesz, bo twoje dwie minuty zaraz się zaczną. Powodzenia, Lirogonku.

Reflektory stają się czerwone i cała scena tonie w krwistym świetle. Stoper na ekranie odlicza sekundy. Potem światło zmienia się na zielone i zaczynają się dwie minuty Laury.

Przez pierwsze dziesięć sekund nie mówi nic, nie wydaje żadnego dźwięku. Rozgląda się oszołomiona, starając się odnaleźć. Dziesięć sekund ciszy to dużo w programie na żywo. Publiczność zaczyna się wiercić, słysząc szepty.

Ktoś krzyczy: męski głos, głęboki, z ciężkim dublińskim akcentem.

– No, Lirogon!

Podskakuje zaskoczona i naśladuje starannie to, co powiedział.

Publiczność zanosi się śmiechem.

Ten nagły odgłos dobiegający z ciemności brzmi jak wybuch, Laura natychmiast naśladuje ten dźwięk. Wtedy rozlegają się okrzyki zaskoczenia i zapada cisza. Zyskała aplauz publiczności. Widzi przed sobą czerwone światełko kamery telewizyjnej, reszta studia pogrążona jest w ciemności. Tron, na którym niczym król siedzi Jack Starr, jest podświetlony. Myśli o zeszłorocznym zwycięzcy – i nagle rozlega się dźwięk harmonijki, to wywołuje ogólne zaskoczenie, widzowie prawie się nie śmieją. Laura wie, że nie może tego robić przez kolejną minutę, nie zna całej zwycięskiej piosenki.

Światła padające na jej twarz mocno grzeją, powietrze jest wręcz ciężkie od oczekiwania.

Laura myśli o tym, co powiedział jej Solomon. Zamyka oczy. Myśli o swojej kochanej mamie, która nigdy by nie uwierzyła, że jej córka kiedyś znajdzie się na antenie, myśli o swojej Gadze, która dla jej własnego bezpieczeństwa wysłała ją w góry, licząc, że oddalenie od świata zapewni

dziewczyźnie bezpieczeństwo na zawsze, a teraz znalazła się tutaj i cały świat ją widzi, właśnie tego bały się najbardziej.

Nagle rozlega się brzęczyk. Laura, zaskoczona, otwiera oczy. Zapalają się światła, nie ma już ciemności tam, gdzie siedzi publiczność, zielen znowu zmienia się w czerwień.

Rozgląda się wokół, zdezorientowana, przekonana, że zaważyła sprawę. Niczego nie powiedziała. Zaprzepaściła swoją szansę. Narobiła wstydu Bo, a co gorsza – Solomonowi. Opuszcza mikrofon. Czeką, aż ją wyśmieją, czeka na złote opuszczone kciuki. Serce wali jej jak młot, czuje się upokorzona. Nie ma aplauzu, światła zmieniają się znowu, z czerwonych na zwykłe, widzi twarze zgromadzonych w sali ludzi. Nie ma pojęcia, co zrobiła, ale w całym studiu panuje cisza, wszyscy patrzą na nią i na siebie nawzajem ze zdumieniem i z zaskoczeniem. A niektórzy nawet z podziwem. Co takiego zrobiła?

Przełyka z trudem ślinę i patrzy na Jacka Starra, który teraz przemawia, analizując jej występ, ale nie może się skupić na treści jego słów. Słyszy każde z osobna, ale razem nic dla niej nie znaczą. Serce wali jej jak szalone. Czuje się upokorzona. Miała szansę na rozpoczęcie czegoś nowego i tak szybko zawiodła. Publiczność ma dziesięć sekund na głosowanie, tyle samo ile ludzie w domach przed telewizorami. I Jack Starr.

Pierwsze pokazane są wyniki głosowania publiczności. Usiłuje być silna, żeby przyjąć to spokojnie.

Ku jej całkowitemu zaskoczeniu scenę zalewa złote światło, gdy ukazuje się uniesiony kciuk od publiczności.

Potem przychodzi kolej na Jacka. Gigantyczny złoty uniesiony kciuk pojawia się na ekranie nad jej głową, ale ona go oczywiście nie widzi. Słyszy radosną, skoczną muzykę, scenę zalewa złote światło, a kierownik planu Tommy, który stoi z boku, zaczyna wykonywać energiczne gesty, żeby podeszła do niego. Laura rozgląda się i niezręcznie schodzi ze sceny.

Przeszła.

na korytarzu za Laurą.

Wszyscy się odwracają, z kamerzystą włącznie, a Bo i Solomon usuwają się z kadru.

Jack podchodzi prosto do Laury i kładzie dłonie na jej ramionach, patrząc dziewczynie prosto w oczy.

– Lirogon, to było niewiarygodne... magiczne. Jesteś pewna, że nie masz tam magnetofonu? – Udaje, że zagląda jej w usta. – Poważnie... – Usiłuje się uspokoić, jest naprawdę nabuzowany. – To było fenomenalne. W życiu czegoś takiego nie widziałem ani nie słyszałem. Chyba nikt na świecie czegoś takiego nie doświadczył. To znaczy, oczywiście, wszyscy to słyszeliśmy, ale nie z ludzkich ust. – Śmieje się. – Wszystkie te dźwięki, woda, wiatr, ludzie, śmiech, musisz mi dać listę. Naprawdę, rany! Zrobimy z ciebie gwiazdę!

Policzki Laury różowieją. Solomona ściska w żołądku, a Jack spogląda niepewnie w kierunku Bo, tak jakby rozumiał, jak tandetnie zabrzmiało to, co powiedział, i to jeszcze przy Solomonie.

– Cięcie – mówi Bo natychmiast. – Porozmawiajmy w twojej garderobie – kończy cicho.

Wydaje się, że cała ekipa zdjęciowa i wszyscy uczestnicy ustawili się na korytarzu, żeby ich posłuchać. Laura, Bo, Jack i jego producent Curtis idą do garderoby Laury. Solomon i Rachel podążają za nimi, ale drzwi zamykają im się przed nosem. Rachel to nie obchodzi, cofa się, ale Solomon naciska na nie. Wyłania się głowa Jacka.

– Dzięki, w tej chwili nie potrzebujemy kamery ani dźwięku. – Mruga i zamyka drzwi.

Rachel spogląda na Solomona.

– Wyluzuj – ostrzega. Opiera się o ścianę, nie spuszcżając Solomona z oczu.

– Pewnego dnia wsadzę mu pięść prosto w dupę.

Rachel unosi brew.

– Są tacy, co by ci za to zapłacili.

Uśmiecha się do niej.

– On pewnie płacił.

– Nie. Jest masa kobiet, które mu to zrobią za darmo – odpowiada Rachel.  
– Wszystko dla sławy.

– Naprawdę ci się tu nie podoba, co?

– W pełni popieram talenty. Susan ma dziesięcioletnią siostrzenicę, która potrafi zagrać na skrzypcach „Cztery pory roku” Vivaldiego z zamkniętymi oczami. Niesamowite, ale gra na szkolnych akademiach i rodzinnych imprezach. Nie ma powodu, żeby wystawiać ją na scenie i kazać jej znosić całe to gówno – mówi, zniżając głos, gdyż obok nich przechodzi z rodzicami dwunastoletnia gimnastyczka z profesjonalnym makijażem na twarzy i torbą z kostiumem na ramieniu.

– Pewnie są dumni. Chcą pokazać ją światu. Podzielić się nią.

– O to właśnie chodzi! Wszyscy ciągle pytają rodziców tej dziesięciolatki, dlaczego nie chcą nic robić z tym talentem. Wysłać ją do telewizji czy coś. Dlaczego? Bo jest w czymś dobra? – Zdumiona kręci głową. – Dlaczego ludzie nie mogą po prostu być w czymś dobrzy? Dlaczego zaraz muszą być najlepsi? Co ja naprawdę o tym myślę... – Szuka właściwych słów, naprawdę się rozkręciła. – Darem można się dzielić, a można go... rozmyć. Chwytasz? Już teraz ją zrobili na, kurwa, Helenę Trojańską. Kto wie, co z nią zrobią następnym razem. Ale to tylko moja opinia, jestem w mniejszości. Ja tego gówna nie oglądam. – Wzdycha.

Solomon mamrocze coś w odpowiedzi i szybko wypiera jej słowa ze świadomości, bo nie chce przyjąć opinii Rachel na temat udziału Laury w programie do wiadomości. Nie chce myśleć, że może mieć rację i że on ponosi odpowiedzialność za to wszystko. Marzy natomiast o wszystkich sposobach, na jakie mógłby zrobić krzywdę Jackowi Starrowi. Gdy dwa lata temu walnął go w mordę, wyleciał z programu. Chodziło o jakąś uwagę na temat Bo; Jack poniżył ją celowo, by wkurzyć Solomona, a ten dał się sprowokować. Był zadowolony, że tak się stało; wciąż myśli o chwili, gdy jego pięść wylądowała na policzku Jacka, chociaż celował w nos. Zderzenie ciała i kości oraz babski okrzyk Starra wystarczyły, żeby Solomon potem smacznie spał. Nie wyklucza powtórzenia tego wyczynu, ale jeszcze poczeka. To musi być naprawdę warte zachodu, nie chce stracić okazji do obecności w podróży Laury.

– No, czyż to nie było niesamowite? Jezu! – mówi Jack, siedząc na stoliku w garderobie, w obramowaniu żarówek przytwierdzonych wokół lustra. – Lauro, to nie były banalne komplementy przed kamerami, mówiłem poważnie.

Curtis też kiwa głową; opiera się o blat tego samego stolika, ściskając krawędź obiema rękami, i wpatruje się we własne stopy. Jest wysokim kościstym mężczyzną, ma ostry nos i blond włosy. Nie mówi wiele, prawie wcale, kiwa ciągle głową, krzyżuje ręce, wpatruje się w przestrzeń i słucha. Po prostu jest obecny, mroczna siła.

– Jesteś niesamowita. I nie przejmuj się, że się denerwujesz, wszystko rozumiem, pierwszy raz na scenie, to dość przerażające, każdy to czuje, wszyscy popracujemy nad tym z tobą przed następnym programem, okej? Następnym razem nie pozwolimy na trzydzieści sekund niczego. – Śmieje się, nie ukrywając, jak bardzo się denerwował.

Laura kiwa głową.

– W tej chwili mam mnóstwo pomysłów na półfinał. Curt, przypomnij, żebym ci o nich opowiedział na spotkaniu. – Rozpiera go energia, w podnieceniu żuje gumę.

– Jasne, Jack. – Curtis kiwa głową, nie odrywając ani na chwilę wzroku od swoich butów. Granatowy zamsz z pomarańczowymi podeszwami.

Jack mówi przez chwilę o tym, co się dzieje na scenie, używając technicznego żargonu: o światłach, ekranach, choreografii, mówi bardzo szybko – tyle słów na minutę! – a Curtis kiwa głową, jakby wszystko chwycił: „Żaden problem, Jack, żaden problem”.

Potem Jack zwraca się znowu do Laury:

– Zrobimy z tego razem najlepsze, kurwa, przedstawienie!

Nagle przerywa i patrzy na wszystkich, usiłując znaleźć źródło dźwięku. Jego wzrok spoczywa na Laurze, która naśladuje dźwięk żucia gumy. Curtis podnosi wzrok i marszczy brwi: jest przekonany, że dziewczyna właśnie demonstrowa brak szacunku dla gwiazdy całego programu.

– Nie, Curtis, ona, no... Nie martw się... Ona jest... To się zdarza. Spontanicznie. Nie jest, nie próbuje... Możemy o tym porozmawiać później – mówi Bo. Jest zakłopotana. – Wczoraj kręciliśmy rozmowę z antropologiem, który bardzo dobrze wytłumaczył, co Laura robi. Gdybym sobie tylko mogła

przypomnieć, jak to ujął... Właściwie Solomon wyjaśni to znacznie lepiej.

Laura kaszle: „kłamie”, naśladując Solomona, a potem imituje jego serdeczny śmiech.

Jack i Curtis gapią się na nią.

– Jeżeli to jest spontaniczne, to czy możesz zaplanować występ w programie? – pyta w końcu Jack.

– Dobre pytanie. – Curtis pociera podbródek, wpatrując się intensywnie w Laurę, jakby samym spojrzeniem mógł z niej wymusić przyznanie się, jakby była oszustką, która zaraz zostanie zdemaskowana.

Laura wydaje dźwięk, który naśladuje drapanie podbródka Salomona. Jack na chwilę opuszcza ręce, nie wiedząc, co z nimi zrobić, w końcu kładzie je znowu na blacie.

– Planowałaś to, co zrobiłaś dzisiaj? – pyta Jack.

– Nie – odpowiada cicho; siedzi sztywno, usiłując znaleźć taką pozycję, w której jej króciutka sukienka nie odsłaniałaby tyłka. Nadal nie jest do końca pewna, co właściwie dzisiaj zrobiła.

– Hmm. – Jack spogląda na Curtisa, robiąc balona z gumy. Miny Jacka nie da się rozszyfrować, ale Curtis ją oczywiście rozumie.

Po chwili brzęczy telefon Curtisa. Gdy czyta wiadomość, jest zszokowany – to najpewniej jego pierwszy szczerzy wyraz twarzy.

– O Boże! – Patrzy na Jacka.

– Co?

– Lirogon ma już sto tysięcy wyświetleń na YouTube.

– Co?! – Jack zeskakuje z blatu i łapie swój telefon. Przegląda. – A skończyliśmy pół godziny, czterdzieści minut temu?

Curtis kiwa głową. Naprawdę kiwa. Świadomie.

Jack przez chwilę stuka w telefon, potem patrzy na Laurę.

– Mamy teraz z Curtem parę spraw do obgadania, Lirogonko, niech się tobą dobrze opiekują. Powiesz mi, jakby były jakieś problemy?

Laura kiwa głową.

– Informujcie mnie na bieżąco. – Bo wstaje i sięga po swój telefon; widać,

że jest podekscytowana.

– Zawsze, Bo. – Posyła jej całusa i wychodzi z Curtem.

Bo przewraca oczami, ale szczerzy w uśmiechu zęby. Chwilę trwa, zanim się opanowuje, po czym siada koło Laury.

– No więc... – Natychmiast wracają uczucia, jakich doznawała podczas całego dnia spędzonego z Laurą: niepewność, co zrobić czy powiedzieć, zupełny dyskomfort, niemożliwość wypełnienia czasu ani formowania zdań. Oczywiście nie muszą zostać z Laurą najlepszymi przyjaciółkami, wolałyby się o wszystkim dowiadywać, kiedy kamera jest włączona, a nie wyłączona, może to właśnie dlatego jest przy Laurze taka niespokojna i rozedrgana. Jak nałogowy palacz, który nie wie, co robić z rękami bez papierosa, albo muzyk, który bez gitary czuje się na scenie nagi, Bo zastanawia się, czy straciła umiejętność nawiązywania z ludźmi porozumienia bez włączonej kamery, a potem, czy w ogóle tę umiejętność miała.

Kolejna cecha Laury, która peszy Bo – nie licząc jej talentu do naśladowania dźwięków wydawanych przez różne zwierzęta, zanim wylądowały martwe na stoisku z mięsem – to jej badawcze spojrzenie. Bo nienawidzi czuć się obserwowana, a Laura wydaje się wchłaniać wszystko, najmniejszy szczegół. Bo wzdycha, a Laura to powtarza. Bo czuje się wystawiona na pokaz, klaustrofobicznie. Normalnie to ona jest obserwatorem, a Laura zmusza ją do przyjrzenia się sobie samej.

Laura patrzy na nią teraz, zaglądając głęboko w duszę. Bo powinna powiedzieć jej o wyświetleniach na YouTube, powinna porozmawiać z nią o tym, co dalej, opracować plan, ale przez te zielone oczy czuje się tak niezręcznie. Widziały, jak Jack przesyła jej pocałunek, patrzyły na Bo pytająco. Widziały, jak Bo się uśmiecha, zadowolona z okazywanej jej uwagi. Wydaje się, że ona widzi wszystko, czego Bo nie chce, by widziała.

– Może pójdziesz do szatni się przebrać? – odzywa się w końcu Bo.

## 22

Po występie Laury w *StarrQuest* Solomon, Bo i Laura spędzają niespokojną noc. Jakby wszyscy troje byli na hajku. Solomon i Bo siedzą przy



komputerach i telefonach, czytając w mediach społecznościowych opinie na jej temat. Laura zwija się w kłębek na kanapie, pijąc jedną herbatę ziołową za drugą, całkowicie przytłoczona tyloma informacjami od zupełnie obcych ludzi. Do północy jej występ obejrzało dwieście tysięcy osób, znalazła się w czołówkach wiadomości ze świata rozrywki, za każdym razem z tym samym prostym nagłówkiem: „LIROGON”.

Przez noc cała sprawa jeszcze się rozrasta, nabiera tempa. Solomon pojechał na lotnisko, żeby wsiąść w samolot do Szwajcarii, jeszcze zanim Laura się obudziła, przez co ona czuje się kompletnie zagubiona. Wyświetlenia na YouTube wciąż się mnożą. Zamknięta w mieszkaniu z Bo, Laura ze swojego cichego pokoju przygląda się, jak cały jej świat gwałtownie się zmienia, chociaż jej samej nic się nie dzieje.

W kolejnych dniach Laura czasami sugeruje Bo, że mogłyby wyjść, ale ta woli trzymać ją z dala od ludzi. Zaczyna się zamieniać w paranoidalnego strażnika, kiedy są poza domem, ogląda się przez ramię, podejrzliwie mruży oczy, gdy parki unoszą telefony do selfie, lub rzuca groźne spojrzenia wszystkim esemesującym, bo wydaje jej się, że robią zdjęcia. Jest spięta, a Laura nie jest pewna, kogo Bo chroni: swój film czy ją. Kilka razy dziennie Bo włącza kamerę i usiłuje dowiedzieć się, co Laura myśli o tym wszystkim, ale dziewczyna jeszcze nawet nie doświadczyła tego swojego nowego zmienionego życia – skoro dzień po dniu siedzi w mieszkaniu. Jedyne, co o nim wie, to tyle, ile Bo jej przeczyta – wiadomości w internecie, artykuły w gazetach. Ale to tylko słowa innych ludzi.

Chodzą na spacerunki wzdłuż rzeki Liffey, gdzie zawsze jest spokojnie, a trzeciego wieczoru Bo w końcu przystaje na propozycję Laury, żeby pójść na musical do teatru znajdującego się po drugiej stronie ulicy, przy której mieszkają. Od ich przyjazdu Laura obserwuje, jak wysypują się z niego uśmiechnięci ludzie. Ale kiedy zaczyna nieświadomie wydawać dźwięki podczas przedstawienia, co prowadzi do ostrej wymiany zdań między strażnikiem a Bo, Bo wyciąga ją stamtąd przed przerwą.

– Przepraszam – mówi Laura, naciągając sweter na ramiona, bo wieczór jest dość chłodny. Wracają do mieszkania, a ona czuje się jak skarcone dziecko.

– Wszystko w porządku – zapewnia Bo, chociaż stres w jej głosie świadczy

o czymś przeciwnym. – Masz ochotę na sushi? – pyta, patrząc na restaurację niedaleko ich mieszkania. Laura ma wielką ochotę, ale ma wrażenie, że Bo wystarczy wrażeń na ten wieczór.

– Nie, dziękuję. – Laurze burczy w brzuchu. A może ten dźwięk wcale nie wydobywa się z jej brzucha? – Wcześniej się położy. – Znowu. Jest pewna, że Bo zabierze laptopa do swojego pokoju. Od wyjazdu Solomona siedzi tam cały czas, jakby nie mogła wytrzymać z nią sam na sam.

Bo przyjmuje to z wyraźną ulgą.

W mieszkaniu robi dokładnie tak, jak przewidywała Laura.

– Dobranoc – mówi i cicho zamyka drzwi do pokoju. Laura wychodzi na balkon i patrzy na świat zajęty swoimi sprawami.

Pięć dni po występie liczba wyświetleń filmu z Lirogonem osiąga sto milionów. Media wciąż nie mają jej dość. Są spragnione dalszych informacji o tej tajemniczej dziewczynie, która zdołała przyciągnąć uwagę całego świata. Nagłówki tabloidów krzyczą: „LIROGON ZWYCIĘSKI!”.

Dobrowolne uwięzienie przez Bo w mieszkaniu kończy się, gdy do akcji wkracza StarrGaze Entertainment. Organizują dla Laury bazę w Slaughter House i przez dwa dni pod rząd dziewczyna udziela tam krótkich wywiadów dla mediów, które się zleciały, by z nią porozmawiać, oraz dla fanów, którzy ją filmują i przekazują jej wiadomości, prezenty, słowa wsparcia.

Czy może siebie opisać w pięciu słowach?

Czy ma chłopaka?

Czy chciałaby mieć dzieci?

Co sądzi na temat różnic w wysokości płac mężczyzn i kobiet?

Gdyby była potrawą, to jaką?

Jaki jest jej ulubiony film?

Jakie są najważniejsze piosenki na jej playliście?

Twitter czy Instagram?

Gdyby znalazła się na bezludnej wyspie, jaką książkę wzięłaby ze sobą?

Co ją inspiruje?

Jakie są jej ulubione dźwięki?

Jacy są jej ulubieni naśladowcy?

Jakie jest jej zdanie na temat kampanii prezydenckiej w Ameryce?

Czy ma jakieś rady dla młodych kobiet?

Jaka jest najlepsza rada, jaką w życiu dostała?

Jakie jest jedyne pytanie, którego jej nigdy nie zadano, ale chciałaby je usłyszeć?

Gdy Laura siedzi dwa dni z rzędu w biurze prasowym Slaughter House z Bianką u boku, Bo i Jack zaczynają się kłócić.

Słyszy ich, siedząc na klapie sedesu między wywiadami, z zamkniętymi oczami i nogami podciągniętymi do piersi, byle uciec od nieustannego stukania Bianki w telefon. Słyszy te dźwięki w głowie, zlewają się, stają się coraz szybsze, jak tykająca bomba zegarowa.

– Halo? – Ktoś puka do drzwi, a Laura zdaje sobie sprawę, że wydawała ten dźwięk. Milknie.

– Jack – mówi nagle Bo, głośno i ze złością, aż Laura otwiera oczy. Głos Bo przedostaje się przez otwory wentylacyjne.

– Bo – mówi ten żartobliwie – jak miło, że mnie odwiedzasz. Jakby twoje maile przez ostatnie dwa dni nie wystarczyły, zawsze jest przyjemnie zostać zwymyślanym osobiście.

– Jack, trzymanie Lirogona tutaj przez ostatnie dwa dni to jedno, ale nie możecie jej zabrać do Cork.

Trzaśnięcie drzwi. Następuje pauza.

– Oczywiście, że możemy. Musimy mieć materiał dla prasy i do programu. To najlepszy sposób, chyba że wolałabyś, żeby jeździła do Cork z każdym przedstawicielem prasy, który poprosi o wywiad? Nie? Tak myślałem. To jest najlepszy sposób na załatwienie tego.

– Ale ja to już mam nakręcone. Mam to na wyłączność do mojego filmu. Przez ostatnie dwa dni nie mogłam nawet tego filmu kręcić, bo masz pełną kontrolę medialną nad Lirogonem.

– Jest częścią programu, Bo! – mówi Jack z irytacją. – To nie jest sztuczka. Podpisała umowę, a w niej stoi, że ma uczestniczyć w działaniach

promocyjnych. Wiesz o tym, czytałaś ją.

– Ale tam nie było mowy o tym, że nie będę w tym uczestniczyć! – wścieka się Bo.

– No, skarbie, tylko tobie pozwoliliśmy Laurę filmować. Masz te ujęcia za kulisami, o które wszyscy błagają. Curt już teraz nie daje mi spokoju, że na to pozwoliłem, czego jeszcze ode mnie chcesz?

– Nie jestem twoim skarbem. Curt nie jest szefem StarrGaze Entertainment, ty tak. Miej wreszcie, kurwa, jaja.

Zapada cisza.

– Hmm. Zdaje się, że już jedno mam, a ty chyba o tym wiesz.

Laura słyszy lekki śmiech Bo i uśmiecha się.

Bo odzywa się znowu, trochę spokojniej.

– Jack, mój dokument nie ma pokazywać wszystkiego ani być reality show czy przedstawiać kulisy kręcenia reality show. To nie ma być kopia tego, co robi *StarrQuest*. To dogłębna analiza jej życia. Ze środka, nie z zewnątrz, a jeżeli ty mi nie dasz z nią rozmawiać, nie mogę ocenić, co ona czuje.

– Mieszkaś z nią – odpowiada Jack ze śmiechem. – Nic nie możesz ocenić?

Koło Laury ktoś spuszcza wodę, denerwuje ją, że nie usłyszała odpowiedzi Bo.

– Pogadam z Curtem – mówi – jeżeli pójdziesz ze mną na kolację. To by mi wyszło na dobre, bo rzucanie palenia dla zdobycia twojej uwagi to naprawdę ciężka praca.

– Jack – Bo się śmieje – jesteś niemożliwy. Mam chłopaka, pamiętasz?

– A tak, długowłosa piękny księżę z paskudnym temperamentem. Ale teraz go chyba nie ma?

– Jack... proszę... Usiłuję powiedzieć, że ja kręcę pełnometrażowe dokumenty. Przeszkadzasz mi w mojej sztuce, że wszystkich ludzi akurat ty powinieneś to zrozumieć. Ile razy musiałeś walczyć o swoją muzykę? Ja ci przyprowadziłam Laurę. Muszę być częściej obecna. Nie możesz mnie od tego odciąć.

Suszarka do rąk zagłusza resztę słów Bo, a potem Bianca wali w drzwi

ubikacji, czym wystrasza dziewczynę niemal na śmierć. Czeka ją następny wywiad. To gra pod nazwą *Spróbuj, czy jesteś dość twardy* dla programu towarzyszącego *StarrQuest*, *Egzekucja czy wolność*. Polega na tym, że zawodnicy rozwalają sobie o czoło kilka jajek na twardo. Przegrywa ten, kto znajdzie nieugotowane jajko... co rozpozna po tym, że spłynie mu ono po twarzy.

Laura przegrywa.

Laura pojawi się w półfinałach dopiero w przyszłym tygodniu. W ten weekend jest jeszcze jedna runda przesłuchań, a następny poniedziałek zacznie tydzień cowieczornych półfinałów, jeden z pięciu numerów z każdego wieczoru przejdzie do finału. Następny program z przesłuchaniami po występie Laury miał dwa razy większą oglądalność dzięki światowej popularności Lirogona. Pobił pod tym względem dziennik *Nine O'Clock News*, tradycyjnie najchętniej oglądany program na tym kanale. Jednak potrzeba, by Laura pozostała na wizji, jest wyraźna, zarówno ze strony mediów, jak i *StarrQuest*, bo firma wie, że zainteresowanie Lirogonem oznacza znakomitą oglądalność. Tłum fanów zbierający się pod studiem rośnie z dnia na dzień – wysiadują tu całymi dniami z nadzieją na dostrzeżenie Lirogona. Kanały wiadomości i inne media informują zarówno o Laurze, jak i coraz większej obsesji publiczności na punkcie Lirogona, która to obsesja z kolei wzrasta z powodu obsesji mediów. Napędzają się nawzajem. Prośby o wywiad z Lirogonem albo o jakiegoś rodzaju pojawienie się spływają codziennie ze Stanów Zjednoczonych, z Wielkiej Brytanii, Europy i Australii. Z Japonii przyszła propozycja promowania nowego napoju. Po dłuższych negocjacjach pod przewodnictwem Curtisa sprawa padła z powodu nieporozumienia związanego z wynagrodzeniem.

Są także prośby o występ Lirogona na prywatnych imprezach, korporacyjnych imprezach, charytatywnych imprezach. Agenci i agencje oferują się ją reprezentować, agencje PR chcą pomagać w jej promocji. Lirogon potrzebuje agenta i już go ma: zgodnie z umową, którą dał jej do podpisania Jack, reprezentuje ją agencja *StarrGaze Entertainment*, czyli Bo nieświadomie zrzekła się kontroli nad swoim tematem.

Bo dzwoni do Solomona, który nadal jest daleko, bo pracuje nad

*Groteskowymi ciałami*, i skarży się:

– Boję się, że wszystkie te idiotyczne wywiady z Lirogonem obniżą rangę dokumentu. Jestem przyzwyczajona do pracy nad tematem latami, zanim go pokażę światu, bez pośpiechu, z porządną redakcją, researchem, nadaniem mu formy. Ale to idzie za szybko. To ja znalazłam Lirogona, to ja pierwsza usłyszałam jej historię, a teraz boję się, że wszystko się wydostanie, zanim zdążę to opowiedzieć. I proszę, nie mów „a nie mówiłem”, bo naprawdę nie mam ochoty tego w tej chwili słyszeć.

– W takim razie nie mam nic do powiedzenia – odpowiada wściekły. Bo wzdycha niezadowolona. Negatywne podejście Solomona wcale jej nie pomaga, do teraz czekała z wyjawieniem mu swoich wątpliwości właśnie z tego powodu, ale teraz potrzebuje pomocy, potrzebuje z kimś to obgadać.

Od pierwszego występu minął tylko tydzień, a szła na punkcie Lirogona nie przygasa. A jak długo potrwa? Zanim film Bo będzie gotowy, Lirogon może się stać przebrzmiałą sprawą. Najgorszy możliwy scenariusz: może być kac po Lirogonie, a wtedy nikt nie będzie chciał nawet tknąć całej tej historii. Bo się boi, że chociaż to ona pierwsza ją znalazła, będzie ostatnia, jeżeli chodzi o przybliżenie jej życia. Jest bardzo niezadowolona, że to wszystko zamienia się w jakiś wyścig – nigdy nie musiała pracować w ten sposób.

Bo czuje, jak ze wszystkich stron wyciągają się do niej szpony, usiłując oderwać kawałek Lirogona. A jeżeli tak się czuje Bo, jak musi czuć się Lirogon? Nawet nie potrafi sobie tego wyobrazić. A tak w ogóle, to od kiedy zaczęła do niej mówić Lirogon?

W miarę jak Bo opowiada Solomonowi, co się działo po jego wyjeździe, jego wściekłość narasta.

– A jak się czuje Laura? – pyta.

– W porządku – odpowiada Bo. – Jest zajęta. Prawie jej nie widuję.

– Czy ona wie, że nie można jej zmusić do zrobienia czegoś, czego nie chce?

– Tylko że w tym wypadku można, Sol, podpisała umowę. – Mówi jak najciszej, żeby Laura siedząca w pokoju obok nie usłyszała.

Milknie na chwilę.

– Bo, czy ona jest szczęśliwa?

– A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć? – odpowiada zmęczonym głosem. – Nie zwierza się z niczego.

– Z jej dźwięków – mówi Solomon, usiłując zachować spokój. Gdyby on tam był, wiedziałby od razu. – Jakie dźwięki wydaje wieczorem?

– Nie zauważyłam. Byłam strasznie zmęczona, chyba już się do nich przyzwyczaiłam, przestałam je słyszeć.

Udaje jej się wyperswadować Solomonowi powrót do domu. Nie może tak po prostu wszystkiego rzucić – nigdy by go więcej nie zatrudnili. Poza tym tutaj nie ma jeszcze kryzysu. Mówi mu także, że jest całkiem pewna, iż Laura jest nim zauroczona, i najlepiej będzie, jeżeli będzie się trzymał od niej z dala. Nie jest to kłamstwo.

Bo wie, że nikt jeszcze nie poznał szczytu możliwości Laury, że może z siebie dać znacznie więcej. Ma tylko nadzieję, że dziewczyna sama zrozumie, jak nad tym zapanować, skondensować wszystko do dwuminutowego występu na żywo w telewizji. Dla Bo będzie korzystne, jeżeli Laura dobrze wypadnie w półfinałach. Jeśli nie może pracować z nią sam na sam, to nad programem może. Sięga po telefon, żeby wysłać Jackowi eśemesem kilka pomysłów na następny występ Laury.

Kiedy kładzie się spać, nowy szczeniak sąsiada zaczyna wyć.

I tak samo jak poprzedniej nocy dołącza do niego łagodne, smętne wycie Laury. Bo okłamała Solomona na temat jej dźwięków, nie mogła mu tego powiedzieć. Zresztą to przecież on powiedział jej, że to po prostu mimetyzm, a nie rozmowa, prawda?

Wyłącza światło, ciasno owija się kołdrą i przykrywa głowę poduszką Solomona, by nie słyszeć.

## 23

Dokładnie w tydzień po pierwszym występie Lirogona Solomon i Laura siedzą na plastikowych krzesłach przed biurem w studiu w Slaughter House, opierając głowy o ścianę. Właśnie wrócił i nie mieli jeszcze okazji porozmawiać. Solomon stara się ukradkiem przyjrzeć dziewczynie, żeby przekonać się, jak się miewa – nie jest pewien, czy może zaufać instynktowi

Bo, jeżeli chodzi o jej samopoczucie.

– Czuję się, jakbyśmy byli wzywani na dywanik do dyrektora szkoły – mówi Solomon, patrząc na nią, po czym dociera do niego, że Laura może nie mieć pojęcia, o co mu chodzi, skoro nigdy nie chodziła do szkoły. – Przepraszam – mówi. – Nieważne.

– Ja rozumieć dowcip – odpowiada z akcentem Tarzana. – Lirogon oglądać telewizor. Lirogon czytać książki.

Chichocze.

– Okej. Dotarło.

Ludzie wychodzą na korytarz z ukrytych pomieszczeń, spoglądają na nią, szepcząc: „To ona”, i znowu znikają. Inni wyraźnie specjalnie nadkładają drogi, żeby przejść obok niej, zerknąć na nią kątem oka, za późno zauważyć, że korytarz jest ślepy, po czym przejść koło niej znowu.

– Jakie wieści? Spokojny tydzień? – żartuje. Ona się śmieje. Tak za nią tęsknił. Bycie z dala od niej wydawało mu się torturą, ale konieczną. Odkąd tamtej nocy w łóżku słyszał, jak imituje jego śmiech, wiedział, że musi wyjechać. Był to winien Bo. Był to winien Laurze. Wyjazd był jedynym sposobem na uwolnienie się od dźwięków Laury nocą. Słuchając ich, czuł się zaproszony do jej serca, do przeczytania jej pamiętnika, a nie miał tam co robić – tym bardziej, że bardzo tego chciał. Fascynacja nią, jaka ogarnęła teraz cały świat, była dokładnie tym samym, czego doznał Solomon wtedy w lesie, gdy ją spotkał po raz pierwszy. Ale ma nieprzyjemne poczucie, że przez ten krótki czas od poniedziałku wiele się zmieniło. Nikt nie mógł przewidzieć aż takiego zainteresowania, ale StarrGaze powinno przynajmniej być w stanie sobie z tym poradzić. Teraz się zastanawia, kto się tym zajmuje.

– Co ty myślisz o tym wszystkim? – pyta Solomon, kiedy ktoś ukradkiem robi Laurze zdjęcie, udając, że wysyła esemesa, ale tak naprawdę kierując telefon prosto na nią. – To był szalony tydzień. Nie mieliśmy okazji pogadać.

– Nie. Nie mieliśmy. – Naśladuje jego zakłopotane chrząknięcie i drapanie po zaroście na policzku.

Tygodniowy wyjazd nie spełnił oczekiwań Solomona, nie pomógł mu o niej zapomnieć. Kiedy tylko Solomon zdobył się na wysiłek odseparowania się od niej, wybicia jej sobie z głowy, cały świat zaczął spiskować przeciwko



niemu. Przez ten tydzień wszyscy rozmawiali tylko o jednym: „Widziałeś tę dziewczynę?”. Nawet Paul, gwiazda Groteskowych ciał, programu, z którym pojechali do Szwajcarii, pewnego dnia spytał o nią Solomona w poczekalni, poza kamerą.

Początkowo Solomon nie chciał o niej rozmawiać, ale wkrótce odkrył, że udając kompletną ignorancję, skłania tylko drugą osobę do opowiadania mu o niej bez końca, o tym, jak wyglądała i jak marnowała czas, zanim w końcu podbiła serca wszystkich. Dlatego zaczął przyznawać, że ją widział, z nadzieją, że na tym rozmowa się skończy, jednak nadal musiał wysłuchiwać domysłów, czy nie miała gdzieś schowanego odtwarzacza i jak jej się to udało, bo w tej sukience przecież niczego nie dało się schować, he, he, he.

Na szczęście nikt, ani fani, ani dziennikarze, nie zorientował się jeszcze, gdzie Laura mieszka. Kiedy nie spotyka się z fanami i nie pozuje do zdjęć, nie jest filmowana czy nie ma przymiarek do następnego kostiumu w studiu, siedzi w mieszkaniu. Została sfotografowana, jak kupuje kwiaty na Grafton Street – to była pozowana fotografia – i na spacerze w Stephen’s Green, a konkretnie przy karmieniu kaczek: Lirogon karmi ptaki. Jeden z niegłupich tabloidowych dziennikarzy zauważył, że zanim skończy z programem, powinna już zacząć nieźle zarabiać. Zarobki Lirogona z możliwych występów w programach reality show, sesji zdjęciowych do magazynów, wywiadów i występów zostały podliczone. Gdyby wiedzieli, jak naprawdę spędza swoje dni – siedząc w mieszkaniu z wyłączonym telewizorem albo na balkonie, obserwując wodę lub naśladowując ptaka w klatce – Solomon nie wie, czy byliby nią zafascynowani, czy może raczej znudzeni. Laura chętnie spędzałaby czas na gotowaniu, ale niestety Bo niewiele je, przez co napięcie między nimi rośnie.

– Jest w porządku – odpowiada Laura. Wydaje mlaskający dźwięk przypominający żucie gumy.

Solomon od razu wie, że chodzi jej o Jacka.

– Co z nim? – pyta.

To taka ulga móc porozmawiać z kimś, kto rozumie, o co jej chodzi. Bo nadal nie łapie większości tego, co ona do niej mówi. Nie łapie powiązań. Uważa, że Laura jest jak zepsuta maszyna wydająca przypadkowe dźwięki. Jack i Bianca też nie rozumieją, w zasadzie nikt z wyjątkiem Rachel, ale

przede wszystkim Solomona. Dla niego to wcale nie jest skomplikowane, chociaż Bo ma wrażenie, jakby porozumiewali się z Laurą tajnym językiem. To żadna tajemnica, po prostu uważa i tyle.

– Jack cię nie lubi – mówi mu.

– Szok, nie?

Nie śmieje się. Ciężko jej na sercu. Wiedziała, że decyzja o udziale w programie należała do niej, ale zgodziła się tylko dlatego, iż wierzyła, że dzięki temu będzie przy nim cały czas. A wyszło zupełnie odwrotnie. Nie widziała go przez cały tydzień, wydawał się tak daleko. Ani jednego telefonu.

Splata zamszowe frędzle na swojej sukience w warkoczyki, rozplata i zaczyna od początku.

– Powinnaś być teraz tam z nimi – mówi Solomon. – Bo i Jack mówią o tobie, robią dla ciebie plany.

– Wolę być tutaj – odpowiada prosto z mostu. Potem zmienia temat, liczy na to, że atmosfera się rozluźni. – Co kręciłeś przez ten tydzień? – Usiłuje udawać, że nie jest na niego zła, że zostawił ją samą, że nie jest zła na siebie za bycie złą na niego. Bo jest jego dziewczyną. Bo. Nie ona. Bo jest wszystkim, czym Laura nie jest, nigdy nie mogłaby być, nigdy nie chciałyby być.

– Filmowaliśmy faceta z jądrami ważącymi sześćdziesiąt kilo.

Otwiera szeroko oczy i parska śmiechem.

– Wiem, że to zabawne, ale i smutne. Ledwo mógł chodzić, zaczęły puchnąć i nigdy nie przestały. Nie miał życia, przynajmniej do operacji, którą miał w tym tygodniu. Trochę to potrwa, ale w końcu będzie mógł chodzić, pracować, kupi sobie spodnie. Tak samo jak kobieta z trzema piersiami.

– Chyba to jest program, w jakim powinnam się znaleźć.

– W twoim ciele nie ma nic groteskowego – mówi Solomon i czuje, jak płonie mu twarz, chociaż starał się to powstrzymać. Opiera głowę o ścianę, zamyka oczy. – Mam na myśli, że w żadnym z tych ciał nie ma nic groteskowego. To głupie. Po prostu są inni.

– Hmm. Ale ja jestem dziwna.

– Lauro... – Patrzy na nią, ale ona nie chce spojrzeć mu w oczy. Pracowicie

skupia się na frędzelkach w swoich dłoniach. – Nie jesteś dziwna – oznajmia stanowczo.

– Czytałam w gazetach. „Lirogon to tajemnicza kobieta, nadnaturalna, nieziemska, dziwna”, „Dziwaczne zdolności Lirogona...”. Wszyscy mówią, że jestem dziwna.

– Lauro – mówi Solomon tak stanowczo, że brzmi to gniewnie.

Spogląda na niego zaskoczona. Przestaje splatać sznureczki.

– Nie czytaj tego gówna, rozumiesz?

– Bo twierdzi, że powinnam.

– Nigdy tego gówna nie czytaj. A nawet jeśli, to nigdy w nie nie wierz. Ani w dobre, ani w złe. Nie jesteś dziwna.

– Okej.

Solomon wydaje się tak wściekły, że woli milczeć przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć. Laura nie może nie zauważyć, jak jego szyja nabrzmiała, oczy pociemniały, brwi się zmarszczyły, na czoło wystąpiła groźna zmarszczka. Głos mu się pogłębił i pojawiły się w nim szorstkie tony. Opiera głowę o ścianę i wpatruje się w światło, oddychając powoli, rozdymając nozdrza, jego jabłko Adama wygląda na większe niż w rzeczywistości – może to ze złości, a może tylko przez kąt, pod jakim ona patrzy. Nawet jego złość ma dźwięki.

Nagle zwraca ku niej spojrzenie.

– Co?

– Takie dźwięki wydaję? – pyta ją.

Laura nie jest pewna, jaki dźwięk wydała, ale zakłada, że tak.

– Jak koń dyszący po wyścigu.

Wzrusza ramionami. Co innego ją gnębi.

– Poszliśmy z Bo do teatru po drugiej stronie ulicy. – Patrzy na nią zaskoczony, nie miał o tym pojęcia.

– To dobrze.

– To był mój pomysł. Głupi. Musiałyśmy wyjść. Facet z obsługi powiedział, że przeszkadzam aktorom. Że znajdzie mi inne miejsce

do siedzenia.

– Który to był? – pyta Solomon. Chętnie by powstał pod teatrem i poczekał, aż tamten wyjdzie z pracy.

– Był całkiem miły. Myślał, że coś jest ze mną nie w porządku. I najwyraźniej jest coś ze mną nie tak, skoro musiałyśmy wyjść. – Jej oczy wypełniają się łzami i odwraca wzrok, wściekła, że przyznała mu się, że ją to zmartwiło. Ale nie ma z kim o tym porozmawiać, rozmowa z Bo jest jak rozmowa z gąbką, która niczego nie wchłania.

– Lauro – mówi Solomon łagodnie, biorąc ją za rękę.

Jego dotyk jest dla niej wszystkim. Potrafi znowu ją ożywić, dzięki niemu jej serce wyrywa się z głębi, w której utkwilo.

– Przepraszam, nie wiedziałem, Bo mi nie powiedziała... – Jest taki wściekły. Na Bo. Na świat. Jego ręka zaciska się mocno na dłoni Laury, a potem się rozluźnia, zaciska się i rozluźnia, raz za razem, jakby ją masował. – Powiem ci coś o twoim darze, Lauro. Ludzie zawsze mówią, że nie podoba im się dźwięk ich własnego głosu, wiedziałaś o tym? Zazwyczaj kiedy słyszą samych siebie, krzywią się albo są zaskoczeni, że brzmią właśnie tak. Słyszemy samych siebie inaczej. To, co robisz... – Urywa, gdy kolejna osoba idzie w ich stronę. – To ślepy korytarz – oznajmia brutalnie, a młoda dziewczyna robi się czerwona jak pomidor i wraca tą samą drogą, którą przyszła. Kiedy skręca za róg, słychać chichot i parsknięcia grupki dziewczyn. – Myślę, że dajesz innym możliwość usłyszenia siebie i świata dokładnie takimi, jakimi są. Bez filtrów. A w tym świecie wszystko, co jest świeże i nietknięte, to cholerna rzadkość. Ludzie lubią cię słuchać z tego samego powodu, dla którego lubią oglądać filmy, patrzeć na dzieła sztuki albo słuchać muzyki. To czyjaś interpretacja świata, nie ich własna, a ty go chwytasz dokładnie takim, jakim jest. Masz wielki dar. Nie jesteś dziwna i nie daj sobie tego wmówić.

Oczy Laury wypełniają się łzami, a on chce ją wziąć w ramiona, ale nie może, bo wie, że nie wyszłoby to im na dobre. Ona chciałaby się o niego oprzeć, ale nie może ze względu na mur, jaki czasem buduje między nimi.

Otwierają się drzwi biura i wychodzi Bo. Widzi ich siedzących razem, Solomona trzymającego rękę Laury.

Laura zabiera rękę.

– Jack cię prosi – mówi chłodno Bo do Laury.

– Mam iść z tobą? – pyta Solomon.

– Nie, to poufne – odpowiada Jack znad ramienia Bo. Laura wchodzi do biura sama, a Solomon wpatruje się w ścianę przed sobą, walcząc z ogarniającą go wściekłością. Po raz pierwszy się w siebie wsłuchuje – rzeczywiście dyszy jak koń. Wciąż pamięta skórę i ciało Jacka zderzające się z jego pięścią. Starr patrzy na niego groźnie, rzuca mu wyzwanie, by zrobił to jeszcze raz, zachęca go, pragnie raz na zawsze go stąd wyrzucić. Jack chce, by Solomon to zrobił, a Solomon chce to zrobić. I robi, we właściwej chwili.

– Szybko wróciliście do trzymania się za rączki – mówi jadownicie Bo, siadając na krześle obok niego i patrząc w telefon. – Tyle, jeśli chodzi o zachowanie dystansu.

– Była zdenerwowana.

– A ty ją uspokajałeś. Super.

Solomon zwalcza w sobie chęć wstania i wyjścia.

– Powiedziała mi, co się stało na musicalu.

Bo patrzy na niego, ale nie ma sił na kolejną kłótnię. Zmęczonym gestem pociera oczy.

– Naśladowała orkiestrę, Sol. Ciągle usiłowała dobrze złapać puzon raz za razem. Nie wiedziałam, co robić, więc zabrałam ją stamtąd. Nie chciałam ci mówić, bo tylko byś się wściekał i to przeżywał.

– I właśnie tak jest – warczy.

– A poza tym co by to dało, skoro byłeś w innym kraju? – dodaje Bo łagodnie. – Poradziłam sobie najlepiej, jak umiałam.

– Była bardzo poruszona.

– Powiedziłam jej, że to nie jej wina. – Wzdycha. – Wiesz, że przy tobie otwiera się bardziej niż przy mnie.

Siedzą w milczeniu. On się uspokaja. Nie może się wściekać na Bo. Jest wściekły na siebie, że go tu nie było.

– To spotkanie to była pieprzona katastrofa – odzywa się w końcu Bo, odkładając telefon i pocierając twarz. – Jack gada o zabraniu jej do Australii za parę dni. Melbourne i może Sydney. Mówi, że będą z powrotem

w poniedziałek, na półfinał.

– Australia? Na parę dni? Co za bzdura. Będzie wykończona – stwierdza Solomon, prostując się.

Wydaje się, że to przyszło Bo do głowy dopiero teraz.

– A dlaczego tobie się to nie spodobało?

– Nam nie wolno lecieć. Jakaś umowa na wyłączność z czasopiśmem i programem telewizyjnym w Australii. Nie zgadzają się na żadne media niepowiązane ze *StarrQuest*. Mamy o niej kręcić dokument, a on ją nam zabiera, znowu.

Czuje znajomą, wszechogarniającą frustrację, gdy Bo wykazuje taki zimny egoizm.

– Jesteś obrzydliwa, Bo. – Wstaje i wychodzi, zostawiając ją samą.

– Jak się ma mój Lirogonek? – pyta Jack, ujmując Laurę pod ramię i ściskając mocno. Uśmiecha się. – Co to był, kurwa, za tydzień, nie?

Kiwa głową.

– Wybacz, że klnę, przy tobie to się jakoś wydaje nie w porządku. Jesteś zbyt anielska. – Pomaga jej usiąść i sam siada za swoim biurkiem. Obserwuje ją z namysłem. – Nie jesteś nim, co?

– Czym.

– Aniołem?

– Nie. – Uśmiecha się.

Odwzajemnia jej uśmiech i wystukuje palcami rytm na stole. Laura naśladuje ten dźwięk.

– Masz rację. Potrzebuję papierosa. Rzuciłem tydzień temu.

– Dla Bo.

Patrzy na nią z zaskoczeniem, potem szczyrzy zęby.

– Słowo daję, tobie nic nie unika.

Wydaje dźwięk żucia gumy.

– Dobry pomysł. Gdzie moja guma? – Podczas gdy on grzebie w szufladach

biurka, Laura studiuje ściany.

– Pewnie nie wiesz, czy miałbym szansę, co? U Bo?

– Bo? – Unosi brew. – Ona jest z Solomonem.

– Tak, ze swoim długowłosym kochankiem. Powinna rzucić tego nieudacznika. Ty z nimi mieszkasz, powiedz mi, są szczęśliwi?

Laura warczy na niego tak samo jak Mossie, kiedy służył wśród drzew dźwięk, którego nie umiał rozpoznać.

– Okej, okej – Jack wrzuca do ust gumę. Laura znowu skupia się na ścianach. Płyty w ramkach, nagrody, artyści, których rozpoznaje, artyści, których nie rozpoznaje, jego zdjęcia z zespołem, Jack Starr i Starr Gazers.

– Lubisz muzykę? – pyta on.

Kiwa głową. Wydaje trzask winylu, jak szczapy płonące w ogniu, ten przyjemny, przytulny, niezapomniany dźwięk.

Jack otwiera szeroko oczy.

– Jezu. Słuchałaś czarnych płyt?

– Mama i Gaga kochały jazz. Billie Holiday, Miles Davis, Nina Simone, Louis Armstrong... – Mruczy melodię „I’m a Fool to Want You”, ale jej mruczenie jest głębokie i szorstkie, nie jak głos młodej kobiety. – Ulubiona piosenka Gagi – wyjaśnia.

Oszołomiony potrząsa głową.

Ona odwraca wzrok, czując się zakłopotana pod wpływem jego spojrzenia.

– Domyślałam się, że nigdy nie byłeś w Australii – zaczyna.

– Nie – odpowiada Laura z uśmiechem.

– No, zapraszają cię. I to jak gorąco. Największe tamtejsze talk show cię zaprasza. Nie ma australijskiego zwierzęcia, nie licząc koali, które byłoby bardziej znane niż lirogon. Ale ty nie mogłabyś być bardziej inna. Dobra setka muzyków może być jak koale, wszyscy są przyjacielscy i milutcy, ale ty jesteś nieuchwytna. Rany, to, że się pojawiłaś... no, to wypadło w najlepszej chwili dla nas, dla programu. Od dawna usiłujemy się przebić na australijski rynek, to może być nasza przepustka. Tamtejsze kanały chciały wiedzieć, czy wzbudzimy zainteresowanie publiczności, to teraz widzą. Sto milionów wyświetleń... – Sprawdza telefon. – Sto jedenaście milionów wyświetleń. –

Śmieje się. – Zresztą tym wszystkim ty się wcale nie musisz martwić, ty masz po prostu darmowy wyjazd. Będziesz w ich największym talk show. Dziennikarze zrobią ci zdjęcie z lirogonem. Jakaś sesję dla dużego pisma. A potem przylecisz do domu w sam raz na poniedziałkowy półfinał. Co na to powiesz?

– To wszystko brzmi... niesamowicie. – Uśmiecha się, nie mogąc w to uwierzyć. – Reszta też pojedzie?

– Jaka reszta?

– Inni uczestnicy. Chyba większość niezbyt mnie lubi.

– Są zazdrośni. – Jack odwzajemnia uśmiech. – To konkurs, bijesz ich na głowę. I nie, oni nie jadą. To wycieczka tylko dla ciebie.

Zagryza wargę, zaniepokojona.

– Nie martw się, oni wszyscy też udzielają wywiadów. Pewnie nawet więcej, ale ty wzbudzasz największe zainteresowanie. Gdybym zaprosił na ten wyjazd kogokolwiek z nich, ani sekundy by się nie przejmowali, że reszta nie jedzie. To jest konkurs, Lirogonku. Musisz tylko dać Biance dane z paszportu, żebyśmy mogli załatwić bilety.

– Och... Ja nie mam paszportu.

– To nie szkodzi – mówi zachęcającym tonem. – Mamy parę dni, zorganizuje się. Już załatwialiśmy paszporty na ostatnią chwilę. W biurze paszportowym nie takie rzeczy potrafią. Lubią nas. Wystarczy, że dasz Biance swój akt urodzenia. Nie martw się, jeżeli jest w Cork, możemy dostać odpis z biura w Dublinie.

Laura wpatruje się w niego z otwartymi ustami, niepewna, co powiedzieć. On źle to interpretuje – śmieje się.

– Mówiłem, nie masz się czym martwić, program zadba o wszystkie twoje potrzeby. – Rozkłada ręce w triumfalnym geście.

Laura przęłyka ślinę.

– Nie, nie o to chodzi... Ja... nie mam aktu urodzenia.

Jego uśmiech blednie.

Bianca, Curtis i Jack siedzą w biurze – o ile Laura dobrze rozumie, jest



to narada sztabu kryzysowego. Curtis i Jack patrzą na Laurę, Laura patrzy na Biancę, która czyta listę dokumentów wymaganych w celu otrzymania paszportu.

– Świadectwo chrztu?

– Już powiedziała, że nie ma – mówi Jack, coraz bardziej zirytowany.

– Szkolne papiery.

– Uczyłam się w domu.

– Tak, ale muszą być dane z egzaminów państwowych.

– Nie zdawałam egzaminów państwowych.

– Okej, dobra – odzywa się Bianca, patrząc na swój wydruk z biura paszportowego. – List od kogoś, kto cię zna od wielu lat, potwierdzający, że według jego wiedzy urodziłaś się w Irlandii. – Podnosi wzrok na Laurę. Wszyscy podnoszą.

Jack parska śmiechem.

– No, to powinno być łatwe. Znasz kogoś, kto wie, że się urodziłaś?

Curt chichocze cicho do Jacka.

– Nie. – Oczy Laury wypełniają się łzami. – Przepraszam.

– Dobra, moment. Coś tu nie gra. Musisz nam powiedzieć, o co chodzi – mówi Jack łagodnie, a Curtis prostuje się w krześle, zamieniając się w słuch.

## Część 2

*Lirogon to samotnicze stworzenie, dzika natura. Nie może i nie chce egzystować w obszarach zamieszkałych. Choć lirogony to ptaki płochliwe i niegroźne, wiele zostało schwytanych żywcem i przebadanych przez doświadczonych przyrodników. Wynik jest taki, że lirogon jest w niewoli nieszczęśliwy i szybko pada*

*Ambrose Pratt, Wspaniałość lirogona  
(The Lore of the Lyrebird)*

Kiedy Laura opowiedziała swoją historię Curtisowi i Jackowi, StarrGaze Entertainment wkręciło ją do najpopularniejszej audycji radiowej Irlandii na szczegółowy wywiad ujawniający nieznane dotąd szczegóły dziesięciu lat jej samotnego życia w chatce na ziemi Toolinów, a także na dyskusję na temat niemożności uzyskania przez nią paszportu. Następnie przeprowadzono radiową debatę o tym, jak Laura lub ktokolwiek w podobnej niezwyklej sytuacji może otrzymać paszport. Słuchacze i urzędnicy dzwonili, by przekazać rady i opowiedzieć własne historie. Biuro lokalnego posła obiecało pomoc.

Po wykańczającym dniu, całkowicie wyczerpana tym dzieleniem się sobą z obcymi, którzy grzebią w jej duszy, Laura wraca do mieszkania. Z zamkniętymi oczami opiera się o drzwi, a jej migrena osiąga niespotykane dotąd rozmiary.

– Kurwa, wypaplałaś naszą historię całemu krajowi!

Laura otwiera oczy.

Stoi przed nią Bo z rękami na biodrach. Laura nie widziała jej jeszcze tak wściekłej.

– To problem? – Laura patrzy nerwowo na Solomona, który wyszedł z ich pokoju zobaczyć, co się dzieje.

To wkurza Bo jeszcze bardziej, właśnie to, że Laura nieustannie zwraca się do Solomona po wsparcie. Używa go jako wykrętu. Biedna mała dziewczynka z gór, która nie potrafi sama podejmować decyzji, a okazało się, że jest znacznie sprytniejsza, niż można się było spodziewać.

– Pewnie, że problem – warczy Bo. – Powiedziałaś mi, że idziesz do radia rozmawiać o paszporcie. A nie, żeby wszystko wygadać.

Laura patrzy na nią zaskoczona.

– Kręcisz dokument ze mną, zapomniałaś? Masz opowiadać swoją historię mnie, a zamiast tego planujesz sobie podróżę na drugi koniec świata

i wszystko zdradzasz brukowcom. O tak, o tym też słyszałam.

Laura nerwowo przełyka ślinę. Wydaje dźwięk.

– Nie, Lauro, nie zaczynaj z tym znowu, poważnie. Czasami mi się wydaje, że zaczynasz się wydurniać, by unikać tematu. Jesteśmy dorośli. Zachowuj się jak dorosły człowiek.

– Bo – wtrąca się Solomon. – Przestań.

Bo ignoruje go i ciągnie dalej:

– Ja cię znalazłam, ja cię tu przywiozłam, ja ci załatwiłam miejsce w *StarrQuest*, u mnie mieszkasz, ja cię karmię, śpisz tutaj...

– Bo, przestań...

– Nie, nie przerywaj mi. – Podnosi głos. – Umowa była, że swoją historię opowiadasz nam, a nie korzystasz z niej, żeby dostać lepsze i większe rzeczy. – Mierzy Laurę wzrokiem, jej ubranie i plik czasopism w jej rękach. – Całymi dniami je czytasz, sama widziałam, widzę, że masz nowe ciuchy, designerskie okulary słoneczne. Chcesz być sławna, Lauro, o to tu chodzi?

– Bo! Zamknij się! – wrzeszczy Solomon na cały głos, co przeraża Laurę, ale Bo nawet nie mruga.

– Ty się nie wtrącaj, Sol, to w ogóle nie powinna być twoja sprawa – syczy. Brzmi to wieloznacznie.

– A co, czyżby była dzieckiem twoim i Jacka? Sądzisz, że możecie się bawić w Boga cudzym życiem? Oskarżasz ją, że chce sławy? Wy dwoje i tak jesteście najgorsi.

Podczas gdy oni krzyczą na siebie, Laura z przerażeniem przenosi wzrok z jednego na drugie. Jej oczy napełniają się łzami, unosi dłonie do uszu, razi ją ten okropny dźwięk, jad, wściekłość i nienawiść bijące od dwóch osób, które przecież mają się kochać.

– Przestańcie! – wrzeszczy.

Patrzą na nią oboje. Dygocze. Kieruje wzrok prosto na Bo.

– W programie kupili mi te ciuchy. Muszę je oddać po skończeniu. Pisma dała mi Bianca. Każde prosiło o wywiad albo sesję. Chcieli, żebym na nie spojrziała i oceniła. Odmówiłam wszystkim oprócz jednego, które mi zapłaci. Racz zauważyć, że nie mam pieniędzy. – Wyrzuca z siebie to wszystko, a w jej

głosie narasta złość. – Nie mogę płacić za jedzenie, bo nie mam pieniędzy. Nie mogę płacić za ubrania, bo nie mam pieniędzy. Nie mogę nic ci kupić ani nic ci dać w zamian za to, co dla mnie zrobiłaś, bo nie mam pieniędzy. Oprócz tego, że nie mam żadnych pieniędzy, nie mogę dostać paszportu. Nie mam aktu urodzenia. Nie mam świadectwa chrztu, papierów ze szkoły, nawet listu od kogoś, kto mógłby zaświadczyć, że urodziłam się w Irlandii. Musiałam iść do państwowego radia i opowiedzieć całą swoją historię, żeby dostać paszport. Masz pojęcie, jakie to było upokarzające? Myślisz, że ja tego chciałam? Okazuje się, że w tej umowie, którą podpisałam z twoją pomocą, jest warunek, że mam obowiązek uczestniczyć we wszystkich działaniach promocyjnych, jakie *StarrQuest* uzna za niezbędne. A to obejmuje Australię, ale nie musisz się tym martwić, bo wygląda na to, że paszportu nie dostanę, skoro nikt na świecie nie jest w stanie poświadczyć mojego urodzenia albo istnienia. Nasza umowa, Bo, była taka, że chodźcie za mną, gdy tymczasem ja usiłuję ułożyć sobie życie. A ja się na to zgodziłam, bo nie miałam wyboru. Powiedziałaś mi, że Joe już mnie w tym domku nie chce, a skoro nie miałam gdzie się podziać, mogłam tylko iść z wami. Zachęcałaś mnie do uczestnictwa w tym programie, gdyż, jak przekonywałaś, da mi to możliwości. No to próbuję dokonać wyboru, zrobić coś z sobą w jedyne sposoby, jaki znam. Nie mam pojęcia, co robię, ale zaufałam ci.

To mówi do Solomona i głos jej się łamie. Potem znowu zwraca się do Bo:

– Wyście mieli chodzić za mną, ale tak naprawdę to ja szłam za wami. Tylko wy mogliście mi pomóc i nie macie pojęcia, jak bardzo jestem wam wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Staram się jak najwięcej gotować, żeby to okazać, staram się siedzieć jak najwięcej w swoim pokoju albo na balkonie, żebyście mieli prywatność. Bo, naprawdę staram się nie wchodzić wam w drogę. Robię, co mogę.

Laura najwyraźniej podjęła jakąś decyzję, bo łzy osychają, a na jej twarzy pojawia się determinacja.

– Niestety, zamiast cokolwiek osiągnąć najwyraźniej wszystko psuję. Film zrobię, bo dotrzymuję słowa, ale wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeżeli się stąd wyprowadzę. Zostawię was w spokoju. Nie chcę więcej sprawiać wam kłopotu. – Patrzy na Solomona, znowu ze łzami w oczach. – I na pewno nie chcę stawać między wami. – Odwraca się i rusza do drzwi.

– Lauro, nie musisz się wyprowadzać – woła Solomon, czując w piersi narastający ból.

– Muszę – odpowiada cicho, zamykając za sobą drzwi pokoju.

Solomon odwraca się do Bo z marsową miną.

– No, dalej, Solomon – mówi ona, odsłaniając zęby. – Nie krępuj się, zrób mi kolejną awanturę za coś, co zrobiłam czy powiedziałam, a zacnę wrzeszczeć. Ona i tak nigdzie nie pójdzie. – Obniża głos. – Dokąd by poszła?

Solomon zastanawia się nad tym. Bo ma rację. Laura nie ma dokąd iść, co sprawia mu znaczną ulgę, a jednocześnie jest mu jej żal. Musi jednak jak najszybciej znaleźć się z dala od Bo, zanim powie albo zrobi coś, czego później będzie żałował.

– Wychodzę – oznajmia, chwytając kurtkę. – W tej chwili nie mogę na ciebie nawet patrzeć ani być z tobą w jednym mieszkaniu.

– I nawzajem.

– A z filmem kończę. Nie chcę z nim mieć nic wspólnego – dodaje ze złością, nie zastanawiając się nad tym, co mówi.

Bo milczy przez chwilę, po czym odpowiada już z mniejszą pewnością siebie:

– I dobrze.

– Zaczął się jako coś pięknego, ale zrobiłaś z niego coś obrzydliwego.

– Super, dzięki.

– Słyszysz mnie, Bo?

– Głośno i wyraźnie. Tak, Solomon, ja jestem straszna, a ty jesteś święty. Załapałam. Więc uciekaj, niech inni posprzątają ten bałagan. Potem możesz jak zwykle patrzeć na wszystkich z góry i mieć pretensje do każdego, tylko nie do siebie.

– Pieprz się – odpowiada, chwytając swoje klucze i zatrzaskuje za sobą drzwi.

Pozostawiona w ciszy Bo siada na kanapie, wciąż czuje krążącą w żyłach adrenalinę. Obgryza skórę wokół paznokci, machając nogą – udaje, że żadne z nich ją nie obchodzi. Ukłucie koło paznokcia, smak krwi – oczywiście, że ją obchodzą. Wszystko postawiła na ten film. Finanse, obietnice dla inwestorów,

swoją reputację. Swój związek. Wszystko.

Laura w swoim pokoju nawet się nie porusza, nie słysząc, żeby się pakowała. Bo wątpi, żeby się wyprowadziła. To, co powiedziała Solomonowi, jest prawdą: Laura nie ma dokąd pójść. Z czasem, w ciszy Bo się uspokaja. Może i za mocno objechała Laurę za ten program w radiu. W końcu jak ta dziewczyna mogła wytłumaczyć, że nie może dostać paszportu, bez opowiedzenia całej swojej historii. W zasadzie nie ma tu jej winy, to sytuacja wymknęła się spod kontroli. Źle to zostało rozegrane, ale kto mógł zaplanować, że tak to się rozwinie?

Rozlega się pukanie do drzwi. Bo wstaje, by otworzyć, przekonana, że to Solomon, ale gdy sięga do zasuw, przypomina sobie, że zabrał klucze.

Zatrzymuje się.

– Kto tam?

– Bianca ze *StarrQuest*. Na dole ktoś mnie wpuścił.

Bo otwiera drzwi.

– Co ty tu robisz?

– Tak, dzień dobry – odpowiada Bianca. – Przyjechałam po Lirogona. Zarezerwowałam jej pokój w hotelu.

Bo patrzy na nią z otwartymi ustami.

– Ale nie możecie jej zabrać.

Bianca marszczy brwi.

– Przecież jej nie zabieram, sama do mnie dzwoniła. Cześć – mówi, patrząc ponad ramieniem Bo.

Bo pośpiesznie zastanawia się, co robić. Powinna zadzwonić do Sola, on by to powstrzymał, ale zanim podejmuje decyzję, Laura wychodzi z Biancą, dźwigając w obu rękach wypchane torby.

Laura odwraca się do Bo.

– Jestem wam wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiliście. Dziękuję, że mogłam u was mieszkać, ale masz rację, jestem dorosła i nie trzeba się mną zajmować.

Bo stoi z otwartymi ustami i obserwuje, jak Lirogon odlatuje z jej życia.

W hotelu w centrum miasta Laura nerwowo krąży po swoim pokoju wielkości pudełka, a w jej głowie narasta panika.

Co ona narobiła, co ona narobiła? Odczęła się od ludzi, których naprawdę potrzebuje. A jednak, mimo swego przerażenia, jest pewna, że zrobiła to, co należało. Atmosfera w mieszkaniu była toksyczna. Musiała od nich odejść, a poza tym czyż Solomon nie odsuwał się powoli od niej? Na koniec zniknął i odciał się całkowicie. Może i większość dotychczasowego życia spędziła samotnie, ale zna się na ludziach.

Dzwoni telefon, Laura podskakuje z przerażenia.

– Halo?

– Tu Jane z recepcji, pani Button, pan o imieniu Solomon chciałby się z panią zobaczyć. Czy mam go wpuścić na górę?

Jej głowa pulsuje boleśnie.

– Tak, dziękuję. – Ledwo może oddychać.

Biegnie do łazienki i ochlapuje twarz wodą. Jej myśli pędzą jak szalone, gdy zastanawia się, co powiedzieć. Jak odmówić powrotu do mieszkania. A może wcale nie odmówi, może właśnie tego pragnie. Znowu ją uratuje, zabierze ją z tego hotelu, gdzie ona wcale nie chce być.

Rozlega się pukanie do drzwi.

Jeżeli mają się znaleźć w jednym pomieszczeniu, Laura nie ręczy za siebie. To, co do niego czuje, nie jest właściwe. Zakłada na drzwi łańcuch i dopiero potem je otwiera.

Pociemniałe spojrzenie Solomona wbija się w jej oczy. Z trudem przełyka ślinę. On spogląda na łańcuch, urażony.

– Rozumiem, że nie chcesz się ze mną widzieć po tym, jak się zachowaliśmy, nie mogę mieć do ciebie pretensji. Chciałem cię przeprosić. Przepraszam za to, co powiedziała dzisiaj Bo, przepraszam, że sam prosiłem cię o udział w *StarrQuest*, przepraszam, że w tym tygodniu zostawiłem cię samą, przepraszam, że zabrałem cię z twojego domu. Przepraszam za to wszystko.

Serce Laury bije mocno. Słyszając to wyznanie, ledwo może uporządkować myśli.



– Nie dziwię się, że się od nas wyprowadziłaś. Masz rację i nie zdziwi mnie także, jeżeli już nigdy nie będziesz chciała nikogo z nas widzieć. – Spuszcza wzrok. – Przyszedłem tylko powiedzieć, że mi przykro. Masz rację, lepiej ci będzie bez nas. Program się tobą zajmie. Tyle rzeczy możesz jeszcze zrobić.

Laura czuje dotyk jego dłoni na swojej, spuszcza wzrok i widzi, że sięgnął ręką przez szparę w drzwiach. Jego dotyk jest delikatny, jej ciało przechodzi lekki dreszcz. Czuje przypływ adrenaliny i słodki smutek. Czuje ból tego pożegnania. On się jej wyslizguje, ona na to patrzy, jej serce bije jak bęben na alarm. Chciała, żeby ją stąd zabrał. Chciała, żeby powiedział, iż pragną jej powrotu. A on pozwala jej odejść.

– Jeżeli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała – mówi zawstydzony – to jestem tutaj. Zawsze będę.

Zanim zdąży wypowiedzieć ostatnie słowo, jego ręka znika razem z nim, a Laura zostaje bez tchu, wpatrując się w pustą przestrzeń w drzwiach.

Ból w jej głowie wydaje się przenosić do serca, boli ją cała klatka piersiowa. Osuwa się po ścianie na podłogę, zamyka drzwi i siedzi tak do zapadnięcia ciemności. Ma poczucie, że poniosła kolejną wielką stratę w swoim życiu.

Co ona narobiła?

## 25

Laura nie miała racji. Sytuacja z jej dokumentem zmienia się ze złej na jeszcze gorszą, bo opinia publiczna staje po stronie Lirogona. Zanim Laura zdąży się zorientować, co się dzieje, otrzymuje tymczasowy paszport na podróż do Australii. Firma Mouth to Mouth w żadnym wypadku nie może jej towarzyszyć. Historią o swoim samotnym i smutnym życiu podbiła serca całego narodu. Teraz wszyscy chcą jej pomóc, w czym tylko się da.

W niedzielę wieczorem, zaopatrzona w małą nową walizeczkę, Laura wsiada do samolotu do Australii. Na miejscu będzie we wtorek o 6.25 rano. Tego samego dnia będą wywiady i sesja zdjęciowa, w środę czeka ją główny występ w telewizji, a w czwartek opuści Australię o 22.25 i wróci do Dublina

w sobotę o 23.20. Dwa dni w Australii. Wróci akurat na poniedziałkowy półfinał.

Mimo że przylatuje wcześniej rano, Laura musi o dwunastej zacząć pracę. Założenie jest takie, że wypocznie sobie w pierwszej klasie podczas dwudziestotrzygodzinnej podróży. W rzeczywistości z trudem zasnęła, tyle było do zrozumienia, do ogarnięcia. Nigdy przedtem nie była na lotnisku ani w samolocie, a kiedy już się w nim znalazła, wciąż wydawała jakieś dźwięki – ku wielkiemu niezadowoleniu stewarda, naśladowała bowiem pisk przycisku, który go wzywał. Przez pierwsze cztery razy przychodził, ale potem, kiedy naprawdę potrzebowała pomocy, bo nie potrafiła uporać się z tacą, już nie reagował.

Teraz jest w drodze do hotelu i ma oczy szeroko otwarte. Jest tyle do zobaczenia, na lotnisku powitali ją kolejni fotografowie i reporterzy, a potem została zapakowana do czarnego dżipa. Zabierają ją do Langham Hotel, do pięknego apartamentu. Na miejscu Laura bierze kąpiel i właśnie zaczyna przysypiać, kiedy nagle dzwoni Bianca z wiadomością, że przyjechał samochód, by zabrać ją na sesję zdjęciową w Dandenong Ranges.

Laura siedzi na tylnym siedzeniu, milczy, w ogóle nie rozmawia z Biancą, ale to jej nie przeszkadza. W tym nowym świecie jest tyle do wchłonięcia. Nowe tony, dźwięki, zapachy, widoki. Chociaż chciałaby się zanurzyć w tym, co wydaje się zupełnie nowym światem, nie może nie odczuwać pewnego dystansu. Jakby brakowało części jej samej, części, która została w domu. Tęskni za domem. Zdarzyło jej się to dwa razy w życiu: kiedy wyprowadziła się z rodzinnego domu do chatki Toolinów i kiedy z chatki przeniosła się do Dublina. Czuje się wyłączona, jakby była tą samą osobą, ale w złym miejscu. To bardzo nierzeczywiste uczucie, podczas gdy dookoła niej wszyscy wykonują swoje codzienne zadania.

„Zdjęcie z Lirogonem” – tylko tyle napisano w jej harmonogramie, ale po dotarciu na miejsce Laura odkrywa, że sesja zdjęciowa odbędzie się w czarującym ośrodku wyspecjalizowanym w organizacji ślubów i wesel o nazwie Lyrebird Falls, położonym w iglastych lasach Dandenong Ranges, na obrzeżach Melbourne.

Ekipa już na nią czeka. Ścisnąc dłoni i słysząc imiona – które natychmiast ulatują jej z głowy – że ledwo ma czas rozejrzeć się wokół siebie,

a już zostaje posadzona w fotelu do charakteryzacji. Wszyscy są ubrani na czarno, są przyjaźni i gadatliwi, ale ona nie może sobie poradzić z tym poczuciem dystansu, jakby była jednocześnie w środku i na zewnątrz, obserwując wszystkich z boku. Nie może się dostać do wnętrza tej chwili.

Wszyscy widzieli występ Laury w eliminacjach do *StarrQuest*. Zadają jej uprzejme pytania, gdzie się tego nauczyła, jak się tego nauczyła. Nie potrafi tego jasno wyjaśnić i po chwili wszyscy uprzejmie milkną. Bianca radzi jej, że powinna sobie przygotować kilka takich odpowiedzi, tak na przyszłość, do wywiadów. Laura rozmyśla nad tymi odpowiedziami; nigdy w życiu nie musiała tak głęboko analizować siebie i swoich działań. Dlaczego robi to, co robi, dlaczego jest taka, jaka jest? Zastanawia się, dlaczego to w ogóle ma dla innych ludzi znaczenie.

Chociaż ekipa zajmująca się makijażem i fryzurą widziała jej występ w eliminacjach, jej spontaniczne reakcje ich niepokoją. Stylistka rozpina torbę, Laura to naśladuje.

– Wszystko w porządku?

Rozkłada fantastyczny wieszak, który w magiczny sposób wyłania się z niewielkiej torby, i zaczyna wieszać na nim ubrania.

Laura naśladuje dźwięk wydawany przez lakier do włosów.

– Może wody?

– To próba?

Jednego nie wyjaśniono w żadnym artykule w prasie ani w żadnym wpisie w internecie, poświęconym Laurze Lirogonowi Button: że ten jej „dar” jest całkowicie naturalny. Nie został wymyślony, spreparowany, wyuczony na potrzeby występów. Jest w niej, jest częścią niej. Jest jej makijażem, jej funkcją, jej sposobem komunikacji, bo przecież każdy ma swój sposób. Nie mówi się o jej spontaniczności, czy też jej szczególnych cechach. Jakby w ogóle nie był dostrzegany, nie chciał być dostrzegany, jakby jedynymi darami branymi dzisiaj na poważnie były dary przychodzące w pakietach, starannie zapakowane, uważnie przedstawione światu. Ona swojego nie potrafi włączać i wyłączać niczym światła, jedynie Laura musi jakoś nad tym „darem” panować.

Solomon nigdy nie prosił, by przestała, ani nie pytał, dlaczego wydała ten

czy inny dźwięk. Ani razu. Laurze kręci się w głowie, tęskni za nim.

Wchłania nowe dźwięki, nowe brzmienia, podnoszący się ton na końcu ich zdań.

Tego wieczoru ma też występ w *Cory Cooke Show*. Najpierw Jack udzieli wywiadu na kanapie, potem Will Smith, który promuje swój nowy film, a potem wystąpi Lirogon.

– A co ja mam tam robić? – pyta Laura Biancę. – W programie mam „TBC” – wyjaśnia, odrywając wzrok od wieszaka z ubraniami. Przykłada do siebie sukienki, przeglądając się w lustrze. – Co to jest TBC?

Bianca patrzy na nią przez chwilę, jakby chciała się upewnić, że Laura się z niej nie nabija.

– „Do potwierdzenia”. Potem się dowiemy, czego od ciebie chcą.

Godzinę później fryzura i makijaż są gotowe, teraz trzeba wybrać ubrania, razem sześć strojów na sześć zdjęć, ale na wszelki wypadek lepiej mieć osiem. Ci z programu odezwali się do Bianki i ustalili, że Lirogon będzie siedzieć w studiu w pierwszym rzędzie. Jack udzieli swojego wywiadu „na kanapie”, a kamera odwróci się do niej, kiedy Jack przejdzie na temat jej i tego, jakie Laura ma znaczenie dla jego programu. Wychodzi na to, że ma szczęście, skoro wolno jej siedzieć w pierwszym rzędzie podczas *Cory Cooke Show*.

Godzinę później w świat idą jej zdjęcia na lotnisku, a w mediach społecznościowych rozchodzi się wieść, że Lirogon jest w Australii. Ludzie z telewizji dzwonią do Bianki.

Laura nie dość, że będzie siedziała w pierwszym rzędzie, to jeszcze gospodarz programu Cory Cooke zaszczyci ją dwoma pytaniami. Pytania są TBC, pozna je po spotkaniu zespołu. Do ukończenia fryzury Lirogon awansuje z siedzenia w pierwszym rzędzie do zejścia wspaniałymi schodami, którymi wolno schodzić wyłącznie celebrytom. To, jak tłumaczy jej Bianca, wielki zaszczyt. Bianca najwyraźniej widzi Laurę w nowym świetle. Co robi Lirogon po dotarciu na koniec schodów, pozostaje TBC.

Laura dostaje minutę na odetchnięcie świeżym powietrzem przed założeniem pierwszej kreacji. Nie czuła się spięta, ale las pozwala jej odprężyć się jeszcze bardziej. Prawie zapomniała o takim stanie, to niemal

hipnotyczne – spędzała swoje dni i wykonywała codzienne czynności w harmonii. Podczas pobytu w Dublinie, nawet kiedy wydawało się jej, że jest najbardziej zrelaksowana – na kanapie z kubkiem herbaty, rozmawiając z Solomonem – nie potrafiła osiągnąć tego dawnego poczucia odprężenia.

Laura zamyka oczy i oddycha głęboko, rozkoszując się świeżym powietrzem, nowymi brzmieniami i głosami ptaków. Kiedy się odwraca, widzi ekipę charakteryzatorską, dziennikarza i fotografa, którzy wpatrują się w nią, stojąc w drzwiach.

– Co takiego? – pyta skrepowana. – Zepsułam fryzurę?

Wanda, słodka makijażystka, patrzy na nią z rozbawieniem.

– Brzmiałaś zupełnie jak kukabura.

– Naprawdę?

– I trzaskacz – dodaje fryzjerka.

– Nawet nie wiem, co to jest trzaskacz – odpowiada z uśmiechem Laura. Dołączają do niej na werandzie, a Bianca nerwowo sprawdza czas. Wybrano ją do towarzyszenia Lirogonowi na tym wyjeździe, bo są sobie najbliższe wiekiem. Bianca jest rok młodsza i ten wyjazd to dla niej wielki awans, ale Laura widzi, że jej opiekunka jest nie mniej zdenerwowana niż ona sama, chociaż stara się to ukryć za chłodem i pewnością siebie.

– O, teraz – mówi Wanda – to właśnie kukabura. Jane, jaki dźwięk wydaje trzaskacz?

Słuchają w milczeniu.

– To ten – szepcze Jane. Patrzy na Laurę. – Ten.

Laura zamyka oczy i słucha. Nawet nie zauważa, kiedy sama próbuje, a wszyscy są absolutnie zachwyceni.

– Jesteś niesamowita! – wołają i wymieniają tyle innych ptaków, ile potrafią, chociaż ich znajomość ornitologii jest ograniczona. Sroki i kakadu – tylko tyle rozpoznają, ale Laura nie musi znać nazw ptaków, wystarczy jej słuchanie ich dziwnych głosów. Chociaż Bianca pokazuje, że są już spóźnione, Laura docenia, że dostała od nich tę chwilę.

– To miło. – Jane unosi twarz do nieba i zamyka oczy. – Czasami jest miło po prostu... zatrzymać się.

Pozostali kiwają głowami. Zgadza się z nią w milczeniu, wdychają świeże powietrze, rozkoszują się wolną chwilą, zanim wszystko znowu ruszy, kolejne spotkania, powrót do domu, do rodziny, albo do hotelowych pokoi, zawsze w ruchu, zawsze planując następny krok.

– Przyjechaliście w dobrym czasie – wyjaśnia Grace. – Lirogony mają okres godowy zimą, dorosłe samce zaczynają śpiewać pół godziny przed wschodem słońca i śpiewają z całych sił.

– Wiesz, co jest najdziwniejsze? – mówi Bianca. – Może ty wcale nie naśladujesz prawdziwej kukabury.

Wszyscy odwracają się do niej.

– Może naśladujesz lirogon naśladującego kukaburę.

To całkiem interesujące jak na Biancę. Sama Bianca wydaje się sobą zaskoczona.

Ubrana w sukienkę numer jeden Laura wraz z całą ekipą wychodzi na dwór na pierwszą część sesji. Czuje na sobie wszystkie te ciekawskie spojrzenia – ekipy od charakteryzacji, fotografa prasowego, fotografa z czasopisma i jego asystenta, dziennikarki Grace. Czuje się tym skrepowana.

Chociaż w czerwcu w Australii jest środek zimy, zieleń jest przepiękna, powietrze świeże i to bardzo ją cieszy. Po klimatyzowanym samolocie i pokoju hotelowym nareszcie może porządnie odetchnąć. Chciałaby iść na spacer, ale stylistka nie pozwala, bo ubrudzi pantofle. Są za duże, trzeba było wypchać noski chusteczkami. Sukienka jest za luźna i została z tyłu spięta klamerkami, przez co trudno jej się schylać. Może się odwrócić, żeby spojrzeć na lirogon, ale ostrożnie, bo aparat zarejestruje klamerki – ostrzegają.

Kiedy jeszcze poprawiają jej makijaż, a fotograf zajmuje się sprawdzaniem światła, Laura słyszy, jak Bianca mówi komuś przez telefon, że Lirogon zejdzie po schodach w *Cory Cooke Show*. Świetna wiadomość. Wszyscy uczestniczący w sesji są pod wrażeniem. Lirogon nie będzie siedzieć na kanapie ani w pierwszym rzędzie. Czy w ogóle usiądzie, jest TBC. Laura śmieje się pod nosem. Patrzą na nią jak na dziwoląga, co znowu przyprawia ją o śmiech. Dopiero teraz pomyśleli, że jest dziwna?

Fotograf rozmawia cicho z Laurą. Bierze ją na bok, robi z tego wielkie halo, jest bardzo poważny i skupiony. Jest przystojny, koszulka napina się

wokół jego bicepsów, czarne dzinsy trzymają się nisko na biodrach, odsłaniając imponujące V, a Laura zastanawia się, czy w ogóle ma na sobie bieliznę.

Dziewczyna ma wrażenie, że z nią flirtuje, chociaż on tylko omawia ujęcia. To jest w jego twarzy. W ustach, w oczach. Myśl o tym i o braku bielizny w pewnym stopniu budzą jej zainteresowanie, póki nie dociera do niej, że on tak patrzy na wszystko, całe otoczenie. Zmrużenie oczu, zaciśnięcie warg, ręka przejeżdżająca po włosach. Flirtuje ze wszystkim, co widzi. Teraz Laura czuje się zmęczona. W hotelu zjadła miskę owoców sezonowych, ale najwyraźniej to nie wystarczyło. Jest jej trochę słabo, kręci jej się w głowie. Wszyscy ci ludzie, tyle dziwnych zwyczajów, tyle do przeanalizowania i zrozumienia, by móc z nimi pracować – to wyczerpujące. Bianca musi czuć się tak samo, bo siada w milczeniu na boku, popijając wodę z butelki.

Laura rozgląda się po lesie.

– Poczekamy, aż lirogon wleci w ujęcie...?

– Lirogon przyniosą do nas – odpowiada z uśmiechem Grace.

I tak jest. Tak samo, jak przywieźli do siebie Laurę. Prawdziwy lirogon przybywa w klatce, przyniesiony przez leśnika, który stawia niezadowolonego ptaka na ziemi. Wygląda jak perliczka z długą szyją i imponującym upierzeniem. Fotograf mówi Laurze, gdzie stanąć, podeszwy butów zaklejono, żeby się nie pobrudziły, ostrzeżono ją, żeby ich nie „obtarła”, do wieczora trzeba je oddać do sklepu. Wszyscy patrzą na nią wyczekująco.

Laura nie bardzo wie, czego się po niej spodziewają. Czy myślą, że nagle zacznie z tym ptakiem rozmawiać w tajnym lirogonim języku? Przecież to ptak. W dodatku bardzo spłoszony, który został zabrany ze swojej wolności do klatki, przewieziony przez rezerwat i posadzony koło kobiety cierpiącej z powodu zmiany czasu, a Laura wie, że – mimo jej przezwiska – jest człowiekiem, człowiekiem, który nie posiada nadludzkiej mocy i nie rozmawia z opierzonymi stworzeniami ani ich nie rozumie. Prawdziwy lirogon też takich umiejętności nie posiada, oboje są zaledwie naśladowcami. Ale wszyscy obserwują, podekscytowani, poruszeni spotkaniem tych dwóch różnych istot.

Fotograf nie pozwala wypuścić lirogon z klatki, dopóki nie zmierzy natężenia światła. Lirogon jest niezadowolony. Laura naśladuje jego dźwięk. Gdy tylko otwierają klatkę, ptak natychmiast chowa się w bezpiecznym

miejscu za drzewem.

– Nie dziwię ci się – mówi Laura na głos. Idzie za nim, ignorując wołanie, że widać klamerki spinające z tyłu jej za dużą o dwa numery sukienkę. Skopuje buty z nóg, a stylistka biegnie, żeby je podnieść. Podchodzi bliżej do ptaka, staje nieruchomo i obserwuje go, dobrze mu się przyglądając.

Ptak naśladuje dźwięk migawki aparatu. Laura uśmiecha się i przykuca. Fotograf chce, żeby podeszła bliżej, ale ona wie, że ptak by uciekł, bo sama tak by zrobiła. Powinna tak zrobić.

Fotograf przykuca, zwija się przy ziemi, żeby znaleźć dobry kąt. Mówi do niej, każe jej odwrócić twarz w tę lub tamtą stronę, podbródek wyżej lub niżej. Wyprostować palce, zacisnąć palce, położyć rękę, opuścić rękę. Popatrz na lirogona. Udawaj, że patrzysz na lirogona, ale nad jego głową, w dal. Mrużysz oczy, zamknij je i otwórz, jak doliczę do trzech. Uważaj, masz palce jak parówki, bardziej eleganckie usta, zegnij kolano, przechyl podbródek, nie, nie w tę stronę, w drugą. Zbliź się do lirogona.

Jeżeli fotograf zbliży się jeszcze o krok, ona ucieknie, schowa się. Zrobi to samo co to zabawne małe stworzenie.

Pamięta, jak w domu wychodziła się pobawić, miała wrócić na obiad, ale źle obliczyła czas. Wróciła, kiedy była tam klientka, na podjeździe stał jej samochód. Dzieci kobiety bawiły się w ogrodzie, czekając na matkę. Laura nigdy nie znalazła się tak blisko innych dzieci. Czytała o nich w książkach, widziała je w telewizji, patrzyła na nie z okien samochodu, kiedy wyjeżdżały z Cork. Schowała się przed nimi w lesie, tak blisko, że czuła się jak jedna z nich, ale na tyle daleko, że o niej nie wiedziały. Bawiły się w misie-patysie w strumyku, odważyła się nawet wrzucić własny patyk, udając, że jest częścią grupy. Dzieci myślały, że patyk spadł z drzewa. Potem już planowała swoje ukryte przygody. Turyści i spacerowicze, myśliwi i wędrowcy.

Kiedy Laura podnosi wzrok, dostrzega łyzy w oczach makijażystki. Fotografowie radośnie trzaskają zdjęcie za zdjęciem. Nie jest pewna, jaki dźwięk wydała, wspominając dzieciństwo, ale od tego zrobiło im się smutno. Dopiero kiedy lirogon zaczyna imitować jej dźwięki, Laura rozumie, co właściwie zabrzmiało – on wydaje z siebie radosny dziecięcy śmiech. Patrzy na ptaka zaskoczona. On patrzy na nią.

Oboje milczą. Spogląda głęboko w jego małe oczka, zastanawiając się, czy



może istnieje między nimi jakaś więź, może wszyscy mają rację, może oni naprawdę rozumieją się nawzajem.

Fotograf robi krok bliżej i lirogon znika. Rozczarowana mężczyzna opuszcza aparat. Laura obserwuje ptaka, zadowolona, że uciekł. Ma nadzieję, że znajdzie swoją partnerkę. Ona za swoim partnerem tęskni.

Wieczorem, o 21.42, po rozmowie Cory'ego Cooke'a z Jackiem na temat jego dawnych sukcesów, eksperymentów z narkotykami, odwyku, nieudanego małżeństwa oraz niespodziewanego sukcesu *StarrQuest*, prowadzący zapowiada następnego gościa: Lirogon.

– Od czasów *Akademii policyjnej* i Michaela Winslowa, człowieka o tysiącu dźwięków, nie widzieliśmy niczego podobnego. Nasz następny gość o pseudonimie Lirogon zgłosił się na eliminacje do *StarrQuest* w Irlandii i w ciągu jednego tygodnia osiągnął dwieście milionów wyświetleń na YouTube. To coś niesamowitego.

– Teraz już dwieście dwadzieścia – wtrąca Jack, a publiczność się śmieje.

– Jeszcze lepiej. – Cory dołącza do śmiechu. – Oto ona – Lirogon!

Publiczność szaleje. Niemal tak samo jak na widok Willa Smitha.

Ma na sobie oszałamiającą czerwoną suknię, tak obcisłą, że stylistka nazwała ją bandażem. Jej wargi też są czerwone, boi się nimi poruszyć, żeby nie rozmazać szminki, a sandały z paseczków mają taki obcas, że schodząc po słynnych schodach, Laura czuje, jak trzęsą jej się kostki. Staje na szczycie, jak jej kazano, macha lekko do publiczności, do widzów przed telewizorami. Potem schodzi po stopniach zazwyczaj zarezerwowanych dla wielkich gwiazd. Zatrzymuje się w miejscu, w którym kazano jej stanąć, na kawałku taśmy oznaczającym właściwy punkt, i wita się z gospodarzem. Nie siada ani na kanapie, ani w pierwszym rzędzie. Wszystko jej potwierdzono trzydzieści minut wcześniej.

– Witaj w domu prawdziwych lirogonów, Lirogonku.

– Dziękuję. – Uśmiecha się.

– Jak podróż? – pyta Cory. – Jak rozumiem, był to twój pierwszy lot samolotem?

Laura wydaje dźwięk sygnału ogłoszenia na lotnisku, przycisku wezwania stewarda, klamry pasa bezpieczeństwa.

Publiczność się śmieje.

– O ile wiem, miałaś dzisiaj sesję zdjęciową z lirogonem. Jak wypadło spotkanie rodzinne?

Publiczność się śmieje.

Dźwięk migawki, kukabury, sroki, trzaskaczy i kakadu.

Publiczność jest zachwycona.

Laura wydaje dźwięk pociągu. Nie planowała tego, nagle jej się przypomniał.

– Zgadza się! – mówi zaskoczony Cory. – „Puffing Billy”, pociąg parowy! Rozmawialiśmy z Jackiem o niesamowitej reakcji na twój występ, co to znaczy dla niego i jego programu. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co to znaczy dla ciebie. Cieszysz się, że przysłaś do programu?

– Tak – odpowiada Laura. – Było to przytłaczające, ale wszyscy byli bardzo mili, a przyjazd tutaj – znów dźwięk klamry pasa bezpieczeństwa, przycisku przywołania i migawki – był niesamowitym doświadczeniem. Moje życie zupełnie się zmieniło.

– Co masz nadzieję zyskać? Własny program? Pracę w telewizji, na scenie? Jaką karierę może dać taka umiejętność?

Zastanawia się nad tym. Zbyt długo jak na telewizję, więc on odzywa się znowu:

– Dlaczego w ogóle tam poszłaś? Wiedziałaś o Jacku? Byłaś jego fanką?

– Nie. – Kręci głową, a publiczność się śmieje. Jack łapie się za głowę w komediowym fałszywym zakłopotaniu.

– Chciałaś zmienić swoje życie – stwierdza Cory, usiłując podsumować, z nadzieją na zręczne i szybkie zakończenie.

– Moje życie już się zmieniło – odpowiada Laura. – Mój tata umarł. Mój wujek nie chciał, żebym dalej mieszkała na ich ziemi, mama i babcia nie żyją od wielu lat. Nie miałam wyboru. Musiałam pójść za zmianą. Musiałam zacząć własne życie.

Gospodarz programu wydaje się wzruszony; rzuca jej poważniejsze spojrzenie, dowodzące, że słucha nie tylko głosów mówiących mu do słuchawki w uchu.

– Cóż, Lirogonie, w imieniu Australii życzymy ci powodzenia i mamy nadzieję, że twoje nowe życie potoczy się wspaniale.

– To było bezbłędne – oznajmia Jack, obejmując ją w kulisach. – Widzisz, jak gładko poszło? Zanim dotrzesz do studia na półfinał, będzie z ciebie profesjonalistka.

Jack, Curtis i cała ekipa idą na kolację. Jack chce, żeby Laura poznała tam jeszcze jakichś ludzi, ale ona upiera się na powrót do hotelu. Potrzebuje snu, potrzebuje odosobnienia, potrzebuje się schować. Nie wie, jak Jack może wytrzymać nieustanne bycie wśród tylu ludzi, zawsze na pełnych obrotach. Ją to wyczerpuje, rozdawanie całej tej energii. Zmiana czasu tak jej doskwiera, że ziemia wręcz kołysze się pod stopami, jakby Laura była na łódce.

Podbiega, żeby złapać windę, i z zaskoczeniem widzi w środku Biancę.

– Nie idziesz ze wszystkimi? – pyta Laura. Bianca zamyka oczy i jęczy.

– Uciekłam. Nigdy nie masz wrażenia, że jeżeli ktoś zażąda od ciebie jeszcze jednej rzeczy, zaczniesz wrzeszczeć?

Laura patrzy na nią zaskoczona. Bianca się śmieje.

– Nie miałam na myśli ciebie.

– To dobrze – odpowiada Laura z ulgą; dzisiaj pomyślała, że między nią a Biancą zaczęło się nieźle układać.

– Jestem zmęczona. I nie lubię być w tłumie. – Laura wpatruje się w nią, nie rozumiejąc.

– Ale przecież tak świetnie radzisz sobie z ludźmi.

Mimo swojej wyniosłości Bianca spędziła cały dzień na organizowaniu, pozdrawianiu, załatwianiu wszystkiego dla Laury.

– Przez jakiś czas – odpowiada. – Ale kiedy wyssą ze mnie całą energię, muszę naładować baterie.

Laura jest zaszokowana.

– Czyli nie tylko ja tak się czuję.

– O, na pewno nie. – Bianca ziewa. – Moja mama mówi, że to przez empatię. Odczuwam energię innych i to mnie męczy. Ale moim zdaniem chce

tylko być miła. – Winda zatrzymuje się i drzwi się otwierają. – Moim zdaniem to dlatego, że jestem jędzą.

Sposób, w jaki to mówi, rozśmiesza Laurę. Bianca też chichocze, wysiadając na swoim pięttrze.

– Dobranoc.

Laura siedzi nago na olbrzymim hotelowym łóżku. Ściągnęła ubrania, które kazano jej nosić w jej nowym życiu. Nowe ubrania są jak mundur, a te, które nosiła w starym życiu, nie wydają się już odpowiednie.

Sięga do torby po swój harmonogram. Wypada z niego dodatkowa strona, którą Bianca jej dała przed paroma godzinami.

### **Wywiad z Corym Cookiem.**

P1. Lirogonie, jak minęła podróż do Australii? Pierwszy raz w samolocie?

LIROGON: Dźwięki samolotu. Pas bezpieczeństwa, przycisk wzywania stewarda.

P2. Jak to było spotkać prawdziwego lirogona?

LIROGON: Kukabura, migawka, sroka, kakadu, trzaskacz.

P3. Cieszysz się, że przyszedłeś do programu?

LIROGON: Było to przytłaczające, ale wszyscy byli bardzo mili, a przyjazd tutaj to fantastyczne doświadczenie. Moje życie całkiem się zmieniło.

Gniecie papier, zde gustowana sama sobą. Jak tresowana małpa. Jack przedstawiał jej to jako oszlifowanie jej umiejętności, ale przychodzi jej do głowy tylko ostrzałka, na której Gaga ostrzyła nóż do krojenia niedzielnej pieczeni. Kiedy była mała, zawsze ją przerażały, zarówno postawa, jak i mina Gagi, gdy przesuwiała ostrzem po stalowym pręcie – zwłaszcza że wiedziała, co wszyscy o niej myślą.

Telefon przy łóżku dzwoni, a do głowy wraca intensywny ból, zaraz

za oczami. Te migreny się pogarszają. Laura ignoruje telefon, myśląc, że to StarrGaze z jakimiś kolejnymi zadaniami. Nie wie ani nie wyczuwa, że to Solomon, dla którego zaczyna się poranek, Solomon desperacko pragnący się dowiedzieć, czy wszystko u niej w porządku. Chowa się pod kołdrą i przykrywa głowę poduszką, by zagłuszyć dzwonienie. Żadnych więcej dźwięków.

Zasypia naga w łóżku, słysząc w głowie, jak Gaga ostrzy nóż, przejeżdżając ostrzem raz za razem tam i z powrotem, ze skupioną miną.

## 26

Podłoga wciąż kołysze się Laurze pod stopami. Wczoraj o tej porze była w Australii. Było to wczoraj czy przedwczoraj? Ile czasu straciła w powietrzu? Nie jest pewna. Wie, że jest poniedziałek wieczorem, półfinał. Poprzedni dzień spędzony był na próbach. Przed paroma dniami była wokół niej zima, dzisiaj jest lato. Nie pamięta. Zbiera się na burzę, fale są coraz większe. Wyciąga rękę do ściany, by się oprzeć. Ktoś ją łapie.

Gloria, choreografka ze *StarrQuest*. Rzuca jej pełne wściekłości spojrzenie.

– To dekoracja – parska.

Oczywiście. Gdyby Laura się o to oparła, wszystko by runęło. A może nie? Chyba scenografię robi się solidnie? Ściana jest wytapetowana, w kwiatki, przypomina czyjś salon – salon starszej pani. Laura nie jest pewna, co salon starszej pani ma z tym wspólnego, ale w gruncie rzeczy nie zważa na to, co się dzieje. Oczywiście wszystko to jest sztuczne; odkąd się tu znalazła, otacza ją nieprawdziwy świat. Rzekome pokoje to dopiero początek. Odsłonięte druty, fałszywe ściany, odsłonięte sufity, tylne strony, tylne wejścia, kulisy imponującego, telewizyjnego świata. Wychodziła z hoteli przez kuchnie, z restauracji przez wyjścia ewakuacyjne, częściej niż przez drzwi wejściowe wchodziła do budynków przez tylne drzwi otoczone koszami na śmieci. Prześlizguje się pomiędzy miejscami, brzegami, tyłami, by nagle znaleźć się z przodu i na środku. Oczekuje się od niej, że przedostanie się przez ciemność i wyłoni się w blasku. Znowu kołysze się pod nią podłoga, zmiana czasu nadal daje się jej we znaki. Laura zaciska powieki i bierze głęboki oddech.

– Wszystko okej? – pyta Bianca. Chociaż dostała parę dni wolnego na dojście do siebie po powrocie z Australii, postanowiła wrócić zaledwie po jednym dniu, na dzisiejsze występy. Laura bardzo docenia ten gest.

Za chwilę przyjdzie czas na jej półfinałowy występ – zostawili ją na koniec, żeby mogła odpocząć. Był to, zdaje się, pomysł Bianki. Dzięki temu mogła się położyć, gdy kręciło jej się w głowie, a umysł nie chciał się wyłączyć, wciąż odtwarzając wszystko, co się z nią działo przez ostatni tydzień. Łatwiej byłoby pozostać w ruchu. W małej telewizyjnej garderobie nie bardzo da się odpocząć. Cały budynek pulsuje nerwową energią, od uczestników po producentów. Program znajduje się pod mikroskopem, od występu Laury skupia się na nim uwaga całego świata, jest duża presja na to, żeby dostarczyć odpowiedniej rozrywki zwiększającej się publiczności.

Zdenerwowani ludzie powtarzali Laurze, żeby się nie denerwowała, spanikowani – żeby nie panikowała. Wyczerpany gospodarz programu dowodził, że nie może być zmęczona, bo on w jej wieku podróżował po całym świecie, codziennie był w innym kraju, co wieczór na nowej scenie. Laurę kusiło, by mu przypomnieć, jak to się dla niego skończyło. Alkohol, narkotyki, rozwód, zniszczenie, strach przed odwykiem, bezbarwna egzystencja, no i w końcu ten restart z reality show. Wychodzi na to, że młodzi ludzie nie cierpią z powodu jet lagu, jakby młodzi byli bardziej odporni na ból od tych, co go zadają.

Pod nogami znowu czuje kołysanie.

Oddycha powoli, robiąc wydech przez usta. Ledwo wsiadła do samolotu powrotnego, Bianca wręczyła jej „scenariusz” następnego występu w *StarrQuest*. Uznano, że skoro szczegółowo przygotowany występ w *Cory Cooke Show* okazał się takim sukcesem i tak błyskawicznie zawojował internet, uda się poprowadzić następny występ Laury w przewidywalnym kierunku, w takim, który można kontrolować.

– Będzie super. Wszyscy włączyli telewizory, żeby cię oglądać – mówi Tommy, kierownik planu, klepiąc ją po ramieniu.

Laura uśmiecha się blado, nie mogąc wykrzesać z siebie energii na nic więcej.

– Na pewno nie. Nie o to chodzi. To ta zmiana czasu...

– Bez przesady, jesteś za młoda, żeby ci to dokuczało. – Śmieje się. Laura

się zastanawia, czy wszyscy musieli opanować ten tekst, by dodawać jej siłę, czy może naprawdę w to wierzą. Słyszy chłopot wody, wiosła uderzające o burtę łodzi, po czym uświadamia sobie, że te dźwięki wydaje ona. Wspomnienie pływania łódką z mamą i Gagą. Na jeziorze Tahila, w hrabstwie Kerry, podczas jednych z nielicznych letnich wakacji, poza sezonem, żeby nikt ich nie widział. Zawsze poza sezonem. Gaga nienawidziła wody, nie umiała pływać, więc siedziała na pobliskiej skale i robiła na drutach, ale pomagała w oprawianiu i przyrządzaniu ryb.

Tommy obserwuje ją ze smutnym uśmiechem.

– Wszystko okej? – pyta Laura.

– Tak, tak. – Kręci głową. – Mój tata był rybakiem. Czasami z nim wypływałem. – Chce powiedzieć coś więcej, ale urywa. – Zresztą nie musisz tego słuchać... Na pewno inni wciąż opowiadają ci swoje historie. Przeniosłaś mnie w przeszłość, to wszystko.

Tłum klaszcze, gdy numer się kończy. Serce Laury bije mocno, w ustach ma sucho, nogi jej drżą. Potrzebuje wody. Tłum huczy, gdy rozpoczyna się przerwa na reklamę, ona ma wrażenie, jakby żebra też jej drżały. Adrenalina płynie od pięciuset osób zebranych w studiu niczym linia lśniącego niebieskiego prądu, prosto do jej serca i żołądka.

Dookoła niej ustawiają się tancerze, rozciągając nogi, podnosząc je i zakładając je za uszy. Klepią się nawzajem po plecach i po tyłkach, życząc sobie powodzenia. Choreografka Gloria ma nadzór nad wszystkim – odziana w czerń, dużo czarnej kredki wokół oczu i właściwy dla niej niezadowolony wyraz twarzy, kiedy obserwuje i osądza, kalkuluje i ocenia wszystko, co mówią i robią, nie tylko to, jak tańczą. Zauważa, że Laura jej się przypatruje, i zaczyna przekazywać ostatnie polecenia. Jej twarz jest skrzywiona, nadęta, Laura usiłuje się skupić, ale słyszy tylko dźwięk wykręcane go korkociągu, aż do wyskoczenia korka.

Gloria marszczy brwi. Laura nie jest pewna, jak to wytłumaczyć. Tommy popędza ją gestem. Żołądek Laury się zwija.

Wszyscy patrzą na nią zaskoczeni, a do niej dociera, że ten odgłos wymiotów pochodzi od niej. Jak wtedy, gdy jeszcze słabo znając las, zbierała niewłaściwe grzyby. Tommy gapi się na nią szeroko otwartymi oczami. Nie jest pewien, czy to na poważnie, ale odgłos jest tak przekonujący, że odnosi

wrażenie, jakby rzeczywiście zwymiotowała. Kiedy ostatnim razem Laura tak się denerwowała, z pomocą przyszedł jej Solomon. Przypomina sobie jego oddech muskający jej ucho, jego zapach tuż obok. Powiedział jej, że jest piękna. Jego obecność zawsze ją uspokajała, chciałyby, żeby był teraz przy niej, ale cóż, to ona odeszła od niego. To jej wina, że go tutaj nie ma.

– Dobrze się czujesz? Wody?

Tommy ma rozszerzone źrenice. Panika, strach, program, kurwa, na żywo, a gwiazda traci nad sobą panowanie.

– Wszystko porządku – mówi Laura trzęsącym się głosem.

Idzie za nim na scenę, już po kilku pierwszych krokach wybucha aplauz. Laura uśmiecha się nieśmiało na tę reakcję publiczności, od razu czuje się mniej samotna. Macha ręką i zajmuje miejsce na scenie, stając na białym znaku, z którego ma zaczynać. Kobieta w pierwszym rzędzie uśmiecha się szeroko, pokazując wszystkie zęby, i unosi kciuki w górę. Laura uśmiecha się w odpowiedzi. To tylko ludzie. Dużo ludzi. Więcej ludzi w jednym pomieszczeniu, niż spotkała przez całe swoje życie, ale to nie nimi się przejmuje, tylko sobą.

Tommy odlicza czas do powrotu na antenę. Jedna minuta. Tancerze zajmują miejsca, przybierają swoje dramatyczne pozycje wyjściowe. Serce Laury mocno bije w jej piersi, tak głośno, że jest przekonana, iż musi to słyszeć cała sala. Nagle tłum wybucha śmiechem, a do niej dociera, że wydawała dźwięk bicia serca.

Spogląda na Jacka, a on uśmiecha się szeroko. Mruga. Wydaje się wyczerpany, gdy Harriet z charakterystyki pudruje mu twarz. Wygląda tak, jak Laura się czuje.

Laura stojąca na środku ogromnej sceny, tancerze na miejscach, kamery gotowe, wyświetla się filmik z Laurą.

„Poprzedni tydzień całkiem zmienił moje życie. Przedtem żyłam w odosobnieniu w Cork, a teraz nagle wszyscy znają moje imię”. Film pokazuje ją idącą Grafton Street, a potem goniący ją tłum. Wszystko w przyspieszonym tempie, jak w starym filmie z Flipem i Flapem. Oczywiście wszystko jest zaaranżowane. Filmowali to wczoraj – a może dzisiaj rano? Potem puszczają słowa, które wypowiadała bez przekonania. Chciała ująć to inaczej i uprzejmie jej na to pozwolili, ale zrobili też jedno ujęcie



po swojemu, żeby mieć wybór. Oczywiście to właśnie tę wersję wykorzystali, każde zdanie starannie zredagowano, przy każdym kolejnym jej twarz jest w większym zbliżeniu, każde jest bardziej dramatyczne niż poprzednie dzięki perkusji podkreślającej, o co toczy się gra.

„Nie chcę wracać do tego, czym byłam”. Bum. „To moja jedyna szansa, żeby zabłysnąć”. Bum.

„Obserwuje mnie cały świat”. Bum. „Będę walczyć o moje miejsce w finale”. Bum. „Uważaj, świecie”. Bum.

„Lirogon nadchodzi”. Bum.

Laura krzywi się na dźwięk własnego głosu. Brzmi tak samo pusto, jak pusta czuła się ona, wypowiadając te słowa. Nawet tej dziewczyny nie lubi. Nie lubi dziewczyny, którą usiłują tu pokazać. Nie lubi dziewczyn takich jak ona, które siedzą w domu, myśląc o tym jednym, jedynym razie w ich życiu, kiedy będą musiały się wykazać. Nie ma czegoś takiego. Nic tak naprawdę ważnego nie zależy od jednej, jedynej chwili.

Nagle rozlega się muzyka, serce jej wali, zapalają się światła, publiczność klaszcze. Nadszedł czas.

Laura rusza przed siebie. Jest na bieżni, za nią na wielkim ekranie wyświetlany jest las. Obraz jest animowany. Przesuwa się, co sprawia wrażenie, że Laura idzie przez ten las. Jej długie blond włosy splecione są w dwa warkocze opadające na ramiona, z czerwonymi dziewczęcymi kokardami. Ma na sobie krótką sukienkę z bufiastymi rękawkami, fartuszek w biało-niebieską kratkę, w rękę trzyma słomiany koszyk. Nie jest pewna, czy przedstawia Dorotkę z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*, czy Czerwonego Kapturka. Nie była specjalnie zachwycona, gdy pokazali jej ten kostium tuż po tym, jak wysiadła z samolotu z Australii.

Ma też krótkie białe skarpetki i czerwone pantofelki na obcasach z paseczkiem. Muzyka to zremiksowana wersja dance dziecięcej melodii „Jeżeli pójdziesz dzisiaj do lasu”. Laura imituje dźwięk stukania swoich wysokich obcasów o ziemię, publiczność się śmieje. W rzeczywistości – co tłumaczyła Glorii i każdemu, kto chciał słuchać – obcasy nie stukałyby w lesie, ale wyjaśnili jej, że to przetworzona rzeczywistość. Laura znajduje w lesie domek zrobiony ze słodyczy. Trochę zjada, trochę oblizuje, wydając przy tym odpowiednie dźwięki, a ludzie się śmieją. Wydaje dźwięk pukania

do drzwi, drzwi się otwierają i wybiegają ze środka trzy seksowne świnki, gonione przez wilka. Laura zagląda do wnętrza domku, widzi przystojnego niedźwiedzia – tancerza o nagiej piersi, od pasa w dół ubranego w niedźwiedzi kostium. Poddaje próbie trzech różnych mężczyzn, póki nie znajdzie tego odpowiedniego. Porusza się na scenie, produkując odpowiednie efekty dźwiękowe, które jej narzucono, komedia slapstickowa, gwałtowne, przerysowane ruchy w stylu Flipa i Flapa, odgłosy we właściwych momentach. To wielka produkcja – pracownicy odpowiedzialni za stroje musieli wypożyczyć wszystkie dostępne kostiumy do pantomimy.

Po części tanecznej, w której Laura nieudolnie usiłuje dotrzymać kroku trzem seksownym świnkom, trzem przystojnym niedźwiedziom i innym seksownym stworzeniom leśnym, kończy z najprzystojniejszym ze wszystkich niedźwiedzi. To ten najważniejszy. Pada na nich z reflektora czerwony strumień światła w kształcie serca.

Zaproszony na półfinały jako sędzia specjalny gość *StarrQuest* – Lisa Logan, gwiazda sceny i ekranu prowadząca własne kursy aktorstwa, zrywa się na równe nogi, klaszcząc entuzjastycznie z nadzieją, że załapie się na krążący w internecie filmik i wzmocni tym samym swoją słabnącą karierę. Laura staje na znaku kciuka na środku sceny i czeka na opinię sędziów.

– Witaj, Lirogon – mówi z podnieceniem Lisa. – Obejrzałam występy wszystkich dzisiejszych uczestników, ale – podobnie jak cała reszta świata – najbardziej czekałam na to, co zaprezentujesz ty. Muszę przyznać, że mimo iż jestem świadoma twojego niewątpliwego talentu, nie byłam pewna, jak można go wykorzystać w show-biznesie. Do czego mogą posłużyć twoje dźwięki? Czy dźwięki w ogóle można sprzedać? Ale dzisiaj pokazałaś nam, że można. To właśnie ten kierunek, w którym powinnaś iść, kabaretowe numery w stylu Las Vegas. Jesteś młoda, seksowna, utalentowana. Zakończyłaś ten występ na wysokim poziomie. Uuuuu! – krzyczy, machając w powietrzu pięścią. Publiczność do niej dołącza.

Lisa Logan daje Lirogonowi złoty kciuk w górę.

Laura jest zaskoczona jej entuzjastyczną oceną. Czy naprawdę uważają, że mogłaby to wykorzystać do zrobienia kariery? Czy ona w ogóle chce zrobić karierę?

Zapada cisza, wszyscy czekają na odpowiedź Jacka.

– Lirogonko. – Niezręcznie pociera zarost, jakby nie był pewien, jak sformułować odpowiedź. – To było okropne.

Buczenie publiczności.

– Nie, naprawdę – kontynuuje mimo buczenia i syczenia widzów. – To było niestosowne. Byłaś... jeżeli mam być szczery, byłaś żenująca, było mi cię żal. Wyglądałaś bardzo niepewnie. Nie jesteś tancerką...

– Jasne, ona nie umie tańczyć – przerywa mu Lisa – ale to stanowiło element komedii. To było zabawne.

– Nie wydaje mi się, żeby śmieszność była częścią planu, co? – Oboje patrzą na Laurę. Cisza.

– Chciałam dać ludziom trochę rozrywki i mam nadzieję, że widzowie obecni tutaj i w domach dobrze się bawili – odpowiada dziewczyna z uśmiechem.

Publiczność klaszcze.

– Nie, Lirogonko. Uważam, że twoja siła tkwi w tym, co pokazałaś na przesłuchaniach. Prosty, organiczny występ. Poruszający spektakl, gdy przenosisz widzów gdzieś indziej. A to było zupełnie coś innego. To był cyrk.

Buczenie.

– Jak wiesz, tylko jeden numer może wejść do finału. Co wieczór przez cały tydzień, aż do finałowego odcinka. Czy byłaś dzisiaj dość dobra? Jeżeli przejdiesz, radzę ci nadal stawiać na szczerłość. Lirogonko, masz kłopoty. Mam nadzieję, że publiczność da ci jeszcze jedną szansę, bo boję się o twoje miejsce w finale.

## 27

Po programie Laura siedzi przed biurkiem Jacka. Przeszła do finału. Udało jej się. Ale nie czuje radości, którą powinna czuć. Jack wydaje się wyczerpany, wygląda jeszcze gorzej bez makijażu, który usuwa chusteczką nawilżającą dla niemowląt.

– Jak to się dzieje, że jeszcze mogę otworzyć oczy? – dziwi się, energicznie wycierając twarz. Rozmazuje tusz do rzęs. Laura nie ma siły

mu odpowiedzieć. – Jak się trzymasz? – pyta ją Jack. – Pewnie dużo lepiej niż ja, jesteś o dwadzieścia lat młodsza.

– Jestem wykończona – jęczy.

Musiał usłyszeć zmianę w tonie jej głosu, bo wpatruje się w nią, upuszczając chusteczkę.

– Ciężko, co?

Kiwa głową, całkowicie wyczerpana.

– Tak, wierz mi, też przez to przechodziłem. Jak ty teraz. Chyba miałem tyle co ty, kiedy mój album był na pierwszym miejscu w pięćdziesięciu krajach. Szaleństwo. – Kręci głową. – Nie dochodziło do mnie, co się dzieje. Nie wiedziałem...

Wchodzi Curtis, a Jack prostuje się w krześle. Curtis stawia przed nim na biurku kawę, po czym zajmuje swoją normalną pozycję u jego boku, niczym cień.

– Dzięki. – Jack upija łyk i przestawia się na tryb biznesowy, przemawiając do niej tak jak do wszystkich pozostałych uczestników spragnionych pokrzepienia. Przed występem i po nim zbierają się wokół Jacka przy każdej okazji, z niecierpliwością oczekując na jego komentarze. Przez ostatnie dwa dni śmiertelnie zmęczona Laura trzymała się z tyłu i ich obserwowała, odnosząc wrażenie, że zachowują się jak stado ptaków krążących wokół restauracyjnego ogródka, żywiących się okruszkami i resztkami jedzenia. Czekają w pełnej gotowości, aż Jack rzuci pod ich adresem jakiś komplement, radę, ledwo zamaskowane ostrzeżenie lub słowa krytyki. Chwytają to w locie i dziobią, dziobią, dziobią, analizując, rozpatrując ze wszystkich stron, pragnąc, by ich w pełni docenił, ale to jest nieosiągalne. Nigdy nie dostaną od mistrza wystarczająco dużo pochwał czy uwag o sobie i swoim talencie.

– Słuchaj, Lirogonko, dzisiejszym wieczorem się nie przejmuj, wszystko to część przedstawienia. Każdy ma górki i dołki. Dobrze jest umieć pokazać, że też masz trudności, jak wszyscy. Ale publiczność postanowiła cię uratować. Popatrz na biednych Rose i Tony’ego, cały ich numer był katastrofą. Padła na twarz, przebrana za hot doga. – Zaczyna się śmiać ochryplym śmiechem palacza. – Widziałaś ten ketchup...? – Milknie, ponieważ ona nie podziela jego entuzjazmu.

– Dzisiejszy występ został dla mnie napisany przez ludzi z programu, kiedy byłam w Australii – mówi Laura, nie bardzo rozumiejąc, co Jack ma na myśli.  
– Musiałam się go nauczyć podczas lotu. Miałam jeden dzień na opanowanie kroków.

Jack wzdycha.

– Było mało czasu na próby, rozumiem, ale uwierz mi, ten wyjazd do Australii to była twoja życiowa szansa. Dyskutowaliśmy o tym długo, ale uznaliśmy w końcu, że tak będzie najlepiej, a musieliśmy cię mieć w pierwszym półfinale zaraz po *Cory Cooke Show*, nim publiczność o tobie zapomni. To był twój wyjazd życia, każdy z pozostałych uczestników wolałby tam jechać zamiast mieć więcej czasu na próby.

– Pozostali nie chcą nawet na mnie patrzeć.

– Zazdroszczą ci. Lirogonko, wygrasz i wszyscy o tym wiedzą.

Szczęka jej opada.

– Jack, mówiłeś, że byłam zenująca. Mówiłeś, że to było niestosowne. Mówiłeś, że nie umiem tańczyć. Wstydziliś się za mnie... nawet się krzywiłeś...

– Bo to prawda. – Śmieje się. – To było kurewsko niestosowne. – Śmieje się przez dobrą chwilę. – Hej, daj spokój. Wyluzuj.

– Nie chciałam tego robić. Mówiłam ci, że nie umiem tańczyć. Mówiłam ci, że to nie dla mnie. Siedzieliśmy w tym pokoju, kiedy ci powtarzałam, że scenariusz mi się nie podoba. A ty kazałeś mi to zrobić.

– Lirogonko.

– Mam na imię Laura! – Wali ręką w stół.

– Nie zapominaj się, panienko – ostrzega Curtis. – Nie jesteś tak ważna, jak ci się wydaje.

– Nie ma sprawy – mówi Jack zmęczonym głosem. – To tylko program, na tym to polega. Ja byłem wrednym sędzią, który brzydko mówił o ulubienicy całego kraju. Słyszałaś, jak reagowała publiczność, jutro wszyscy będą o tym mówić i pokochają cię jeszcze bardziej. Zaufaj mi, tak to działa. Wiesz, ile głosów dostał w zeszłym tygodniu nasz zwycięzca? Sześćdziesiąt pięć tysięcy. Wiesz, ile głosów dostałaś dzisiaj ty, żebyś mogła wejść do finału?

Kręci głową i nienawidzi samej siebie za to, że w ogóle chce wiedzieć.

– Trzysta trzydzieści tysięcy.

Patrzy zaskoczona na obu mężczyzn, ale wbrew ich przypuszczeniom powód jest zupełnie inny. Owszem, jest zaszczyczona, te liczby są bardzo pochlebne, wręcz oszałamiające, ale ją zaskoczyło co innego.

– Dla was to tylko gra – mówi cichym głosem. Może ten cichy ton najmocniej na Jacka działa. Nie daje powodu, by się oburzać czy obrażać. Ona nie jest wściekła, właśnie ich przejrzała, jeszcze zanim wypowiedziała te słowa. Bańka mydlana pękła. Widział to na własne oczy. Tylko na nią patrzył, zaszokowany.

– No dobra, kończmy z tym – odzywa się Curtis, prostując się. Wcześniej opierał się o stół. – Możesz już iść – zbywa ją, odwracając się do niej plecami.

– Jeszcze jedno – mówi Laura, czując pustkę. – Chodzi o Bo. Czuje się odsunięta. Wiem, że podpisałam z wami umowę, ale z nią też byłam umówiona. Jeszcze przed programem. To ona mnie tu przyprowadziła i mam wobec niej zobowiązania. Jest mi głupio, że się z nich nie wywiązuję.

Może to tylko zmiana czasu, ale Laura jest prawie pewna, że myśli jasno. W tej chwili wszystko jest w jej życiu jakieś odchyłone od pionu, wiele rzeczy nie przystaje do siebie i to się rozszerza coraz bardziej. Wyjazd do Australii sprawił, że na wszystko patrzy inaczej, dzisiejszy występ przypomniał jej o tym, o czym usiłowała nie myśleć, ale ta rozmowa tylko utwierdziła ją w przekonaniu, że coś tu jest nie w porządku. Cokolwiek zaszło między nią a Bo i Solomonem, teraz jedynym uczciwym wyjściem – jest o tym przekonana – byłby powrót do kręcenia filmu.

– Cała ta sprawa z Mouth to Mouth to nie twój problem – oznajmia Curtis.  
– To kwestia umowy, aktualnie rozpatrywana przez naszych prawników.

– Prawników? – Laura spogląda na Jacka. – Ale przecież to można załatwić bardzo łatwo. Po prostu porozmawiajcie z Bo. – Czuje narastającą panikę. Sądziła, że zmierza ku wolności, a wylądowała na wyspie bez możliwości opuszczenia jej.

– Muszę teraz w spokoju pogadać z Jackiem. Możesz już iść – mówi Curtis, przesuając się tak, że teraz znajduje się przy biurku Jacka. Pochyla się, jakby

mówił Jackowi prosto do ucha, jakby to ucho należało do niego.

Laura obserwuje go, zdumiona, jej serce wali jak szalone, chce mu przerwać, spróbować jeszcze raz dogadać się z Jackiem.

Przemawia, jakby jej tam w ogóle nie było.

– Alan Murphy chce z tobą porozmawiać o zakazie występów, póki program jest na antenie. Jęczy, że nie może zarabiać. To jest w umowie, podpisał ją, przypomniałem mu o tym, powiedziałem, że nie może zjeść ciastka i mieć ciastka, ale lepiej, żebyś wiedział, o co chodzi, na wypadek gdyby chciał z tobą o tym porozmawiać.

– Jezu, to jest w tej chwili największa platforma mediowa na świecie, a on się jeszcze skarży? – pyta Jack zirytowany, rzucając na biurko zgniecioną chusteczkę.

Laura wstaje powoli i idzie w stronę drzwi, ale zanim przekroczy próg, kieruje do Jacka swoje ostatnie słowa:

– To jest pierwsza komunia bratanicy Alana. Brat prosił go o występ, a program mu na to nie pozwala. Nie chodzi tu o żadne pieniądze.

Jack spogląda na Curtisa.

– To prawda?

– No, konkretów nie znam. Występ to występ.

Jack patrzy na Laurę, zastanawia się.

– Dowiedz się, o co konkretnie chodzi. Jeżeli to impreza na komunii bratanicy, to mu na to, kurwa, pozwól, Curtis.

Laura kiwnięciem głowy okazuje uznanie dla jego ludzkiego podejścia, po czym otwiera drzwi, czując spojrzenie Curtisa wwiercające się w jej plecy.

Jack też ma coś do dodania.

– Nie martw się, Lirogonko, pogadam z Bo. Jakoś to rozplączemy. Za długo się to ciągnie, ale masz rację: jeżeli wezmą się za to prawnicy, nigdy się nie skończy.

Przyptyw ulgi niemal odrywa ją od ziemi i niesie korytarzem, z dala od zachłannych spojrzeń, uniesionych telefonów, potem z dala od potężnych fleszy, które odważają się wtargnąć do zaciemnionych okien SUV-a i próbują

przedostać się do jej duszy.

Wstrząsają nią dreszcze. Ma nadzieję, że uda im się uchwycić tylko ich własne odbicia.

## 28

Chociaż Laura przez cały dzień z trudem utrzymywała otwarte oczy, teraz nie może zasnąć. Michael wiezie ją do hotelu, a ona boi się kolejnej nocy w pokoju hotelowym, gdy nie może spać, wciąż cierpiąc z powodu zmiany czasu, boleśnie odczuwając samotność. Kiedy Solomon ją tu odwiedził, wtedy gdy widzieli się ostatni raz, trzymał ją za rękę i powiedział, żeby się do niego odezwała, jeżeli będzie go potrzebować. Potrzebuje go teraz, zawsze go potrzebowała, ale nie może się zmusić, żeby wziąć do ręki słuchawkę i znowu zburzyć jego spokój. Nie może zaprzeczyć, że próbując naprawić sytuację między nią a Bo, świadomie podjęła działania prowadzące do ponownego spotkania z nim. Rozstała się z nimi, obiecując, że nie będzie między nimi stawać, skoro tak wyraźnie niszczyła ich związek. Trudno jej zaprzeczyć, że z egoistycznych pobudek pragnie go znowu zobaczyć, a ulegając własnej słabości, wysłała Jacka, by odwalił za nią brudną robotę. Im więcej czasu spędza wśród ludzi, tym mocniej dostrzega własne wady. W chatce była hojna, miła, pozytywna. W tym świecie ujawniają się nieznane jej cechy i Laurze to się nie podoba. Myślała, że jest lepszym człowiekiem.

Przeciska się obok fotografów, którzy robią zdjęcia, jak wraca do hotelu, zatrzymuje się, by pokazać swoje zdjęcia fanom, którzy tkwią tu dzień i noc, wychwalając jej beznadziejny występ. Bierze klucz z recepcji.

– Ktoś czeka na panią w barze – informuje ją recepcjonistka. – Pan Fallon. Kamień z serca. Solomon. Laura się uśmiecha.

– Dziękuję.

Niemal przebiega przez lobby do baru, który powoli okrąża, szukając czarnowłosego Solomona, znajomego węzła wysoko na głowie, górującego nad pozostałymi. Ale nigdzie go nie ma. Zdezorientowana rusza z powrotem ku wyjściu.

Nagle czyjaś ręka obejmuje ją w talii.



– Hej! – Słyszysz męski głos. – Pamiętasz mnie?

Rory.

Laura wydaje dźwięk strzału. Postrzelony zając. Piszczące, umierające zwierzę.

– Tak. – Rory spuszcza wzrok i z zakłopotaniem drapie się po głowie. – Chciałem z tobą o tym porozmawiać. Przyjechałem cię przeprosić. – Wygląda, jakby rzeczywiście mu było przykro, wręcz się wstydził. – Czy możemy pogadać? Znam dobre miejsce.

Rory i Laura siedzą naprzeciw siebie w Mulligans, mrocznym pubie, możliwie najdalej od pozostałych gości. Zajęli miejsca w najcichszym kącie, jaki udało im się znaleźć, bo gdy tylko Laura weszła, każdy wlepił w nią spojrzenie. Wszyscy wiedzieli, kim jest, i młodzi, i starzy, a nawet jeśli jej nie poznawali, to z pewnością znali jej imię i umiejętności. Pierwszy drink na koszt firmy, by powitać Lirogona. Rory zamawia guinnessa, a Laura wodę. Nie komentuje jej wyboru, dość już narozrabiał i nie chce popełniać kolejnych błędów. Zadzwoił do Solomona, by przeprosić za to, co stało się na strzelnicy, a nie przyszło mu to łatwo, zwłaszcza że to był Solomon. Chciał mówić z Laurą, ale tamten stanowczo oznajmił, że nie może, chciał ją zatrzymać tylko dla siebie, co wkurzyło Rory'ego jeszcze bardziej. Jego brat już miał dziewczynę, a chronił tę kobietę, jakby do niego należała. Zawsze taki był. Nie zwierzał się, wszystko trzymał w sobie, nigdy nie dopuszczał Rory'ego do siebie. Ich zachowanie wobec siebie zawsze cechowało skrępowanie i pewna sztywność, Rory'emu daleko było do beztróskich przekomarzanek z Solomonem, takich, jak z innymi. Między Rorem a jego znajomymi istniała nić porozumienia, śmiali się z jego dowcipów, a nawet jeśli się nie śmiali, to przynajmniej potrafili go zrozumieć. Solomon nie. Łatwo się obrażał i zawsze go osądzał.

Rory wstydził się afery na strzelnicy. Kiedy potem to przemyślał, stwierdził, że zachował się jak ostatni kretyn, ale wtedy nie mógł powstrzymać ogarniającego go pragnienia przyciągnięcia uwagi Laury i nie przemyślał konsekwencji – ani niebezpieczeństwa, na jakie ją naraził, ani tego, że wyjdzie na nieprzewidywalnego wariata. Ale spieprzyć coś bez świadków to jedno, a zrobić to na oczach swoich braci i ojca, nie wspominając już o Laurze,

to drugie.

Solomon oczywiście nie chciał przyjąć jego przeprosin, w dodatku jeszcze skopał leżącego, toteż Rory był przekonany, że nie przekaze dziewczynie żadnych wiadomości. Kiedy zobaczył jej występ w telewizji i cały świat zaczął o niej mówić, po prostu musiał przyjechać i spotkać się z nią osobiście, bez Solomona. Nie było trudno ją znaleźć, w każdej gazecie pisali, gdzie się zatrzymała.

Teraz przygląda się Laurze. Jest niezwykła, cudowna. Egzotyczna jak góry Cork. Zastanawia się, co między nimi zaszło, dlaczego wyprowadziła się od Solomona i Bo. Ale strata brata to jego zysk, zawsze tak było.

Przede wszystkim przeprosiny – oczywiście szczere, ma zamiar dowieść tej szczerości jak najdobitniej. Wielkie oczy, zna tę sztuczkę. Dziewczyny to uwielbiają.

Laurze kręci się w głowie, gdy tak siedzi w pubie z Rorym. Wypiła dwa kieliszki białego wina, a nie jest do tego przyzwyczajona. Podoba jej się, mogłaby wypić więcej. Nie czuje się już taka zdezorientowana, pulsujący ból głowy, który pojawił się w Galway po strzale Rory'ego i utkwiał tuż przy skroniach, zniknął. Nie pamięta, by kiedykolwiek wcześniej pozbyła się go ostatecznie, raczej zawsze się wzmagał w stresujących chwilach. Właściwie to słuszne, że ból głowy zniknął teraz, skoro to Rory był jego pierwszą przyczyną, a więc i on spowodował jego zniknięcie. Albo spowodowało to wino, ale tak czy siak Rory się do tego przyczynił. Jest zabawny, nie przestaje się śmiać, odkąd po raz pierwszy otworzył usta. Laura wierzy bez zastrzeżeń w szczerość jego przeprosin, chociaż Rory wyraża je w zbyt przesadny sposób, co jednak budzi jej podejrzenia. Robi zalotne miny jak tamten fotograf i patrzy jej słodko w oczy. To zabawne, ale faceci chyba wierzą, że to działa. W zasadzie Rory mógłby wcale jej nie przeproszać. Ostatecznie ona nie jest od osądzania go, to był wypadek, który bardzo nią wstrząsnął, ale to wcale nie oznacza, że powinna mieć większe względy niż inni, co też stara się mu wyjaśnić.

Jest taki sam jak ojciec. Snuje długie opowieści o zabawnych wieczornych wyjściach, o przygodach swoich i braci jako nastolatków. Zdaje się, że najwięcej czasu zabierało mu wrabianie braci w różne kłopoty, ale nie żałuje tego. Podobają jej się te historyjki, zwłaszcza o Solomonie i o tym, jaki był

jako dziecko. Stara się ograniczyć liczbę swoich pytań, bo wyczuwa, że on sztywnieje, jeżeli pada ich za dużo, słucha więc, czekając z nadzieją na kolejną wzmiankę. Kiedy Rory wspomina coś o byłych dziewczynach Solomona, Laura próbuje ukryć ciekawość, udając roztargnienie. Dowiaduje się, że zawsze się wiązał z nietypowymi, dziwnymi dziewczynami. Jedną, z którą był kilka lat, poszła na Akademię Sztuk Pięknych i cała rodzina była na jej wystawie stóp. Owłosionych stóp z żółtymi paznokciami. Potem Rory wybucha śmiechem i Laura już nie jest pewna, czy to jest prawda, czy nie.

– Jak myślisz, dlaczego chodził z tymi dziewczynami? – pyta Laura, siłąc się na obojętność.

– Bo sam Solomon w ogóle nie jest interesujący – odpowiada Rory, a w jego głosie pobrzmiwa twardy ton.

O dziwo, będąc z Rorem, Laura czuje bliższą więź z Solomonem. Przede wszystkim są do siebie podobni. Rory ma krótko ścięte włosy i jest niższy, ma też łagodniejsze rysy, ale poza tym mógłby uchodzić za mniejszą wersję Solomona. Jest mniej wyrazisty, twarz ma bardziej dziecinną, podczas gdy Solomon jest silniejszy, twardszy, bardziej kanciasty, bardziej władczy – takie są jego ruchy, jego postawa, a zwłaszcza jego oczy. Postawa Rory’ego jest niedbała, rzadko patrzy jej w oczy, wciąż się rozgląda. Ma błysk w oczach, iskrę ujawniającą wewnętrzny ogień i szelmowską naturę, ale jego wzrok na niczym nie skupia się zbyt długo, tak jak jego uwaga. Przez to jest interesującym towarzyszem. Opowiada, koncentrując spojrzenie przeważnie na tym, o czym mówi, bo większość jego gadania dotyczy ludzi wokół. Zabawnie naśladuje ich sposób mówienia, udając, że chodzi o kogoś siedzącego nieopodal. Wymyśla, o czym ludzie mogą rozmawiać, aż Laurę zaczyna boleć brzuch ze śmiechu i każe mu przestać.

Jest stolarzem, a gdy ona wyobraża go sobie w romantycznym otoczeniu rzeźbiącego ręcznie meble, wzorem jego ojca, on studzi jej zapał.

– Przeważnie łączę po budowach albo firmach i robię dokładnie to, co mi każą – mówi znudzony. – Jeśli mam być szczery – patrzy na nią wielkimi oczami i pochyla się, jakby zdradzał wielką tajemnicę – to nienawidzę mojej pracy. Nikt o tym nie wie. Tacie nie mogę powiedzieć, bo pękłoby mu serce, ja jeden poszedłem w jego ślady. Cała reszta wyleciała z gniazda. Mnie zostawili – przyznaje z uśmiechem.

Laura czuje, że jest szczerzy, być może pierwszy raz, odkąd usiedli. Wydaje jej się, że w jakiś sposób potrafi się z nim utożsamić. Mimo pewności siebie i bujnej osobowości jest zagubiony.

Rory kończy swoją czwartą butelkę piwa, dziewczyna widzi, że on nie może usiedzieć w miejscu. Jej jest bardzo wygodnie, zwłaszcza po dwóch kieliszkach wina, i chętnie by tu została, ale on wierci się na krześle, co nie pozwala jej się odprężyć.

– Rory, przykro mi, że nie mogę ci postawić drinka, ale nie mam ani centa.

Wygląda na zaskoczonego.

– Nie mogę nawet wsiąść do autobusu, nawet gdybym miała dokąd jechać. Nie mam nic – mówi i dociera do niej, jak bardzo ją to przeraża. – W domku przynajmniej ziemia mogła mnie wyżywić, mogłam coś uzbierać w lesie, miałam własne owoce i warzywa, miałam szafkę pełną przetworów, suszonych owoców, żeby starczyło na zimę, kiedy niewiele można znaleźć. Gdybym musiała, mogłabym przeżyć bez pomocy Toma, ale tutaj, w mieście, niczego sama nie mogę zrobić. – Co za ironia, tu otacza ją wszystko, o czym tylko mogłaby zamarzyć, a nic nie jest dla niej dostępne.

Oczy Rory’ego rozbłyskują nagle.

– I tu się mylisz, moja kochana Lirogonko. Jesteś w tej chwili najślawniejszą osobą na świecie. – A chociaż ona usiłuje zbyć to śmiechem jako kompletny idiotyzm, on nie ustępuje. – Teraz ci pokażę, jak przeżyć w mieście.

Żeby przeżyć w mieście, trzeba się dostać do ekskluzywnego klubu, gdzie wstęp kosztuje dwadzieścia euro, bez konieczności płacenia za cokolwiek, bo Rory przedstawił Lirogona bramkarzom, traktując ją jak bilet. W klubie wystarczyło znaleźć właściwe osoby, które stawiały im drinki i pozwalały usiąść przy swoim stole.

O północy, kiedy Laura czuje, że traci równowagę, rozmawiając z jakimś mężczyzną, a ten wyciąga rękę, chwyta jej ramię i dalej mówi jak gdyby nigdy nic, nie cofając ręki, bańka zadowolenia wokół niej pęka. Przeprasza i uwalnia się z jego uścisku, podłoga kołysze się pod nią, gdy Laura idzie do toalety. Kiedy tak idzie, hałas wydaje się coraz głośniejszy, muzyka pulsuje w jej głowie, w jej piersi, ludzie na nią wpadają, wydają się być bliżej siebie niż przedtem. Laura ma świadomość braku przestrzeni, chociaż wcześniej jej

to nie przeszkadzało. Kiedy wreszcie dociera do toalety, muzyka cichnie i zmienia się w zwykłe pulsowanie w jej klatce piersiowej. Uszy ma zablokowane, jak wtedy w samolocie, muszą się odetkać. Przed nią długa kolejka. Wszystko wydaje się być tak daleko, a jednak jest tutaj. Ma wrażenie, jakby stała za sobą. Wszystko wiruje, jej spojrzenie rejestruje gorączkowo każdy szczegół. Dziewczęcy but, zadrapana kostka, rozmazana opalenizna, mokra podłoga, umywalka, nasiąknięte wodą papierowe chusteczki. Obok niej uruchamia się suszarka do rąk, więc Laura podskakuje zaskoczona, unosi dłonie do uszu i spuszcza wzrok. Na własne buty. Plamy od drinków na jej butach, krople piwa, wina i Bóg wie czego jeszcze. Zamyka oczy. Suszarka wyłącza się, więc Laura opuszcza ręce i podnosi wzrok. Dziewczyna przed nią przygląda się jej, rozpoznaje ją. Laura zastanawia się, czy powinna coś powiedzieć. Dziewczyna mówi coś, ale znowu uruchamia się suszarka i Laura znowu zasłania uszy.

– Wredna, głupia cipa – czyta z warg dziewczyny.

Nieustanny hałas otwierających się i zamykających kabin, stukanie wysokich obcasów na kafelkach, trzaskające drzwi. Teraz wszyscy na nią patrzą. Naokoło same oczy, szeroko otwarte oczy. Podłoga wiruje, Laura musi się czegoś chwycić, bo upadnie. Postanawia nie opierać się o dziewczynę stojącą przed nią, z mahoniową skórą i wielkimi piersiami w topie odsłaniającym brzuch. Turkusowy kolczyk w pępku. Konturówka na wargach, ale żadnej szminki. Szuka czegoś, żeby się oprzeć, umywalki, ale tam dziewczyny poprawiają makijaż, telefony trzymane w dłoniach, skierowane na nią. Błyski ją oślepiają. Nikt jej nie pomoże, nie jest pewna, czy woła o pomoc. Może powinna. Oglądają ją na ekranach, jakby nie była prawdziwa, jakby nie była z krwi i kości, tu, teraz, przed nimi. Patrzą na nią, jakby była w telewizji.

W chatce, w domu z mamą i Gagą, Laura oglądała ludzi w telewizji albo w książkach, w gazetach i czasopismach. Czasami chciała mieć do czynienia z prawdziwymi osobami, chciała ich dotykać. W tym świecie ludzie mogą sobie pozwolić na taki luksus, a jedyne, czego pragną, to oglądać siebie na ekranie.

Słyszy stuknięcia zamykających się drzwi, trzaśnięcia, spuszczenie wody, stukot wysokich obcasów. Dziewczyny wokół niej zaczynają się śmiać, odrzucają głowy do tyłu, głośne, nieprzyjemne śmiechy. Może te dźwięki

wyszły z ust Laury. Nie jest pewna, tak jej się kręci w głowie. Jest tutaj, ale nie czuje tego. Unosi rękę do zamroczonej głowy. Potrzebuje pomocy, wyciąga dłoń do mahoniowej dziewczyny, widzi węża wytatuowanego na jej nadgarstku, czarnego, wijącego się w spiralach w górę przedramienia. Laura syczy na jego widok, pada na nią, ale ta ją odpycha. Jakieś dziewczyny podskakują i krzyczą: „Walka!”.

Laura nic nie rozumie, nie chce się z nikim bić, po prostu nie chce upaść.

Potem zupełnie nagle ląduje w czyichś ramionach, ta osoba odpycha ją szorstko. Nie chce się bić, wszystkie dziewczyny się śmieją, telefony uniesione w górę, robią zdjęcia czy filmują. Zostaje wyprowadzona z toalety na korytarz, dociera do niej, że ciągnie ją jakiś nieznany mężczyzna, i wpada w panikę. Zaczyna z nim walczyć. Dlaczego dziewczyny się z tego śmiały, dlaczego nie próbowały jej chronić? Bronić?

Przed jej twarzą pojawia się szklanka, mężczyzny nie rozpoznaje. On chce ją zmusić do wypicia. Ona nie chce. Wokół nie ma nikogo innego, muzyka jest tak głośna, ledwo słyszy, co on mówi. Słyszała o narkotykach w drinkach. On przysuwa szklankę do jej twarzy, obejmuje ją mocno ramionami. Ona nie chce. Wytrąca mu szklankę z ręki, ta rozbija się o podłogę. Wściekłość na jego twarzy. Laura nic nie rozumie. Mężczyzna prowadzi ją wzdłuż korytarza, dziewczyna rozgląda się wokół siebie, ale wszystko się rozmazuje, ledwo się może na cokolwiek skupić. Nie widzi, nie słyszy, nie może myśleć. Chce Solomona, potrzebuje go, nikt inny nie przychodzi jej do głowy.

Nagle znajduje się na zewnątrz klubu, a wściekły mężczyzna zostawia ją samą. Wraca i podaje jej płaszcz, a do niej dociera, że nie próbował jej porwać ani dać jej narkotyków. To bramkarz. Jest jej bardzo zimno, więc wkłada płaszcz.

– Przepraszam – mówi cicho, ale jego to nie obchodzi. Jego garnitur jest mokry, znika na chwilę w środku, każąc jej tu czekać.

Wraca z Rorym, który nakłada marynarkę; początkowo nic nie rozumie, ale potem uśmiecha się na jej widok.

– A gdzie ty się podziałaś? Strasznie szybko mnie stamtąd wyciągnęli.

Laurze kręci się w głowie, musi się stąd wydostać. Odwraca się, żeby odejść, i widzi tłum ludzi usiłujących dostać się do klubu. Próbuje przesunąć się na bok, żeby ich przepuścić, ale oni nie przechodzą, ustawiają się przed

nią, tworząc mur. Dociera do niej, że mają aparaty, robią jej zdjęcia. Nie widzi nawet chodnika przed sobą, przez flesze w ogóle niczego nie widzi. Potyka się i upada na ziemię. Nie czuje żadnego bólu, ale chwilę trwa, zanim udaje jej się pozbierać. Rory tu jest, chwytą ją pod ramiona. Laura słyszy jego śmiech, on podciąga ją do góry.

Jej nie wydaje się to zabawne. On nie przestaje się śmiać. Laura próbuje iść prosto, ale czuje, że idzie zupełnie w drugą stronę. Rory chichocze i chwytą ją mocno. Niedobrze jej. Wszystko jest źle. Są w alejce, nie widzi drugiego końca, to klaustrofobiczne uczucie. W tym mieście nie ma miejsca. Za dużo ludzi. Chce jej się wymiotować.

– Nie, nie tutaj – mówi Rory; już się nie śmieje. Jego ton jest poważniejszy, ostrzegawczy, są otoczeni przez paparazzich. Laura wyslizguje się z jego uścisku, jej ciało i nogi są jak z galarety. Jest wyższa od niego, więc nie jest mu łatwo utrzymać ją na nogach.

– Odsuńcie się! – krzyczy Rory do fotografów.

Docierają do głównej ulicy. Stoi tam tłum ludzi zastanawiających się, co to za zamieszanie, chcących zobaczyć, jaki to celebryta wychodzi z klubu.

– Lirogon, Lirogon – słyszy z ich ust, ten szept dookoła niej jest jak wiatr wiejący wśród liści na jej górze. Ale nie jest na górze, jest tutaj, smartfony celują w jej twarz. Pojawiają się notesy do autografów i długopisy.

Grupka chłopców zaczyna naśladować kukanie kukułki. Dźwięki biegną za nią ulicą. Rory dociąga ją do pierwszej taksówki, jaką widzi na pobliskim postoju. Laura wpada do środka i odchyła głowę, zamyka oczy. Aparaty stukają o szyby samochodu, dalej robią jej zdjęcia. Zamyka oczy i oddycha głęboko; usiłuje nie wymiotować, chociaż w głowie jej się kręci.

– Dokąd? – pyta taksówkarz zdezorientowany, gdy tymczasem fotoreporterzy otaczają jego samochód.

– Solomon – mówi Laura z zamkniętymi oczami, z głową na zagłówek.

Aparaty stukają w szyby.

– Hej, dokąd? – pyta zdenerwowany taksówkarz. – Uwaga na zderzak! – wrzeszczy do fotografów, otwierając okno. Dalej wałą o bok samochodu, mężczyzna wysiada i zaczyna się z nimi kłócić. Flesze wciąż migają.

– Kurwa – mówi Rory, kiedy tak siedzą na tylnym siedzeniu bez kierowcy,

kompletnie otoczeni. – Kurwa.

– Solomon – powtarza Laura sennie.

– No nie, nie Solomon. Okej, Lauro, nowy plan. – Potrząsa nią, usiłując ją obudzić. Otwiera drzwi po swojej stronie, wysiada i otwiera drzwi po stronie dziewczyny. Wyciąga ją, usiłuje postawić ją prosto, ale teraz nie dość, że pijana, to jeszcze jest wyczerpana. Fotoreporterzy ignorują taksówkarza i ruszają za nimi.

– Hej! Gdzie wy idziecie?! – wrzeszczy kierowca.

– Mamy tu czekać, aż skończycie się kłócić? – odwrzaskuje mu Rory, na wpół niosąc, na wpół ciągnąc Laurę.

– To przez was! Za kogo wy się uważacie? – Taksówkarz obrzuca go wyzwiskami. Wszystkie taksówki odjechały z postoju. – Wiecie, ile kursów przez was straciłem?!

Inna taksówka zatrzymuje się przed nimi na środku ulicy. Wewnątrz jest ciemno. Są tam jacyś ludzie. Drzwi się otwierają.

– Wsiadajcie.

Rory zagląda do środka i rozpoznaje dwóch facetów z klubu. Sadza Laurę na przednim siedzeniu, usiłując obciągnąć jej sukienkę odsłaniającą długie, smukłe nogi – jest to koszula w szkocką kratę, na nogach ma czarne martensy i skarpety turystyczne. Sam siada z tyłu, wciskając się obok dwóch mężczyzn.

– Dokąd jedziecie? – pyta jeden z nich. Rory’emu wydaje się, że nazywa się Niall, coś z nieruchomościami, a może to był ktoś inny? Gdy tak na niego patrzy, zastanawia się, czy w ogóle go spotkał w tym klubie.

– Dokądkolwiek – odpowiada, ukrywając twarz przed aparatami przyciśniętymi do szyby.

Mężczyźni wybuchają śmiechem. Taksówka rusza.

## 29

Laura budzi się w ciemności. Boli ją głowa, gardło, oczy, wszystko. Słychać brzęczenie, znajome wibrowanie telefonu, przychodzi jej na myśl Solomon. Rozgląda się i widzi światło wydobywające się z jej buta. Telefon



wibruje w tenisówce. Brzęczy raz jeszcze, potem wydaje dźwięk świadczący o rozładowanej baterii, wreszcie pada, światło gaśnie. To jak oglądać kolejną śmierć. Tępy ból głowy, który pojawił się w Galway i pogorszył w Dublinie, ale zniknął po pierwszych dwóch kieliszkach wina, teraz wrócił i jest bardziej uporczywy niż kiedykolwiek. Uniesienie głowy boli, grawitacja zrobiła się chyba silniejsza i ciągnie ją w dół. Laura się boi, nie wie, gdzie jest, więc siada. Jest na kanapie, obok podwójnego łóżka. Widać jakąś postać na pościeli i kształt pod nią.

Czuje ohydny zapach wymiocin, dociera do niej, że pochodzi z jej włosów i ubrania, smród natychmiast sprowadza ją na ziemię, wspomnienie jej własnej głowy pochylonej nad sedesem, brudnym sedesem, na brzegu są jeszcze resztki gówna. Ktoś przytrzymuje jej włosy. Słyszcąc dużo śmiechu, dziewczyny obok niej i wokół niej. Głos przy jej uchu zapewnia ją, że wszystko będzie dobrze. Miły głos. Kobięcy głos. Przypominają jej się Rory, klub, mężczyzna, który ją zaatakował. Wyprowadzenie na zewnątrz. Flesze, taksówka, kolejna taksówka, mdłości.

Nie wie, gdzie jest. Nie pamięta, jak tu dotarła, jak się znalazła w tym pokoju ani z kim. Wpatruje się w parę tenisówek Converse z rozładowanym telefonem w środku i poznaje, że należą do Rory'ego. Czyli on musi tu gdzieś być, może to on leży na tym łóżku. Przywiózł ją tutaj. Nie może go winić za to, co się stało, może winić tylko siebie. Ma dwadzieścia sześć lat i powinna być mądrzejsza. Tak się wstydzi, że straciła panowanie nad sobą, że była tak nieodpowiedzialna, że pozwoliła, aby inni zobaczyli ją w takim stanie. Nie może się zmusić, żeby obudzić Rory'ego. Wciąż ma na nogach buty, płaszcz jej nie obchodzi, chce się tylko stąd wydostać.

Wstaje i łapie równowagę, w głowie nadal jej wiruje. Czeka chwilę, by zawroty ustały, oddycha głęboko, najciszej, jak może, żeby nikogo nie obudzić. W pokoju jest gorąco i duszno. Śmierdzi alkoholem i zgrzanymi ciałami, niedobrze jej się robi. Stawia stopy między butami i butelkami, potykając się i łapiąc ściany. Uderza w tę ścianę i słyszy, jak ktoś za nią się rusza, budząc się jakby z przerażeniem. Laura nie ogląda się, idzie dalej, wie, że musi się stąd zabrać, zanim się obudzą.

Wychodzi z sypialni i widzi przed sobą korytarz. Dostrzega drzwi wyjściowe. Mija salon połączony z kuchnią, jeszcze więcej ludzi na podłodze i na kanapach, na jednej z nich jakaś para całuje się powoli, jego ręka porusza

się pod jej topem, a ona wydaje ciche westchnienia.

Myśli o Solomonie i Bo w hotelu, kiedy się kochali. Musiała się zdradzić, bo nagle para przerywanie całowanie i patrzy w jej stronę. Z kuchni wychyla się czyjaś głowa.

– Co to był, kurwa, za dźwięk? – pyta dziewczyna.

– Ptak – mówi facet na kanapie.

– Lirogon – mówi ona, chichocząc.

– Nieważne. Cześć – odzywa się on; Laurze się wydaje, że już go gdzieś widziała. Pamięta go z klubu. Był przyjazny, stawiał jej drinki, obsztorcował kogoś za to, że niechący ją popchnął, przechodząc. Szybciej niż inni zwracał uwagę barmana. Szeptał jej do ucha. Czy pocałował ją w ucho? W szyję? To on mocno trzymał jej ramię, gdy się potknęła.

– Gary, jestem aktorem. Mieliśmy premierę wczoraj na festiwalu – mówi. Laura przypomina sobie, że zrobiło to na niej wrażenie, nigdy nie poznała żadnego aktora. W każdym razie nie zawodowego.

– Gary, ty złamasie – odzywa się dziewczyna, uderza go, zrywa się z kanapy tak szybko, że niechący dokłada mu jeszcze kolanem. Jęczy. – Powiedziałaś jej, że jesteś pieprzonym aktorem? Kim niby, Leonardem DiCaprio?

– Żartowałem, mała, wyluzuj.

– Nie mów do mnie mała. – Znowu go bije, czym budzi pozostałych, którzy jeszcze spali.

Jej głos brzmi znajomo. Laura obserwuje ją, usiłuje odgadnąć, skąd ją zna. Potem sobie przypomina: w toalecie, z głową dosłownie w sedesie, starając się ignorować zasuszone gównno, słysząc śmiech, głos tej dziewczyny, podnosi wzrok między jednym atakiem wymiotów a drugim i widzi w jej rękach smartfon.

– Przestań – mówi Laura, próbując zakryć twarz.

– Lisa, spierdalaj stąd – odzywa się inny głos.

– To idzie na Facebooka – mówi znowu, wychodząc z łazienki. – Lirogon-kiblogon. – Chichocze.

Laura musiała powiedzieć to na głos.

– Cara, dałaś na fejsa jej zdjęcia, jak rzyga? – pyta Gary. – A mnie się czepiasz?

– Dobrze się czujesz? – odzywa się głos z kuchni. – Chcesz herbaty?

Laura nie rozpoznaje twarzy, ale od razu poznaje głos. To on szeptał jej do ucha.

– Ciii... Ciii... Wszystko będzie dobrze.

Laura wie, że to powtórzyła, bo dziewczyna się uśmiecha. Ma przyjazną twarz, miło wreszcie zobaczyć tu kogoś o przyjaznej twarzy. Podaje jej kubek herbaty.

Laura kręci głową i idzie w stronę drzwi. Powinna pójść do łazienki i trochę się umyć, ale czuje, że musi stąd wyjść, nie chce, żeby Rory się obudził, musiałyby wtedy porozmawiać z nim o tym, co się stało.

Nie ma pojęcia, gdzie jest ani gdzie są jej rzeczy. Jest w jakimś bloku. Rusza w stronę wyjścia przeciwpożarowego i zbiega pięć pięter po schodach, przekonana, że ktoś ją goni; nie słyszy wprawdzie żadnych kroków, ale boi się zatrzymać i obejrzeć, żeby jej nie złapali. Jakby spełniał się zły sen, ona go realizuje w swojej nadaktywnej wyobraźni. Biegnie na dół, czepiając się poręczy, ręka muska metal, czuje ostrzejsze brzegi spękanej farby. Wydaje jej się, że do końca życia nie wydobędzie się z tej klatki schodowej, że ona się nigdy nie skończy, aż wreszcie dociera na parter. Mija ścianę szarych skrzynek na listy, same numery bez nazwisk i tak żadne nic jej nie powie. Wypada na ulicę z nadzieją, że dostrzeże coś znajomego, jakieś miejsce, w którym była z Solomonem, Bo czy Rachel, ale nie poznaje nic. Naprzeciwko znajduje się identyczny blok, wszędzie dookoła są takie same budynki.

Przeraża ją głośny klakson, podnosi wzrok w samą porę, by dostrzec pędzący prosto na nią tramwaj. Zeskakuje na ścieżkę, jej serce bije jak szalone, motorniczy wymyśla jej, przejeżdżając obok.

Kiedy Laura już się trochę uspokaja, rozgląda się na prawo i lewo. Postanawia iść w lewo, w tym samym kierunku, w którym pojechał tramwaj, przecież dokądś tych ludzi musi wieść. Dokądś jest lepsze niż nie wiadomo dokąd – taki sposób myślenia przyjęła, odkąd Bo i Solomon pojawili się w jej życiu. Iść za nimi bez względu na to, dokąd idą, gdzieś jest lepiej niż nigdzie. Idąc, Laura myśli o dźwięku tramwaju, który niemal sprawił, że zatrzymało jej się serce. Nie słyszy, jak go naśladowuje, chociaż słyszy dźwięk, jak piosenkę,

której nie może wymazać z myśli. Ludzie są zaskoczeni, odskakują, niektórzy się śmieją, gdy się do nich zbliża.

Może ona wcale tego dźwięku nie wydaje, może to przez jej wygląd i zapach. Wygląda okropnie, a pachnie jeszcze gorzej. Świeże wymiociny we włosach, suche wymiociny na butach, które dopiero teraz dostrzega. Usiłuje związać włosy, jakoś doprowadzić się do porządku, zwłaszcza gdy z czyjejs torebki wyłania się telefon. To daje sygnał innym – kiedy już ktoś wyjął telefon jako pierwszy, inni zyskują pewność siebie, by go naśladować.

Laura czuje w piersi rytm muzyki z poprzedniego wieczoru, krzyki ludzi, brzęk tłuczonego szkła, stłumione dźwięki zlewające się w jedną hałaśliwą, nieprzyjazną kakofonię. Unosi ręce do uszu, by to wszystko zablokować. Ludzie gapią się na nią, unoszą się telefony, flesze aparatów fotograficznych, teraz sobie przypomina. Fotoreporterzy.

O Boże, ludzie zobaczą ją jutro w gazetach. Czy wydrukują takie okropne zdjęcia? Myśli o Solomonie otwierającym rano dziennik. Jeżeli on ją zobaczy, ona nigdy więcej nie będzie mogła spojrzeć mu w oczy, tyle wstydu mu narobiła.

Słyszy szelest jego gazety, podczas gdy Bo klika w swój telefon, dla niej życie toczy się na ekranie, on musi wszystkiego dotykać. Szelest, klik, dzwonek tramwaju, tłukące się szkło. Wściekły taksówkarz krzyczący na nią. Szorstka ręka na jej ramieniu. Teraz pamięta. Zwymiotowała w taksówce, wyrzucił ich. Ukłękła na poboczu i znowu zwymiotowała. Śmiech chłopaków. Stojące obok niej niebieskie converse'y, wymiociny chlustające na biały czubek butów. Znowu śmiech. Od czasu do czasu dłoń na jej głowie, ramię obejmujące ją w talii. Nie może wstać, ktoś ją zabiera, dziewczyna, ta miła dziewczyna, pyta właściciela ramienia, co on wyprawia. Rory mówiący obejmującemu ją w talii mężczyźnie, żeby dał spokój. Co on jej chciał zrobić? Jej policzki płoną ze wstydu, że dopuściła do takiej sytuacji.

Potem łazienka. Sedes. Plama z gówna na boku. Ciepły koc. Szklanka wody. Odległy śmiech i muzyka.

Przyciska ręce do uszu, opada na ziemię, usiłując ukryć się przed aparatami. Mama i Gaga miały rację, że starały się ją schować, ona nie nadaje się do tego wszystkiego, nie może nigdzie uciec. Pragnie, by mogły schować ją teraz.

Laura wspomina mamę i Gagę, a dźwięki w jej głowie zaczynają się uspokajać. Może myśleć trochę jaśniej, a gdy myśli cichną, słyszy własny jęk, płacz, brak tchu, czkawkę. Siedzi na ziemi. Wokół niej zebrał się tłum. Niektóre osoby krępuje gapienie się wprost na nią, jednak pozostają w pobliżu. Podnosi wzrok na osobę stojącą koło niej. Policjantka. Mama i Gaga przestrzegały, żeby nie ufać policji. Ale ta policjantka wydaje się miła. Wygląda na zaniepokojoną. Pochyliła się, by znaleźć się na wysokości jej twarzy, i uśmiecha się, patrząc na nią z niepokojem.

– Może pójdziesz ze mną?

Wyciąga rękę, a Laura podaje jej swoją. I tak nie ma dokąd iść. Gdzieś jest lepsze niż nigdzie.

### 30

Laura siedzi w kącie posterunku policyjnego, owinięta kocem. W rękach trzyma kubek herbaty, który pomógł jej się uspokoić. Czeka, aż ktoś ją odbierze. Nie chciała podawać nazwiska Solomona ani Bo, nie chce, żeby zobaczyli ją w tym stanie albo dowiedzieli się, jak do tego doszło. Jej duma strasznie na tym ucierpiała. Chciała udowodnić, że poradzi sobie bez nich, i niestety, to jej się nie udało.

Policjanci wokół Laury są bardzo zajęci – nieustannie otwierają i zamykają okienko, by stemplować wnioski paszportowe, prawa jazdy, wszystko, czego tylko interesanci potrzebują. Mnóstwo papierkowej roboty – tak właśnie działa prawo. Laura ma wrażenie, że znajduje się w bezpiecznej strefie, żadnych wstrętnych bandytów nie ciągną do cel. Gdyby dowiedziały się o tym mama i Gaga, byłyby przerażone, to jak spełnienie ich najgorszych obaw, ale tu nie ma żadnego poczucia paniki, panuje spokój. Laura myśli o Gadze i słyszy dźwięk ostrzenia noża do mięsa. Nie jest to stosowny dźwięk na posterunku – głowy zebranych odwracają się w jej stronę. Może robi to właśnie dlatego, że nie powinna? Czy to wina zdenerwowania, czy nieuświadomionego buntu, może Laura chce się wyróżnić, chce, żeby ją zauważono? Te wszystkie pytania zadawała jej Bo, kiedy były same. Laura zastanawia się nad tym dopiero teraz. Nigdy wcześniej tego nie robiła, nigdy nie musiała tak bardzo się analizować. Nie ma pojęcia, dlaczego wydaje

akurat takie, a nie inne dźwięki, a przynajmniej nie zawsze to wie. Dźwięki mają sens wtedy, kiedy jest odprężona, jest na swojej górze; czyta książkę, a nad nią rudzik buduje gniazdo. Wtedy nie ma innego wyjścia, po prostu musi mu towarzyszyć swoimi dźwiękami.

– Rudzik – mówi nagle jeden z policjantów. – Poznają.

– Derek, nie wiedziałem, że znasz się na ptakach.

– Mamy w ogrodzie całą rodzinę. – Obraca się w fotelu, żeby porozmawiać z kolegą. – Z tatusia jest niezły choleryk.

– Są bardzo terytorialne – odzywa się nagle Laura.

– To prawda. – Derek zgadza się, upuszczając długopis na stół. – Te rudziki wygrałyby każdą bójkę z naszym psem. Daisy panicznie się ich boi.

– Moim zdaniem Daisy nie byłaby w stanie wygrać z nikim – orzeka jego kolega, grzebiąc w papierach. – Z takim imieniem.

Pozostali się śmieją.

Kiedy wszyscy się odprężają, ich śmiech zaczyna coś jej przypominać. Czuje w sercu rytm muzyki z nocnego klubu.

„Wredna, głupia cipa”. Dziewczyna myślała, że Laura zasłania uszy, bo nie chce z nią rozmawiać, a ją wystraszył tylko hałas suszarki do rąk. To było zwykle nieporozumienie.

„Mizofonia” – wytłumaczyła jej Bo któregoś dnia. Ludzie z mizofonią nie znoszą pewnych dźwięków, na które reagują stresem, wściekłością, irytacją, w przypadkach ekstremalnych wybuchami gniewu. Laurze nie przyszło do głowy, że to może dotyczyć właśnie jej, ale jeśli Bo miała rację? Znowu wraca myślami do tamtego zdarzenia.

Dziewczyny śmiejące się w toalecie, uniesione telefony. Mężczyzna obejmujący ją w pasie, prowadzący dokądś, szepczący jej „czule” do ucha. Miła dziewczyna mrużąc jej do ucha „ciiii”, przytrzymująca jej włosy, głaszcząc ją po plecach.

„Nie”, stwierdza Laura. Nie zareagowała wybuchem gniewu, zatkała sobie tylko uszy.

„Nadwrażliwość na dźwięki” – powiedziała Bo innym razem.

Policjant mający w ogrodzie rodzinę rudzików przysuwa się do niej

w swoim fotelu na kółkach, przyglądając się jej z miną pełną niepokoju.

– Jeżeli jest coś, co powinnaś nam powiedzieć na temat wczorajszej nocy, to mów.

Przełyka ślinę. Drży i kręci głową.

Nagle przychodzi na swoją zmianę kolejny policjant i rzuca na biurko tabloid. Laura widzi na pierwszej stronie swoje zdjęcie. Tytuł artykułu brzmi: „PIJANY PTAK”. Zaczyna panikować. On jest zaskoczony, nie miał pojęcia, że trzymają na posterunku Lirogona. Miła policjantka, która ją znalazła, zakrywa gazetę i próbuje ją znowu uspokoić.

Laura ledwo słyszy jej słowa poprzez własne, wyrażające strach dźwięki: samolot, warczenie Mossiego, nietoperze w nocy, miejskie syreny, migawka aparatu, dźwięk klătki lirogona, zapinanie pasa bezpieczeństwa w samolocie, spuszczenie wody, wysokie obcasy na kafelkach, hałaśliwe suszarki do rąk. Wszystko łączy się w jej głowie.

Chociaż policja jest bardzo miła, ona powinna się domyślić, że zbyt długo miło nie będzie. Prasa skądś się dowiedziała, że Laura jest na posterunku. Fotoreporterzy są na zewnątrz, czekają, aż się pokaże. Przyjeżdżają Bianca i Michael. Michael zostaje na zewnątrz, torując Laurze ścieżkę do SUV-a z przyciemnianymi szybami. Laura nie chciała się kontaktować z Solomonem ani z Bo, tylko Bianca przyszła jej do głowy.

– Wszystko w porządku? – pyta Bianca z niepokojem, gdy zabierają Laurę na recepcję.

Laura skomle jak umierający Mossie, jak postrzelony śmiertelnie zając.

– Miała ciężką noc – odzywa się miły policjant. – Musi odpocząć.

– Czy ta dziewczyna wnosi oskarżenie, są jakieś kłopoty? – pyta Bianca.

– Nikt nie wniósł żadnego oskarżenia – odpowiada policjant.

Bianca zwraca się do Laury.

– W klubie w toalecie była jedna dziewczyna, twierdzi, że ją popchnęłaś, zaatakowałaś. Curtis musi to wiedzieć. Muszą wydać oświadczenie dla prasy.

Laura nerwowo przełyka ślinę, usiłując zebrać myśli.

– Nikogo nie popchnęłam. Kręciło mi się w głowie, usiłowałam się o nią oprzeć. Potrzebowałam pomocy, miałam... mam kłopoty?

– Nie – oznajmia policjant urażonym tonem. – Nikt nie wniósł żadnego oskarżenia. Wierzcie nam, nie gazetom. Mam nadzieję, że zabierze ją pani w jakieś bezpieczne miejsce?

Laura wydaje dźwięki. Jest zdenerwowana, pobudzona, usiłuje na nowo przeżyć wszystko, co się stało, żeby móc to zrozumieć.

Bianca przygląda się jej z troską. Słyszała już dźwięki Laury, ale nigdy nie były tak zatrważające jak dziś. Wysypują się z niej jak urywany oddech i czkawka po długim płaczu.

– Lauro, nic ci nie jest? – dopytuje się delikatnie.

– O ile rozumiemy, takie dźwięki są dla niej normalne – pyta policjant.

– Tak, ale... – Bianca wydaje się naprawdę zaniepokojona.

– Wszystko w porządku – mówi Laura. – Tylko chcę już iść... – Niemal to powiedziała: do domu. Dom. Już nie wie, gdzie on jest. Nagle czuje się kompletnie wyczerpana.

– Okej, zabierzemy cię gdzieś, gdzie jest wygodnie i bezpiecznie, nie bój się. Na zewnątrz jest cała masa fotoreporterów – dodaje Bianca, spoglądając z niepokojem na Laurę. – Masz, załóż. – Podaje jej duże okulary przeciwsłoneczne. Laura je zakłada i od razu czuje się bezpieczniej, zasłonięta przed światem. – I to. – Bianca zdejmuje futrzaną kamizelkę i podaje ją Laurze. Ta się waha. Oto objawiła się jakaś nowa Bianca.

– To nie jest prawdziwe futro – zapewnia ją, jakby na tym polegał problem. Laura wkłada w końcu kamizelkę; chociaż nie za bardzo pasuje do przewiązanej paskiem koszuli w szkocką kratę, to rzeczywiście zakrywa plamy.

Laura dziękuje policjantom i staje twarzą w twarz z kolejnym tłumem fotoreporterów i kamer telewizyjnych. Najpierw wydaje jej się, że widzi stojącą za jedną z kamer Rachel, i oczywiście spodziewa się dostrzec przy jej boku Solomona; ma nadzieję, że zobaczy tę jego bardzo skupioną twarz, gdy wsłuchuje się w otaczające go dźwięki. Niestety, nigdzie go nie widać, a do Laury dociera, że to stacja wiadomości telewizyjnych. Reporter bombarduje ją pytaniami, podsuwając jej pod nos wielki mikrofon. Bianca i Michael prowadzą ją tak szybko, że wszystko jej się zlewa. Potem na zdjęciach ogląda zupełnie inną osobę. Włosy ma związane w węzeł na czubku głowy, by ukryć



zaschnięte wymiociny, a do tego: futrzaną kamizelkę na koszuli w szkocką kratę, wielkie okulary słoneczne, zniszczone martensy, które dostała, gdy miała szesnaście lat, i wysoko podciągnięte skarpety. W magazynach modowych obwołano ją nową ikoną stylu. Futro i tartan, martensy i wełniane skarpety. Wszyscy kochają lekko zakręcony styl Lirogona. Nie rozpoznaje siebie, kiedy ogląda czasopisma. Gdy jeep odjeżdża, Bianca rzuca na siedzenie koło Laury gazetę.

– To jedyna, której dziennikarze zdążyli przekazać materiał przed wypuszczeniem jej do druku. Jutro podobno ma być więcej.

– Nie musi tego oglądać – mówi opiekuńczo Michael.

– Curtis kazał jej pokazać – odpowiada Bianca. Michael zaciska usta w wąską linię. Laura patrzy na gazetę leżącą na siedzeniu obok niej.

## **PIJANY PTAK**

### **ODLOT LIROGONA**

#### **NOCNA SOWA PO SZALONEJ NOCY UJAWNIA PTASI MÓŹDZEK**

Jej serce wali mocno, Laura dostaje mdłości. Otwiera okno, żeby wpuścić trochę powietrza, zastanawiając się, dlaczego są na nią tacy wściekli. Czuje niechęć bijącą ze stron gazety i przeraża ją to.

Bianca okręca się na przednim siedzeniu, Michael przygląda się Laurze w tylnym lusterku. Bianca wyciąga rękę, zabiera gazety i rzuca na podłogę przed sobą. Ale chociaż Bianca usunęła gazety z pola widzenia Laury, ta dostrzegła dość, żeby zapamiętać to do końca życia. Okropne zdjęcia jej samej podpieranej przez Rory'ego, który się śmieje, podczas gdy wiatr nawiewa mu na twarz jej włosy. Twarz, nogi, stopy Laury pod dziwnymi kątami, na niektórych zdjęciach ma przymknięte oczy i wygląda jak naćpana. Jej oczy są martwe, źrenice rozszerzone tak, że prawie niewidoczna jest zieleń tęczówek. Na innych leży na ziemi w brudnej alejce, gdzie jest mokro od rozlanego alkoholu i Bóg wie czego jeszcze. Jej twarz jest kredowobiała w błyskach fleszy. Nie sprawia wrażenia przestraszonej, widzi, o co im chodzi, oni wiedzą, że kłamie, bo nie jest niewinną dziewczynką, która nie pije i jest związana z naturą jak nikt inny. Tak przekonywano. A tu nie kontroluje siebie, wygląda jak ktoś, kogo nie chciałaby znać. Gazety są wściekłe, czują się oszukane.

Może taka jest? Może mają rację?

Bierze gazety od Bianki. Najgorszy tabloid ze wszystkich ma zdjęcia od dziewczyny z tej imprezy, na której Laurze urwał się film. Nie piszą, że mogła być chora, przerażona i chciała wracać do domu. Raczej, że wygląda jak po działce heroiny. Nie może zamknąć gazety, nie może przestać na siebie patrzeć. Na twarzy dziewczyny ze zdjęć maluje się zadowolenie z siebie, wyniosłość. Nie może odnaleźć siebie na tych fotografiach.

– Zabieramy cię do domu uczestników finału. Wymeldowaliśmy cię z hotelu, tam jest za dużo dziennikarzy. StarrGaze zapewni mieszkanie półfinalistom aż do końca. Na razie jesteś sama. Prasa nie będzie mogła się z tobą kontaktować i nie będzie innych osób, które poleciałyby do dziennikarzy, co niektóre już zrobiły. – Odwraca się. – Uważaj na Alice. Ta kobieta to chodząca bomba. Półfinał Alice i Brendana jest jutro, ale mieli dużo głosów i spodziewamy się, że przejdą.

Zamiast niepokoić się koniecznością spotkania z Curtisem i mieszkania z Alice, która nigdy nie była jej wielbicielką, Laura czuje jedynie przyływu ulgi, że ją gdzieś zabierają. Jeszcze nie utkwiała na bezludnej wyspie. Kolejny dom, kolejna kryjówka dla niej, kolejny most do przejścia na drodze do nieznanych krain. Nie ma już odwrotu, żadnego.

Dom uczestników programu znajduje się poza Dublinem, w górach Wicklow. Laura jest zadowolona, że otacza ją przyroda, drzewa i góry, przestrzeń. Nie może jednak napawać się pięknymi widokami, bo wciąż prześladują ją tamte fotografie obcej osoby w jej ubraniu. Ale przynajmniej drzewa pozwalają jej znowu oddychać pełną piersią.

Kiedy docierają do bramy, fotoreporterzy już przed nią stoją, kolejne aparaty stukają w szyby, przypomina jej się poprzednia noc. Słyszy, że wydaje dźwięki. Michael obserwuje ją w lusterku, gdy czekają na otwarcie bramy.

– Już prawie jesteśmy – mówi życzliwie.

Dom jest widoczny z bramy, co nie zapewnia zbyt wielkiej prywatności. Wszystkie zasłony są rozsunięte i Laura dostrzega kogoś stojącego w oknie; patrzy, po czym odsuwa się szybko. Zapamiętuje, żeby nie stawać w oknie.

Wstydzi się podnieść oczy na Simona, członka ekipy, który ją wita. Będzie

mieszkał z uczestnikami, by dbać o wszystkie ich potrzeby. Chce przeprosić Michaela, Biancę i Simona za narażenie programu na niepotrzebne zamieszanie, ale jest zbyt zawstydzona, żeby spojrzeć im w oczy. Nie zdejmuje okularów Bianki, podoba jej się, że ją osłaniają. Wchodzi na schody z oczami wciąż wbitymi w ziemię. Michael niesie jej torby. Bianca usiłuje pomóc jej się zadomowić i mówi, że jutro wpadnie Curtis. Oznajmia to niby mimochodem, ale wyczuwa się ostrzeżenie.

Laura gasi światła, zaciąga zasłony, ucieszona, że jej okna wychodzą na tyły budynku, na drzewa. Na huśtawkę i zjeżdżalnię w ogrodzie. Bierze prysznic, co sprawia, że nareszcie czuje się czysta, potem wślizguje się do łóżka, wciąż odczuwając mdłości po alkoholu i straszliwe upokorzenie. Jest głodna, ale nie chce schodzić na dół, gdzie mogłaby kogoś spotkać. Leży w swoim nowym łóżku, zwinięta w kłębek pod kołdrą, schowana. Zasypia.

## 31

„Przemiana dziewczyny z gór w internetową supergwiazdę nie jest łatwa. Wydaje się, że presja związana z zyskaną sławą stała się nie do zniesienia dla faworytki *StarrQuest*, znanej jako Lirogon. Rzecznik Laury Button potwierdza doniesienia, że wczoraj wieczorem była ona zaangażowana w incydent w toalecie dublińskiego klubu nocnego. Fotografie publikowane w dzisiejszych gazetach pokazują, że została wyniesiona przez pracownika ochrony klubu, który interweniował, a którego następnie zaatakowała, rzucając w niego szklanką wody”.

W reportażu pokazują teraz ujęcia wideo z Laurą.

„Występ w eliminacjach przyniósł jej światową sławę w ciągu zaledwie kilku tygodni. Według ostatnich doniesień została znaleziona, gdy błąkała się w stanie znacznego wzburzenia po ulicach Dublina i została dla własnego bezpieczeństwa przewieziona na posterunek policji. W tej chwili znajduje się znowu pod opieką producentów programu i mieszka w domu wynajętym przez *StarrQuest* dla finalistów”.

„Producenci *StarrQuest* wystąpili dzisiaj w obronie Lirogona, publikując długie oświadczenie, w którym proszą o zaprzestanie publikowania negatywnych komentarzy. Jack Starr opisuje ją jako łagodną, życzliwą młodą

kobietę, którą życie okrutnie doświadczyło. Laura została w wieku szesnastu lat, po śmierci matki, porzucona przez babcię w górskiej chatce i żyła w niej samotnie przez dziesięć lat, jedynie za wiedzą ojca, który zachowywał jej istnienie w tajemnicy przed całym światem. Starr mówi, że Laura ma trudności z poradzeniem sobie z nową sytuacją, która po pierwszym występie ją przytłoczyła. Przekonała się, jak przerażające i wytrącające z równowagi jest zostanie największą gwiazdą świata w tak błyskawicznym czasie”.

„Laura-Lirogon zyskała już więcej niż piętnaście minut sławy i może zarobić miliony na książkach, reklamach i występach. Jednak sława ma swoją cenę i wydaje się, że Laura Button musi zacząć ją spłacać”.

Solomon wstaje i rzuca pilotem o ścianę nad kominkiem. Pilot rozbija się o cegły. Potem spada na podłogę i baterie toczą się na wszystkie strony. Bo uchyla się i kuli jeszcze mocniej w rogu kanapy. Mężczyzna patrzy na nią, ale żadne nic nie mówi, bo nie ma takiej potrzeby – u Bo widać takie samo poczucie winy, jakie dręczy jego.

– Musimy coś zrobić – stwierdza Solomon, słysząc emocje we własnym głosie. Ledwo jest w stanie to wytrzymać, to siedzenie i obserwowanie, jak rozkładają Laurę na części pierwsze.

– Próbuję, Solomon – odpowiada Bo ze łzami w oczach.

– Mam dosyć prób skontaktowania się z nią przez *StarrQuest*. – Ze złością krąży po pokoju. – Sami musimy do niej dotrzeć. Gdzie jest ten dom dla finalistów, o którym mówili?

– Pojęcia nie mam – mówi Bo zamyślona, po czym siada nagle. – Ale będzie na fanpage’u.

– Jestem przyjacielem Laury Button, przyjechałem się z nią zobaczyć – mówi Solomon do strażnika przy bramie do domu finalistów.

Strażnik śmieje się i podchodzi do niego z podkładką do pisania.

– Jasne, jak wszyscy inni.

Solomon rozgląda się. Patrzy na niego kilkunastu fotoreporterów i ekipa telewizyjna, początkowo z zainteresowaniem, potem z rozbawieniem, kiedy odmawiają mu wjazdu. Za barierą stoi grupka wiernych fanów, na trawie ułożone są śpiwory, widać też prymitywnie namalowany transparent z napisem

„My ♥ Lirogona”.

– Dajcie jej spokój! – krzyczy do niego jedna dziewczyna. W Solomonie wzbiera gniew.

– Jeżeli ją powiadomicie, że tu jestem, na pewno każe mnie wpuścić.

Ochroniarz przygląda mu się uważnie.

– To może najpierw pan do niej zadzwoni? Niech pan jej powie, żeby do mnie zadzwoniła i kazała pana wpuścić.

Solomon zgrzyta zębami.

– Nie mogę do niej zadzwonić. Dlatego tu jestem.

– No a ja nie mogę pana wpuścić. Mam tu listę z nazwiskami, a pana na liście nie ma, więc nie mogę pana wpuścić.

Solomon wyłącza silnik i chce wysiąść z samochodu.

– Radziłbym panu zostać w środku. Nie ma powodu wysiadać.

Stoi tak blisko drzwiczek, że Solomon nie może ich otworzyć. Naciska trochę mocniej. Drzwiczki uderzają strażnika, który robi krok do tyłu.

– Hej, co jest? Powiedziałem: wracać do samochodu!

– To nie blokuj mi drzwi! Nie blokuj mi drzwi! – wrzeszczy mu w twarz Solomon; obaj krzyczą na siebie.

Znudzony reporter robi parę zdjęć.

Z budki wyłania się drugi strażnik.

– Barry? – pyta zaniepokojony.

– Super, może pan będzie w stanie mi pomóc – mówi Solomon, odgarniając włosy z twarzy i usiłując się opanować. – Muszę się skontaktować z moją przyjaciółką, Laurą Button. Rozumiem, że nie ma mnie na liście, ale jeżeli do niej zadzwonicie, co wam zajmie jakąś sekundę, to mnie od razu wpuści. Okej?

– Kto? – pyta ochroniarz, przenosząc wzrok z Solomona na kolegę i z powrotem.

– Lirogon – mówi Barry.

– Właściwie to Laura. Nazywa się Laura Button. – Solomon znowu się wkurza.

– Zostawcie Lirogona w spokoju! – krzyczy na niego znowu fanka. – Tacy jak wy wcale jej nie pomagają!

Solomon ją ignoruje.

– No i co, że znasz jej prawdziwe nazwisko, było w gazetach – oświadcza niewzruszony Barry.

– Okej, okej, wszyscy spokój – wtrąca się drugi ochroniarz. – Nie ma co się podniecać.

Solomon uspokaja się; podoba mu się ten facet, może da się z nim rozsądnie dogadać.

– Proszę na stronę.

Idzie za nim, poza zasięg wzroku tłumu, do budki strażniczej. Solomon ma wrażenie, że facet traktuje go poważnie.

– Wy tłumaczę panu, jak to działa – zaczyna spokojnie ochroniarz.

– Już mu mówiłem – rzuca zza jego pleców Barry.

– Barry – mówi groźnie mężczyzna, a Barry, klnąc, wychodzi z budki. – Dostajemy listę osób, które mają wstęp wolny. Tej listy musimy się ściśle trzymać. Chce pan odwiedzić kogoś w domu, należy się skontaktować z biurem, a oni dadzą nam znać. Nie wolno nam wpuszczać każdego, kto chce wejść. A pan nawet nie jest krewnym. Do tego jest dziesiąta wieczorem. Za późno na gości.

– Rozumiem to wszystko, naprawdę. I tak właśnie powinno być, ale wiem, że Laura chce się ze mną zobaczyć. Nie ma mnie na liście, bo nie wiedziała, że mogę ją tu odwiedzić, ale mogę, i jeżeli jej powiecie, że tu jestem, nie będzie to strata czasu, naprawdę.

Ochroniarz przygląda się Solomonowi, jakby usiłował odczytać jego myśli. Bierze telefon, a Solomona zalewa fala ulgi.

– Simon, tu Richie. Mam gościa dla Lirogona. Tak. Teraz tu jest. Nie ma go na liście, ale chce się z nią widzieć.

– Solomon Fallon – uściśla Solomon, uświadamiając sobie, że nawet nie spytali go o nazwisko.

– Solomon Fallon – powtarza facet do telefonu. Słucha. Czeka. – Sprawdzają – mówi. Rozgląda się, czeka jeszcze trochę.

Coś się nie zgadza. Solomon wyczuwa, że coś jest nie tak. Patrzy na telefon i dociera do niego, że Richie z nikim nie rozmawia. Nigdzie nie dzwoni, to wszystko farsa. Kiedy Solomon dobrze się wsłuchuje, słyszy pisk w słuchawce.

– Gówno prawda. Cholerne gówno. – Zrzuca ze stołu wszystkie papiery, wychodzi wściekły i wsiada do samochodu. Na zewnątrz Barry mu salutuje, Richie zaś wzrusza ramionami, jakby dając mu do zrozumienia, że warto było spróbować.

– Proszę zadzwonić do biura – powtarza stanowczo, klepiąc ręką maskę samochodu.

Solomon wciska gaz i odjeżdża z pełną szybkością, krew pulsuje mu w skroniach, serce bije z wściekłości jak szalone.

Następnego ranka Laurę budzi pukanie do drzwi: Simon ze StarrGaze Entertainment zawiadamia, że przyszedł Curtis. Dziewczyna wkłada dżinsy, T-shirt i za duży sweter, którym się otula dla bezpieczeństwa. Solomon wybrał go dla niej w Cork. Świeżo umyte włosy zostawia rozpuszczone, żeby ukryły twarz, i schodzi boso na powitanie gościa.

Curtis siedzi u szczytu stołu w jadalni, która znajduje się we frontowej części domu. Laura staje w drzwiach i patrzy w okno.

– Usiądź – mówi Curtis.

– Widzą nas? – Wygląda przez okno.

– Teraz się przejmujesz, że cię zobaczą? – mówi, ale wstaje i zaciąga zasłony.

– Dziękuję – odzywa się Laura cicho, nerwowo.

– StarrGaze dużo dla ciebie zrobiło. Przyjęliśmy cię, dobrze cię traktowaliśmy, daliśmy ci międzynarodową platformę mediową, zabraliśmy cię do Australii, zapłaciliśmy za twoje ubrania, za fryzjera, za hotele. Niczego ci nie żalowaliśmy.

– Wiem o tym i naprawdę...

Ciągnie, jakby w ogóle jej nie słyszał.

– Jesteśmy programem rodzinnym. Nasza oglądalność w segmencie

od szesnastu do trzydziestu czterech lat wynosi ponad siedemdziesiąt procent.  
– Patrzy na nią wrogo, jakby chciał podkreślić, że ona naprawdę musi to pojąć. – Spodziewamy się, że dotrzymasz podpisanej umowy, w której wyraźnie stoi, że nie zrobisz nic, co może zaszkodzić dobremu wizerunkowi i marce *StarrQuest* i *StarrGaze Entertainment*.

Nie pozwala jej wtrącić nawet pół słowa.

– Rozmawialiśmy i zdecydowaliśmy, że możesz zostać na resztę programu. Pozwolimy ci wystąpić w finale.

Milknie na dłuższą chwilę, a Laura patrzy na niego szeroko otwartymi oczami. Nie przyszło jej do głowy, że mogą ją wyrzucić z programu.

Curtis wygląda, jakby na coś czekał.

– Dziękuję – szepcze Laura, głos jej się łamie, czuje się, jakby dano jej nowe życie, a nawet nie wiedziała, że go potrzebowała.

– Nie ma za co – mówi poważnie. – Ale będziesz miała pod górkę. Musisz przekonać do siebie wiele osób.

Laura kiwa głową, jej myśli pędzą jak oszalałe.

Curtis wstaje i zaczyna recytować, jakby nauczył się na pamięć słów, które ktoś mu napisał:

– Rozumiem, że twoje życie bardzo się zmieniło. To duże wyzwanie. *StarrQuest* ma do dyspozycji w pełni wykwalifikowanego terapeutę, jeżeli uznasz to za potrzebne. Radziłbym porozmawiać z nim. Czy mam zorganizować spotkanie?

Laura myśli o tym, że miałyby się spotkać jeszcze z kimś ze *StarrQuest* i mu się tłumaczyć. Nic by to nie pomogło. Musiałyby przeżywać wszystko od nowa, a wolałyby zapomnieć o tym, co się stało.

Kręci głową.

– Jeżeli zmienisz zdanie, zwróć się do swojego opiekuna. Radzę, żebyś przed występem z nikim nie rozmawiała. Żadnych mediów. I to nie jest sugestia, to bezpośrednie polecenie *StarrQuest*.

– Okej. – Odchrząkuje. – A co z dokumentem? Jack miał porozmawiać z...

– Z Mouth to Mouth. Tak, twoje związki z nimi skończyły się definitywnie.

Laura czuje łzy napływające do oczu, rumieniec wypełza na twarz. Czyli



potwierdzone. Naprawdę nic jej już nie łączy z Solomonem i to jej łamie serce. Boi się zapytać, czy to dlatego, że Bo i Solomon nie chcą mieć z nią nic wspólnego po tej nocnej niedzielnej eskapadzie, czy po prostu Curtis załatwił sprawę po swojemu. Pomimo rozczarowania odczuwa ulgę, że może ukryć się przed Solomonem, wstyd powstrzymuje ją przed samą myślą o spotkaniu. Przez chwilę łudziła się, że może nie widział tych gazet, ale trzeba myśleć realistycznie. Jego brat był na tych zdjęciach, jego rodzina je zobaczy. Jego przyjaciele, mili sąsiedzi, których poznała na przyjęciu u jego mamy. Wszyscy ci ludzie, którzy byli dla niej tacy dobrzy, zobaczą, co z siebie zrobiła.

Curtis już ma wychodzić, ale jeszcze się waha, jak gdyby nad czymś się zastanawiał. Serce Laury wali jak młot w oczekiwaniu na jego słowa. Być może powie, że Laura mogłaby się zobaczyć z Solomonem. Albo że wylatuje z programu.

– Ten artykuł idzie do druku jutro. Dostałem tę kopię z wyprzedzeniem. Powinnaś ją zobaczyć, żeby mieć możliwość przygotowania odpowiedzi.

Kładzie na stole dużą brązową kopertę i wychodzi.

Laura wpatruje się w kopertę z bijącym sercem. Rozlega się pukanie do drzwi, odwraca się. Drzwi się otwierają, jednak nikogo nie widać. Po chwili pojawia się twarz, ale nie ludzka. Lalki brzuchomówcy Alana, Mabel. Alana nie widać. Mabel odchrząkuje.

– Cześć, Mabel – wita ją Laura z uśmiechem.

– Mabel chciała zapytać, czy Lirogonka nie napije się herbaty. Lirogonka podobno nic nie jadła od wczoraj od przyjazdu. Alan parzy herbatę.

– Dziękuję ci, Mabel. To bardzo miło z twojej strony. Ale możesz do mnie mówić Lauro.

– Okej, Lauro – odpowiada lalka nieśmiało, a Laura się śmieje. Chociaż Mabel się nie rumieni, zachowuje się tak realistycznie, a Alan tak znakomicie rusza całą jej twarzą, że wydaje się prawdziwa.

Alan też zagląda do jadalni. Laura go lubi. Brał udział w eliminacjach w tym samym dniu co ona. Miły z niego facet. Trochę dziwny. Ma czterdzieści lat i mieszka z rodzicami, wszystkie pieniądze inwestuje w Mabel i w swoje występy. Ma dobre serce i olbrzymi talent.

– Gratulacje, Alan. Nie wiedziałam, że przeszedłeś, nie oglądałam wczoraj

programu.

Wstydzi się, że zlekceważyła wieczór tak ważny dla innych uczestników, znowu zwyciężył egoizm.

– Dziękuję. Dzisiaj nie czuję się najlepiej, Mabel zmusiła mnie do siedzenia do późna i wypicia butelki Jamesona, żeby to uczcić.

Laura parska śmiechem.

– Mabel mi powiedziała, że może do ciebie mówić Lauro, czy to znaczy, że ja też mogę?

– Pewnie.

Wchodzi do środka niemal na palcach, jakby nie wolno mu było tego robić. Wszędzie tak się zachowuje, jakby nie powinien tu być, jakby przeszkadzał, ale jak tylko Mabel znajduje się na jego ramieniu, zmienia się w innego człowieka, dowcipnego, czarującego, wręcz niesforne. Jako Mabel mówi rzeczy, jakich – w odczuciu Laury – Alan chyba nawet by nie pomyślał. Przynosi ludziom samą radość.

– Chciałem tylko zobaczyć, czy wszystko z tobą w porządku – mówi.

Łzy napływają jej do oczu i dziewczyna odwraca wzrok.

– O nie, przez ciebie teraz płacze, ty idioto – mówi Mabel.

Laura się śmieje.

– A ty ją rozśmieszyłaś – mówi Alan do Mabel.

– Co ty byś beze mnie zrobił? – odpowiada Mabel.

Laura ociera twarz. Alan siada koło niej.

– Alanie, tak mi wstyd. Ledwo mogę spojrzeć komukolwiek w oczy.

– Nie ma się czego wstydzić. Każdy miewał takie noce.

Laura patrzy na niego.

– No, ja nie. Ale Mabel się zdarzało.

Mabel powoli zwraca ku niemu twarz. Laura znowu się śmieje.

– Słuchaj, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Niektórzy z nas...

– Alice – wtrąca z pochrząkiwaniem Mabel.

– ...postrzegają to jako rywalizację. My nawzajem przeciw sobie. Ale

ja nie. Dla mnie rywalem jestem ja sam. Zawsze byłem. To moja rzecz.

– I moja – wtrąca Mabel.

– I twoja, Mabel. Co za kolosalny sukces, wczoraj mnie rozpoznali w aptece. Gdy kupowałem ped egg. Wiesz w ogóle, co to jest?

Laura kręci przecząco głową.

– Tarka do stóp.

– Seksowne – dodaje Mabel.

– Rzeczywiście – zgadza się Alan. – Pierwszy w życiu autograf dałem podczas dyskusji o ped egg.

Laura się śmieje.

– Dopadło mnie to w znacznie mniejszej skali niż ciebie, a już mam problemy. Ty jesteś dla nich celem. Dwieście milionów ludzi chce wiedzieć, co teraz zrobisz. – Wzrusza ramionami. – To niech im szczęki opadną.

– Dzięki. Dadzą mi jeszcze jedną szansę.

Alan patrzy na nią zaskoczony.

– O tym właśnie Curtis...

– Dupek – przerywa Mabel.

– ...przyszedł gadać?

Laura kiwa głową. Alan nachyla się ku niej. Upuszcza na stół Mabel, która krzyczy „Au”.

– Wiesz, że bez ciebie byłiby niczym. Tylko jakimś gównianym irlandzkim programem rozrywkowym, o którym pies z kulawą nogą by nie usłyszał, gdyby nie ty.

To dla Laury ogromne zaskoczenie.

– Tylko dzięki tobie znaleźli się w obiegu. Dzięki tobie sprzedali licencję do dwunastu kolejnych stacji telewizyjnych i liczą na więcej. Gdybyś teraz odpadła, zostaliby z ręką w nocniku.

– Mów za siebie – odzywa się ze stołu Mabel, leżąc na plecach i wpatrując się w sufit.

Laura przyswaja to wszystko.

– Co to? – pyta Alan, patrząc na brązową kopertę.

– Artykuł, który idzie jutro do druku. Curtis dał mi do przeczytania.

– Nie czytaj – mówi Alan.

– Powinnam.

– Nie, nie powinnaś. Nigdy więcej nie powinnaś czytać żadnej z tych gazet – zapewnia, jego głos brzmi teraz poważnie. – Nie zatruwaj się tym, Lauro. Jesteś najczystsza, najbardziej naturalną osobą, jaką w życiu poznałem. Chcę, żebyś wygrała.

Laura uśmiecha się do niego.

– A ja chcę, żebyś ty wygrał.

Patrzą sobie w oczy. Kiedy zapada krępujące milczenie, wtrąca się Mabel:

– A co, kurwa, ze mną?

Oboje wybuchają śmiechem.

– No tak, przyniosę ci herbaty. Równie dobrze możemy porozkoszować się ciszą, zanim wieczorem przybędą kolejni. I zrobię coś na obiad. Nie umiem gotować, ale kanapka z szynką i serem chyba wystarczy?

– Doskonale, dziękuję.

– Ja bym na twoim miejscu nie jadła – szepcze jej do ucha Mabel. – Myślę, że on próbuje mnie otruć.

Oboje się śmieją, po czym Alan zostawia ją samą w jadalni.

Laura poczuła się pewniej, teraz zaczyna się wpatrywać w kopertę leżącą na stole. Alan ma rację, powinna wznieść się ponad to wszystko, ale musi przecież wiedzieć, co ludzie o niej myślą.

Wyjmuje papiery z koperty.

Pierwsza strona to list prawnika gazety z informacją, że artykuł zostanie opublikowany jutro. Jeżeli jest w nim coś, do czego pani Laura Button chciałaby się ustosunkować, uprasza się o zrobienie tego do końca godzin pracy.

Odkłada list i zaczyna czytać.

„FARBOWANY PTAK?” – tak brzmi nagłówek, a artykuł jest o tym, jak to policjant w Gougane Barra był przekonany, że babcia Laury, Hattie Button, zabiła swojego męża. Policjant uważał także, że jej czternastoletnia wtedy

córka Isabel, która po śmierci ojca zmieniła nazwisko na Button, także w tym uczestniczyła. Sierżant Liam O'Grady zmarł wiele lat temu, ale jego córka Sheila udzieliła gazecie wywiadu. Opowiedziała, jak jej biedny ojciec poświęcił całe życie na to, by udowodnić winę osobom, które uważał za odpowiedzialne za śmierć swojego przyjaciela Seana Murphy'ego. Żoną zmarłego była Hattie Button, Angielka, którą Sean poznał, gdy opiekowała się dziećmi z miejscowej rodziny. Sean zakochał się w niej i szybko się pobrali, po czym urodziła im się córka. Hattie była dziwnym typem, rzadko pojawiała się w miasteczku czy angażowała w cokolwiek, dlatego uznano ją za odludka. Owszem, Sean lubił wypić, ale był ciężko pracującym robotnikiem rolnym i dobrym człowiekiem. Na pytanie, czy Sean bywał agresywny, skoro po jego śmierci badanie wykazało u jego żony obecność sińców i ran, zarówno zabiżnionych, jak i całkiem świeżych, córka posterunkowego odpowiedziała, że nie wie, a zresztą to nie zmienia faktu, że Hattie Button i jej córka zabiły dziadka Laury Button, Seana Murphy'ego.

Laurze zbiera się na mdłości.

Seana znaleziono leżącego twarzą w dół w strumieniu na ich ziemi. Utonął w płytkiej wodzie. We krwi miał alkohol, a z tyłu głowy ślad po uderzeniu tępym narzędziem. Według Sheili jej ojciec zawsze był przekonany, że to Hattie odpowiada za śmierć Seana, ale nigdy nie udało mu się znaleźć dowodu na to, że to zrobiła. Zabrała swoją córkę ze szkoły i zostały pustelnicami, a jedyny kontakt z miejscową społecznością miały, prowadząc rodzinny biznes. Świadczyły usługi krawieckie, z których się utrzymywały. Sierżant O'Grady nieustannie krążył wokół Hattie w nadziei, że ona w końcu czymś się zdradzi, ale się nie udało.

Opuścił ten świat w przekonaniu, że zawiódł swojego przyjaciela. Matka Laury była prostą kobietą, „coś z nią nie do końca było w porządku”, i cokolwiek by córka sierżanta sądziła o roli, jaką odegrała w zabójstwie Seana Murphy'ego, twierdzi, że to wstyd, co „Tom Toolin jej zrobił, wykorzystał chorą kobietę. Nic dziwnego, że ukryli dziecko”. Sheila nie była zaskoczona, kiedy usłyszała o agresywnym zachowaniu Lirogona w klubie. „Nie jest taka słodka, jaką udaje. To farbowany ptak, żaden lirogon. Kłamczucha, jak jej babcia i matka”.

Laura nie może oddychać. Nie może wydać dźwięku. Czyta wszystko jeszcze raz, jej ukochana Gaga i mama są rozkładane na czynniki pierwsze

teraz, kiedy już od dawna spoczywają w grobach. Ich tajemnice wyciągane są na światło dzienne, wstrętne, obrzydliwe kłamstwa, którym tak bardzo starały się przeciwstawić. Nikt nie napisał o ich sile ducha ani o radości i szczęściu panujących w ich domku.

To wina Laury. To ona sprowadziła na nie tę hańbę. Powinna była pozostać ukryta w lesie.

## 32

– Wydaje mi się, że jest w szoku – stwierdza Selena, śpiewaczka operowa. Przesiąknięta jest dymem z papierosów, bo właśnie wróciła z ogrodu, gdzie co godzina wypala mentolowego i myśli, że nikt tego nie zauważa.

Półfinały *StarrQuest* dobiegły końca, wszyscy, którzy przeszli do finału, są już w domu, ostatni dotarli późno w nocy: Sparks, dziewiętnastoletni magik, oraz Kevin, młody i przystojny piosenkarz country. Chociaż tylko jeden z nich mógł wejść do finału, głosy były podzielone, bo obaj ujęli publiczność. Jack w chwili słabości nie mógł się zmusić do wybrania jednego z nich i przepuścił obu. Był to program pełen napięcia i łez. W wyniku jego sentymentalnej decyzji w finale w przyszły weekend będzie sześć numerów, a wszyscy przez tydzień będą mieszkali razem i szykowali finałowy występ. Teraz pięciu finalistów okrąża łóżko Laury; widzą, że zwinięta w pozycji embrionalnej dziewczyna wpatruje się w przestrzeń i na nic nie reaguje.

– To na pewno szok – uznaje Brendan z duetu cyrkowego Alice i Brendan. – Jeżeli dla mnie jest to wariactwo, to wyobraźcie sobie, jak się czuje ona.

– A ja to uwielbiam! – odzywa się Kevin, piosenkarz country. Zasłynął utworem skierowanym do swojej sekretnej ukochanej, wyznając jej swoją miłość, co poskutkowało pięciuset tysiącami wyświetleń na YouTube. Sentymenty sentymentami, ale jest na tyle popularny, że Jack w końcu dopuścił go do finału. Kevin natomiast przeniósł swoje uczucia z opiewanej miłości na Alice, połówkę duetu cyrkowego Alice i Brendan.

– Czy ona nas słyszy? – pyta głośno Alice. – Może miała wylew albo załamanie nerwowe i nie słyszy nas.

– Oczywiście, że nas słyszy – odpowiada Alan. – Po prostu nie chce

odpowiadać.

– Ty pieprzona idiotko! – wyżywa się Mabel.

– Hej, przestań! – Kevin broni swojej damy.

– A ty wyrób sobie poczucie humoru – warczy na piosenkarza country Brendan, który od dawna kocha się potajemnie w swojej partnerce gimnastycze. Poznali się, kiedy miała czternaście lat, a on dwadzieścia cztery; zawsze wydawało mu się niewłaściwym wyznać, co do niej czuje, skoro znał ją niemal od dziecka. Ale ona ma teraz dwadzieścia dwa lata, a on trzydzieści dwa, więc w zasadzie nie byłoby przeciwwskazań, gdyby nie ten country ćwok, który stanął mu na drodze.

– Zauważyliście, że w ogóle nie wydała głosu? – pyta Selena.

– Nie jestem, kurwa, głucha – mówi Mabel.

– Nie chodzi mi o słowa – wyjaśnia śpiewaczka, zwracając się do Mabel. Wszyscy traktują lalkę jako jeszcze jednego członka zespołu, tak silną ma osobowość, a Alan nie ma nad nią kontroli. – Nie wydaje tych swoich dźwięków.

Przyglądają się Laurze zwiniętej na łóżku, która wpatruje się w ścianę jakby nieświadoma obecności otaczających ją uczestników programu. Nie dochodzą od niej w ogóle żadne odgłosy: to niezwykle jak na nią.

Alice jest tym wyraźnie zachwycona. Mniejsza konkurencja.

– Jak w kryminale. – Chichocze. – Kto z nas ukradł Lirogonowi głos? Na pewno nie ja.

– To oni – mówi Alan, patrząc na gazety porzucane wokół łóżka. Podnosi otwarty tabloid z artykułem „Gniazdo Lirogona” o tym, jak matka i babcia Laury były – rzekomo – odpowiedzialne za śmierć jej dziadka. Został opublikowany wczoraj, ostatniego dnia półfinałów *StarrQuest*, na pierwszej stronie. Laura prawie się nie odzywała od rozmowy z Alanem przed czterema dniami; w ten stan wpadła po przeczytaniu tekstu. Martwi się o nią. Składa gazetę i wciska pod ramię, narasta w nim gniew – zamierza zniszczyć to pismo, by nigdy więcej go nie zobaczyła. Kolejny tabloidowy artykuł w jeszcze jednym szmatławcu zdradza kulisy słynnej sesji zdjęciowej Laury z lirogonem w Melbourne – wspaniały ptak został brutalnie wsadzony do klatki w celach marketingowych. Obok ptaka w klatce wielkie zdjęcie

Laury, na które zareagowali z furią obrońcy zwierząt.

– Powinniśmy zadzwonić do producentów – mówi nerwowo Sparks.

– Nie – odpowiada szybko Alan. – Nic im nie powiemy. To oni ją w to wpakowali. Jeśli będą musieli, postawią ją w tym stanie na scenie.

– A Bianca? Parę dni temu dzwoniła z wiadomością, żeby Laura zatelefonowała do jakiegoś faceta. Zostawiła numer, ale Laura ledwo na niego spojrzała.

– Musimy rozmawiać tylko z tymi ludźmi, którzy jej pomogą – stwierdza Alan, ignorując to, co usłyszał. – A terapeuta, o którym nam mówili?

– Larry – podpowiada Sparks. Wszedł do finału dzięki swym niesamowitym sztuczkom z kartami, ale zaczęły drzeć mu palce i nie mógł tego opanować. Dzisiaj rano miał z Larrym trzygodzinną sesję terapeutyczną.

– Dobry jest? – pyta Seleną.

– Pokaż ręce – wtrąca się Mabel, a Alan spogląda na nią potępiająco za tę niewłaściwą uwagę.

– Przepraszam – mówi do Sparksa w imieniu Mabel.

– W porządku – odpowiada Sparks, chwilowo zapominając, że Mabel to Alan. – Ściągniesz jej tego terapeuta?

– Tak.

– Super.

– Na Sparksa można liczyć – stwierdza Mabel, gdy tylko Sparks wychodzi z pokoju. – Twardy jak mały kto.

Pozostali uśmiechają się, potrząsają głowami, by nie wybuchnąć śmiechem.

Alan znowu napomina Mabel.

Laura ich słyszy. Oczywiście, że ich słyszy. Jest im wdzięczna, że tak się przejmują, ale cieszy się jeszcze bardziej, gdy wreszcie wychodzą z jej pokoju. Po ich wyjściu siada spanikowana. Prawdą jest, że nie czuła, iż coś naśladowe, nie słyszała tego – oczywiście nie zawsze była tego świadoma, ale teraz jest pewna, że mają rację. Nie wydała żadnego dźwięku. Nie myślała o swojej przeszłości – żadnych szczęśliwych, smutnych czy w ogóle



jakichkolwiek wspomnień. Czuje się zbyt otępiała, by wrócić do choćby jednej chwili jej życia gdzie indziej niż tu i teraz, a teraz jest niczym. Wszystko inne jest zbyt bolesne. Jej umysł jest kompletnie pozbawiony wspomnień, myśli i uczuć. Tylko tu i teraz. Potem panika mija, ogarnia ją spokój.

Jeżeli będzie milczała, świat może będzie milczał wraz z nią. A to oznacza dla niej wolność.

### 33

Frustracja Solomona sięga szczytu. Nie mogą kręcić dokumentu o Lirogonie ze względu na ograniczenia nałożone przez *StarrQuest/StarrGaze Entertainment*, nad którymi pracuje ojciec Bo, wpływowy adwokat. Kontakt mają wyłącznie z zespołem prawników *StarrGaze Entertainment*, do Laury w ogóle nie mogą się dostać. Ojciec Bo pytał już, czy Mouth to Mouth zamierza wytoczyć proces Lirogonowi.

Solomon był zachwycony i odczuł wielką ulgę, gdy usłyszał, jak Bo odpowiedziała stanowczo: „Nie”.

Cała ta sytuacja to jeden wielki bajzel, a w rzeczywistości ten dokument w ogóle go nie obchodzi, obchodzi go tylko spotkanie z Laurą. Czuje się jak nałogowiec, potrzebuje jej, im bardziej pragnie się z nią zobaczyć, im bardziej wszyscy mu odmawiają, zatrząskują przed nim drzwi i odkładają telefony, tym bardziej jej pożąda. Seria *Groteskowych ciał* została zakończona, nic innego nie ma do roboty. Nie chce siedzieć w mieszkaniu z Bo i czekać, aż się coś wydarzy. Ich życie zawisło w próżni i to mu uświadamia, jak znaczna część ich bytu jest zależna od tego projektu. Gdyby go zabrakło, nie zostałyby im nic. Rozmawiają tylko o Laurze: jaka jest fascynująca i jak ją odzyskać. Jak o dziecku, które im odebrano. Doprowadziły do tego chciwość Bo i naiwność ich obojga. Kiedy Laura była z nimi, rozdzieliła ich, a teraz, gdy jej nie ma, stanowi łączącą ich więź, bez niej i rozmów o niej nie mają niczego, życie straciło swój blask.

W tym tygodniu miał siedzieć w Dublinie, by skontaktować się z Laurą, pojechać do domu, postarać się dotrzeć do niej przez Biancę (Laura nie zadzwoniła do Solomona, chociaż Bianca podobno ją o to prosiła). Nie ma pewności, czy Bianca w ogóle te wiadomości przekazuje. Kiedy ostatnie

próby zawiodły, Solomon nie wytrzymuje już w domu z Bo, czuje się podle. Ich zawodowa aktywność wisi w próżni, ich związek wisi w próżni. Chce natychmiast pojechać do Galway i stłuc Rory'ego na kwaśne jabłko. Planuje to od wtorku rano, kiedy w gazetach pojawiły się wiadomości o rozrywkowej nocy Laury ze złośliwą mordą jego najmłodszego brata niemal na każdej stronie. Rozkoszował się myślą, jak go załatwi, a teraz jest już gotów to zrobić.

Trzygodzinna podróż samochodem nie uciszyła jego gniewu, przeciwnie, jeszcze go wzmogła. Ma czas zastanowić się nad tymi wszystkimi zdjęciami, które prasa wywleka, ile razy pojawia się imię Laury. Laura potykająca się i przewracająca. Rory śmiejący się z Laurą.

Jest sobota. Dzwoni do Marie, by zapytać, czy jego brat jest w domu. Rory pracuje z tatą, obaj zawsze wracają do domu na obiad. Solomon jest spokojny; jest pewien, że mama nie zauważyła, że jest już w drodze, że jedzie w odwiedziny. Ale ona zna go dobrze. Kiedy dociera do domu, są tam rodzice, bracia Cormac i Donal i siostra Cara. Cały komitet powitalny siedzi przy kuchennym stole.

– Co się dzieje? – pyta Solomon ze złością.

Marie spuszcza wzrok na swoje dłonie, a potem z poczuciem winy kieruje oczy na ścianę. W końcu nie wytrzymuje jego spojrzenia i przechodzi przez kuchnię, żeby napełnić czajnik. Herbata. Odwrócenie uwagi.

– To na wypadek napadu szału – żartuje Donal, ale Solomonowi nie jest do śmiechu. Przyjechał tu skopać komuś tyłek, a nie strzępić język. Czekał na to od kilku dni, o wiele za długo, parę godzin siedział w aucie, rozpiera go energia, musi ją wyładować.

– Gdzie on jest? – pyta Solomon, nawet nie próbując ukryć, po co przyjechał.

– Pogadajmy najpierw – proponuje tata.

– Gdzie ten mały skurwiel? – warczy. – Spójrzcie na siebie, jego obrońcy, jak zwykle. Mały tchórz nigdy nie musiał odpowiadać za bałagan, jakiego narobił, nigdy, przez całe życie. I spójrzcie, do czego doprowadziło to skakanie koło niego. Siedzi w domu u mamusi i tatusia, codziennie obiadek. Z całym szacunkiem, mamó, ale to rozpuszczony gówniarz. Zawsze taki był.

Mama wygląda na nieszczęśliwą.

– Kochanie, jemu jest bardzo przykro z powodu tego, co się stało. Gdybyś go zobaczył...

– Słucham? – Solomon wybucha gniewnym śmiechem. – Nie ma sprawy. Powiedz mi, gdzie jest, a sam się przekonam, jak bardzo jest skurwielowi przykro.

Marie się krzywi.

– Dość – mówi ojciec surowo.

– Solomon, przecież to kretyn – zaczyna Donal dyplomatycznie. – Wszyscy o tym wiemy. Schrząnił sprawę, ale nie chciał tego. Nie miał pojęcia, w co się pakuje.

– Słuchajcie. – Solomon opanowuje się i wpatrując się w nich intensywnie, usiłuje wytłumaczyć: – On zrujnował jej życie. Ogólnie mówiąc, zniszczył jej reputację na całym świecie. Nie miała zupełnie nic, mieszkała na swojej górze, nie znała nikogo, nikt nawet nie wiedział, że istnieje, a potem nagle wszyscy się o niej dowiedzieli. Miała szansę... – Wściekłość znowu w nim wzbiera, poskramia ją z wysiłkiem. – Nigdy wcześniej nawet nie piła alkoholu. Ani razu.

Marie wydaje się przejęta.

– A on ją zabrał do pubu. A potem do klubu. Do jakiegoś klubu dla celebrytów, użył jej jako biletu, żeby tylko móc wejść do środka. Nic go nie obchodziła, liczył się tylko on. Darmowy wyjazd do Dublina, czego chcieć więcej? Ani razu do mnie nie zadzwonił. Mógłbym mu pomóc. Otoczyli ich fotoreporterzy, ona ledwo trzymała się na nogach, a on co? Zabrał ją na imprezę. Pozwolił, żeby ludzie robili jej zdjęcia, jak wymiotuje, przewraca się, zasypia. Gdzie on, kurwa, był? Powinien był jej pilnować. Był za nią odpowiedzialny.

W zasadzie przemawia teraz do siebie. To on był za Laurę odpowiedzialny, wiedział o tym. Pozwolił jej się wyslizgnąć, dopuścił do tego. Stłucze Rory'ego na miazgę za własną nieodpowiedzialność.

– Nie mogę tego słuchać – odzywa się nagle Rory; Solomon obraca się w miejscu, by spojrzeć mu w twarz. – W jakich czasach ty żyjesz? Ona jest dorosła, Sol, nie trzeba jej pilnować.

Solomon zaciska pięści. Wybiera na przystojnej twarzy Rory'ego miejsce, w które ma zamiar uderzyć. Nie śpieszy się, cieszy się chwilą. Słyszy, jak krzesła się odsuwają, szurając po terakocie. Jego bracia i Cara wstają. Wyczuwa ich za sobą.

– Rory – odzywa się ojciec. – Zrobiłeś źle i dobrze o tym wiesz. Przyznaj to, przeproś Solomona i dajmy już z tym spokój. Zachowujcie się jak mężczyźni.

– A dlaczego mam go przeproszać? Co on ma do Laury? To z Laurą powinienem rozmawiać.

– Nigdy więcej jej nie zobaczysz – warczy Solomon.

– Ty też nie, śmiem powiedzieć – mówi Rory z uśmiechem. Wpatrują się w siebie groźnie.

Rory patrzy na pięść Solomona.

– I co zrobisz, przyłożysz mi? – Uśmiecha się złośliwie. Solomon przypomina sobie małego chłopca, który drwił z jego wady wymowy, z jego jąkania się, z niewymawiania „r”. Czuje nieopanowaną wściekłość, nienawiść tak silną, że przeraża go, do czego byłby w tej chwili zdolny. Chce mu zrobić krzywdę, ale nie chce go przy tym wykończyć.

– Rory, przeproś Solomona, już – żąda Marie, a Solomon czuje się znów jak dziecko.

– Przepraszam – mówi w końcu Rory. – Naprawdę. Nie przyszło mi do głowy, że może się tak zaprawić. A do ciebie nie dzwoniłem, bo ona nie chciała.

Serce Solomona bije jeszcze szybciej. Wszystko, co mówi Rory, ma na celu sprowokowanie go do rozkwaszenia mu gęby. Wtedy to Solomon będzie winny i wszyscy pośpieszą Rory'emu na pomoc.

– Ona ma imię.

– Lirogon. – Rory przewraca oczami. – Lirogon. Mówiła, że nie chce, żebym do ciebie dzwonił.

– Ma na imię Laura – mówi Solomon przez zaciśnięte zęby. – Kurwa, nawet nie wiesz, jak ma na imię.

– Nie wiedziałem, dokąd ją zabrać – ciągnie swoje fałszywe przeprosiny. –

Nie chciała iść do hotelu, do ciebie nie mogła. Skoro się pokłóciliście i musiała się wyprowadzić, to przyjąłem od paru osób uprzejmą ofertę pomocy. Dziewczyny na imprezie się nią zajęły, myślałem, że jest w dobrych rękach. Naprawdę nie wiedziałem...

Zachowanie Rory'ego kłóci się z tonem jego głosu. Solomon czuje obecność swoich braci tuż za sobą.

– Oczywiście wszyscy wiemy, że nie byłoby tej całej awantury, gdyby Solomon nie był zazdrosny o to, że zabrałem Laure na drinka.

– Przestań – zabiera głos Marie.

– Podajcie sobie ręce – mówi ojciec.

Rory wyciąga dłoń, Solomon ją przyjmuje. Chce go przyciągnąć do siebie i walnąć go z byka. Złamać mu ten głupi nos. Uścisk Rory'ego jest mocny i silny jak na jego posturę; zawsze musiał uciekać się do różnych taktyk, by przetrwać, by przyciągnąć uwagę rodziny, zostać przez nią dostrzeżony i wysłuchany. To, że wszyscy są przeciwko niemu, jest dla niego poważną sprawą. Nawet jeżeli teraz tego nie okazuje i wydaje się całkiem spokojny, Solomon jest przekonany, że to są tylko pozory. Zdaje sobie sprawę, że jest to dla Rory'ego sytuacja najgorsza z możliwych, cała rodzina zmusza go do przeproszenia Solomona, a on ma świadomość, że zawinił. Nagle Solomona zaczyna ta świadomość cieszyć, pozwala Rory'emu myśleć, że go przechytrzył, a w rzeczywistości okazał swoją słabość. Solomon czuje, jak opada napięcie.

Może Rory zauważa, że wściekłość Solomona słabnie i że to on jest na przegranej pozycji, bo sięga po ostateczny argument.

– Ale niezła z niej dupa – mówi ku zgorszeniu matki i oburzeniu ojca.

Rory puszcza rękę brata. Solomonowi zasycha w gardle, serce bije szaleńczo, tak jak plemienny bęben wzywający na wojnę.

Potem Solomon dostrzega, jak czyjaś pięść zakreśla łuk w powietrzu i spada na twarz Rory'ego. Rory się chwieje. Pięść nie należy do Solomona, to pięść Cormaca. Starszego brata, tego odpowiedzialnego. Wszyscy patrzą na niego, zaskoczeni, nikt nie próbuje pomóc Rory'emu, który leży teraz na podłodze, w końcu jednak piskliwy krzyk Cormaca skłania ich do działania.

– Chyba złamałem palce! – piszczy.

Rory siada obolały, trzymając się za głowę.

– Kto wali w czoło?

Cara zanosi się śmiechem. Chwyta aparat i zaczyna robić zdjęcia.

Wieczorem tego samego dnia bracia i Cara siedzą w ogrodzie przy okrągłym stoliku ogrodowym i piją piwo z butelek. Marie ignoruje wszystkich, karząc ich milczeniem za niewłaściwe zachowanie, a ojciec wspiera żonę, postępując podobnie, chociaż nikt nie ma wątpliwości, że najchętniej by do nich dołączył.

Cormac ma rękę na temblaku. Dwa palce są złamane; dzięki kombinacji środków przeciwbólowych i alkoholu starszy brat uchodzi za atrakcję wieczoru.

Rory siedzi daleko od Solomona, na czole ma guza wielkości przepiórczego jaja. Chmury burzowe spełniły swoją obietnicę: po deszczu wszystko jest nasiąknięte wodą, trudno znaleźć suche miejsce do siedzenia. Solomona dręczy jedno: czy Rory spał z Laurą? Jest niemal pewien, że Rory to wymyślił, by go wkurzyć (i to mu się udało), ale nie może o tym zapomnieć. Na szczęście Cara przychodzi z pomocą.

– Wiesz co, Rory, jeżeli spałeś z Laurą, to będziesz musiał odpowiedzieć na kilka pytań policji.

– Co? – wrzeszczy Rory. – O czym ty gadasz?

– Jest jeszcze coś takiego jak zgoda, pewnie to słowo nie jest zbyt dobrze ci znane... – wyjaśnia Cara. – Chodzi o to, żeby kobieta powiedziała „tak”. Tak się teraz robi. Większość mężczyzn uprawia seks z kobietami, które nie są całkiem nieprzytomne. Z kobietami, które są w stanie zobaczyć ich twarze. Rozumiem, że ty masz inne zwyczaje, ale...

– Cara, zamknij się, kurwa.

Cara mruga do Solomona.

– Poważnie, wszyscy widzieliśmy te zdjęcia. Cały świat je widział. Nie była w stanie zrobić równego kroku. Jeżeli zabrałeś ją na tę imprezę i zrobiłeś, co powiedziałeś, że zrobiłeś, możesz mieć poważne kłopoty.

Rory przygląda się im, ignorując Solomona.

– Oj, daj spokój. Jasne, że z nią nie spałem, ledwo pamiętała własne imię. Całą noc rzygała.

Ulga, którą odczuwa Solomon, jest wręcz przytłaczająca, ale serce mu się kraje na myśl o Laurze, o tym, przez co musiała przejść.

– Rory miał jednak rację co do jednego – bełkoce Cormac.

– Zaczyna się – krzywi się Donal.

– Hej, posłuchaj mnie.

Uspokajają się.

– Solomon, jest jasne jak na dłoni, że jesteś zadurzony w tej dziewczynie. – Słowo „zadurzony” udaje mu się wypowiedzieć dopiero po kilku próbach, ale jest zdecydowany go użyć. – A chociaż Rory zrobił źle, nie byłbyś taki wściekły, gdybyś nic do niej nie czuł.

– Cormac Fallon, naczelny psycholog Spiddal – zbywa go śmiechem Solomon.

– Coś w tym jest – zauważa Donal.

– Szkoda, że ona lubi nie tego brata – wtrąca się Rory, a Cormac wali go w łeb.

– Odwal się, i tak mnie boli.

– To się zamknij – mówi Cormac.

Chichoczą, śmieje się nawet Rory. To zachowanie jest tak niepodobne do ich najstarszego brata.

– Bo... – ciągnie Cormac, marszcząc brwi – ...nie jestem przekonany co do ciebie i Bo.

– A ja nie jestem przekonany co do ciebie i Madeleine – odpowiada szybko Solomon; obraża się, pociąga łyk piwa.

Pozostali mówią „ooo” i obserwują ich z zainteresowaniem.

– Masz rację – odpowiada poważnie Cormac, co wywołuje uśmieški u zaskoczonych słuchaczy. – Czasami ja też nie jestem przekonany co do mnie i Madeleine.

Rory bierze telefon i zaczyna filmować.

– Przestań, nie bądź kutasem – mówi Cara, trzepiąc go po karku. Rory upuszcza telefon.

– Madeleine jest... – ciągnie Cormac – czasami jej nawet nie lubię.

Wszyscy się śmieją, a Cormac usiłuje ich uciszyć.

– Ale... ale... słuchajcie. Często jest najbardziej wkurzającą kobietą na świecie. I mam ochotę ją udusić. Albo zostawić. Ale nawet w najgorszych chwilach, a mieliśmy ich dużo, zwłaszcza ostatnio... ta cała pieprzona menopauza... Gdybym mógł od niej odejść, dopóki to wszystko się nie skończy, tak bym zrobił. Poważnie.

Pokładają się ze śmiechu, ale Cara kręci głową.

– Nie do wiary.

– Ale nie mógłbym. Bo może Madeleine nie lubię, ale ją, kurwa, Kocham.

Być może były to, na swój pokrętny sposób, najbardziej romantyczne słowa, jakie ktokolwiek z nich kiedykolwiek wypowiedział.

– No, gdzie ja byłem? – Usiłuje skupić się na Solomonie, zamykając dla ułatwienia jedno oko. – Ty i Bo. Nie wydaje mi się, żebyście do siebie pasowali. Nie jesteście dobrze dobrani.

– Z całym szacunkiem, Cormac, jestem ci bardzo wdzięczny, że ci na mnie zależy – mówi cicho Solomon – ale czy Bo i ja jesteśmy dobrani, to tylko nasza sprawa.

– Oczywiście! – Cormac gwałtownym gestem unosi ręce, rozchlapując zawartość butelki. Wyciąga rękę i dźga ociekającym piwem palcem w pierś Solomona. – Ale czy ty uważasz, że jesteście dopasowani? Solomon, bracie, to jest życie, nie ma nic złego, żadnego wstydu w przyznaniu, że coś nie działa. Uciekaj, póki możesz. – Macha lekceważąco ręką. – Nie wiem, na co jeszcze czekasz.

Następnego dnia Solomon, walcząc z potężnym kacem, wraca do Dublina; myśli o tym, co powiedzieli mu Cormac i reszta rodzeństwa.

Wczoraj wieczorem to wszystko miało sens – zerwie z Bo. Cara nauczyła go właściwych słów, rozmawiali do wschodu słońca, ale w zimnym i trzeźwym świetle dnia to go przeraża.

Włącza radio, żeby zająć myśli czymś innym.

– Wiadomości ze świata rozrywki: nie ma potwierdzenia, czy Lirogon pojawi się na scenie w finale *StarrQuest*. Uczestniczka, której prawdziwe



imię i nazwisko brzmi Laura Button, miała dwieście pięćdziesiąt milionów wyświetleń w mediach społecznościowych po pierwszym występie w eliminacjach, ale w poprzedni weekend w gazetach pojawiły się doniesienia o szalonym wieczorze w nocnym klubie, co wywołało lawinę niekorzystnych opinii medialnych. Oto wypowiedź Jacka Starra podczas dzisiejszej konferencji prasowej z finalistami: „Wszyscy mamy wielką nadzieję, że Lirogon wystąpi. Oczywiście decyzja należy do niej, a my wszyscy w *StarrQuest* jesteśmy gotowi zapewnić jej niezbędne wsparcie i zachętę”.

– A inny finalista, Alan, z popularnego duetu Alan i Mabel, co ma do powiedzenia na temat Lirogona...

– Laura jest w porządku. – To Alan. – Nic jej nie dolega. Jest tylko wyczerpana emocjonalnie, fizycznie i umysłowo. Dla nas wszystkich było to kilka niezwykłych dni, więc nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak ona to zniosła. Myślę, że potrzebowała tylko trochę odpoczynku, prywatności, żeby mogła poradzić sobie z tym, co ją spotkało, bo wcześniej niczego podobnego nie doświadczyła.

– A sensacyjną noc Lirogona, która znalazła się na pierwszych stronach gazet całego świata, Alan komentuje tak: „Laura wysiadła z samolotu z Australii. Była tam tylko dwa dni i miała bardzo napięty grafik; po powrocie prosto z lotniska zawieziono ją na próby do półfinału, który wygrała; pierwszy raz w życiu wypija parę drinków. Miała chyba prawo uczcić swój sukces. W tym klubie nie zrobiła niczego złego, było to nieporozumienie, potrzebowała pomocy i wsparcia, a zamiast tego ludzie ją wykorzystali. Była to dla niej surowa lekcja”.

– Czy Lirogon wystąpi w finale?

– Mam nadzieję – mówi Alan.

– Naprawdę? Przecież to twoja najpoważniejsza konkurentka. Oboje jesteście faworytami.

– To najbardziej urocza i utalentowana osoba, jaką znam. Mam nadzieję, że wyjdzie na scenę i udowodni, że uczciwie zasłużyła na poklask, mam nadzieję, że wygra.

– A my dzięki temu jeszcze bardziej kochamy niesamowity duet Alan i Mabel. Czy Lirogon stracił głos? Dowiemy się tego już w finale *StarrQuest*!

Solomon przejeżdża przez trzy pasy, by zjechać na pobocze, przy akompaniamencie klaksonów wściekłych kierowców. Nakłada kamizelkę odblaskową, otwiera okno i oddycha głęboko. Nigdy w życiu nikogo tak bardzo nie pragnął i nie potrzebował.

## 34

Kiedy Laura postanowiła zamknąć usta, odseparowała się od wszystkich wokół. Od pozostałych uczestników, z którymi mieszkała, od Curtisa, którego nie chciała widzieć, od Bianki, z którą nie chciała rozmawiać, a nawet od Solomona, o którym ze wstydu nawet nie odważyła się myśleć, no i od Bo, gdyż zgodnie z poleceniem StarrGaze Entertainment miała zakaz kontaktowania się z wszelkimi mediami aż do odwołania.

Mimo protestów Bo, mimo jej prób przekonania Jacka, najpierw prośbami, potem groźbami zawartymi w listach prawników, nie udaje się nic zrobić. Bo nie może dostać się do Jacka, Curtis blokuje wszystkich i wygląda na to, że *StarrQuest* wpadło w panikę teraz, gdy cały świat na nich patrzy – byli zadowoleni, kiedy Lirogon przyciągał setki milionów widzów online, ale teraz już nie są. Negatywne opinie przeniosły się z Lirogona na *StarrQuest* i StarrGaze Entertainment. Obrywają ze wszystkich stron: artykuły w gazetach, panele dyskusyjne w telewizji, gdzie debatuje się, czy program zawiódł swoją gwiazdę. Czyż w końcu nie byli za Lirogona odpowiedzialni? Czyż tak naprawdę nie przyłożyli ręki do tego, co się stało? Czyż nie powinni staranniej dobierać uczestników – wymagać testów psychologicznych, zapewniać pomoc terapeuty przed eliminacjami, w ich trakcie i po nich oraz w czasie występów na żywo? Czy programy wyszukiwania talentów nie powinny w większym stopniu odpowiadać za stan psychiczny swoich uczestników?

Jack Starr udziela wywiadów CNN, Sky News i całemu światu, wyjaśniając, jak bliskie więzi go łączą z uczestnikami, że ich dobro jest zawsze stawiane na pierwszym miejscu.

– Nikt nie był w stanie przewidzieć skutków pierwszego występu Lirogona, nikt nie mógł być na to przygotowany. Nikt nigdy nie jest w stanie przewidzieć, jak zachowa się osoba, gdy nagle z dnia na dzień znajdzie się w centrum uwagi całego świata. To nowe doświadczenie dla wszystkich, wszyscy też ponosili

i ponoszą odpowiedzialność: program, media, społeczeństwo, publiczność, także ona sama. To była rzecz bez precedensu. Jej talent jest olbrzymi, chciałbym oszlifować ten talent i jego właścicielkę. Chcę was zapewnić, że tak właśnie działamy. To jest rozrywka. Jeżeli zabraknie w niej radości, to po co ona? Wiele razy pytaliśmy, czy Lirogon życzy sobie kontynuować. Decyzja, czy ma dalej występować w *StarrQuest*, czy też nie, należy tylko do niej, my nie wywieramy na nią w tej sprawie żadnego nacisku.

– Jack, czy nie powinien pan, z uwagi na pana doświadczenie w branży muzycznej, być lepiej przygotowany na konsekwencje, jakie może przynieść artyście nagła sława? Czyż nie po to mają takiego mentora jak pan, kogoś z dogłębną znajomością pozytywnych i negatywnych stron tej branży?

Jack wpatruje się w dziennikarza bez słowa, jest zszokowany. Nie wie, co odpowiedzieć. Zaskoczenie, świadomość, poczucie winy – wszystko to pojawia się jednocześnie na jego twarzy.

– Czy Lirogon wystąpi w finale?

Jack w końcu jakoś się opanowuje.

– Lirogon ma wielu stronników, ale też wielu krytyków. Powinna im udowodnić, że nie mają racji, i zrobi to.

Laura wyłącza w swoim pokoju telewizor; zapada cisza. Dobrze się czuje w tym pokoju. Jak w kokonie. Bezpiecznie. Zasłony są zaciągnięte w dzień i w nocy, całość utrzymana jest w bladych, neutralnych kolorach, wnętrze w niczym nie przypomina jej domku w Cork: jest skąpo umeblowane, nie ma się wrażenia, że ktokolwiek tu kiedykolwiek mieszkał, że dom należy do kogoś. Brak oznak indywidualności, nie licząc huśtawki i zjeżdżalni w ogrodzie. Laurze odpowiada ten brak indywidualności. Kremowy z beżem, jasny włochaty dywanik. Zwija się znowu pod kołdrą i zamyka oczy. Nasłuchuje swoich dźwięków, ale żadne nie nadchodzą.

Absolutnie żadne.

## Część 3

*Pierwsze pióra, które zrzuca samiec w czasie pierzenia się, to dwa delikatne, wąskie, przypominające druty pióra w kształcie liry, które po rozłożeniu ogona unoszą się i zawsze zachowują kąt ostry w stosunku do pozostałych piór prezentowanych przez ptaka...*

*Kiedy wypadną wszystkie pióra z ogona, zwykły obserwator z trudem odróżni przez kilka tygodni samca od samicy. W tym okresie samiec trzyma się na uboczu. Nie pojawia się tam, gdzie pojawiał się zazwyczaj, a jego śpiew rzadko słychać... Nigdy nie tańczy i rzadko śpiewa... Poza tym sprawia wrażenie smutnego i zrezygnowanego. Szczegółowe badania wykazały, że samiec lirogona skromnego jest stworzeniem niezwykle dumnym i próżnym, który, pozbawiony swojej wspaniałości, czuje się zawstydzony i nieszczęśliwy i najchętniej się ukrywa.*

*Ambrose Pratt, Wspaniałość lirogona  
(The Lore of the Lyrebird)*

Bo siedzi sama w mieszkaniu, patrzy na zegar. Solomon jeszcze nie wrócił z Galway, nawet nie zadzwonił. Ona do niego też nie telefonowała. Nie jest pewna, czy wraca dzisiaj, czy jutro. Nie jest pewna, czy ją to obchodzi. Ostatnio zabrakło im miłych słów, dla niej jest jasne, że dotarli do końca. To nie była tylko przeszkoda na drodze – takie istnieją po to, by zmusić do zwolnienia tempa, zastanowienia się, uporządkowania tego, co się dzieje. Nie, tym razem dotarli do wielkiego znaku STOP z nakazem zatrzymania się. Dalej już nie ma ruchu.

Siedzi przy stole, w głowie jej się kręci, rozmyśla nad tym, co zostało z jej życia. Dokument rozpadł się totalnie, Bo nie chce wnosić oskarżenia przeciw Laurze, jak sugerował ojciec – nigdy nie miała takiego zamiaru. Musi iść dalej, tyle wie. Ale jak? Wstyd to nie jest najgorsze, co ją spotkało. Reputacja trochę ucierpiała, ale nie szkodzi. Tylko nie jest w stanie zmusić się do rozpoczęcia następnej opowieści, dopóki nie skończy tej. Bez względu na to, co myśli o niej Solomon, Bo włożyła naprawdę dużo serca w historię Lirogona.

Dzwoni telefon, kiedy widzi numer, jej serce skacze. Odkąd wdała się w związek z Solomonem, Jack zawsze dzwonił w chwilach jej największych słabości – jakby wyczuwał, kiedy jest najbardziej bezbronna, kiedy on ma największą szansę, by dopuściła go bliżej. Odkąd zaczęła się afera z Lirogonem, modliła się, żeby znowu zaczął do niej telefonować.

– Halo.

– Cześć – mówi Jack, w jego głosie słychać porażkę.

– Jak to miło, że wreszcie oddzwoniasz. – Nie może powstrzymać się od złośliwości.

Jack wzdycha.

– Bo, pomocy!

Jest zaskoczona jego tonem: u niego to rzadkość.

– Ostatnie parę dni było zwariowanych. Naprawdę wielki stres. Jestem wykończony, Bo – mówi, po czym urywa. – Myślałem, że się nauczyłem czegoś na własnych błędach, że wiem, jak pomagać młodym zdolnym. Myślałem, że dopilnuję, żeby nie stało się z nimi to, co ze mną. Myślałem... – Wzdycha. – Zawaliłem sprawę. Przyznaję. Pieprzyć prawników. Pieprzyć to wszystko. Potrzebuję twojej pomocy.

– Mojej pomocy?

– Lirogonka już któryś dzień nie wychodzi z pokoju. Nie powiedziała słowa do nikogo, nie wydała ani jednego dźwięku. Bez niej nie ma finału. Nie możemy jej zmusić, za bardzo nam teraz patrzą na ręce. Wszyscy patrzą. Czekają tylko, aż wszystko spierdolimy, aż ona wszystko spierdoli. Kiedy tu przestało chodzić o jej talent? I w sumie to nawet jej się nie dziwię. Byłem już w miejscu, w którym ona jest teraz.

Bo jest zaskoczona, spodziewała się kłótni.

– Potrzebujemy twojej pomocy. Znasz ją lepiej niż my. Co mamy robić?

– Dałam ci radę co do półfinału, mówiłam ci, żeby wziąć las za temat, powiedziałam ci szczegółowo, co robić, a ty to spieprzyłeś.

– Wiem, wiem, przepraszam – mówi. – Spieprzyliśmy to równo. Byłem z siebie bardzo dumny, że opiekuję się talentami, a tu coś takiego. Wiesz co, ona mi przypomina mnie samego, właśnie teraz, tam gdzie byłem, kiedy wszystko mi uciekło. Jakbym tam powrócił... – Milknie. – Nie zamierzam się upić – mówi takim tonem, jakby przekonywał samego siebie. – Na pewno nie. Ale wypaliłem papierosa. Mam nadzieję, że to nie osłabi moich szans... – kończy słabym dowcipem, bez przekonania.

– Możemy się spotkać? – pyta Bo, prostując się, czuje, jak wraca do niej cała utracona energia. Martwi się o niego, ale też cieszy się, że znów będzie w grze. Nareszcie jakiś kontakt.

– Proszę. – Jack wzdycha. – Potrzebna nam każda pomocna dłoń. Ja potrzebuję pomocnej dłoni.

– Zrobię, co się da – stwierdza Bo; wstaje, łapie różne rzeczy, wrzuca je do torebki. – Ale na początek jedna rada.

– Mów.

– Zacznij nazywać ją Laura – mówi cicho.

– Tak. Jasne.

## 36

Laura budzi się nagle, serce jej wali mocno, w uszach rozbrzmiewa świergot. Jakby miała koszmarne sen, którego nie pamięta, ale w sercu i w piersi czuje panikę. Coś ją wystraszyło. Słyszy, jak na dole rozmawiają i śmieją się uczestnicy, piją po ostatnim dramatycznym wydarzeniu, w wyniku którego jeden finalistą musiał odejść z programu, a na jego miejsce w domu pojawił się ktoś inny.

Piosenkarz country Kevin został wyrzucony, gdy producenci *StarrQuest* odkryli, że kiedyś podpisał umowę ze studiem nagrań i jest ona nadal ważna. Regulamin zabrania posiadania jakichkolwiek umów, które wpływałyby na prawa StarrGaze do występów uczestników. Najszczęśliwszy jest Brendan, ale nie ma pojęcia, że kiedy Kevin się pakował, dostał od Alice pożegnalny prezent. W jednym z pokoi obok Laury łóżko stukało o ścianę w tym samym rytmie co gardłowe „O Boże!” Kevina. Potem kochankowie omówili oferty z czasopism i plany zgłoszenia się do *Celebrity Big Brother*, po czym Kevin zabrał kowbojski kapelusz, buty i wyprowadził się.

Jego miejsce zajęła dwunastoletnia gimnastyczka. Teraz jest na dworze, ćwiczy do swojego pirotechnicznego show, skacze przez płonące obręcze, a jej rodzice przyglądają się wyczynom córki, ubrani w dresy z jej imieniem i podobizną na plecach.

Łzy Alice szybko obeschły; teraz jest w hallu, kłóci się z Brendanem o to, czy jest wystarczająco skupiona. Rozbudzona Laura siada i nasłuchuje. Brendan mówi jej, że musi się skupić na swojej karierze, na nim i na sobie, na nich. Alice ma dosyć „ich”, musi mieć jakieś inne życie poza występami, ten program właśnie jej to uświadomił. Jej słowa to strzał prosto w serce Brendana.

W czasie ich kłótni Laura słyszy w głowie echo świergotu. Nie pochodzi od niej, na pewno nie. O ile wie, nadal nie wydała żadnego dźwięku i ma wrażenie, jakby w jej gardle ktoś zaciągnął kurtynę. Zapala w pokoju światło i siada – pomieszczenie zalał ciepły pomarańczowy blask.

Ale jej serce ciągle wali mocno.

Oddycha powoli, usiłuje się uspokoić, nie rozumie tych uczuć. Przez ileś dni ten pokój był dla niej schronieniem. Opuszczając zasłonę na swój głos, opuściła ją i na cały świat – przez chwilę pomagało jej to czuć się bezpiecznie. Teraz ma wrażenie, że jest złapana w pułapkę, jakby ściany zamykały się wokół niej. Wcześniej wydawało się, że jest tu dużo przestrzeni, a teraz jakby nie było nawet dość powietrza do oddychania. Jakby była w klatce.

Ta myśl znowu uruchamia świergot w jej głowie, dociera do niej, skąd się bierze dźwięk. Odrzuca kołdrę, szybko się ubiera, wyglądając na zewnątrz. Jest druga rano, fotoreporterzy w nocy śpią, będzie więc mogła wyjść na zewnątrz i nikt jej nie zobaczy. Wrzuca kilka rzeczy do plecaka, w tym kieszonkowe wypłacane codziennie przez program. Problemem jest wydostanie się stąd – dom jest w odległej części Enniskerry, a chociaż kilka minut drogi od niego znajduje się nieduża wioska, nie da się tam dojść, przynajmniej nie o tej porze. Będzie musiała wezwać taksówkę, a wszystkie telefony są na dole. Alice i Brendana już nie ma. Laura otwiera drzwi, idzie korytarzem najciszej, jak potrafi, z nadzieją, że nie wpadnie na Alice, która zdaje się donosić prasie o każdym jej ruchu.

Krzywi się, gdy podłoga skrzypi pod stopami. Kiedy dociera na dół, uznaje, że chyba wszyscy poszli spać, by nabrać sił przed jutrzejszym finałem. Wchodzi na palcach do jednego z saloników, ma właśnie zadzwonić po taksówkę, gdy w drzwiach pojawia się czyjaś sylwetka.

– Alan – mówi wystraszona.

– Laura! – Wydaje się nie mniej zaskoczony niż ona. – Co tu robisz?

– Dzwonię po taksówkę.

– Zawiozę cię.

– Nawet nie wiesz, dokąd jadę.

Wzrusza ramionami.

– Każde miejsce poza tym jest w tej chwili rajem.

Uśmiecha się do niego ze współczuciem.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz?



– Tylko teraz mogę poćwiczyć. W dzień z tym całym tłumem można oszaleć. Za dużo ludzi pilnujących się nawzajem. Czasami ci zazdroszczę, że sobie tak siedzisz w pokoju.

– Przepraszam.

– Za co?

– Muszę się stąd wydostać – wyjaśnia.

– Wrócisz?

– Zamierzam – odpowiada szczerze. Chce dotrzymać słowa wszystkim, którzy jej pomogli. To nie ich wina, że zaszło to tak daleko – winę ponosi tylko ona. Ale jak może dalej brać udział w programie, jeżeli od paru dni nie wydała żadnego dźwięku? Słyszała w radiu i w telewizji, że Lirogon stracił głos.

Alan wygląda na zmęczonego.

– Alan, powinieneś się przespać. Jutro wielki dzień.

– Nie mogę – mówi, trąc oczy. – W życiu nie czułem się tak zdenerwowany – bąka. – Ale Mabel musi się wyspać. Inaczej będzie miała cienie pod oczami.

Laura śmieje się.

– Mówiłam poważnie: „Chcę, żebyś wygrał”. Zaslugujesz na to bardziej niż ktokolwiek.

– Myślę, że oboje zasługujemy na to bardziej niż ktokolwiek – odpowiada Alan łagodnie.

Uśmiechają się do siebie.

– W takim razie jeżeli jedno z nas wygra, to wygrywamy oboje – oznajmia. – Mogę cię o coś spytać? Co w ogóle robisz w tym programie? Jesteś ostatnią osobą, którą według mnie interesowałoby takie życie. Nie, nie chcę cię osądzać – jąka się. – Gdybyś wiedziała, skąd pochodzę, zrozumiałabyś, dlaczego się zgłosiłem do programu. Nie posiadam niczego. Mieszkam z rodzicami. Mam siebie i Mabel, i... to wszystko. Jeżeli tu nie wypali, to nie mam pojęcia, co ze mną będzie. Nic innego nie potrafię. Próbowałem różnych zajęć. – Kiwa głową. – I do niczego się nie nadaję. Mabel jest wszystkim, co mam.

Laura zastanawia się.

– Wiesz co, Alan, chyba mamy więcej wspólnego, niż ci się wydaje. Gdybym nie znalazła się teraz tutaj, to też nie wiem, co innego mogłabym robić, ale nie przypuszczałam, że to, co przychodzi mi naturalnie, tak mi skomplikuje życie.

Alan uśmiecha się smutno.

– I tak mamy szczęście. Wyobrażasz sobie, co by było, gdybyśmy tego nie wiedzieli?

Laura zamyśla się.

– Pójdę po kluczyki.

Wymykają się z domu niezauważeni, chociaż Laura wcale nie byłaby zaskoczona, gdyby w gazetach pojawiły się wiadomości o ich potajnym romansie. Alice zrobiłaby wszystko, byle tylko osłabić ich pozycję w konkursie. Laura jest przekonana, że to Alice stała za przeciekiem o „wymianie zdań za kulisami” między Lirogonem a producentem ze *StarrQuest*.

Jazda do Dublina mija spokojnie, o tej porze nie ma ruchu.

– Tu mieszka ten gość od dźwięku? – pyta Alan, patrząc na blok.

– Tak – odpowiada Laura. – Skąd wiedziałeś?

– Widziałem was razem – wyjaśnia. – Mabel stwierdziła, że coś was łączy.

Laura odchyła głowę na oparcie.

– Mabel się myli. Nic nas nie łączy. – Usiłuje powstrzymać napływające do oczu łzy.

– Bo ja wiem, Mabel ma dobrą intuicję – orzeka Alan, przyglądając się jej.

– Wiesz, Bianca zostawiła dla ciebie jego numer, żebyś do niego zadzwoniła.

– Wiem. – Wzdycha. – Nie mogłam. Było mi głupio.

– Lauro, musisz dać sobie z tym spokój. Na ślubie brata tak się urzynałem, że wykonałem taniec erotyczny dla jego teściowej. W ogóle tego nie pamiętam. Ale widziałem film. Rozdarłem na sobie koszulę. Wszystkie guziki poleciały. Mało jej nie wybiłem oka. Jeżeli ja mogę patrzeć jej w oczy w każde Boże Narodzenie, każdą Wielkanoc i na każdej rodzinnej imprezie, to ty też możesz.

Laura chichocze.

– Dzięki, Alan.

Mężczyzna waha się, czy zostawić ją pod blokiem Solomona, ale Laura przekonuje go, że jest bezpieczna, i udaje jej się go oszukać: staje przy drzwiach, niby gadając przez domofon. Obserwuje, jak Alan odjeżdża z powrotem do domu uczestników konkursu, bez wątpienia ćwicząc w samochodzie swój numer z wyimaginowaną Mabel.

Stojąc pod balkonem, wyobraża sobie, że słyszy gitarę Solomona. Ma nadzieję, że zdoła sama przywołać jej brzmienie, ale nic się nie pojawia, jej struny głosowe nadal nie reagują. Patrzy w górę, na okno pokoju, w którym spała, z wieszakiem jego koszul i T-shirtów. Kochała wdychać jego zapach, dotykać jego rzeczy wokół niej, jego sprzętu muzycznego, gitary w rogu pokoju, sprzętu do nagrań. Myśl o Bo i Solomonie, gdy się kochają, rani jej serce. Musi trzymać się od niego z daleka, przecć do przodu. To nie ich mieszkanie przyszła odwiedzić.

Znowu słyszy w głowie świergot, dźwięk, który obudził ją z koszmaru. Stoły i krzesła restauracji na parterze budynku zostały na dworze – są ustawione w kącie przy szybie. Laura wpada na pomysł. Porusza się jak najciszej, pamięta, że gdy spała w drugim pokoju, wyraźnie słyszała głosy dochodzące z ulicy. Jest bardziej wrażliwa na dźwięki niż większość ludzi – ze wszystkich osób, które zna, tylko Solomon ma podobnie wyczulony słuch. Dzięki muzycznej przeszłości, a może dzięki pracy wyszkolonego dźwiękowca, jego wyćwiczone ucho wyłapuje więcej, niż słyszą inni. Laura ustawia cztery krzesła – jedno na drugim – i z trudem włazi na nie. Piramida chwieje się i nie jest wystarczająco wysoka. Trochę przenosząc, a trochę ciągnąc duży stół, ustawia go bliżej balkonu, zdejmując kilka krzeseł ze stosu i umieszcza je na stole. Manewry ze stołem nie obyły się bez hałasu, spogląda więc w górę, by sprawdzić okna mieszkań. Wszystkie światła są zgaszone, balkony puste, nie widać żadnych ciekawskich twarzy. Laura wspina się po krzesła na stół. Przytrzymując się okna restauracji, włazi na stos. Jest dość wysoko, by dosięgnąć balkonu, ale pod jej ciężarem krzesła się chyboczą. Ryzykuje, pochyla się i chwyta za balustradę. Trzyma się mocno, stawia jedną stopę na balkonie, druga stopa zostaje na chybotliwym stosie. Wreszcie bierze

głęboki oddech i przenosi ciężar ciała na balkon, stojąc teraz po zewnętrznej stronie balustrady. Gdy odpycha się od krzesła, te spadają ze stołu na ziemię, powodując potężny huk, który rozchodzi się echem dookoła. Z bijącym mocno sercem widzi zapalające się światła, słyszy dźwięk otwieranych okien, przełazi więc szybko przez poręcz balkonu i przykuca, przyciskając plecy do ściany. Łapie oddech i ma nadzieję, że nikt nie dostrzeże, jak siedzi skulona w ciemności. Może teraz i jest bezpieczna, ale nie będzie już mogła zejść.

Znowu słyszy świergot, szuka klatki. Na balkonie jest pełno skrzynek z zabawkami – matka chłopca wykorzystuje dla dziecka każdy dostępny kawałek miejsca w niedużym mieszkaniu. Laura jest gotowa uwolnić ptaka. Tak długo słuchała jego świergotu, obserwowała go z balkonu Solomona i Bo, a gdy naśladowała jego dźwięki, miała nieodparte wrażenie, że ptak przemawia do niej: „Jestem w pułapce. Wypuść mnie”. Ale jej uśmiech blednie, kiedy rozgląda się za klatką. Nie ma jej.

Zaczyna płakać, czuje się beznadziejna, bezradna, żałosna.

Nagle w mieszkaniu zapala się światło, a ona wpada w panikę, wie, że skok z balkonu na stół jest zbyt niebezpieczny. Stół przewróciłby się pod jej ciężarem, a ona wylądowałaby na ziemi. Czy powinna zaryzykować?

Odsuwa się zasłona, pojawia się twarz kobiety. Kiedy dostrzeża Laurę, zaczyna krzyczeć. W obcym języku. Laura wstaje i wyciąga ręce, by ją uspokoić.

– Okej, wszystko w porządku – powtarza, ale wie, że kobieta jej nie słyszy, a nawet gdyby usłyszała, to może nie rozumieć po angielsku. – Proszę...

Zapalają się światła w mieszkaniu Solomona.

Laura jest przerażona. Nie może jej zobaczyć tu, w tym miejscu. Drzwi odsuwają się i na balkon wychodzi senny Solomon. Nie ma na sobie koszulki, a spodnie od dresu wiszą na biodrach niebezpiecznie nisko. Mimo przerażenia Laura nie może oderwać od niego wzroku. On trze oczy, jakby nie wierzył w to, co widzi.

– Laura?

Znowu zaczyna płakać, czuje się idiotycznie: żałosna, upokorzona, ale jednocześnie odczuwa ulgę, że go znowu widzi. Wszystkie te uczucia naraz.

Solomon wali w drzwi. Słyszy Kasię w środku, krzyczy, dziecko się drze.

Drzwi nie otwiera, ale wydaje się, że mówi do kogoś w mieszkaniu. Krzyczy i płacze, chłopiec wrzeszczy. Inni powychodzili z mieszkań na korytarz i sennie mrużą oczy, patrzą z niechęcią na Solomona walącego w drzwi, jakby to wszystko była jego wina. Ignoruje ich. Jego serce wali jak szalone, musi dostać się do środka.

– Kasia! – Podnosi głos, nie zwracając uwagi na oburzone głosy sąsiadów.

Nareszcie otwiera. Przerażone, czerwone od płaczu oczy, łzy spływające po twarzy, zasmarkany nos. Dziecko w jej ramionach też płacze, mały chłopiec czepia się nogi, kobieta trzyma przy uchu telefon.

– Jestem Solomon, twój sąsiad – tłumaczy, widząc, jak na jej twarzy przerażenie zmienia się w dezorientację. Nigdy ze sobą nie rozmawiali, nie licząc zdawkowego powitania, kiedy mijali się w korytarzu, ale nic więcej, żadnych przyjaznych stosunków.

– Na balkonie jest złodziej – zwraca się do niego, po czym mówi coś szybko po polsku przez telefon. Zostawia drzwi otwarte i wraca do środka.

Chodzi tam i z powrotem wzdłuż ściany, najdalej od balkonu, jakby bała się podejść do złodzieja, który siedzi zamknięty na zimnej kamiennej podłodze i zasłania twarz rękami.

– Dzwoniłaś na policję? – pyta Solomon.

– Gdzie?

– Na policję.

– Nie! Mój mąż! Przyjdą jego koledzy.

– Nie, nie, nie – protestuje Solomon, usiłując zabrać jej telefon, chce wyjaśnić wszystko mężczyźnie po drugiej stronie, jest zaskoczony, gdy ona wali go w ramię. Dziecko na rękach krzyczy, a chłopiec usiłuje go kopnąć.

– Kasia, słuchaj – prosi, próbuje ją uspokoić, powstrzymać, by nie wrzeszczała do słuchawki. – To pomyłka. Ona nie jest złodziejem. To moja przyjaciółka. Ten złodziej na balkonie. To moja przyjaciółka.

Kobieta wreszcie cichnie i patrzy na niego podejrzliwie.

– To nieporozumienie. Moja przyjaciółka chciała mi zrobić niespodziankę. Włazła na zły balkon. – Właściwie to Solomon nie ma najmniejszego pojęcia, co Laura robi na tym balkonie, kto ją tam wie, może rzeczywiście jest

włamywaczką, ale będzie jej bronił do samego końca. Widział męża Kasi. Nie ma ochoty poznawać jego przyjaciół.

– To pomyłka. Weszła na zły balkon.

– A po co chce wchodzić na twój balkon?

– Żeby... żeby... żeby było romantycznie, wiesz? Szekspir. *Romeo i Julia*. Balkon. No, wiesz? Uwierz mi, nie jest złodziejką. To nieporozumienie. Powiedz mężowi, że jego kumple nie muszą przyjeżdżać.

Zastanawia się, po czym wygłasza do telefonu gniewną przemowę w tempie karabinu maszynowego.

W tym czasie Solomon otwiera przesuwane drzwi i kuca obok skulonej Laury; na ten dźwięk dziewczyna mocniej zaciska ramiona wokół nóg, przyciśniętych do tułowia, twarz ma wciśniętą między kolana.

– W porządku – szepcze do niej; przysuwa się bliżej, usiłuje zobaczyć jej twarz.

– Próbowałam go uwolnić – mówi ze łzami.

– Kogo uwolnić? – Marszczy brwi.

– Ptaka. – Wreszcie podnosi wzrok. – Słyszałam ptaka. To mnie obudziło. Chciał się wydostać. Próbowałam go uwolnić, ale już go tu nie było...

Dociera do niego, co usiłowała zrobić.

– Och, Lauro. – Obejmuje ją ramionami i przyciąga do siebie. Tuli mocno, dotyka ciała w pasie, gdzie podwinęła się jej bluzka. Całuje w czubek głowy, wciąga w nozdrza jej zapach. Mógłby tak zostać na zawsze. Ona przywiera do niego tak samo mocno jak on do niej, a on czuje jej ciało każdą częścią swojego ciała, niczego tak nie pragnął, jak tej chwili.

Laura odsuwa twarz od jego nagiej piersi i podnosi wzrok. Jej czoło muska podbródek mężczyzny; jego skóra łaskocze, jej skóra płonie. Ich serca biją mocno od tej bliskości. Dziewczyna unosi głowę, by na niego spojrzeć, ich wargi są tak blisko, oddechy się krzyżują. Patrzy badawczo w jego oczy – ma rozszerzone źrenice – i znajduje tam odpowiedź. Widać w nich pragnienie. Uśmiecha się.

Wtedy w drzwiach staje Kasia, trzymając na biodrze płaczące nadal dziecko.

– Chodźmy – szepcze Solomon, nie chce się ruszać, ale muszą zniknąć, zanim wróci mąż Kasi. Laura wstaje wraz z nim, ich dłonie odnajdują się nawzajem i splatają mocno. Gdy wstają, Solomon dostrzega postać na sąsiednim balkonie. Na swoim balkonie. To Bo. Obserwuje ich.

– Przepraszam. – Laura pociąga nosem, podwijając nogi pod siebie i zwijając się w fotelu. Owija się kocem i wzdyga. Nie śmie spojrzeć im w oczy.

Bo i Solomon przyglądają się jej z kanapy. I chociaż znowu jest ich dwoje, a ona jedna, coś się zmieniło. Bo odsunęła się od Solomona, siedzi najdalej, jak się da, na samiutkim brzegu kanapy.

– Miałam koszmar, obudziłam się z uczuciem, że jestem w pułapce, słyszałam ptaka.

– Jak brzmiał? – pyta Bo; testuje ją.

Laura zastanawia się, po czym kręci głową, nie rozlega się żaden dźwięk.

– Chyba zwariowałam. – Zmęczonym gestem pociera oczy. – Co ja sobie myślałam?

– Nie, nie zwariowałaś – mówi cicho Bo, a Solomon patrzy na nią z zaskoczeniem.

Ignoruje go. Sięga po krzesło, które stoi przy kuchennym stole, przysuwa je bliżej fotela Laury i siada przed nią. Solomon nie jest pewien, czy celowo zasłania mu kobietę, od której nie mógł oderwać wzroku, odkąd ją poznał, czy po prostu nie chce mieć jego w zasięgu wzroku.

– Wariactwem jest to, co się z tobą stało. Nie mam pojęcia, jak możesz oczekiwać, że sobie z tym poradzisz. To był twój sposób. Zostałaś włamywaczką.

Laura, zaskoczona, patrzy na Bo i obie wybuchają śmiechem; nerwowe napięcie opada.

– Ten ptak to kanarek. Miałam takiego jako dziecko. Siedzi w swojej klatce. Nocami śpi w domu – wyjaśnia Bo.

– Och. – Laura pociąga nosem. – Powinnam była to wiedzieć.

– Myślę, że chodziło nie tyle o wypuszczenie kanarka, ile o to, że to ty się

czujesz zamknięta w pułapce, ty chcesz się z niej wydostać – sugeruje Bo.

Solomona zdumiewa ta wymiana zdań. Zachowuje milczenie, po raz pierwszy jest przekonany, że Bo sobie poradzi.

– Wszyscy byli tacy mili – opowiada Laura. – Nie miałam żadnego powodu, żeby tak się czuć. Ty i Solomon byliście dla mnie tacy dobrzy i gościnni. – Szybko kieruje spojrzenie na niego, po czym wraca do Bo, nie chce zdradzić kobiety, która okazała jej tyle zrozumienia. – Nie miałam zamiaru niczego wam zepsuć, narobić wstydu, zawieść was.

– Niczego takiego nie zrobiłaś – mówi Bo z irytacją, skierowaną nie do Laury, ale do siebie samej. – My... mogę mówić tylko za siebie, ale ja powinnam była cię chronić. Rzuciłam cię na pożarcie lwom i obserwowałam, co się wydarzy. Wmawiałam sobie, że to dla twojego dobra, ale to nieprawda.

Laura i Solomon patrzą na nią zaszokowani.

– Ależ co ty mówisz, uratowałaś mnie – zaprzecza Laura. – Jestem ci bardzo wdzięczna.

– Nie bądź – mówi cicho Bo. – Proszę. Tak się zachwyciliśmy tobą, tym, jaka jesteś, jedyna, cudowna i niepowtarzalna, że zagubiliśmy się w tobie. Twój talent...

– Och, ja nie mam talentu – przerywa Laura. – Alan ma talent. Nie śpi całymi nocami, pracuje nad swoim występem. Pisze scenariusze, robi przedstawienia, sam naprawia swoją lalkę, gdy zajdzie potrzeba. Przez ostatnie piętnaście lat jeździł po całym kraju, brał każdą chałturę, jaka mu się nadarzyła. Obrażali go, wyśmiewali, płacili grosze, ale mógł przynajmniej szlifować swoje umiejętności.

Kiedy wymawia słowo „szlifować”, widzi Gagę z nożem w ręku, ale nie odbiera żadnego dźwięku, nie może też nic z siebie wydobyć. Przepadło. To ją wkurza jeszcze bardziej.

– Alice, jakakolwiek by była, codziennie spędza cztery godziny na ćwiczeniach, każdego dnia. Pilnuje ścisłej diety, potrafi się złożyć jak scyzoryk, całe życie poświęciła swojej sztuce. Sparks robi triki z kartami, odkąd ukończył siedem lat. Siedem! Codziennie ćwiczy przez sześć godzin. Selena śpiewa jak anioł, jest jeszcze dwunastoletnia dziewczynka, która



na trawniku skacze przez ogień. To jest talent. A czym ja jestem? Dziwadłem, które otwiera usta i naśladuje dźwięki. Nie ma we mnie niczego oryginalnego. Jestem jak papuga albo... albo... małpa. Jestem dziwadłem. Moje miejsce jest w cyrku, nie tu, wśród talentów. Jestem oszustką, kłamczuchą. Mają rację, kiedy tak o mnie mówią. Nie jestem oryginalna, nie jestem unikalna ani autentyczna. Naśladuję dźwięki, najczęściej nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Nie powinnam się tu znaleźć, mam tego świadomość. Nie powinnam była wpychać się w wasze życie, nie powinnam była wciskać się między was, ale to zrobiłam i jest mi przykro... – Z jej oczu płyną łzy. – Nie wiedziałam, co mam zrobić. Nie mam dokąd pójść, nie mogę tam wrócić. Cały czas usiłuję coś osiągnąć, próbuję coś złapać, ale wszystko mi ucieka... – Urywa, tonąc we łzach.

Solomonowi też oczy zachodzą łzami. Gdyby Bo tu nie było, wstałby, podszedłby do Laury, wziął ją w ramiona, pocałowałby każdy centymetr jej ciała i powtarzał, jaką jest piękną, autentyczną, utalentowaną, idealną i pod każdym względem wyjątkową osobą. Jak potrafi go oczarować tylko swoim istnieniem. Ale nie może tego powiedzieć, Bo jest z nimi w pokoju, każdy dźwięk, jaki wyda, i ruch, jaki wykona, zdradzi go, wówczas on zdradzi Bo. Siedzi więc i nic nie mówi, czuje się jak w pułapce, patrzy, jak kobieta, którą kocha, traci panowanie nad sobą przed kobietą, którą usiłował pokochać.

A kobieta, którą starał się pokochać, mówi za niego, jest silniejsza od niego, on nigdy nie będzie tak silny jak ona i jest jej za to wdzięczny.

– Lauro, opowiem ci o twoich umiejętnościach – mówi Bo z przekonaniem. – Dzięki nim pokazujesz piękno świata. Rozpoznajesz szczegóły, których my nawet nie zauważamy, albo te, które przestaliśmy odbierać. Ty je dostrzegasz i pokazujesz. Przypominasz nam to, co jest piękne. Niektórzy są zdania, że ja ukazuję to podobnie w swoich dokumentach. Wydobywam na światło dzienne postaci i ukryte opowieści. Znajduję osoby z tych opowieści i pomagam im opowiedzieć o wszystkim światu. A ty? Ty osiągasz to poprzez prosty dźwięk. Zapach perfum mojej mamy przenosi mnie z powrotem do naszego domu, kiedy byłam jeszcze małą. Jeden twój dźwięk przenosi każdego człowieka w inne miejsce i czas. Poruszasz wszystkie serca, Lauro. Musisz to zrozumieć.

– Solomon mówił, że kiedy jego mama usłyszała, jak naśladujesz harfę na jej urodzinach, powiedziała, że to najpiękniejszy dźwięk, jaki w życiu

słyszała. Ona wydobywa ten dźwięk od pięćdziesięciu lat, ale naprawdę usłyszała go po raz pierwszy dzięki tobie. Rozumiesz, jakie to ważne? Kiedy poznałaś Caroline w garderobie, wystarczyła ci minuta, żeby doprowadzić ją do łez – dzięki tobie poczuła się tak, jakby znowu miała sześć lat i siedziała z mamą w jej pracowni. Wydaje mi się, że nie masz pojęcia, jak bardzo poruszasz ludzi. Odnajdujesz piękno w świecie, smutek w codzienności, to, co niezwykle, w najzwyklejszym, fantastyczne w banalnym. Lauro, dostałaś się do programu dzięki temu, że przez całą minutę naśladowałaś automat do kawy!

Śmieją się.

– Jesteś ważna. Jesteś bardzo ważna. Jesteś jedyna w swoim rodzaju i zasługujesz na to, żeby wystąpić na tej scenie tak samo jak pozostali. Co z tego, że nie musisz ćwiczyć – to wcale nie znaczy, że nie jesteś dość dobra. Naprawdę trzeba się namęczyć, żeby osiągnąć doskonałość? Skoro tobie przychodzi to łatwo, czy to znaczy, że nie masz wybitnego talentu, czy że jesteś jeszcze bardziej niesamowita? To największa lekcja, jaką możesz nam dać: to, co masz, pochodzi z wnętrza. Naturalna, rzadka, dana przez Boga umiejętność.

– Ale zniknęła – szepcze Laura.

– Nadal ją masz. To coś jak czkawka. Wystraszyłaś się i zniknęła, ale masz ją w środku. Znajdziesz ją znowu.

– Jak?

– Może wróci, jeżeli sobie przypomnisz, jak to się zaczęło? Przestałaś być ciekawa, zaintrygowana, przestałaś kochać świat. Musisz znów odnaleźć inspirację. – Zerka na Solomona, jakby przekazywała mu pałeczkę. Czy naprawdę chce powiedzieć to, co mu się wydaje? To zakłopotane spojrzenie, smutny, zrezygowany ton. Wstaje. – Masz czas do jutra wieczorem. Pomagałam dzisiaj Jackowi, próbowaliśmy wymyślić scenografię, która ci pomoże w występie, a jednocześnie w której będziesz się dobrze czuła. Żadnych tancerzy w obcisłych strojach, żadnych skaczących niedźwiedzi w lesie. Poczujesz się tam jak w domu. No... lepiej was zostawię... – Rozgląda się z zakłopotaniem, zbierając swoje rzeczy pod uważnym spojrzeniem Solomona.

Chciałby coś powiedzieć, ale nic mu nie przychodzi do głowy. Nie jest pewien, czy dobrze ją zrozumiał. Bo znika w sypialni, słysząc, jak rozpina zamek błyskawiczny walizki. Jego serce bije mocno.

Patrzy na Laurę i zastanawia się, czy ona rozumie powagę chwili, ale dziewczyna jest w swoim własnym świecie, powtarza w myślach słowa Bo.

Solomon idzie do sypialni. Widzi, jak Bo pakuje swoje rzeczy.

– Bo...

– Bo...

Solomon i Laura odzywają się jednocześnie.

– Tak? – Podchodzi do drzwi i odpowiada Laurze.

– Powiedziałaś, że jeżeli przypomnę sobie, skąd się to wzięło...

– Tak mi przyszło do głowy...

– Masz tu kamerę?

Policzki Bo pąsowieją.

– Nie o to mi chodziło. Nie prosiłam cię o...

– Wiem, że nie. Ale chcę ci powiedzieć.

– Lauro, nie możemy kręcić tego filmu. Prawnicy StarrGaze Entertainment wyjaśnili nam to bardzo dokładnie.

– Nic mnie nie obchodzi ich zdanie, to moje usta, moje słowa, moje myśli. Nie należą do nich.

Solomon i Bo spoglądają na siebie. On kiwa przyzwalająco głową.

Rachel jest z Susie w szpitalu, Susie rodzi. Ale Laura chce to zrobić teraz, więc Bo ustawia kamerę na trójnogu. Solomon zajmuje się dźwiękiem. Szybko i sprawnie. Laura jest gotowa, by mówić.

## 37

„Isabel zachorowała nagle. Szybko traciła siły. Brała wszystkie domowe leki, wszystkie, które same wyprodukowały ze znalezionych przez siebie roślin. Odmawiała przyjmowania szpitalnych medykamentów. Była przeciwna chemoterapii, chciała wypróbować terapie alternatywne, specjalne diety. Bardzo starannie i systematycznie podeszła do choroby, Gaga też. Zawsze takie były, niemal wszystko, czego się w życiu nauczyły, wykorzystwały w tym czasie. Przeszła terapię płukania wątroby, terapię sodą oczyszczoną, w ramach

której odkwaszała organizm i jadła wyłącznie zasadową żywność, by wyrównać odczyn pH organizmu. A potem, kiedy nie mogła już jeść stałych pokarmów, jadła specjalnie sporządzane pokarmy płynne.

– Jeżeli mam umrzeć – matka wyciąga rękę i ociera łzę z policzka córki – to umrę zdrowo. – Laura uśmiecha się i pociąga nosem. Całuje wierzch dłoni matki.

Pracownię przenoszą do domu, żeby Gaga i Laura mogły pracować przy przeróbkach ubrań, a jednocześnie zajmować się Isabel, klientów Gaga nadal przyjmuje w garażu. Ich dom jest nietykalny. Ochrona Laury zawsze była na pierwszym miejscu, chociaż teraz Gadze nie przychodzi łatwo zostawić chorą córkę. Laura często myśli, że mimo tego, iż u boku matki jest ona, Gaga woli być przy niej sama. Zaniedbuje pracę, nie dotrzymuje terminów, bo nie odchodzi od łóżka chorej. Zdrowie Isabel pogarsza się szybko, siedzą przy niej całymi nocami, mają się niby zmieniać, ale żadna nie chce przespać chwili, kiedy to nastąpi. Dzisiaj wypadł właśnie dzień, gdy Gaga przyjmuje klientkę w garażu, a Laura została sama z mamą. Po zmianie rytmu jej oddechu zauważa, że coś się dzieje.

– Mamusiu – mówi Isabel ochryplym głosem dziecka.

To pierwsze słowo, jakie powiedziała od wielu dni.

– Tu jestem, mamó, to ja, Laura. – Bierze jej dłoń i unosi do ust.

– Mamusiu – powtarza. Oczy ma otwarte, wodzi wzrokiem wokół, szukając Gagi.

Serce Laury bije mocno. Biegnie do okna i patrzy przez zasłony w stronę garażu. Ani śladu Gagi, samochód klientki ciągle stoi na podjeździe. Spogląda to na matkę, to na garaż, czuje się jak w pułapce, bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Jeżeli zawoła Gagę, klientka ją zobaczy albo usłyszy. We trzy zawarły umowę, że Laury nikt nigdy nie zobaczy, dopóki dziewczyna nie osiągnie pełnoletniości. Założyły to sobie dawno temu i nawet o tym nie mówiły. Sama myśl o tym, że Laura znalazłaby się na zewnątrz przed ukończeniem szesnastu lat, przeraża je.

Laura jest rozdarta. Matka oddycha płytko, wie, że odchodzi z tego świata, dziewczyna nie może zawołać Gagi i zaryzykować, że ktoś się dowie o jej istnieniu, ale nie może też pozwolić, by mama odeszła, myśląc, że jest sama.

Panika. Gorąco ogarnia jej ciało, krople potu pojawiają się na czole i spływają po plecach. Palpitacje. Lodowaty strach. Traci mamę i chociaż chciałaby wołać na pomoc cały świat, wie, że w razie ujawnienia się Laury, zabiorą Gadze także ją. Wówczas straciłaby wszystko.

Nie chce, żeby mama umierała w poczuciu osamotnienia. Nie chce, żeby babcia martwiła się, że jej córka umarła bez niej, myśląc, że Gaga przy niej jest. Laura siada przy łóżku, zamyka oczy i koncentruje się na znalezieniu wyjścia z tej sytuacji, na natychmiastowym ratunku.

Otwiera usta i śpiewa, a kiedy śpiewa, słyszy głos Gagi, głos starszej kobiety z akcentem z Yorkshire. Isabel ściska jej dłoń.

*Złamana gałąź, złamane drzewo,  
Brązowa trawa i ciemne niebo.  
Pąkami zawsze zostaje kwiecie,  
To drzewa szkielet w zieleni lesie.*

*Nie ma pajków i nie ma zwierząt.  
Złamana gałąź, złamane drzewo.  
Aż na gałęzi siada ptaszyna  
I dumnie swoją pieśń rozpoczyna.*

*Ledwo piosenkę tę jej usłyszą,  
Płatki i pąki już się kołyszą.  
Pajaki chodzą i tkają sieci,  
Z kępy poziomek muszka gdzieś leci.*

*Zrośnie się zaraz drzewo złamane,  
Życie wrócone ptaszyny czarem.  
Drzewo już żywe, gałąź zielona,*

*Zwierzęta krążą wokół zwabione.*

*Wkoło biegają ze śmiechem dzieci,*

*Bo na dzień jeden wróciło życie.*

*Kiedy ptaszyny trele ustaną,*

*Drzewo jak było, będzie złamane.”*

Solomon i Bo obserwują Laurę z zapartym tchem. Nie chodzi tylko o to, że jej głos się zmienił, gdy przypomina sobie pieśń śpiewaną przy łożu śmierci mamy, jakoś udało jej się wezwać ducha Gagi, który w nią wstąpił. To istna magia. Bo odwraca się do Solomona, patrzy na niego po raz pierwszy, odkąd z nim zerwała – oczy ma szeroko otwarte i pełne łez. Solomon wyciąga do niej dłoń, a ona ją ujmuje, ściska. Laura otwiera oczy i patrzy na ich połączone ręce.

Bo ociera policzek, a Laura się uśmiecha.

– Czy to... – Odchrząkuje, by uspokoić emocje, i zaczyna znowu: – Czy to wtedy zdałaś sobie sprawę z tego, co potrafisz?

– Tak – mówi cicho. – Wtedy pierwszy raz zdałam sobie z tego sprawę. Ale kiedy to sobie uświadomiłam, stało się jasne, że nie robię tego po raz pierwszy.

Bo zachęca ją ruchem głowy, by mówiła dalej.

– Gaga kiedyś o tym wspomniała, lata wcześniej. Leżałyśmy na trawie za domem, plotłam wianki ze stokrotek. Mama czytała książkę; kochała romanse, a Gaga ich nienawidziła. Mama czasami czytała zdania na głos tylko po to, by ją wkurzyć. – Śmieje się. – Słyszę je, jak się kłóć. Gaga zatyka uszy i śpiewa: „la la la la”.

„Isabel czyta. Panuje cisza. Nagle Gaga zaczyna się śmiać.

– To było dobre, Lauro – mówi.

Laura nie ma pojęcia, o co chodzi.

– Przestań – mówi mama Laury do swojej matki, rzucając jej znad książki

groźne spojrzenie.

– Co? To był naprawdę dobry dźwięk. Robi się coraz lepsza, Isabel. Musisz to przyznać.

Dziewczyna siada w wysokiej trawie.

– Lepsza w czym?

Gaga unosi brwi, patrząc na córkę.

– W niczym, skarbie, w niczym – odpowiada Isabel. – Nie przejmuj się Gagą, głupieje już.

– To akurat wiemy. Ale uszy mam w porządku. – Gaga mruga do Laury.

Laura chichocze.

– Powiedz.

Mama opuszcza książkę. Rzuca Gadze groźne spojrzenie, ale jest w nim też rezygnacja, jakby dawała pozwolenie, ale ostrzegając, że powinny działać ostrożnie.

– Wydajesz cudowne dźwięki, drogie dziecko. Nie zauważyłaś?

– Dźwięki? Nie. Jakie dźwięki? – Laura się śmieje, myśląc, że Gaga z niej żartuje.

– Najróżniejsze. Przed chwilą brzęczałaś jak pszczoła. Niemal pomyślałam, że zaraz mnie użądli! – Śmieje się donośnie.

– Wcale nie – zaprzecza zdeorientowana Laura.

Mama patrzy na Gagę z niepokojem w oczach.

– Naprawdę, mój trzmieliku. – Gaga zamyka oczy i unosi twarz do słońca.

– Nie, wcale nie, dlaczego mi to mówisz? – pyta Laura drżącym głosem.

– Bo cię słyszałam – odpowiada po prostu.

– Wystarczy już, mamo – wtrąca się Isabel.

– Okej. – Gaga patrzy na swoją córkę jednym okiem i zamyka je znowu.

Laura wpatruje się w obie kobiety. Gaga leży rozciągnięta leniwie na leżaku, mama siedzi ze swoją książką. Ogarnia ją złość.

– Kłamiesz! – krzyczy, po czym wybiega z ogrodu do domu”.

– Ile miałaś lat? – pyta Bo.

– Siedem. Sprawa długo nie wracała. Chyba dopiero rok później. Mama nie chciała o tym mówić, wiedziała, że to dla mnie drażliwy temat, a Gaga miała ścisły zakaz wspominania o tym.

– Jak myślisz, dlaczego to był taki drażliwy temat?

– Wiesz, jak to jest, kiedy ktoś ci ciągle powtarza, że robisz coś, a ty nie masz pojęcia, że to robisz? – Bo uśmiecha się, słysząc te słowa, zagryza wargę. Zerka na Solomona, trochę złośliwie.

– Przypuśćmy, że wiem. Czujesz się, jakby ogarniało cię szaleństwo. I wściekasz się na człowieka, który ci to mówi.

Solomon udaje, że nie słyszy.

– Nawet jeżeli wiesz, że to mówią dla twojego dobra – dodaje Laura. – Nawet jeżeli wiesz, że na pewno nie zmyślają, bo im ufasz. Nie jesteś już niczego pewna. Raz wydałam dźwięk, który mamę naprawdę przestraszył. Aż postanowiła o tym powiedzieć.

– Jaki to był dźwięk?

– Radio policyjne. – Laura z trudem przełyka ślinę. – Potrafiłam naśladować tylko te dźwięki, które już gdzieś słyszałam. Dźwięk radia mogłam oczywiście usłyszeć w telewizji, ale mamie się wydawało, że jest zbyt prawdziwy. Nie potrafiła go zignorować. Tego dźwięku obie bały się od dawna. Chciała się dowiedzieć, gdzie to słyszałam, ale ja nie wiedziałam, o jaki dźwięk jej chodzi, nie czułam, że go wydałam. Ale udało nam się do niego dojść. To było radio policyjne. Słyszałam je pewnego dnia, kiedy obie wyszły z domu. Siedziałam w swoim pokoju, zasłony były zaciągnięte, jak trzeba. W parterowym domku należało uważać, bo ktoś mógł zajrzeć w okna, kiedy mamy i Gagi nie było.

– Zostawiały cię w domu samą, gdy miałaś siedem lat? – pyta zaniepokojona Bo.

– Były w lesie, szukały jedzenia. Ja postanowiłam zostać w domu, poczytać. Słyszałam, jak pod dom podjeżdża samochód. Położyłam się na podłodze i schowałam pod łóżkiem. Usłyszałam kroki na żwirze. Pod moim oknem. Czułam, że ktoś jest na zewnątrz. Potem usłyszałam dźwięk radia policyjnego. – Laura wzdyga się, gdy to opowiada. – Nie powiedziałam



mamie i Gadze, kiedy wróciły, bo nie chciałam ich przestraszyć. Nic się nie stało, więc nie było o czym mówić, ale i tak to zdradziłam przez te swoje dźwięki.

– Jak to przyjęła twoja mama?

– Wpadła w panikę. Zawołała Gagę. Kazała mi opowiadać sobie w kółko, co dokładnie usłyszałam, raz za razem. Nic nie rozumiałam. Wiedziałam, że nie lubią policji, ale nie miałam pojęcia dlaczego.

– Powiedziały ci?

– Tamtego dnia je spytałam. Wiedziałam, że się boją, że ktoś mnie zabierze przez te dźwięki. Jak tylko mama to usłyszała, posadziła mnie na kolanach i opowiedziała mi całą historię. Ona i Gaga. Opowiedziały mi wszystko.

– Wszystko...

Laura patrzy na Solomona. Bierze głęboki oddech.

– O tym, jak umarł mój dziadek.

Solomon zdejmuje słuchawki.

– Lauro, jesteś pewna, że... Bo, może powinniśmy wyłączyć kamerę...

– Już wyłączyłam – mówi Bo, odwracając się w jego stronę z szeroko otwartymi oczami. I ona, i Solomon czytali artykuł w tabloidzie o tym, że Isabel i Hattie rzekomo miały coś wspólnego ze śmiercią dziadka Laury, Bo usłyszała to też w Cork, kiedy wypytywała o Hattie i Isabel. To do tej historii zmierzała, prowadząc z Laurą wywiad w domku Buttonów, ale teraz boi się nagrywać. Nie jest pewna, czy chce usłyszeć prawdę. Ależ to wszystko się zmienia.

– Lauro – mówi łagodnie Solomon, odkładając sprzęt. – Nie musisz tego opowiadać.

– Uważam, że tak.

– Nie – przekonuje Bo. – Proszę, nie uważaj, że musisz. Nie naciskam na ciebie.

– Ja też nie – stwierdza stanowczo Solomon. – Właściwie – dodaje, wstając – może powinniśmy zrobić sobie przerwę, rozprostować nogi. Późno już. Prawie trzecia. Mieliśmy długi wieczór, pełen emocji. Jutro wielki dzień, powinniśmy...

– Muszę to opowiedzieć ze względu na nie – mówi Laura. – Już im nie może zrobić krzywdy.

– Kto nie może? – pyta Bo. – Posterunkowy? Czy twój dziadek?

– Obaj. Muszę to opowiedzieć. Dla mamy i dla Gagi. Kiedy mnie ukryły, ukryły prawdę. Próbowwały mnie chronić, ale teraz przyszła kolej na mnie, żeby chronić je obie.

Solomon patrzy na Laurę, usiłuje odczytać jej myśli. Laura patrzy na Solomona, a Bo przygląda się im obojgu, jak robią to, co robili, odkąd zobaczyli się po raz pierwszy. Komunikacja bez słów.

Odwraca wzrok, by dać im przestrzeń, dać sobie przestrzeń, zniknąć z całej tej dziwnej sytuacji. Od początku dostrzegała to coś między nimi i pchała ich do siebie. Pchała ich do siebie, by usłyszeć całą historię, wykorzystwała Solomona, by zbliżyć się do Laury. Nie może temu zaprzeczyć. Chciał trzymać się z dala, wiedział, co czuje, a ona wciąż pchała go do tamtej. Nie może mieć pretensji do żadnego z nich. Na pewno nie ma pretensji do siebie, ale dostrzega to wszystko w prawdziwym świetle, w sposób realistyczny i zrównoważony. Między nimi jest coś wielkiego, coś, co ich łączy, nie jest nawet pewna, czy Solomon to dostrzega. Solomon, który tak doskonale dostrzega jej wady i tak ochoczo sądzi innych, nie jest w stanie popatrzeć na siebie z dystansu.

Cokolwiek się między nimi dzieje, pomaga w podjęciu decyzji.

– W porządku – mówi w końcu Solomon, przejeżdżając dłonią po swoich długich włosach. – Jeżeli tego chcesz. – Jego głos brzmi tak łagodnie, cicho, jest tak pełen zrozumienia. Bo zastanawia się, czy kiedykolwiek mówił takim tonem do niej, czy w ogóle ma świadomość, jak teraz brzmi.

– Chcę – oznajmia Laura zdecydowanie. Kiwa głową, włosy opadają jej na ramiona. Siada w fotelu przed zaciągniętymi kremowymi zasłonami, stojąca obok niej lampa rzuca ciepłe światło, ciemnozielona poduszka i kapa przerzucona przez oparcie podkreślają kolor jej oczu.

Solomon siada, nie odrywa od niej wzroku. Bo ma wrażenie, że w czymś przeszkadza, dociera do niej, że czuła się tak samo, ilekroć byli wszyscy w jednym pokoju. Obserwuje Solomona kątem oka, jak z powrotem nakłada słuchawki na uszy, reguluje dźwięk. Myśli o tych niezliczonych sytuacjach, gdy zatracił się we własnym świecie z tymi słuchawkami, czy to w związku

z pracą, czy w swojej muzyce. Używa dźwięku jako sposobu ucieczki, podobnie jak Laura. Przenosi wzrok z niej na niego. Uznaje, że naprawdę nie mają o tym pojęcia. Albo wiedzą i nie rozmawiają o tym przez szacunek dla niej. W niespodziewanym odruchu ma ochotę uściskać każde z osobna, a potem uściskać ich razem, wariatów jednych.

Bo zwraca się do Laury.

– Gotowa?

Zdecydowanie kiwa głową, w jej oczach widać determinację.

– Dziadek krzywdził je obie. Gagę i mamę. Za dużo pił. Gaga mówiła, że zazwyczaj był nieprzyjemny, ale kiedy wypił, robił się brutalny. Sierżant O’Grady, miejscowy policjant, był jego najlepszym przyjacielem. Razem chodzili do szkoły i razem pili. Gaga nie pochodziła stąd, dorastała w Leeds. Była nianią, przeniosła się do Irlandii, pracowała u jednej rodziny. Poznała dziadka i koniec – została, ale trudno jej było przywyknąć. Wolała trzymać się z boku. Miejscowym niezbyt się to podobało, dlatego jeszcze bardziej się wycofywała. Dziadek był zaborczy; kiedy byli wśród ludzi, czepiał się wszystkiego, co powiedziała, czepiał się jej zachowania, aż w końcu uznała, że lepiej będzie nigdzie nie chodzić. Twierdziła, że to jej pasuje. Ale w pewnym momencie zaczął się robić agresywny. Bił ją. Znalazła się w szpitalu z połamanymi żebrami. W końcu było już tak źle, że poszła do przyjaciela dziadka, sierżanta O’Grady’ego. Nie po to, by złożyć doniesienie, ale żeby go poprosić jako przyjaciela, by z nim porozmawiał, pomógł mu. Nie spodobały mu się jej słowa, powiedział, że najwyraźniej ona postępuje nie tak, jak należy, skoro on tak się na nią wścieka. Wszystko obrócił przeciwko niej.

– Nigdy więcej nie poszłaby do sierżanta O’Grady’ego, gdyby dziadek nie zaczął bić mamy. Zagroziła policjantowi, że jeżeli czegoś nie zrobi, poskarży się na niego. Sierżant O’Grady powiedział o tym dziadkowi. Tego wieczoru dziadek wrócił z pubu pijany. Pobił Gagę i krzyczał, że zabije mamę. Gaga kazała jej uciekać i mama uciekła z domu do lasu. Dziadek ją gonił, zataczał się. Było ciemno, mało widział, był bardzo pijany. Gaga pobiegła za nim. Widziała, jak się potknął i padając, uderzył głową w kamień. Leżał i błagał ją o pomoc, żeby wezwała karetkę. Nie potrafiła mu pomóc. Skamieniała. To był człowiek, którego kochała, który właśnie ją pobił i straszyl, że zabije ich

córkę, a ona siedziała i patrzyła, jak tonie w strumieniu. Wyznała, że to było najlepsze, co mogła zrobić dla nich obojga. Nie tknęła go, nie zabiła, ale nie próbowała go też ratować. Powiedziała, że postanowiła uratować siebie i swoją córkę zamiast niego.

Laura unosi podbródek.

– Jestem z niej dumna. Jestem dumna z tego, co zrobiły, że były na tyle silne, by się obronić w jedyny sposób, jaki znały. Próbowała rozmawiać z jego przyjacielem, próbowała szukać pomocy u przedstawiciela prawa i nic to nie dało. Dziadek zginął z własnej winy.

– Ale dlaczego trzymały ciebie w tajemnicy?

– Bo sierżant O’Grady nie dawał im spokoju. Ciągał Gagę na przesłuchania niemal codziennie, miesiącami. Zrobił piekło z jej życia. Tak ją obmawiał, że zostało jej niewiele klientek. Dręczył nawet mamę, a ona miała tylko czternaście lat, też ją przesłuchiwał. Obie oskarżał o morderstwo. Pojawiał się w domu o każdej porze dnia i nocy. Straszyl je, groził, że zamknie je na resztę życia. Długo żyły w strachu, ale nie trafiły do więzienia.

– Kiedy zabrakło pracy, mama musiała rozejrzeć się za czymś innym. Wtedy zaczęła pracować u Toolinów. Miała romans z Tomem Toolinem. Nie wiem, jak długo to trwało, ale wiem, że się skończyło, kiedy zaszła w ciążę. Nigdy mu nawet nie powiedziała, że urodziła dziecko. Strasznie się bała, że sierżant O’Grady mnie zabierze, że znajdzie jakiś sposób. Gaga też się tego bała. Dlatego nikomu o mnie nie powiedziały. Nie chciały, żebym miała takie życie jak one, nie chciały, żeby mnie dręczył. Chroniły mnie najlepiej, jak umiały.

– A jak teraz myślisz, czy ich postępowanie, życie, które dla ciebie wybrały, czy to było właściwe?

– Zrobiły najlepiej, jak potrafiły. Chroniły mnie. Mogłam potem odejść z chatki Toolinów, kiedy chciałam, ale byłam tam szczęśliwa. Kiedy dorastałam, lubiłam się chować, być w ukryciu. Lubiłam patrzeć na wszystko z zewnątrz, z daleka. Gdyby tak nie było, nie mogłabym tak głęboko zanurzyć się we wszystkich dźwiękach wokół mnie. Stały się częścią mnie. Wchłaniałam wszystko jak gąbka, bo w moim życiu był na to czas i miejsce. Gdy inni przeżywali stresy i zmartwienia, mieli wieczne kłopoty, ja nie miałam żadnych. Mogłam być kompletna.

– Kompletna – zastanawia się Bo. – Czujesz się kompletna teraz, kiedy nie

mieszkaś już w chatce? Kiedy zanurzyłaś się w społeczeństwie?

– Nie. – Laura spuszcza wzrok na swoje palce. – Nie słyszę wszystkiego tak jak kiedyś. Jest wiele hałasu. Dużo pomieszanych... – Szuka właściwego słowa, ale nie może go znaleźć. – Czuję się trochę rozbita – stwierdza ze smutkiem.

## 38

Solomon myje zęby, poświęcając na to więcej czasu niż zwykle; wpatruje się we własne odbicie w lustrze, ale nic nie widzi. Podnosi wzrok i dostrzega Bo, która stoi w drzwiach łazienki z torbą w ręku.

W jej oczach błyszczą łzy.

Solomon pośpiesznie wypluwa pastę i ociera usta. Wraca do sypialni, uderzając biodrem o róg otwartej szuflady. Syczy z bólu, potem usiłuje wymyślić coś, co mógłby powiedzieć Bo, ale nic mu nie przychodzi do głowy, nic odpowiedniego, czuje panikę, że ta chwila nadeszła, zastanawia się, czy po tym wszystkim chce, by to się stało. Żadnej ulgi, tylko panika, strach. Okropne uczucie, że konieczna jest konfrontacja, działanie, nie można się nigdzie schować. Naturalny cud wątpliwości, które pojawiają się w obliczu zmiany.

– Jack? – pyta, odchrząkując z zakłopotaniem.

– Nie. – Bo śmieje się lekko. – Po prostu nie ty.

Brutalność tego stwierdzenia jest dla niego zaskoczeniem.

– Bez przesady, Sol, dla żadnego z nas nie jest to zaskoczeniem.

Solomon z roztargnieniem rozciera biodro.

– Jesteś w niej zakochany – mówi Bo pośpiesznie. Ociera z policzka samotną łzę. Nigdy nie wyglądała korzystnie, gdy płakała.

Solomon otwiera szeroko oczy.

– Wiesz o tym albo nie, ale jesteś. Z tobą nigdy nie jestem pewna. Co wiesz, ale udajesz, że nie wiesz, a co naprawdę wyparłeś... czasami dostrzegasz wszystko tak wyraźnie, a kiedy indziej nie widzisz nawet siebie, ale w sumie wszyscy tak mamy, nie? – Uśmiecha się smutno.

Solomon podchodzi do niej i obejmuje ją mocno. Ona puszcza torbę i odwzajemnia uścisk. Całuje ją w czubek głowy.

– Przykro mi, że nie byłem dla ciebie lepszy – szepcze.

– Mnie też – odpowiada Bo, po czym odsuwa się i krzywi trochę. Śmieje się i podnosi torbę. – No ale to przecież nie moja wina, nie?

– Nigdy. – Uśmiecha się, kręcąc głową, czuje się trochę zagubiony, jakby wraz z nią tracił część siebie.

Bo zatrzymuje się w drzwiach i zniża głos:

– Byłeś super. Przeżyliśmy razem cudowne chwile. Coś się z nami stało, kiedy ją poznałeś. Jak to kiedyś ujałeś: ona każdemu pokazuje lustro. Nie podobało mi się nasze odbicie, zwłaszcza kiedy zobaczyłam, jaki naprawdę możesz być.

Solomon czuje, jak płonie mu twarz.

– Ona chyba nas uratowała – dodaje Bo, a do jej oczu znowu napływają łzy, chociaż stara się je powstrzymać. – Co to za ratunek, który polega na rozbijaniu par? Musiało być z nami bardzo źle.

– Nie było – mówi defensywnie. Ich związek może i nie był doskonały, ale często zdarzały się wspaniałe momenty, w każdym razie ogólnie był dobry, tylko nie przetrwał. Nie pozwoli go zbrukać. – Dokąd idziesz?

– Nie do rodziców. – Krzywi się.

– Do Jacka? – pyta znowu.

– Naprawdę odczep się od niego – mówi Bo ze złością.

– Ty też – stwierdza Solomon, a ona wznosi oczy do góry i odwraca się.

Mimo tej całej sytuacji Solomon nienawidzi Jacka jeszcze bardziej i ma ochotę przyłożyć mu jeszcze mocniej.

– Pomagam StarrQuest przy finałowym występie Laury, musisz ją tylko jutro przywieźć do studia. W tygodniu wrócę po resztę rzeczy. Nie dotykaj szuflady z moją bielizną.

– Postaram się – mówi, krzyżując ręce i obserwując ją. – Ale te koronki są takie kuszące.

Ona usiłuje powstrzymać śmiech, otwiera drzwi.

– To najdziwniejsze zerwanie w historii.

– Bo to był najdziwniejszy związek w historii.

– Przychodzą mi do głowy dziwniejsze – odpowiada Bo, spoglądając przez jego ramię. Solomon odwraca się, spodziewając się zobaczyć Laurę, ale widzi tylko zamknięte drzwi drugiego pokoju.

Zanim zdąży się odwrócić z powrotem do Bo, ona już wychodzi i zamyka za sobą drzwi. Dociera to do niego dopiero wtedy, gdy czuje, że jego ciało drży, i jest zszokowany z powodu straty. Znowu spogląda na zamknięte drzwi do pokoju, w którym jest Laura, i myśli o tym, co powiedziała Bo. Zakochany. Oczywiście, że jest w niej zakochany. Wiedział to w tej samej sekundzie, gdy ją zobaczył.

Teraz już zna rozwiązanie swojego dylematu: czy lepiej jest chronić coś cennego i rzadkiego, czy lepiej się tym dzielić. Jego miłość do Laury była cenna, a jej intensywność rzadka. Lepiej było nie dzielić się z nikim miłością do niej. Będzie szczęśliwsza bez niego, doprowadził ją do tego miejsca i nie przyniosło jej to nic dobrego. Nie nadaje się dla kogoś takiego jak ona. Lepiej więc chronić to, co cenne.

Teraz jego zadaniem jest uporządkowanie tego bałaganu, w który ją wciągnął. Zabrał ją z gniazda, rozbił jej życie, zostawił ją. Zrobi wszystko, co się da, żeby to naprawić i odbudować. Zamyka drzwi sypialni i słyszy z pokoju Laury dźwięk, który łamie mu serce. Ciszę.

## 39

Koło piątej rano Solomona budzi dźwięk telewizora w salonie. Laura wciąż nie śpi. Mężczyzna nie wiąże wielkich nadziei z jej występem, który odbędzie się – technicznie rzecz biorąc – już dzisiaj, skoro nadszedł poranek i słońce świeci jasno, ale nie jest pewien, czy go to obchodzi. Rozważa, jakie ona poniesie konsekwencje, jeżeli nie dotrze do studia – Laura nie jest programowi nic winna, ale zdecydowanie jest winna samej sobie. Publiczność wyrobiła sobie o niej niewłaściwą opinię, a chociaż nikt nie powinien się przejmować, co myślą o nim zupełnie obcy ludzie, kiedy ktoś ma do pokazania światu coś pięknego, kiedy ludzie mogą skorzystać na samym jego istnieniu,

powinien być rozumiany. Jest sobie winna ten jeden, ostatni występ, jako ona sama, na jej warunkach. Solomon nie ma pojęcia, co szykuje Bo, ale ufa jej. W ostatniej dobie potwierdziła swoją wielkość, jeszcze raz mu dowiodła, że nie bez powodu otrzymała w tym roku tyle nagród. Jest mistrzynią w swoim fachu, a swoimi opowieściami potrafi oczarować serca i umysły.

Nie może zasnąć i chociaż stara się trzymać z dala od Laury, zwłaszcza w tak intymnych okolicznościach, nie może leżeć tu, gdy ona jest tam. Nie rzuci się na nią bez jej zgody, ale naprawdę o tym myśli. Lepiej się nie zbliżać. A jednak wstaje z łóżka z tą świadomością, nie przejmując się T-shirtem. Otwiera drzwi swojej sypialni. Ona siedzi na kanapie, tyłem do niego. Ogląda *Bliźniaków Toolin*.

Obserwuje ją. Ma na sobie jedną z jego koszulek, podwinięte długie nogi spoczywają na kanapie, włosy potargane od niespokojnego przewracania się w łóżku opadają niedbale na ramiona. Serce bije mu mocno. Ma zamiar coś powiedzieć, coś pocieszającego, jakieś ciepłe słowa o jej ojcu i stryju, kiedy ona cofa kawałek filmu i puszcza znowu. Nie chce przeszkadzać jej w wysłuchaniu tego, co chciała usłyszeć czy zobaczyć ponownie. Czeka, obserwując ją. Po zakończeniu filmu Laura przewija i puszcza jeszcze raz, prostuje się. Solomon spogląda na ekran, widzi braci na górze, przyglądają się swoim owcom. Laura przewija i puszcza znowu.

To nie jest dla niego dobry moment. Miał rację, że dobry moment pewnie nigdy nie nadejdzie. Cicho zamyka drzwi, kładzie się i zasypia, słuchając, jak Laura przewija i odtwarza historię swojego ojca i stryja.

Laura nie odrywa oczu od telewizora, chociaż słyszy, jak za jej plecami otwierają się drzwi. Dostaje gęsiej skórki. Zamiera. W mieszkaniu jest tylko on i ona, słyszała, jak Bo wychodzi, słyszała część ich rozmowy, starała się nie słuchać przez szacunek dla nich. Czuła, że tak bardzo przeszkadza w ich związku, że przynajmniej nie powinna mieszać się do pożegnania, powinna zostawić ich sam na sam. Leżała więc na łóżku z szeroko otwartymi oczami, mimo późnej godziny wcale nie czując zmęczenia, leżała w pokoju pachnącym Solomonem – to był ten sam zapach, który wyczuła w lesie, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Wyczuła go, zanim poczuła jego zapach.

Jego zapach wiatr przyniósł znacznie wcześniej, nim go zobaczyła.



Patrzyła na niego długo, zanim on ją wyczuł. Obserwowała go zza drzewa i czuła nieprzeparte pragnienie, by i on ją zobaczył. Czuła się inaczej niż wtedy, kiedy była dzieckiem. Obserwowała inne dzieci, bawiące się w lesie, i chciała bawić się z nimi, ale wiedziała, że to niemożliwe – zazwyczaj wystarczyło jej patrzeć. Nie potrzebowała więcej. Ale tamtego dnia w lesie, kiedy pierwszy raz spotkała Solomona, straciła cały rozsądek i zapragnęła, by na nią spojrzeć, to było egoistyczne. Specjalnie wydała dźwięk, żeby się odwrócił. Ta chwila zmieniła jej życie i tą chwilą nie była śmierć matki, przeprowadzka do chaty ani śmierć ojca. Największym ryzykiem, jakie Laura podjęła, było wydanie dźwięku, by Solomon mógł ją dostrzec. Chciała, by ten mężczyzna ją zobaczył.

I przez jedną chwilę, wtedy w lesie, należał do niej. Wszystko się dla niej zmieniło – życie przed poznaniem Solomona i po jego poznaniu.

Przełyka twardą gulę, która wyrosła jej w gardle. Marzyła o jego dłoniach na swoim ciele, pocałunkach na skórze, wyobrażała sobie jego dotyk. Czy byłby delikatny, czy silny, jak by całował? Obserwowała go z Bo kątem oka, widziała, jaki potrafi być czuły, i zastanawiała się, czy byłby z nią taki sam, czy inny. Nie może nie zastanawiać się nad smakiem jego skóry, dotykiem języka. Odkąd go zobaczyła, nie mogła odpędzić od siebie tych myśli.

Wiedziała, że nie są właściwe. Usiłowała je powstrzymać, ale wciąż ciągnęło ją do niego. Wiedziała od mamy i Gagi, że nie ma miejsca dla kobiety, która innej kobiecie odbierze mężczyznę. Nie byłyby zadowolone, sama nie była z siebie zadowolona, chociaż były to tylko sekretne myśli. Czepiała się go jak tratwy ratunkowej, nie marzyła o nikim innym. Myślała, że znalezienie się od niego daleko, aż w Australii, pomoże jej się uporać z uczuciem, utrzyma ją z dala od niego, na drugim końcu świata. Nie pomogło. Sądziła, że poznanie innych mężczyzn odwróci jej uwagę od niego. Być może dlatego, że był jedynym, jakiego znała, tak ją pociągał. Ale i to zawiodło. Wydawało się ironiczne, romantyczne i pokręcone, że pierwszy mężczyzna, jakiego spotkała, okazał się jedynym, jakiego będzie pragnęła.

Nic na świecie nie pomagało. A jego zapach... to nie była tylko woda kolońska, to była jego skóra. Śpiąc w jego pokoju, mieszkając w jego domu, czuła jego objęcia. Kiedy odwracała głowę i zanurzała twarz w poduszce, było to jak zanurzenie się w nim. Jęczała cicho z frustracji, bo to nie wystarczyło. Być tak otoczoną przez niego, na zewnątrz niego, blisko niego.

To nie wystarczało. Przeniosła się na kanapę, żeby się od tego odsunąć.

Boi się oddychać, gdy wyczuwa go za sobą. Zamyka oczy w czasie filmu i wyobraża sobie, jak on podchodzi do niej z tyłu, jego wargi spoczywają na jej karku, dłonie na biodrach, a potem wszędzie, na całym ciele. Zaskoczona własnymi myślami, będąc tuż obok niego, otwiera oczy i stara się skupić uwagę na filmie, na tym, co mówią jej stryj i ojciec. Jej serce bije tak mocno wcale nie dlatego, że znowu widzi ojca żywego.

Jak na razie oglądanie dokumentu nie przyniosło jej żadnej pociechy. Wręcz odwrotnie – czuje się jeszcze bardziej samotna. Miała nadzieję na bliskość, odnalezienie korzeni, które nie pozwolą jej unosić się na wietrze, pozwolą odzyskać grunt pod nogami i więź ze wszystkim, co się dzieje w jej życiu. Miała nadzieję, że zacznie czuć, zacznie znowu słyszeć, znowu wydawać dźwięki. Jednak oglądając cały film, ma nieodparte wrażenie, że chociaż żyła tylko kilka kilometrów od nich, nie ma tu ani śladu po niej, żadnej wzmianki.

– Nigdy nie chciałeś mieć żony, dzieci? – pyta Bo na ekranie, a Laura się nagle prostuje.

Joe kręci głową, rozbawiony pytaniem, trochę onieśmielony. Kobieta? Mimo zmarszczek na twarzy zaskoczony tym tematem wygląda jak dzieciak.

– Jestem strasznie zajęty. Cała ta farma. Masa roboty.

– Pewnie, która by go chciała? – żartuje Tom.

– A ty, Tom? Nigdy nie chciałeś mieć rodziny?

Zastanawia się nad tym pytaniem dłużej niż Joe.

– Wszystko, co mam, wszystko, czego mi trzeba, jest tutaj, na tej górze.

Laura zatrzymuje film, jej serce zaczyna bić jak szalone i tym razem, owszem, z powodu ojca. Cofa i puszcza znowu. Patrzy, jak Bo zadaje to samo pytanie dwóm mężczyznom w czapkach, pochylonym nad belami siana. Piękne są ujęcia Rachel, widok identycznych bliźniaków też jest piękny. Zestarzeli się tak samo.

Puszcza znowu. Jej ojciec.

„Wszystko, co mam, wszystko, czego mi trzeba, jest tutaj, na tej górze”.

Na tej górze.

Serce Laury bije niezwykle mocno. Żeby nie dać się ponieść emocjom,

przygląda się tłu, by mieć pewność, że to właściwa góra. Tak na wszelki wypadek. Może jest inne dziecko na innej górze, inna kobieta, która zjawiała się, gdy jej mama odeszła. Jest pewna, że to nieprawda, ale tak na wszelki wypadek, kiedy coś jest tak ważne, musi to dokładnie zrozumieć. Cofa jeszcze raz. „Play”.

Po obejrzeniu scenki po raz czwarty, jest już pewna. Miał czas się nad tym zastanowić, tyle czasu, że nawet Joe spojrział na niego z nieśmiałym, chłopięcym uśmiechem. „Mojego brata pytają o dziewczyny” – prychna szyderczo.

Co było na górze Toma? Joe, jego dom, jego farma, jego owce, jego psy, jego wspomnienia i – tak – Laura. Żyła na tej górze, co znaczyło, że jego wypowiedź obejmowała także ją. Może jej nie kochał tak, jak ojcowie zwykle kochają córki, ale uznawał ją, dostrzegał, cenił. A to znaczyło dla Laury wszystko.

Dopiero gdy to wszystko przemyślała, przypomina sobie o Solomonie. Odwraca się z szerokim uśmiechem. Nie ma go. Drzwi sypialni są zamknięte. Uśmiech znika z jej twarzy, przypomina sobie słowa ojca, a potem kładzie się do łóżka z poczuciem, że wreszcie objął ją tak, jak za tym tęskniła.

## 40

Solomon delikatnie puka do drzwi Laury. Najpierw z wahaniem, potem bardziej stanowczo.

– Lauro...

Drzwi się otwierają; dziewczyna ma na sobie jego koszulkę, to wszystko. Patrzy na niego, senne zielone oczy są ledwo otwarte, nieprzyzwyczajone do dziennego światła. Pachnie też sennie, przytulnym ciepłym łóżkiem, chciałby w nią wpaść, dosłownie. Przygląda się jej od stóp do głów, podczas gdy ona trze oczy, jej długie nogi, smukłe uda znikają pod jego koszulką.

– Przepraszam za koszulkę – mówi. – Powinnam była spytać, ale... – Nie przychodzi jej do głowy żadna wymówka, a jemu to nie przeszkadza.

– Nie, nie przepraszaj. Nie szkodzi. Super. Znaczący, ty jesteś super. Super na tobie wygląda – płacze się. Wycięcie przy szyi jest dla niej za szerokie, trzy

górne guziki rozpięte, tak że widzi krzywiznę jej piersi, z jednej strony koszulka trochę odstaje, gdyby się pochylił, pewnie by dostrzegł...

Laura spogląda w dół na talerz w jego dłoni.

– A, tak. Zrobiłem ci sałatkę z kurczaka. Z granatem. Dzisiaj granat dodaje się do wszystkiego.

Uśmiecha się, wzruszona.

– Powinnaś zjeść, zanim pojedziemy do studia, a to jest lepsze niż te plastikowe śmieci. – Spogląda na talerz. Z drugiej strony, w sumie, to nie musi. Czuje, że gada bez sensu. Jest dorosłym mężczyzną, który desperacko pragnie iść z tą kobietą do łóżka, ale musi się odpowiednio zachowywać. Chociaż do łóżka z nią iść nie może, właśnie w tym tkwi problem. To by ją zgubiło. Już i tak źle mu poszło. Prostuje się, robi krok w tył i dociera do niego, że patrzy na nią jak cieleń na malowane wrota. – Za parę godzin musimy jechać. Spałaś cały ranek.

– Nie mogłam spać w nocy. – Wydaje się przerażona dzisiejszym występem.

– Ja też nie. – Ich spojrzenia spotykają się. Przysięgłby, że ma na niego hipnotyczny wpływ. Opamiętuje się. – Program zaczyna się o ósmej. Jesteś ostatnia. Nie musisz tam być przed szóstą. Później niż normalnie, ale mówią, że nie musisz tam siedzieć. Próby dźwięku zrobią bez ciebie.

– A próba? – pyta, bo nie rozumie.

– Twierdzą, że nie potrzebujesz. Wszystko będzie dobrze, Lauro. To ostatni program. Ostatnie dwie minuty, jakie tam spędzisz. Wykorzystaj je.

– Bardzo mnie uspokoiłeś, póki nie powiedziałeś tego ostatniego.

– Chodzi mi o to, że musisz im pokazać, kim jesteś naprawdę. A właściwie nie musisz im nawet pokazywać, po prostu bądź sobą. I przekonasz ich. – Kiedy się do niego uśmiecha, on wybuchają śmiechem. – Beznadziejny w tym jestem, nie? Ostatni raz, kiedy grałem przed jakąś inną kapelą, dwadzieścia osób wyszło, zanim tamci w ogóle się pojawili.

Chichocze.

– Może powinieneś to zrobić dla mnie dzisiaj, byłoby prościej.

Bierze talerz z jego ręki i podchodzi do kuchennego stołu. Siada.

On przygląda się, jak ona je. Zakłada nogę na nogę. Ma bose stopy. Jego serce bije mocniej. Powinien wyjść, ale nie może zostawić jej samej w mieszkaniu teraz, kiedy zaufano mu, że dostarczy ją do studia całą i zdrową. Mogłaby znowu włączyć na balkony.

Uśmiecha się na myśl o tym, co się stało w nocy.

– Co?

– Nic. – Siada przy stole naprzeciwko niej. Ile razy myśli, że powinien się od niej trzymać z dala, robi zupełnie odwrotnie. Czuje zawrót głowy pod jej wzrokiem. – Myślałem o tym, jak wczoraj odstawiłaś superninę.

Ona przygryza wargę.

– Dobrze, że jej mąż nie przyszedł.

– Hej, jeżeli wpadnie tu dzisiaj, ja wypadam przez najbliższe okno. Sama sobie radź. – Opiera się o stół z głową na skrzyżowanych ramionach, wpatruje się w nią.

– Hej. – Uśmiecha się, kopiąc go lekko pod stołem.

Cisza. Patrzy, jak je. Patrzy, jak myśli, obserwuje, jak marszczy czoło. Uśmiecha się na widok jej powagi, uśmiecha się na widok wszystkiego, co robi, a kiedy ona na niego patrzy, on dostaje skurczu mięśni twarzy, gdy próbuje ukryć nieustanny uśmiech. Czuje się jak nadpobudliwy dwudziestolatek.

– Przed poprzednim występem miałam dwa dni prób. Wielki, skomplikowany numer taneczny. W tym tygodniu nic. Nie jestem pewna, jak mam to rozumieć. – Patrzy na niego. – Widziałeś?

Nie może przestać się uśmiechać i teraz ona myśli, że się z niej nabija.

– Pewnie, że widziałem – odpowiada. – Był okropny.

Jęczy i odchyła głowę do tyłu, wyciągając długą szyję.

– To nie była twoja wina. Bo proponowała dyrektorowi artystycznemu coś związanego z lasem, ale Złotowłoska i trzy misie to nie było dokładnie to, o co jej chodziło. To nie twoja wina.

– Mówiłam Jackowi, że nie chcę tego robić, ale spytali, czy mam inną propozycję, a ja nie potrafiłam niczego wymyślić.

– Czyli ich pomysł albo żaden. – Kiwa głową.

– Był szok?

Myśli o tym, co czuł, kiedy ją zobaczył. Wydawało się, że nie widział jej od tak dawna: wyprowadziła się do hotelu, była w Australii, czuł się kompletnie od niej odcięty.

– Cieszyłem się, że cię widzę, dużo czasu minęło.

Uśmiecha się, jej oczy błyszczą.

– Ale wiem, że możesz być znacznie lepsza. Bo pracuje nad czymś dla ciebie na dzisiaj. Wkłada w to dużo wysiłku. Chyba chce odkupić winy, pokazać ci, że jej zależy. – On też chce to zrobić, ale nie wie jak.

– Nie jest mi nic winna. – Marszczy brwi. – Wszystkie błędy są moje. Przyznaję się do nich.

– Skoro mówimy o przyznawaniu się do błędów... To, co się wydarzyło z Rorym...

Laura krzywi się, nie chce tego wspominać.

Solomon siada prosto.

– Zawiodłem cię. I to poważnie. Nigdy sobie tego nie wybaczę, ale chcę ci tylko powiedzieć, że jest mi przykro. Powinienem być lepiej cię chronić. Nie chciałem tylko... Myślałem, że powinienem dać ci przestrzeń. Z pewnych powodów, z moich powodów, nie chciałem cię stłamsić i blokować nowej drogi. – Patrzy na nią, zastanawia się, czy powinien mówić dalej.

– Widziałam cię trzy lata temu – przerywa mu nagle, jakby nie słyszała ani słowa z tego, co mówił, chociaż on wie, że słyszała, bo słuchała uważnie. – Na górze. Zbierałam jedzenie w lesie. Szukałam krzaka czarnego bzu. Tom wszystkie wyciął, dbał o żywopłoty, a to mi przeszkadzało, bo jagody są jesienią smaczne... nieważne.

– Mów dalej – zachęca ją.

– Prawdziwa siła tkwi w kwiatach. Dodają niesamowitego smaku winom, napojom i dżemom. Gaga robiła pyszną nalewkę z czarnego bzu, jest znakomita po sześciu miesiącach. Ja także miałam misję. Chciałam znaleźć krzak czarnego bzu, którego Joe i Tom nie zniszczyli, dlatego poszłam dalej niż zwykle. Wyszłam z lasu, a ty tam stałeś, z zamkniętymi oczami, ze słuchawkami na szyi i tą torbą na ramieniu. Wtedy nie wiedziałam, co robiłeś. Teraz wiem, że słuchałeś dźwięków, wtedy tylko wydałeś mi się

taki spokojny.

– Nie widziałem cię.

Kręci głową.

– Nie chciałam, żebyś mnie zobaczył.

– To było trzy lata temu?

– W maju. – Czwartego maja, pamięta. I nie tylko dlatego, że kwitły czarne bzy. – Spytałam Toma, kim jesteś. Powiedział, że robicie program do telewizji. I że też lubisz dźwięki. Tyle powiedział. – Przetyka z trudem, zanim zdobywa się na wyznanie. – Obserwowałam cię parę razy.

– Naprawdę? – Uśmiecha się. Serce mu wali. – Powinnaś była się przywitać.

– Teraz żałuję – mówi cicho. – Każdego dnia, kiedy nie mogłam cię znowu znaleźć, żałowałam, że mnie nie widziałeś poprzednim razem, ale kiedy znowu trafiała się okazja, nie mogłam się przemóc. Więc kiedy tym razem zobaczyłam cię w lesie, a nie widziałam ciebie tak długo, nie mogłam ryzykować, że znowu znikniesz. Dlatego wydałam dźwięk. Chciałam zwrócić twoją uwagę.

Patrzy na niego spod długich rzęs. Prawda wyszła wreszcie na jaw.

– No, uwagę na pewno zwróciłaś. – Wyciąga rękę nad stołem i odsuwa talerz. Ujmuje jej dłonie.

Ona chce, żeby ją pocałował.

On tak bardzo chce ją pocałować. Obchodzi stół, kładzie dłoń na jej policzku i przyciąga ją bliżej. Całuje ją, najpierw delikatnie, odsuwając się, by spojrzeć jej w oczy, upewnić się, że wszystko w porządku. Ona ma rozszerzone źrenice, a zielona obwódka wokół nich niemal lśni. Zamyka oczy i całuje go zachłannie.

Wyczuła go, zanim poczuła jego zapach, poczuła jego zapach, zanim go zobaczyła. Zobaczyła go, zanim on zobaczył ją. Poznała go, zanim on poznał ją. On ją kochał, zanim ją pocałował.

to zrobiło niesamowite wrażenie na Laurze i Solomonie, gdy podjechali SUV-em do budynku. Za barierkami setki fanów z aparatami w dłoniach machają plakatami, śpiewają piosenki swoich ulubionych zespołów, niemających nic wspólnego z programem, ale za to łączących ludzi w jeden wielki fandom. Klaszczą, kiedy podjeżdża SUV, a dźwięk tylu głosów sprawia, że Laurę ściska w żołądku. Solomon też to czuje, a nawet nie wybiera się w pobliże sceny. Nie zdziwiłby się, gdyby teraz uciekła. Nikomu nie jest winna aż tyle.

Ochroniarze w czarnych strojach i kamizelkach odblaskowych, wyposażeni w walkie-talkie, stoją wzdłuż barierek i przy wejściu do Slaughter House. Zebrały się media, więcej fotoreporterów i dziennikarzy niż kiedykolwiek wcześniej, teraz, kiedy program zyskał globalną sławę, nerwowo usiłują dostrzec, kto przyjechał. Nie tyle chodzi o to, kto wygra, ale czy Lirogon wystąpi. Ludzie ze StarrGaze nie są głupi, wiedzą, czego chce publiczność i media, i nie zamierzają chronić Laury teraz, kiedy przez cały tydzień nie ujawniała, czy w ogóle wystąpi, więc mimo że Michael jest lojalny wobec Lirogona, ostrzega ich, że otworzy drzwi samochodu od strony mediów.

Kiedy Michael wysiada z samochodu, Laura i Solomon wiedzą, że mają niecałą minutę, zanim rozpęta się szaleństwo. Solomon ujmuje jej dłoń i ściska. Są z dala od ich bezpiecznego łóżka, gdzie w ciszy, w milczeniu, w absolutnym spokoju mogli poznawać się nawzajem. Całe popołudnie wzajemnego dotykania się, tak jak o tym od dawna fantazjowali.

Teraz są wystawieni na żer. Drzwi się otwierają, ich ręce się rozdzielają. Pewne sprawy powinny pozostać święte. Laura wygląda z samochodu i zderza się z fleszami, z morzem aparatów, twarzy, okrzyków, oklasków. A także z buczeniem od strony tych, którzy wciąż jej jeszcze nie przebaczyli szalonego wieczoru.

Michael dodaje jej odwagi kiwnięciem głowy, wyciąga rękę w stronę samochodu, a ona ją przyjmuje. Dłoń jest duża, twarda, ciepła, silna, ogłuszyła więcej ludzi, niż chciałyby wiedzieć, ale jego dotyk jest delikatny, gdy pomaga jej wysiąść. Przesuwa się po skórzanym siedzeniu, stara się odpowiednio zachować, wysiadając z samochodu na wprost nisko wycelowanych obiektywów. Nauczyła się. Ma na sobie kolejną z koszul Solomona w zieloną kratkę, w talii jasny skórzany pasek, skórzane buty z zamszowymi frędzlami przy kostkach. Na tę koszulę nałożyła własną, mniejszą, dzinsową; na przedramionach ma mnóstwo bransoletek. Szyk według Lirogona, jak



nazwało taki styl pismo „Grazia”. Tłum wrzeszczy, dziennikarze wykrzykują prośby o wywiad. Niepewna, co robić, Laura macha do nich, uśmiecha się przepraszająco w stronę buczących i pozwala, by Michael poprowadził ją do drzwi. W środku natychmiast podchodzi do niej uśmiechnięta Bianca.

– Witaj z powrotem – mówi radośnie, bez cienia sarkazmu. – Idziemy prosto do charakteryzatorni. Nie mamy dużo czasu, wszyscy już skończyli próby dźwiękowe, są ubrani i umalowani, teraz nagrywają wywiady i zaraz będą gotowi. Ty próby dźwiękowej nie robisz, wchodzisz ostatnia o siódmej czterdzieści pięć. – Zniża głos do szeptu pełnego podniecenia. – Będziesz zachwycona tym, co zrobili. Chodź.

Rusza, a Lirogon i Solomon podążają za nią.

– Bianca, brałaś coś? – pyta Solomon, a Laura się uśmiecha.

– Odpierz się, Solomon – odgryza się Bianca. – Jest z nami. Nasza dziewczynka wróciła.

Bianca z trudem opanowuje uśmiech. Prowadzi ich do garderoby, a kiedy wchodzi do środka, zastają Bo z mężczyzną, którego Laura dotąd nie widziała.

– Laura, Solomon – odzywa się Bo, trochę nerwowo spoglądając to na jedno, to na drugie. Laura czuje, jak płoną jej policzki na myśl o tym, co z Solomonem robili tego dnia. Policzki ją zdradzają, Bo musiała zauważyć, ale tego nie komentuje. – To Benoît. Jest dyrektorem artystycznym dzisiejszego finału. Pracował z Jackiem w trasach, Jack go zaprosił specjalnie dla ciebie. To istny magik w tej branży – mówi Bo, ledwo mogąc opanować podniecenie.

Benoît jest łysy, od stóp do głów ubrany w czerń, ale są to najbardziej stylowe czarne jedwabie i aksamity, jakie Laura w życiu widziała. Na nosie ma okrągłe złote okulary. Jego postawa jest niezwykle elegancka. Kiedy mówi, jego głos brzmi uspokajająco, hipnotycznie, lirycznie.

– To zaszczyt cię poznać, moja droga – oznajmia Benoît, ciepło ujmując dłoń Laury. – Jestem twoim wielkim fanem. Mam nadzieję, że ci się spodoba to, co dla ciebie na dzisiaj przygotowałem.

– Żadnego kicania po lesie? – pyta Solomon.

Benoît wydaje się mocno urażony samym pomysłem powtórzenia tej katastrofy z półfinału.

– Nie, mój drogi, ten show jest w rękach profesjonalistów. Nie mamy dużo

czasu – mówi z zapałem.

– Tak się cieszę, że jesteś! – wita Laurę Caroline. – I tym razem naprawdę zachowaliśmy najlepsze na koniec.

Laura uśmiecha się, czuje się kochana, otoczona ciepłem i życzliwością. Benoît siada na krześle obok niej.

– Lirogonko, mogę tak do ciebie mówić? Laurę w życiu znałem niejedną, ale Lirogona żadnego.

– Oczywiście – odpowiada Laura z uśmiechem.

– Dziękuję. – Pochyliła głowę. – Mamy dla ciebie dzisiaj coś niepowtarzalnego. To, co zrobiła Bo, jest urzekające.

– Co mam robić?

– Po prostu być sobą. Żadnego scenariusza, żadnych koszmarnych tancerzy przebranych za niedźwiedzie, nic, tylko ty i to, co zechcesz robić.

Laura z przerażeniem otwiera szeroko oczy, a on śmieje się ciepło.

– Wiem, moja droga, bycie jedynie sobą jest często najbardziej przerażające. Dzisiaj – bierze rysunek ze szkicownika – stworzyłem naturalnej wielkości klatkę dla ptaków. Ale ona nie jest dla ptaka, tylko dla ciebie, droga Lirogonko. To polerowany brąz, dobry przyjaciel zrobił ją specjalnie dla mnie. Zlecenie kosztowne, ale konieczne, producenci *StarrQuest* na pewno się ze mną zgodzą. Będzie zwisała z sufitu. Trzeba było przyspawać specjalne umocnienia, żeby sufit wytrzymał. Wytrzyma, próbowaliśmy. – Zamyka oczy, rozpościera palce. – Idealnie. W środku jest huśtawka. Usiądziesz na huśtawce. Na scenie będzie ekran, tak ustawiony, żebyś go widziała. I patrz na niego. Patrz na te obrazy, wchłaniaj je, obserwuj, rób, co tylko chcesz. Na ekranie będą obrazy, a ty wydawaj takie dźwięki, jakie tylko przyjdą ci do głowy. To twoja historia, twoja chwila. Przez ostatnie kilka tygodni odebraliśmy ci siebie samą... – Jak honorowo z jego strony, że odniósł to oskarżenie także do siebie, chociaż do tej chwili nie miał z programem nic wspólnego. – A teraz oddajemy ci siebie z powrotem. Wyrażaj siebie, jak tylko chcesz.

Laura patrzy na prosty szkic i uśmiecha się.

– Dziękuję.

– Będziesz miała na sobie cienki trykot. Złoty. Najcieńszy jedwab, na który

Caroline ręcznie naszyła trzysta delikatnych kryształów. Oczywiście twoją intymność ochroni ta oto cielista bielizna. Piękne, prawda?

– Wow!

– Widzisz, jak kryształy odbijają światło? To Caroline zrobiła.

Caroline uśmiecha się radośnie i się rumieni.

Laura przesuwa dłonią po delikatnym jedwabiu, klejnoty błyskają przy każdym ruchu. Trykot wydaje się taki malutki, jakby był na nią za mały. Laura spogląda na Solomona, który sugestywnie unosi brwi.

– *Oui*, wszyscy mężczyźni oszaleją na twoim punkcie, jak to włożysz – ocenia Benoît i się uśmiecha.

Laura nerwowo spogląda na Bo, Solomon spuszcza głowę. Bo trzyma się z tyłu, patrzy na ściany, na wieszaki pełne ubrań, wszędzie, byle nie na ich dwoje.

Benoît wraca do tematu kostiumu z widocznym podekscytowaniem.

– Caroline, proszę, pokaż ostatni element.

Jego spojrzenie ani na chwilę nie odrywa się od Laury. Chłonie jej reakcję, jego oczy oceniają, czy Laurze spodoba się to, co zaraz zobaczy. Ona ma zamiar udawać, że tak. Wyraźnie widać, że w to wszystko włożono wiele pracy, czuje, że ta chwila jest dla niego ważna, jest mu za to wdzięczna. Ale Laura nie ma potrzeby udawania czegokolwiek, to, co pokazuje Caroline, zapiera dech w piersiach. Łzy od razu napływają jej do oczu, takie to jest piękne.

Benoît jest zachwycony jej reakcją i radośnie klaszcze w dłonie.

– Coś pięknego dla kogoś pięknego.

– Wow! – wyrywa się Solomonowi.

To para skrzydeł, piękna para olbrzymich skrzydeł, które zostaną przymocowane do pleców Laury. Lśnią takimi samymi kryształkami jak trykot, ale tysiące razy mocniej.

– Razem dziesięć tysięcy – szepcze Caroline, jakby odezwane się normalnym głosem mogło zniszczyć delikatne skrzydła. Ale one nie wyglądają na delikatne. Są wielkie i mocne. Mają rozpiętość prawie dwóch metrów. Są olbrzymie, majestatyczne, przepiękne – skoro tak błyszczą w malutkiej

garderobie, Laura może sobie tylko wyobrazać, jak będą wyglądały na scenie.

– Czy mogę...?

– Oczywiście, oczywiście, są twoje – mówi Benoît. Laura wstaje, by ich dotknąć.

– Ty to wszystko zrobiłaś? – pyta Caroline.

– My wszyscy razem. Według projektu Benoît. To było... – Łzy napływają jej do oczu. – To było porywające stworzyć coś tak pięknego. Aż mi się przypomniały studenckie czasy i... no, ale zasługujesz na nie.

– Dziękuję – odpowiada szeptem.

Gdy Laura bierze skrzydła w ręce, pomieszczenie wypełnia dźwięk trzepotania ogromnych skrzydeł, orlich, chociaż większość obecnych nie potrafi tego rozpoznać. Dźwięk wypełnia pomieszczenie i wszyscy zamierają, otwierając szeroko oczy. Laura myśli, że może dodali do skrzydeł efekty dźwiękowe, póki do niej nie dociera, że ten dźwięk pochodzi od niej samej.

Caroline unosi ręce do piersi.

– Mówiłam, Benoît – szepcze.

– Mój Boże – mówi Benoît, patrząc na nią oczarowany. Wysoki, wyprostowany pochyla głowę i składa ukłon, jakby dopiero co poznał Laurę. – Bierzmy się do pracy, Lirogonko. Mamy dużo do zrobienia.

– Ten pomysł z klatką wziąłem z filmu Zouzou, jednego z moich ulubionych. Znasz? – pyta Benoît, gdy ją ubierają.

Laura kręci głową.

Syczy z dezaprobatą.

– Świętokradztwo. Ale zobaczysz. Jutro wszyscy zobaczą. Josephine Baker, pierwsza czarna kobieta, która została gwiazdą filmu, śpiewa jak nikt, śpiewa niczym ptak w klatce, ćwierka i huśta się. To ważna scena i ważny film.

Gdy Benoît mówi, Laura widzi w tle na bieżąco, co się dzieje w programie. Już się zaczął. Sześć numerów w finale. Wywiady nagrywane wcześniej w tygodniu albo dzisiaj przez jej sześcioro współlokatorów pokazują, jak ważny jest dla nich dzisiejszy wieczór.

„Teraz albo nigdy”.

„Zwyciężyć albo zginąć”.

„Śpiewać jak nigdy w życiu”.

„Występ życia”.

„Robię to dla moich dzieci. Żeby były z mamy dumne”.

Benoît mlaska ze zniecierpliwieniem.

– I tak będą dumne i my dwoje o tym wiemy, prawda, Lirogonko.

Laura kiwa głową. On działa uspokajająco, wszystkowiedzący, wszystkowiedzący wieszcz, który oglądał to tysiące razy. Oprócz jego dzieł nic nie jest szczególnie ważne. Wszystko będzie dobrze. Laura czuje spokój.

Występ Alice i Brendana jest oszałamiający, bez jednego błędu. Przekroczyli wszelkie możliwe limity, podjęli olbrzymie ryzyko, wykorzystując ogień, wodę, miecze – wszystko lata w powietrzu. Alice wydaje się silna i zgrabna, Brendan potężny i groźny. Współpracują idealnie.

Sopran Serena otrzymuje najdłuższą owację na stojąco w historii programu.

Sparks zdołał zapanować nad trzęsącymi się dłońmi.

Dwunastoletnia gimnastyczka kręci salta, skacze i śmiga przez obręcz ognia.

Nikt nie zrobił fałszywego kroku. Docierają Rachel i jej żona, Susie, ze swoim nowym maleństwem Brennanem. Laura trzyma w dłoniach to małe ciało i zatracą się w jego płaczu. Gdy na scenę wchodzi Alan, dźwięki walkie-talkie na korytarzu, a potem pukanie do drzwi sprawiają, że Laurę ściska w żołądku. Przyszli po nią, czas ruszać. Spogląda na Solomona, a on z zakłopotaniem patrzy na Bo.

– Pocałuj ją wreszcie, na litość boską! – parska Bo, celowo odwracając się i patrząc na ścianę.

Rachel otwiera szeroko oczy, niepewna, co się właściwie dzieje, a Solomon i Laura jednoczą się w długim pocałunku.

– Po prostu bądź sobą – szepcze jej do ucha – na tyle, na ile możesz w tym złotym trykocie i z dwumetrowymi skrzydłami.

Laura prychnęła, potem się śmieje, gdy odsuwają się od siebie.

– Czarujące – mówi Benoît, udając, że nie robi to na nim wrażenia, ale

zdradzają go szelmowskie iskierki w oczach.

Laureę prowadzą na scenę, jej skrzydła są na razie złożone. Benoît powiedział, by je rozłożyła, dopiero gdy znajdzie się w klatce, inaczej nie przejdzie przez drzwiczki. Laura stoi przy scenie i patrzy, jak Alan podbija publiczność. Jego numer został idealnie dopracowany, wykonany bez najmniejszego wysiłku, chociaż dziewczyna wie, ile godzin pracy w niego włożył. Chodzi w nim o to, że Mabel oznajmia mu, że z nim zrywa. Opuszcza go. Znalazła sobie innego. Kogoś, przy kim czuje się inaczej, brzmi inaczej. Tym mężczyzną jest Jack Starr. Przy ogólnym aplauzie Jack wchodzi na scenę i wkłada rękę do Mabel, co jest dla Mabel dziwne, bo w jej wnętrzu nigdy nie było innego mężczyzny. Jak tylko otwiera usta, wydobywa się z nich zupełnie inny głos, głębszy i absurdalny. To nowa kukiełka, nad którą Alan pracował, której twarz może kontrolować za pomocą zdalnego sterowania. Alan spiera się z Mabel. Ona chce do niego wrócić. On się nie zgadza. Stoi z boku ze skrzyżowanymi rękami, krzyczą na siebie, podczas gdy Jack, który znajduje się między nimi, płacze ze śmiechu. W końcu Alan zgadza się przyjąć Mabel z powrotem i znowu są razem.

Publiczność jest zachwycona. Udało się.

A potem Alan kończy swój występ i zaczyna się wywiad z Laurą. Dziewczyna słyszy własny głos, ale tym razem jest to prawdziwa ona, mówi o podróży, o tym, jak zmieniło się jej życie. Nic szczególnego, ale jest to ona i jest to prawda. Gdy słucha dźwięku swojego głosu, przemawiającego na żywo do całego kraju, mija Alana, który ściska jej dłoń i szybko całuje ją w policzek.

– Potrafisz.

Z sufitu opuszcza się klatka i chociaż publiczność ma się zachowywać cicho, nie może powstrzymać westchnień zachwyty. Drzwi klatki otwierają się i Laura wchodzi do środka. Benoît był skromny. To nie jest prosta klatka z jego szkicu, ale piękne, wyrafinowane dzieło sztuki – to nie zwykłe pręty, lecz pręty, które wiją się niczym pnącza, ozdobione liśćmi z polerowanego brązu. Laura siada na huśtawce, ktoś za nią przypina jej uprząż ochronną, drzwiczki się zamykają. Klatka powoli płynie w górę. Nogi i ciało Laury lśnią, gdy się unosi, wszystkie spojrzenia skierowane są na nią. Czuje się piękna, pełna blasku, czuje się jak zaczarowana, a jednocześnie bezbronna, zamknięta

w klatce, wysoko w powietrzu. Siada prosto, idealna postawa na huśtawce, nie wiedząc, co się stanie, ale pamięta, że musi skupić się na ekranie.

– Zaszłam daleko – mówi na ekranie. – Ale przede mną nadal daleka droga. Moje marzenie? Moje marzenie to odlecieć w przyszłość, jak na skrzydłach.

Potem zapalają się światła, nie wszystkie, jeden reflektor, tylko na nią. Odwraca się do ekranu i patrzy. Rozpoznaje sceny z *Bliźniaków Toolin*. Szerokie ujęcie nieba nad górami Gougane Barra, farmy wiatrowe, farmy owcze. Jej góra, jej dom. Czubki drzew. Na chwilę zamyka oczy i oddycha. Czuje się niemal jak w domu. Wyobraża sobie swoje poranne spacerki, zbieranie jedzenia, wyciąganie nóg, ćwiczenia, zwiedzanie. Dźwięk jej stóp na miękkiej ziemi, deszczu na liściach, cztery pory roku, gdy się żyje wśród przyrody. Ptaki, gniewne, zadowolone, walczące, budujące gniazda, głodne kurczęta. Odległe dźwięki traktorów, pił łańcuchowych, pojazdów.

Jej chatka. Dom. Myśli o wodzie gotującej się nad ogniem, ogniu trzaskającym w zimowe wieczory, kiedy ściemnia się tak wcześnie, że po trzeciej nie można nigdzie wyjść. Smażąca się cebula, zapach wypełniający pomieszczenie, cebula z jej własnego ogródka. Kogut, który ją budzi, dwie kury co rano znoszące dla niej jaja, jaja rozbijające się o brzeg patelni, dźwięk wypływania na gorącą powierzchnię, koza, co dawała jej mleko. Dźwięki nocnej burzy, wiatr wyjący w stodole. Chrapanie Mossiego, sowy, nietoperze.

Potem obraz domu, jej, Gagi i mamy. Pracownia. Jazz, adapter, maszyna do szycia, gorące żelazko, nagłe syczenie pary, nożyce tnące materiał, rzucone nożyce lądujące na pozostałych narzędziach.

Fotografia mamy i Gagi. Odgłos wyjmowanych okularów, chichoty i śmiech dwóch kobiet, które uwielbiały się nawzajem, żyły dla siebie nawzajem, miały tylko siebie, tylko siebie chciały i tylko przed sobą otwierały serca.

Slaughter House. Pierwszy występ Laury. Jack żujący gumę, światła, kamera, akcja, aplauz publiczności. Odliczanie, walkie-talkie ochrony. Nieszłowna noc Laury na mieście. Zdjęcia w gazetach. Flesze, przezwiska, krzyki, dziewczyna w toalecie, która odmówiła pomocy, która chciała selfie, wysokie obcasy stukające o podłogę, trzaśnięcie drzwi toalety, zamek, splukiwanie wody, hałas suszarek. Tłukące się szkło, flesze, krzyki dziennikarzy, wszyscy wołający jej imię, zamazane twarze i zamazane dźwięki. Zamieszanie, głowa w sedesie, echa, wymioty. Nic ci nie jest?

Wstyd, pomocy, nikt nie pomoże.

Cała wrzawa miasta Dublina. Zbyt wiele dźwięków, ledwo może nadążyć z rejestrowaniem wszystkiego, co słyszy. Karetki, syreny, automaty do cappuccino, bankomaty, dzwoniące telefony, sygnały esemesów, kasy, gry wideo, pisk hamujących autobusów, wszystkie nowe dźwięki.

Posterunek policji. Zdjęcie wychodzącej Laury, usiłującej zakryć twarz.

– Wszystko w porządku? – Słyszy głos miłej policjantki. Potem nagle film się kończy i widzi siebie. Ogląda siebie na ekranie, kobieta ptak, lśniąca w świetle reflektorów. Podróż doprowadziła ją do obecnej chwili. Jaki dźwięk powinna wydać teraz? Na koniec podróży. Milczy.

Benoît tak się napracował, a ona zapomniała o skrzydłach, miała rozłożyć skrzydła. W panice pociąga za sznurek i rozkładają się niczym wachlarz, są tak mocne, że niemal podnoszą ją z huśtawki.

Widzowie wzdychają z zachwytu. Obserwuje ich, gdy się jej przyglądają.

To nie jest koniec jej podróży. Myśli o Solomonie. Jego zakłopotane chrząknięcie, westchnienie satysfakcji, pomruk zadowolenia, struny gitary. Szczęście i piękno tego popołudnia. Magiczne dźwięki harfy jego mamy. Fale na plaży naprzeciw ich domu. Mewy. Tylko ich dwoje, sami, nie potrzebują nikogo ani niczego więcej. To nie jest koniec. To dopiero początek.

Myśli o Rachel i o jej cudownym małym Brennanie i nagle słyszy w studiu jego płacz. Musiały go tu przynieść, Rachel i Susie, będzie im głupio, że hałasuje, że przerwał ciszę, ale nikomu nie wydaje się to przeszkadzać, nikt się nawet nie rozgląda. Większość ludzi się uśmiecha, niektórzy ocierają oczy. Podoba jej się płacz dziecka, to nie jest smutny dźwięk, mogłaby go słuchać cały dzień, słucha więc i zaczyna się huśtać na huśtawce z rozłożonymi skrzydłami.

Zerka na bok i widzi ludzi, którzy ją tu przyprowadzili.

Bo płacze.

Solomon patrzy na nią z dumą, uśmiecha się, oczy mu błyszczą.

Bianca szlocha.

Nawet Rachel ma trudności. Brennan śpi w ramionach Susie, a do niej dociera, że to wcale nie był on, ten dźwięk pochodził od niej samej. Powinna była to wiedzieć.



Klatka opuszcza się powoli. Laura trzyma się huśtawki, póki całość nie dotknie delikatnie sceny. Publiczność milczy, gdy klatka się opuszcza. A potem Laura nie wie, co ma robić – jej czas jeszcze się nie skończył. Ma jeszcze pięć sekund. Licznik jest na ekranie nad nią. Gdy dochodzi do jedynki, drzwi klatki nagle się otwierają, automatycznie.

Uśmiecha się na ten ostatni gest Benoît.

## 42

Laura i Alan stoją na środku sceny *StarrQuest*. Jack stoi między nimi, ale Laura i tak wyciąga rękę, by ująć dłoń Alana. Jego dłoń jest wilgotna, na drugim ramieniu trzyma swoją lojalną Mabel, która swoją ręką zakrywa oczy, czekając na wynik.

Za nimi pozostali finaliści stoją w ciemności, ich światła gasły, w miarę jak Jack ogłaszał, że w publicznym głosowaniu zostali wyeliminowani. Alice ma ponurą minę. Dwunastoletnia gimnastyczka zdążyła się już pokłócić na korytarzu z rodzicami. Teraz zostali tylko Alan i Laura – wszystkie głosy już zebrano.

Napięcie rośnie, ale Laura czuje wszechogarniający spokój. Już wygrała. Osiągnęła to, co chciała, a nawet więcej. Rozpostarła skrzydła. Pobiła własny, osobisty rekord. Czuje się wolna, wyruszyła po przygodę, zmieniła swoje życie. Tak długo ukryta, przestała się ukrywać.

Jack Starr rozrywa złotą kopertę. Na jego czole i górnej wardze widać kropelki potu.

– Zwycięzcą *StarrQuest* 2016 zostaje... zostają ALAN I MABEL!

Uśmiecha się. Drzwi klatki znowu się otworzyły. A ona jest wolna.

## Część 4

*Mniej więcej od końca czerwca do połowy lipca śpiew samca podlega przedziwnej zmianie. W tym okresie jego zdolności naśladownictwa rzadko są wykorzystywane, skupia się na wykonywaniu własnych, szczególnych dźwięków, śpiewając długą, łagodną, swiergotliwą pieśń godową własnego plemienia. Ta pieśń jest niewątpliwie najpiękniejsza w jego olbrzymim repertuarze i przez co najmniej dwa tygodnie każdego roku wkłada całe serce w jej doskonalenie, śpiewając nieustannie od świtu do zmroku. W tym czasie samce i samice nigdy się nie rozłączają. Krążą po ustalonych trasach przez lasy i zarośla lub paprocie, od kopca do kopca, a na każdym z nich samiec zatrzymuje się, by tańczyć i śpiewać.*

*Ambrose Pratt, Wspaniałość lirogona  
(The Lore of the Lyrebird)*

Laura siedzi na balkonie w kolejnej koszulce Solomona. Długie nogi ma wyciągnięte, stopy skrzyżowane na poręczy, w rękach trzyma kubek zielonej herbaty. Oczy ma zamknięte, twarz uniesioną w stronę porannego słońca. Solomon obserwuje ją leniwie z kanapy, na której leży z gitarą, od niechcienia uderza w struny, powoli układając nową piosenkę, mruczy słowa, usiłuje wszystko zgrać. Nigdy nie potrafił tego robić przy Bo, zawsze musiał być sam, czuł się zbyt onieśmielony, ale towarzystwo Laury działa na niego uspokajająco. Ona słucha i czasami naśladuje dźwięk jego gitary. Zatrzymuje się, by jej posłuchać, ona powtarza kilka razy, póki nie opanuje dźwięku idealnie. On ćwiczy swoją piosenkę, ona swoją. Uśmiecha się i kręci głową na myśl o całej tej cudownej dziwaczności.

Laura otwiera oczy i patrzy na złożoną gazetę, którą Solomon położył obok niej. Czują, jak ją tam kładzie, zanim usiadł na kanapie z gitarą.

Widzi nagłówek: „WSPANIAŁY LIROGON”.

– Mówiłeś, że mam tego nigdy nie czytać.

Dalej brzdąka w struny.

– Ten akurat powinnaś.

Wzdycha i spuszcza stopy z poręczy, gotowa na możliwy atak, chociaż wie, że treść musi być pozytywna, skoro Solomon jej to w ogóle dał. Jest to artykuł o finalistce *StarrQuest* pióra krytyczki telewizyjnej Emilii Belvedere. Laura szykuje się do czytania.

„Moja matka była akuszerką, ale większy zapal wzbudzało w niej ogrodnictwo. Wolny czas poświęcała wojnie z niechcianymi roślinami w szparach chodnika i na trawniku – spędzała czas na czworakach, mamrocząc pod nosem przekleństwa i groźby. Pęknięcia i szpary w chodniku to wygodne i sekretne kryjówki dla nasion chwastów, przynoszonych przez wiatr. Wyciąganie ich z tych szpar jest z góry skazane na niepowodzenie. Mleczce, osty, buzdyganek, lebioda, krwawnik – to główni wrogowie mamy. To jest

analogia, która nasuwa mi się na myśl, gdy rozważam rolę, jaką w naszym społeczeństwie odgrywają reality show zajmujące się poszukiwaniem talentów.

Sędziowie, poszukiwacze, nie są wiatrem niosącym nasiona. Jest w nich coś z mojej mamy – dostrzegają i wyrywają, ale nie mają w sobie (na początku) jej agresji czy irytacji. Ich celem nie jest anihilacja – chociaż zbyt często jest ona skutkiem ich wysiłków. Dostrzegają coś rzadkiego, coś ładnego, ale rosnącego w niewłaściwym miejscu, i wyrywają to z korzeniami. Znalazcy umieszczają znaleźiska w eleganckim wazonie czy słoiku, gdzieś, gdzie będą korzystnie wyglądały i każdy będzie mógł je obejrzyć. Przekonują chwast, że tu właśnie jest jego miejsce. Przekonują chwast, by walczył ze wszystkimi pozostałymi chwastami, które zawsze trzymały się osobno w swoich własnych szparach na różnych chodnikach i nigdy dotąd walczyć nie musiały. To właśnie jest zarówno umiejętność, jak i przekleństwo tych programów. Znalezione nie może należeć do znalazcy. Wyciągają z korzeniami, przenoszą, przesadzają, a roślina w nowym otoczeniu szybko traci swoje piękno. Nie może rosnąć, nie może kwitnąć – straciła swoje miejsce, gdzie kiedyś z taką energią kiełkowała. Jest zagubiona w wielkiej pustce, w nienaturalnym świecie, którego nie rozumie.

Celem znalazców jest zapalenie światła, ale światło często jest tak jasne, że oszłamia lub oślepia.

Od samego początku nie cierpiałam programów wyszukiwania talentów. Jest to godzina prezentowania odkrytych talentów w niewłaściwym miejscu po roztoczeniu nad nimi – o ile w ogóle – zupełnie niewłaściwej opieki. Może i przed naszymi oczami nie leje się na te rzadkie chwasty skoncentrowanego octu, ale na jedno wychodzi. W tym roku jeden program zdołał zmienić moje zdanie, znalazca najrzadszego z chwastów, który wyrósł i rozkwitł w najdalszej możliwej szparze w chodniku...

Alan i Mabel zasłużyli na zwycięstwo w *StarrQuest* – jest to sympatyczny numer, taki, jakiemu się kibicuje, z którego się śmieje, nie mogąc przy tym opanować wzruszenia na myśl o ukrytej desperacji. Jednak to Lirogon podbił serca całego kraju, poprawka – całego świata. Ten jeden występ pozwolił mi się przenieść z powrotem do dzieciństwa... a nie jest to coś, co się często zdarza. Zazwyczaj tęsknimy za ucieczką, za oderwaniem się od tego, co znamy tak dobrze. Lirogon przeniósł mnie do środka mnie samej.

Dźwięki Lirogona przychodziły tak szybko, falami, czasami cudownie nakładając się na siebie, że nie jest możliwe, aby wszyscy usłyszeli wszystko, nawet przy ponownym odsłuchaniu. Każdy dźwięk przemawia do każdego inaczej. Zanim się uporamy ze skutkami jednego, nadchodzi kolejny. Wewnątrz mnie otworzyły się drzwi, uczucia nadchodziły w zaskakujących eksplozjach, tu, tam, wszędzie. Trzepotanie w sercu, ściśnięcie w żołądku, kula w gardle, ukłucie w gruczołach łzowych. Usłyszałam moje dzieciństwo, moje dorastanie, moją młodość, kobiecość, moje małżeństwo i macierzyństwo – wszystko w ciągu dwóch minut. Było to tak wspaniałe, tak przytłaczające, że wstrzymywałam oddech, a z oczu płynęły mi łzy, gdy patrzyłam na to nieruchome stworzenie na huśtawce, w klatce, opowiadające nam historię swojego życia. Życie w dźwiękach, jej dźwiękach, ale fragmenty życia, które dzielimy wszyscy. Połączyło nas to, zjednoczyło, zbiorowa więź serc i umysłów.

Może i brakowało tu fajerwerków, jakie widzimy w innych finałach – brak pirotechniki to bez wątpienia coś, co się niektórym nie spodoba, ale tu siła tkwiła właśnie w subtelności, w majestacie. Takie wyrefinowanie wymagało wielkiej siły, ale oczywiście z Benoît Moreau przy sterze, z pomocą autorki filmów dokumentalnych Bo Healy, nie ma się czemu dziwić. A jednak. Było to pełne ludzkich uczuć, emocji i ciepła. Było to surowe, twarde, miękkie i delikatne. Wznosiło się i opadało, by wznieść się znowu. Twarde dźwięki podczas subtelnych obrazów, delikatne westchnienia akceptacji w obliczu nieustępliwego żalu.

Występ Lirogona był porywający, czarujący, prawdziwa chwila magii nie tylko ekranu, ale takiej magii, jaka w życiu rzadko się zdarza. Cokolwiek wydarzyło się w siedzibie *StarrQuest*, jakiegokolwiek rozmowy czy rzekome kłótnie się tam odbyły, było to dobre, było to uczciwe, było to konieczne. Dobro zwyciężyło. Ludzie zapomną – jak zwykle – co czuli przez te dwie minuty. Uczucia rozwiały się, może jeszcze zanim zagotowała się woda w czajniku, zanim dzieci poszły spać, zanim zdążyli wysłać esemesa albo przełączyć kanał, ale istniały w tamtej chwili i nikt nie może temu zaprzeczyć.

Zaszła zmiana nie tylko w telewizyjnym programie dla talentów: zaszła także we mnie. W wyniku tego jestem krytyczką telewizyjną, kobietą rozdzieloną na dwie części: osobą, którą byłam przed obejrzeniem występu Lirogona, i osobą, którą jestem po tym występie.

Domaganie się, by Laura Button określiła moment, w którym pojawiła się jej umiejętność, to jak domaganie się od ludzkości wyjaśnienia, kiedy ludzie przestali być małpami. To część jej ewolucji. Wiemy, że Laura większość życia spędziła w odosobnieniu, dziesięć lat w samotności, a poprzednie szesnaście we względnym odosobnieniu z mamą i babcią. Wiemy, że zwierzęta żyjące długo w odosobnieniu ewoluują na cudowne i przedziwne sposoby. Laura nie jest wyjątkiem.

Głos Lirogona rozszedł się daleko i szybko, głęboko i szeroko, ze szpary, z pęknięcia, głęboko w ludzkie serca i myśli.

To nie światła reflektorów wspomagają wzrost, to promienie słońca. Jack Starr nauczył się tego wczorajszego wieczoru.

Znalazcy ją znaleźli, wielbiciele tacy jak ja zachowają dary, które od niej dostali, teraz dajmy jej już spokój, niech odleci wolna”.

Laura kończy czytać artykuł z oczami pełnymi łez, nie może złapać tchu. Ogląda się na Solomona, który przestał grać i obserwuje ją.

Szczerzy się na widok jej reakcji.

– Mówiłem, że to dobre.

Rozlega się pukanie do drzwi. Dziesiąta rano w niedzielę, nie jest to pora na gości.

– Zostań tu – mówi opiekuńczo, odkładając gitarę. Idzie do drzwi i wygląda przez judasza. To Bo.

– Lauro, przyszła Bo – mówi szybko, dając jej możliwość pobierania się, zanim otworzy drzwi.

– Cześć, Bo – odzywa się niezręcznie, otwierając szeroko drzwi, i odgarnia włosy za uszy.

Bo obrzuca szybkim spojrzeniem jego rozmemłany wygląd.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam w żadnych... – Potem dostrzega Laurę na balkonie i wyraźnie czuje ulgę, że nie przeszkodziła w niczym intymnym. – Mogę wejść? Tylko na chwilę.

– Jasne, jasne.

Laura odstawia kubek i wstaje.

– Nie, dla mnie nie wstawaj. – Bo lekceważąco macha ręką, wyraźnie zakłopotana jako gość w miejscu, które jeszcze parę dni temu było jej domem.

– Proszę, usiądź. – Laura przysuwa drugie krzesło balkonowe bliżej do swojego.

Bo siada, Solomon trzyma się z tyłu. Bo zauważa recenzję na krześle obok siebie.

– A, dobrze, cieszę się, że to widziałas.

Laura uśmiecha się.

– O tobie też wspomina. Dziękuję, Bo. Jestem bardzo ci wdzięczna za to, co dla mnie zrobiłaś przez ostatnie parę dni.

Policzki Bo różowieją.

– Nie powinnaś mi dziękować. To było to, co należało zrobić. Wreszcie. Powinnam była zaangażować się wcześniej, ale nie wiedziałam jak. Masz jakiś pomysł, co będziesz teraz robić? Na pewno było sporo propozycji.

Laura kręci głową.

– Muszę to przemyśleć. Masz rację, propozycje były. Nawet program o gotowaniu. – Uśmiecha się.

– W tym byłabyś świetna! – stwierdza Bo ze śmiechem.

– Chciałabym coś zrobić o zbieraniu... poza kuchnią – mówi Laura, ale urywa. – Nie wiem, wszystko, co chcę robić, co do mnie naprawdę pasuje, oznacza powrót do domu. Wydaje mi się, że nie mogę pójść do przodu, jeśli tam nie pojedę. Chcę usiąść z Joem. Chciałabym z nim pogadać o tylu rzeczach, o tyle go zapytać, tyle mu wyjaśnić. Na pewno bardzo go zraniło to, co zrobił Tom, a mogę opowiedzieć mu tyle rzeczy, które by mu pomogły. I chcę, żebyś wiedziała, że ten film nadal obowiązuje. Dotrzymam słowa, ale jeżeli Joe ma w ogóle ze mną rozmawiać, myślę, że musimy zostać sami.

– Rany, Lauro, to się rozumie samo przez się – oznajmia Bo, machając ręką.

– Przyszłam dać ci to. – Sięga do torby i wyjmuje kopertę. – Dostałam od StarrGaze Entertainment.

Solomon spogląda podejrzliwie na kopertę. Nie chce niczego od StarrGaze, chociaż w końcu potraktowali Laurę honorowo, woli nie wiedzieć, jaką

jeszcze „pomoc” mogą zaoferować.

Bo wyczuwa jego nieufność.

– Nadal mi nie ufasz – mówi cicho, słysząc w tym poczucie zdrady i rezygnację.

– Bo – mówi łagodnie. – Tu nie chodzi o ciebie, tylko o nich. Przepraszam. Oczywiście, że ci ufam, zwłaszcza po tym wszystkim, co zrobiłaś w finale.

Wydaje się, że Bo wyraźnie ulżyło.

– Podobało ci się?

– Było super, ale wzięłaś zdjęcia z filmu.

Bo wzrusza ramionami.

– No, nadal są moje, już nie na wyłączność, ale jakoś to przeżyję. Tak należało zrobić. Słuchaj, oni mi tego tak właściwie nie dali, dobra? Więc...

– Słowa nie powiemy – zapewnia Solomon, patrząc, jak Laura odwraca kopertę, widzi, jak szeroko otwierają się jej oczy, gdy zobaczyła adres.

– Co to jest? – pyta z niepokojem.

– Od Joego Toolina, Toolin Farm, Gougane Barra – czyta Laura, szybko wyjmując list.

Solomon z zaskoczeniem patrzy na Bo.

Przyglądają się, jak Laura rozkłada list, zauważają leciutkie drżenie papieru w jej dygocących dłoniach. Czyta na głos.

„Oświadczenie

Laura Button urodziła się w Gougane Barra, hrabstwo Cork, Irlandia. Jej matką była Isabel Button (Murphy), a ojcem Tom Toolin. Mieszkała z Hattie Button i Isabel Button do ukończenia szesnastu lat, a potem w należącym do mnie Toolin Cottage, Toolin Farm, Gougane Barra, hrabstwo Cork, do niedawna.

Jestem jej stryjem. Mam nadzieję, że to wystarczy do wydania paszportu.

Życzę jej powodzenia.

Joe Toolin”.



Laura podnosi wzrok na Bo, oczy ma pełne łez.

– Musiał cię słyszeć w radiu – mówi Bo. – Jack twierdzi, że przysłał to bez żadnej prośby ze strony agencji. Powiedziałyby ci wcześniej, ale sama się niedawno dowiedziałam.

Solomon patrzy na Bo i zauważa, że wygląda dość niedbale, co nie jest do niej podobne. Wydaje się inna, jakby przyszła w pośpiechu. Jest dziesiąta rano w niedzielę. Przyszła, gdy tylko mogła. Solomon zaczyna się zastanawiać, w jakich właściwie okolicznościach dowiedziała się od Jacka o tym liście, że przybiegła tu w niedzielę rano. Zaczyna w nim wzbierać znajoma zazdrość, niczym palenie w piersi, ale dławi ją natychmiast, nienawidząc się za to, że w ogóle się pojawiła.

– Myślałam, że może ci się to przyda, aby... mieć różne możliwości. – Bo się uśmiecha.

– Tak. Na pewno się przyda, ogromnie ci dziękuję.

Laura wstaje i obejmuje Bo. Ta odwzajemnia uścisk i stoją tak na balkonie, obejmując się. Jedna żałując, druga z wdzięcznością, jedna odkupiona, druga odrodzona. Obie wdzięczne za siebie nawzajem.

Jest szósta po południu, gdy Solomon przejeżdża przez bramę farmy Toolinów w Gougane Barra. Joe mógłby być gdziekolwiek na tych hektarach górskiej ziemi, mogliby czekać na jego powrót cały dzień, ale Laura ma szczęście. Joe naprawia płot przed domem.

Podnosi wzrok, kiedy zbliża się samochód, mruży oczy, by zobaczyć, kto jest w środku. Agresywne spojrzenie na wypadek, gdyby pojawili się kolejni dziennikarze, by zawracać mu głowę pytaniami o Lirogona. Solomon opuszcza okno i macha do niego. Wydaje się, że Joe lekko się odprężył, poznając kierowcę i samochód. Solomon podjeżdża przed dom.

Laura spogląda na Solomona.

– Daję ci tyle czasu, ile trzeba – mówi on. – Gdziekolwiek postanowisz usypać swój kopiec, pójdę za tobą i będę na ciebie patrzył.

Uśmiecha się do niego.

– Dziękuję – odpowiada szeptem, unosząc dłonie do jego policzków.

Całuje go, tego mężczyznę, którego obserwowała i uwielbiała, któremu ufała i za którym poszła, aż odnalazła samą siebie. Gdy tylko wysiada z samochodu, Ring i nowy szczeniak rzucają się pędem w jej stronę, tańcząc radośnie wokół jej nóg, by ją powitać po tak długiej rozłące. Solomon wysiada z samochodu, opiera łokcie na dachu i patrzy na nią.

Laura wspina się na płot przed domem, po czym idzie w dół zbocza z włosami rozwianymi na wietrze, by dołączyć do stryja. On patrzy na nią, oczekując powitania, ale ona nie mówi ani słowa. Zamiast tego pomaga mu z płotem, unosi z ziemi drewniany drąg i trzyma go pionowo, żeby stryj mógł spleść druty. Joe przygląda się jej przez chwilę, usiłując ją rozgryźć i zrozumieć, co tu właściwie robi, a potem bierze od niej drut i pracują razem.

## PODSUMOWANIE

*Kiedy już zbierzemy razem wszystkie dostępne nam nici i zaczniemy zbliżać się do zrozumienia lirogona, jesteśmy zmuszeni do wkroczenia w te mgliste obszary, gdzie inteligencja oddziela się od instynktu i stapia się w formę, jakkolwiek niewyraźną, duchowej świadomości.*

*Lirogon, jak widzieliśmy, ochoczo poddaje się w życiu regulacjom określonego kodu zasad.*

*Ma silne poczucie praw własności i ich wartości.*

*Szanuje prawa terytorialne swoich sąsiadów i broni własnych praw.*

*Ma moc przekazywania pomysłów poprzez mowę.*

*Jest monogamiczny i zawsze dochowuje wierności – zdaje się, że nawet (aczkolwiek nie zostało to jednoznacznie ustalone) po utracie towarzysza czy towarzyski życia.*

*Wyróżnia go głęboka miłość do melodii, którą potrafi wyrażać w najśłodszy sposób dzięki swej wielkiej sztuce.*

*Tańczy uroczo, a jego krokom towarzyszy dziwna, czarowna muzyka, podlegająca pulsującym rytmom, w które wpasowują się kroki jego tańca.*

*Nieodparcie pociąga go mieszkanie w miejscach o niezrównanym pięknie i wspaniałości, które przez cały rok wypełniają najbardziej czarujące wonie.*

*Jego charakter jest przyjazny i miły, a usposobienie zdecydowanie towarzyskie.*

*Jest zdolny do lojalnej przyjaźni z istotami ludzkimi, ale jego przyjaźni nie można zdobyć – w odróżnieniu od innych dzikich stworzeń – jedzeniem.*

*Jego pożycie domowe jest wzorowe i nigdy nie mącą go kłótnie.*

*Ambrose Pratt, Wspaniałość lirogona*

*(The Lore of the Lyrebird)*

## PODZIĘKOWANIA

To dzięki przenikliwym rozważaniom Ambrose'a Pratta we Wspaniałości lirogona (*The Lore of the Lyrebird*) mogłam zanurzyć się w świecie lirogona, tego przedziwnego ptaka, w którym się zakochałam. Wyraźnie widoczna miłość, ciekawość i podziw Pratta dla lirogona oraz *Lirogon – cudowny śpiewak Australii* R.T. Littlejohnsa pozwoliły mi uchwycić charakterystyczne cechy tego ptaka i stworzyć moją Laureę – kobietę o unikalnym i potężnym darze.

Ogromne podziękowania dla mojej małej rodziny: Davida, Robin i Sonny'ego. Dziękuję za wasze wsparcie, waszą miłość, waszą energię. Moje serce jest pełne dzięki wam.

Dziękuję moim cudownym rodzicom Georginie i Nicky'emu, moim cierpliwym stukniętym przyjaciółom: Marianne Gunn O'Connor, Lynne Drew, Marcie Ashby, Liz Dawson, Charliemu Redmayne'owi, Kate Elton, Rogerowi Czaletowi oraz całemu zespołowi Harper Collins za kreatywność i wsparcie. Jestem ogromnie wdzięczna światu za was wszystkich.

Dziękuję także moim czytelnikom, że wybrali się ze mną po nową przygodę. Mam nadzieję, że podróż dała wam tyle radości, co mnie.

[1] ang. *charity shop*

[2] Niepokorna (2005)

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz